



Sławomir Koper

ŻONY BOGÓW

Cztery portrety
żon sławnych
pisarzy



*Witold Gombrowicz
spytał, czy chciałabym
z nim wyjechać.
Powiedziałam, że
zamierzam skończyć
tezę doktorską. „Niech
pani zrobi doktorat
o mnie”. Zgodziłam
się. Prawdę mówiąc,
doktorat niewiele mnie
obchodził. Miałam
natomiast ogromną
ochotę rzucić się z nim
w przygodę.*

Rita Labrosse



ŻONY BOGÓW
Sześć portretów żon
sławnych pisarzy



Sławomir Koper

Warszawa 2015

Od autora



Gdy kilkanaście lat temu pisałem książkę *Kobiety w życiu Mickiewicza*, wiele myślałem o partnerkach i żonach naszych najwybitniejszych pisarzy. Małżeństwo z geniuszem nigdy nie jest łatwym zadaniem, nie bez powodu ludzie obdarzeni niezwykłym talentem często tworzą toksyczne związki. Cierpią na tym ich partnerki i dzieci, a ognisko rodzinne często przypomina domowe piekło. Przykładów jest wiele – udane związki należą do rzadkości, a znacznie częściej mamy do czynienia z tymi kompletnie chybionymi.

My, Polacy, cierpimy na dziwną przypadłość. Pozbawiamy naszych bohaterów życia prywatnego i ograniczamy się co najwyżej do odnotowania faktu zawarcia małżeństwa i wyliczenia ewentualnego potomstwa. Niechętnie wspominamy o rozwodach i ponownych ślubach, wyrzucamy z pamięci zdrady małżeńskie i nieformalne związki. Nieślubne dzieci również są pomijane milczeniem, tak samo zresztą jak skłonności homoseksualne albo uzależnienie od alkoholu, narkotyków czy hazardu. W naszych podręcznikach tworzymy pomniki herosów albo raczej galerię papierowych postaci. Tymczasem ludzie „dotknięci palcem Boga”, twórcy o nieprawdopodobnych umysłach byli i są szczególnie narażeni na pokusy tego świata. I często ulegają im ze szkodą dla siebie i swoich najbliższych.

Wielu gigantów naszej kultury założyło rodziny, jednak ich losy nie zawsze były godne pozazdroszczenia. Podczas gdy oni zdobywali sławę i na zawsze zapisywali się na kartach naszej historii, ich żony i dzieci pozostawały w cieniu, często przeklinając los, który związał ich z geniuszem.

Szczególne uwagi należy się ich partnerkom życiowym, tym mało znanym żonom bogów. To one musiały zapewnić codzienne funkcjonowanie rodziny i zadbać o jej najważniejsze potrzeby życiowe. Często też cierpiały niedostatek, nie zawsze bowiem sława partnera szła w parze z powodzeniem finansowym. Były żonami, muzami, kochankami, kucharkami, a często też pielęgniarkami troszczącymi się o swoich mężczyzn do ostatnich chwil ich życia.

Witold Gombrowicz, Sławomir Mrożek, Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz. Czterej giganci naszej literatury, jedni z najwybitniejszych polskich pisarzy XX stulecia. Pierwsza trójka w pewnym momencie życia znalazła się na emigracji. Tworzyli z dala od kraju, a na swój triumf musieli czekać latami. Ich nazwiska są znane każdemu Polakowi, ale czy wiele osób wie, jak nazywały się ich partnerki życiowe i jak potoczyły się ich losy? Jaki wpływ wywarły na życie i twórczość swoich mężów?

A w opozycji do nich Jarosław Iwaszkiewicz, który pozostał w kraju, a po zawarciu konsensusu z komunistami stał się najbardziej wpływowym literatem epoki PRL. Twórczość jego zresztą też przetrwała, prawdziwy talent bowiem zawsze się obroni. Ale nawet on nigdy nie osiągnąłby swojej pozycji literackiej, gdyby nie żona, która zawsze pozostawała w jego cieniu.

I o tym właśnie jest ta książka – o losach kobiet, które miały szczęście (lub pecha) związać się z najwybitniejszymi postaciami naszej kultury i towarzyszyć im na dobre i na złe; o paniach, które pozostając w cieniu, nie tylko wypełniały domowe obowiązki, ale też inspirowały swoich bogów, wspinających się przy ich pomocy na literacki olimp.

Sławomir Koper

Rita, żona Witolda





„Całą swoją inteligencją i dobrą wolę
Witold Gombrowicz wkładał w to, żeby układało się między nami jak najlepiej. Dla mnie był nie tylko kimś otwartym, ale kimś, komu można wszystko powiedzieć, bo wiadomo, że wszystko zrozumie. Nie osądzał. Nie potępiał. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Nie istniało żadne tabu”.
Rita Labrosse-Gombrowicz

Homoseksualizm Witolda Gombrowicza nie był w środowisku literackim tajemnicą. Dlatego dużym zaskoczeniem było to, że w 1968 roku ożenił się on ze swoją asystentką, Marią-Ritą Labrosse. Kilka miesięcy później zmarł, a wdowa została wykonawczynią jego testamentu literackiego. Po latach zdecydowała się też opublikować intymny dziennik męża, uważając, że wszyscy mają prawo znać prawdę o Gombrowiczu.

Pierwsze spotkanie

Maria-Rita była młodsza od Gombrowicza o 31 lat. Urodziła się w Pierrefonds pod Montrealem i pochodziła z francuskojęzycznej rodziny rolników. Jej pasją była literatura francuska, którą studiowała na uniwersytecie w Montrealu, a następnie na paryskiej Sorbonie. Na uniwersytecie w Aix-en-Provence rozpoczęła przygotowywanie doktoratu o twórczości Colette, jednak praca ta szła bardzo powoli. Wówczas promotor zaproponował jej pobyt w dawnym klasztorze cystersów w Royaumont pod Paryżem. Od lat działało tam Międzynarodowe Centrum Kulturalne słynące ze znakomitych warunków do pracy twórczej.

I rzeczywiście – trudno wyobrazić sobie miejsce, które bardziej sprzyjałoby twórczości literackiej. Pochodzące z XIII wieku opactwo zachowało się w idealnym stanie. Surowe, przepiękne średniowieczne wnętrza, urokliwy park ze stawami. W takim miejscu nie trzeba szukać koncentracji i natchnienia, bo zdolność pisania przychodzi sama.

Założyciel Międzynarodowego Centrum Kulturalnego, zamożny przemysłowiec Henry Goüin, doskonale wiedział, czego potrzeba ludziom kultury. Royaumont było miejscem spotkań ludzi nauki i sztuki z całego świata, organizowano tam również koncerty muzyczne, które szybko zdobyły powszechne uznanie. Dla zawodowych literatów powstało tutaj coś w rodzaju domu pracy twórczej, który odwiedzali także studenci i doktoranci, a jednym z takich gości była Maria-Rita. Właśnie tutaj poznała Witolda Gombrowicza, co całkowicie odmieniło jej życie.

60-letni pisarz znajdował się wówczas w fatalnym stanie psychicznym i fizycznym. Zdruzgotany atakami polskiej prasy zarzucającej mu zdradę interesów narodowych powrócił z rocznego stypendium w Berlinie Zachodnim i w Royaumont usiłował odzyskać formę. Zawsze był słabego zdrowia, chorował na astmę, miał problemy z sercem, ale w Berlinie dopadła go jeszcze depresja, z którą nie potrafił się uporać.

„Cierpiał na astmę i rozedmnę płuc – wspominał leczący go doktor Otto Mertens – co w zestawieniu z jego zmęczonym już sercem sprawiało, że miał trudności z oddychaniem. [...] Miał lekką grypę, co w przypadku jego astmy i dużej nerwowości było nieprzyjemne. Bardzo szybko grypa przerodziła się w depresję nerwową”[1].

Gombrowicz lubił życie towarzyskie, a przede wszystkim kawiarniane dyskusje, ale w głębi duszy był samotnikiem. Właściwie nigdy nie odkrywał swojego wnętrza przed otoczeniem, była to sfera zarezerwowana wyłącznie dla niego. I właśnie dlatego żaden z jego znajomych nie potrafił mu pomóc.

Przez Paryż trafił do Royaumont, gdyż jego przyjaciele z Konstantym Jeleńskim na czele uznali, że będzie to odpowiednie dla niego miejsce. Spokój, cisza, atmosfera pracy literackiej, piękne otoczenie – to wszystko miało wydobyć Witolda z depresji. Pozytywne efekty przyszły dość szybko, a Gombrowicz, nawet chory i w depresji, zawsze pozostawał sobą.

„Opactwo z XIII wieku – notował w swoim *Dzienniku* – gdzie święty Ludwik służywał

mnichom, skąd podobno jakiś czas rządzono Francją, gotyk potężny, czworoboczny, czteropiętrowy, mury, krużganki, rozety, kolumny, w parku spokojnym z wodą kanałów i stawów zmurszałą, zieloną. [...]

Royaumont dobrze mi robi na nerwy – zwierzyłem się po paru dniach panu Crespelle, zarządzającemu. – Royaumont dobrze robi panu na nerwy, bo pan psuje nerwy innym”[2].

Rita nie mogła nie zwrócić na niego uwagi. Wprawdzie wtedy nie знаła jeszcze jego utworów, ale Gombrowicza nie sposób było nie zauważyć. Zgodnie z miejscowym obyczajem wszyscy przebywający w opactwie jedli wspólne posiłki, co dla Witolda było znakomitą okazją do prowokacji, które zawsze uwielbiał.

„[...] uderzyło mnie w nim naigrywanie się, czasami ironiczne, a czasami nawet bardzo ostre, z kobiet – wspominał eseista Guy de Bosschère. – Chodziło głównie o kobiety-profesorów czy wykładowców na uniwersytetach. Gdy tylko zabrały głos, z miejsca bezlitośnie je tępił. Młodsze nie przejmowały się tym tak bardzo, ale starsze panie często się obrażały albo pytały, nic nie rozumiejąc: »O co chodzi temu człowiekowi?«. Zdarzało mu się bronić jakiejś racji, a chwilę później argumentować błyskotliwie opinie całkowicie przeciwstawne. [...] Rozmowy Witolda z tymi kobietami [...] przypominały skecze. One nie zdawały sobie sprawy, że jest to gra, traktowały jego słowa poważnie, przyjmowały je, prawie zawsze, jako osobistą zniewagę”[3].

Pierwszą wzmianką o Ricie w intymnym notatniku Gombrowicza była informacja o pewnej „Kanadyjce”. Występuje tam ona jeszcze bez imienia, ale z pewnością zrobiła na pisarzu duże wrażenie. Panna Labrosse była wyjątkowo urodziwą dziewczyną, o nieco „chłopięcym uroku”, co dla człowieka o homoseksualnych skłonnościach musiało mieć pewne znaczenie.

„W Royaumont Gombrowicz wydawał się raczej »człowiekiem z zewnątrz« – wspominała Rita po latach – znanym nie tyle z racji swej twórczości, ile agresywności. Ta jego agresywność spodobała mi się od pierwszego dnia. [...] Lubiłam, kiedy bezlitośnie i po dziecinnemu atakował uszczypliwie paryskich intelektualistów. Bojaźliwa i z kompleksami, sama nie śmiałabym się odezwać, ale kiedy Gombrowicz prowokował ich, mówiąc przez nos z obcym akcentem, byłam zachwycona i po cichu brałam jego stronę”[4].

Na kartach *Kronosa* Rita pojawiała się coraz częściej, a po opuszczeniu Royaumont pisarz wspominał o „flirtach z Ritą”. W istocie do nawiązania między nimi pewnej więzi duchowej doszło podczas wspólnego pobytu w opactwie.

„[...] poznałam go z innej strony i to ujęło mnie ostatecznie. Popołudnia spędzał zwykle w parku na ławce przy stawie. Wracając ze spaceru, widziałam go siedzącego samotnie i przysiadłam się. Opowiadał głównie o Berlinie, który był dla niego jak śmierć. Ale choć mówił o śmierci, wydawał się niesłychanie żywy, najbardziej żywy ze wszystkich w Royaumont. Mówił bez patosu. Nie poddawał się nieszczęściu, jakie na niego spadło, tylko walczył, żeby je pokonać”[5].

Gombrowicz zainteresował się atrakcyjną doktorantką i szybko dostrzegł, że jest ona bardzo inteligentna, co w połączeniu z niekonwencjonalną urodą stanowiło intrygującą mieszankę. Od pewnego czasu myślał o prywatnej asystentce i Rita wydała mu się odpowiednią kandydatką do tej roli.

„Pewnego dnia, przy śniadaniu, w obecności czterech czy pięciu osób, Gombrowicz spytał mnie, czy chciałabym z nim wyjechać. Do Hiszpanii, do Włoch, albo na południe Francji, nie bardzo jeszcze wiedział. Szukał ze względu na zdrowie lepszego klimatu”[6].

Wkrótce sprecyzował swoją ofertę i zaczął zadawać konkretne pytania. Pytał, czy jest „punktualna, porządna, zorganizowana”. Interesowało go też, czy zabiera z sobą w podróż dużo

bagażu.

„Powiedziałam więc, że chciałabym nadal mieszkać we Francji, najchętniej przy jakimś uniwersyteckim mieście, żeby móc skończyć tezę doktorską. »Niech pani zmieni temat – poradził. – Niech pani zrobi doktorat o mnie, a napisze go pani gdzie bądź w dwa tygodnie«. Zgodziłam się. Prawdę mówiąc, doktorat niewiele mnie obchodził. Miałam natomiast ogromną ochotę rzucić się z nim w przygodę”[7].

Wspólny azyl w Vence

We wrześniu 1964 roku wyjechali do La Messuguière w Prowansji, „czegoś w rodzaju małego Royaumont na południu”. Pobyt w tym miasteczku zrobił na Gombrowiczu bardzo dobre wrażenie.

„[...] byłem [tam] prawie półtora miesiąca – pisał w liście do brata. – Gdyby nie pobolewania nerwowo-żołądkowe, czułbym się lepiej, choć astma niezbyt sfołgowała. Nerwy też nieco lepiej. Rita jak dotąd znakomicie się sprawnia, jest zabawna, sprawna, zaradna, uczuciowa itd. Ale dopiero teraz wykaże swoje talenty, bo dotąd siedziała ze mną tutaj – teraz gospodarstwo na jej głowie. Kocha mnie czule (odkąd zdziażdżałem, mam wściekle powodzenie u kobiet). To był zdaje się dobry pomysł, gdyż jej obecność zmienia mi samopoczucie, a koszta, przypuszczam, nie będą większe, niż gdybym sam mieszkał”[8].

Poszukiwali mieszkania do wynajęcia na dłużej, ostatecznie znalazła je Rita w pobliskim mieście Vence. Był to czteropokojowy lokal na drugim piętrze secesyjnej willi Alexandrine. Okna wychodziły na wszystkie strony, mieszkanie miało kilka balkonów, było jednak nie najlepiej umeblowane. Mimo to Gombrowicz uznał, że nowe lokum jak najbardziej mu odpowiada.

„Obejrzelśmy mieszkanie – wspominała Rita – a potem usiedliśmy na ławce pod platanami na placu Grand-Jardin. Słychać było szmer wód Foux w fontannach. Ludzie siedzieli w ogródkach kawiarni. Było spokojnie i miło. Vence i mieszkanie obojgu nam się spodobały. »Bierzemy je. Los tak chce!« – powiedział Witold. To mieszkanie zaspokoilo wszystkie jego potrzeby i marzenia”[9].

Przeprowadzka do Vence zmieniła relacje pomiędzy pisarzem a jego asystentką. Wcześniej był to rodzaj flirtu, natomiast po przenosinach Witold zdawał się zapominać, że od lat preferował przelotne homoseksualne związki bez zobowiązań.

„Zaczynam podszczypywać Ritę – zanotował w swoim intymnym dzienniku. – 26-go [października – S.K.] włazi mi do łóżka. Erotyzm. Coraz lepiej się czuję. Bóle żołądka folgują”[10].

Seks z młodą, atrakcyjną kobietą uzdrowił na pewien czas pisarza, a jego partnerka również była zadowolona. Zbliżenia były tak intensywne, że niebawem Gombrowicz zapisał, iż zaczął się obawiać o stan swojego serca. Ostatecznie miał już 60 lat i był człowiekiem schorowanym, natomiast znacznie młodsza partnerka miała nieco większe potrzeby. W praktyce ustalili się harmonogram ich współżycia „raz na trzy dni”, co w zupełności Gombrowicza satysfakcjonowało. Wkrótce powróciły jednak bóle żołądka (choć słabsze), ale w zamian zmniejszył się katar, dzięki czemu pisarz znacznie lepiej oddychał. Niebawem stan jego zdrowia jednak się pogorszył: „katar, ból żołądka – znowu, katar opadł na oskrzela, kaszel”, w związku z czym Gombrowicz prawie nie opuszczał domu. W Wigilię świąt Bożego Narodzenia podsumował, że od końca października współżył z asystentką „więcej niż piętnaście razy”, miał „cztery orgazmy – ale od dwóch tygodni nic”. Stan zdrowia uniemożliwiał mu aktywność erotyczną, co spowodowało rozluźnienie relacji pomiędzy partnerami. Panna Labrosse traktowała

Gombrowicza dość chłodno, a on „wobec awantur o byle co nie wtajemniczał jej więcej w swoje listy i sprawy”. Po latach Rita przyznała, że z powodu złego stanu zdrowia pisarza musiała z konieczności prowadzić życie jak mniszka.

Witold chyba specjalnie się tym nie przejmował, bo bardziej intrygował go fakt, że po tylu latach uprawiania pederastii zaszła w nim „dziwna przemiana, nawrócenie”.

W cieniu mistrza

„Pierwsze, co mnie zdumiało w naszym wspólnym życiu – opowiadała Rita – to, że Witold interesował się najdrobniejszymi szczegółami umeblowania i wystroju wnętrza. Od samego początku aż do przeprowadzki w marcu 1969 roku on był wielkim mistrzem owego wystroju, który zresztą bezustannie zmieniał. Gdyśmy się tylko wprowadzili, oświadczył, że mieszkanie stawia przed nim zadania natury formalnej. Podobały mu się pewne detale, na przykład poźółkłe firanki w oknach i lampy zwisające z sufitu na długim sznurku jak w kawiarni. »To bardzo dystyngowane, choć trochę ubogie« – komentował. Trzeba było natomiast wyrzucić lub wymienić taki czy inny mebel, żeby to nie wyglądało drobnomieszczańsko i żeby zarazem nie popaść w styl artystyczny. Miało być »tak sobie«”[11].

Jeszcze większym zaskoczeniem był fakt, że Gombrowicz zapragnął obrazów na ścianach. Człowiek, który zawsze krytykował malarzy i malarstwo, teraz zażyczył sobie płócien znajomych artystów. I z właściwą sobie przekorą twierdził, że „chce żyć wśród wrogów”, chociaż dodawał, że może spróbuje „nauczyć się kochać malarstwo”.

Walcząc równocześnie z mieszczańskimi przyzwyczajeniami i artystyczną swobodą, wypracował wówczas bardzo specyficzny styl ubioru. Zaraz po obudzeniu zakładał jedną z „mnóstwa marynarek na każdą pogodę”. Nigdy nie używał szlafroka ani kapci, nie cierpiał też odzieży zbyt dopasowanej. Tłumaczył Ricie, że prawdziwy „dżentelmen zawsze nosi rzeczy za duże”, natomiast artysta „nigdy nie powinien okazywać swoim ubiorem, że jest artystą”. Musi więc zakładać ubrania „mniej więcej” i „takie sobie”. Dodawał również, że „kobieta prawdziwie dystyngowana zawsze jest źle ubrana”.

„Miał swoje rytualne zdania, które w odpowiedniej chwili recytował, akcentując sylaby – kontynuowała panna Labrosse. – Przy każdej okazji: »Spokój przede wszystkim!« [...]. Kiedy spotkała mnie jakaś przykrość: »Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało!«. Kiedy zaczynałam opowiadać jakiś film, książkę czy sen: »Oszczędź mnie, moja droga!«. Kiedy pytałam go o radę: »Rób, co ci serce dyktuje!«”[12].

Gombrowicz zawsze z wielką powagą traktował swoją twórczość, toteż w Vence pisał codziennie, zawsze od rana do południa. Nie używał maszyny do pisania, przelewał myśli na papier za pomocą wiecznego pióra. Miał zwykły, drewniany stół, na którym leżały przedmioty potrzebne do pracy: lornetka, inhalator, termometr, wilgotnościomierz i przybory do fajki. Gdy kończył pracę, razem udawali się na przejażdżkę należącym do niego Citroënem 2CV, którego prowadziła Rita. Krążyli po okolicach miasteczka, a Gombrowicz w międzyczasie dla zdrowia spacerował przez godzinę. Resztę dnia poświęcał na pisanie listów, słuchanie muzyki, lekturę i telewizję. Wieczorami raczej rzadko opuszczali mieszkanie, bo częste wchodzenie na drugie piętro było dla Witolda zbyt dużym wysiłkiem, tym bardziej że jego zdrowie wciąż szwankowało. Ciągłe bóle żołądka zdiagnozowano jako bardzo duży wrzód, ale pisarz obawiał się, że to choroba nowotworowa, i dlatego poważnie zastanawiał się nad samobójstwem.

„Sądzę, że mówiłem Wam już, jak dobrze mieć jakąś furtkę, na wszelki wypadek – pisał w lutym 1965 roku do swoich argentyńskich przyjaciół. – Jestem trochę tchórzliwy i nie umiem wpakować sobie kuli w głowę; a mimo wszystko wydaje mi się, że zabiłbym się, gdybym

wszystko dobrze przygotował. Niestety nie jest to z pewnością proste. Środki nasenne, gaz itd. nie wzbudzają we mnie zaufania.

Najlepszy, jak mi się wydaje, byłby cyjanek. Jeżeli się nie mylę, śmierć następuje w ciągu sześciu, ośmiu minut, ale natychmiast traci się świadomość. Tyle że nie mam tutaj przyjaciół, którzy mogliby w tym pomóc. Pomyślałem więc o Was. Sądzę, że w Waszych kręgach moglibyście zdobyć ten środek albo przynajmniej wskazać osobę, która mogłaby mi dostarczyć cyjanek. Jestem gotów zapłacić 100 dolarów lub więcej”[13].

Czy Rita знаła zamiary partnera? Tak, ale nie traktowała ich poważnie, wiedziała bowiem, że Witold przywiązany jest do życia. Pomimo wszelkiego rodzaju problemów ich wzajemna zażyłość z dnia na dzień się umacniała. Przestali się kłócić, a ona mogła w każdej chwili wchodzić do jego pokoju. Witold pokazał jej nawet swój intymny dziennik, mówiąc, że gdyby wybuchł pożar, to przede wszystkim powinna ratować właśnie ten rękopis. Nie ukrywał też przed nią swojej przeszłości i – jak twierdzi sama Rita – w ciągu 1966 roku opowiedział jej całą prawdę o sobie. Podobno nie pomijał niczego, więc musiało to trwać wiele dni i być dla niej nie lada przeżyciem.

Panicz z Małoszyc

Witold pochodził z zamożnej ziemiańskiej rodziny, był najmłodszym z czworga dzieci Jana Onufrego i Antoniny Gombrowiczów. Dorastał w dostatku, a pierwsze lata życia spędził w majątku rodziców w Małoszycach na Kielecczyźnie. Nigdy jednak nie przepadał za warstwą ziemiańską, ubolewał również nad tym, że jego przodkowie właściwie niczego ważnego nie dokonali. Wraz ze starszym bratem przeszedł genealogię rodziny aż do XVI wieku i był bardzo rozczarowany wynikami tych poszukiwań.

„Nieraz o nich mówił – wspominał jego przyjaciel Tadeusz Kępiński. – Jest tych kilkanaście pokoleń udokumentowanej ciągłości Gombrowiczów, ale wszystko [...] jest typowe, przeciętne. »Sieją hreczkę, procesują się, pojedynkują, czasem stają w potrzebie, najwyżej jakieś zabójstwo po sąsiedzku«”[14].

Uważał również, że każdy stary ród powinien „legitymować się pewną ilością dziwaków, a jeszcze lepiej – nienormalnych”, a pod tym względem Gombrowiczowie również go rozczarowywali. Znacznie lepiej było po stronie matki pochodzącej z rodziny Kotkowskich, gdzie od pokoleń zawierano małżeństwa pomiędzy bliskimi krewnymi. Tam osób niezrównoważonych psychicznie nie brakowało, ale dewianci po kądzieli nie w pełni pisarza zadowalali.

W 1911 roku, kiedy Witold miał siedem lat, rodzina przeniosła się do Warszawy i odtąd w Małoszycach spędzała już tylko wakacje. Chłopak nie przepadał za tym, narzekając, że styl życia kieleckich znajomych i powinowatych wzbudza w nim odrazę:

„[...] siedzą bezmyślnie na wsi, prymitywni, nieporządni, ograniczeni. [...] Wszystko tam dokonuje się z nudów. A ponieważ styl i możliwości tych ludzi są żadne – powoduje to z kolei nowe nudy i jeszcze je wzmacnia. Więc cóż robić? Przede wszystkim się je”[15].

Poza jedzeniem ceniono tu również sen i starano się spać jak najdłużej, aby „dzień nie był zbyt długi”. Dnie zaś spędzano na sąsiedzkich wizytach, polowaniach i grze w karty, a także na rozmowach o pieniądzach i swataniu córek.

„Zaraz by cię żenili – skarżył się Gombrowicz przyjaciołom. – Tylko to w tobie widzą: kandydat do ręki albo nie istniejesz. Naturalnie to drugie – lepsze. Panny »leczą« na każdego. Każda koniecznie chce się wydać. A na razie – co innego. Ile chcesz. Przy tym się nie kąpią. Bo gdzie i po co?”[16].

Do szewskiej pasji doprowadzało Witolda to, że ziemiaństwo było dumne ze swoich siedzib i uważało je za komfortowe, podczas gdy – jego zdaniem – wszelkie wygody ograniczały się do „kaplicy i dwóch klozetów”, a stan sanitarny dworów pozostawiał wiele do życzenia.

Tymczasem higiena osobista była jedną z najważniejszych spraw w jego życiu. Nie wyobrażał sobie bliższych kontaktów z osobą, która nie dbała o siebie. W intymnym dzienniku mniej krytyczny był wobec „kurwy z tryprem” niż wobec dziewczyny, której śmierdziały nogi...

W dobrze sytuowanej rodzinie nie mogło zabraknąć prób pokierowania życiem osobistym jej potomków. Gdy Witold rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ojciec postanowił zaaranżować jego małżeństwo z zamożną panną z okolic Małuszyc. Zaprosił ją na wieczorne przyjęcie, na którym dla zachowania pozorów pojawili się również przyjaciele Witolda.

„»Kandydatka«, bodaj Iwonka – wspominał Tadeusz Kępiński – mniej więcej w naszym wieku, niebrzydka, ale bez specjalnego wdzięku, miała bardzo szerokie czoło, rozdzielone pośrodku i gładko przyczesane włosy i zakłopotany uśmiech. Na głupią nie wyglądała. W każdym razie na pewno zdawała sobie sprawę z uczuć ojca. Być może i syna, tak bardzo tamtych przeciwnych”[17].

Spotkanie nie przyniosło efektów, gdyż Witold ani myślał o ślubie. I choć jego koledzy dość pochlebnie wyrażali się o inteligencji dziewczyny, od razu uciął dyskusję, twierdząc, że w ogóle nie interesuje go poziom umysłowy ewentualnej kandydatki, a co najwyżej jej uroda i wdzięk.

„Intelekt? – oburzał się. – Zwariowaliście? Do czego potrzebny mi jest intelekt? Czy nie zdajecie sobie sprawy, co by to było za piekło? Do czego w ogóle żona mi potrzebna? Ojcu się podoba, to chce, żebym się żenił, bo sam nie może. Jeśli się kiedyś ożenię, to tylko z kucharką”[18].

Gombrowicz nie widział siebie w roli małżonka, a tym bardziej – ojca dbającego o przyszłość potomstwa. W jego intymnym dzienniku pojawiają się wzmianki o różnych kobietach, ale z reguły są to opinie mało pochlebne. I tak jedne panie są tutaj „histerycznymi kurwami”, a inne „dziwkami”. Autor pisze też o jakiejś „urzędnicze w zbożu” i „farmaceutce, której bardzo zachciewało się Kasprowego Wierchu”[19]. Pojawiają się również „dziewczyna, której nie mógł zgwałcić”, tancerka z Wilna, jakaś przyjaciółka siostry, pewna pensjonarka i liczne służące. W liczbach wygląda to imponująco, ale Gombrowicz nie podaje żadnych szczegółów. Wiadomo jednak, że wobec kobiet potrafił zachowywać się w sposób szarmancki. Miało to miejsce choćby podczas wakacyjnego pobytu w Wiśle, gdzie flirtował ze znacznie od siebie młodszą Krystyną Maryańską.

„[...] lokuje się obok panny Krysi. Stosuje wobec piętnastoletniej ofiary swe wypróbowane chwyt. Panienska, pierwszy raz w życiu w obcym środowisku dorosłych »wstydy się«, nie wie, co mówić, jak przyjmować hołdy”[20].

Dwudziestodwuletni Witold znakomicie odnajdywał się w podobnych sytuacjach. Gdy jedna z adorujących go pań zapytała, dokąd wszyscy pójdą na spacer, zwrócił się do Krysi o radę. Użył przy tym pod jej adresem określenia „słodka osóbką”, co na młodziutkiej dziewczynie musiało zrobić odpowiednie wrażenie. Ale nawet w takich chwilach nie opuszczała go wrodzona przewrotność.

„Od pierwszej chwili nie dawał jej spokoju. Korzystając ze sposobności, chwycił za rękę i długo trzymał w swej dłoni. Dla większego kontrastu z nader skromnym zachowaniem panienski nazywał ją, jak to już nieraz – szampańską kobietą. To znowu któregoś dnia na spacerze zaciągnął słodką osóbkę do fotografa, kazał przynieść z pobliskiej gospody tacę z alkoholowymi akcesoriami, a sam, z fajeczką w zębach, mocno przytrzymał ramię Krysi, aby mu

w decydującej chwili nie skrewiła”[21].

W tym czasie przeżywał też poważniejsze uczucie do córki ziemian z Radomskiego, Krystyny Janowskiej. Znali się praktycznie „od zawsze”, a znajomość ta zostawiła trwale ślady w pamięci pisarza, który wiele lat później wspominał o Krystynie w korespondencji, a także uczynił ją drugoplanową bohaterką niedokończonego dramatu *Historia*.

Początkowo bywał w majątku Janowskich ze swoim starszym bratem Jerzym, który już w maju jeździł tam na grzybobranie. Grzybów oczywiście nie było, ale Gombrowiczom nie za bardzo to przeszkadzało.

„Nigdy nie mówił o swoich uczuciach – wspominała pani Krystyna w rozmowie z Joanną Siedlecką. – Nie deklarował się poważnie ani nie wspominał o małżeństwie. Nie starał się bardziej mnie sobą zainteresować, przywiązać do siebie”[22].

Krystyna była wyjątkowo urodziwą dziewczyną i bardzo podobała się mężczyznom. Dobrze jeździła konno, grała w tenisa i uprawiała narciarstwo, a do tego dbała o elegancję i zawsze doskonale się ubierała. Nic zatem dziwnego, że Gombrowicz zwrócił na nią uwagę.

Ona również go wyróżniała, chociaż w jego zachowaniu wiele ją raziło. Witold sprawiał na niej wrażenie człowieka „z innego, obcego jej świata”. Drażniła ją jego niechęć do środowiska ziemiańskiego. Tymczasem on traktował ją inaczej niż resztę znajomych i nie bywał wobec niej złośliwy ani agresywny.

„Nigdy się go nie bałam – kontynuowała pani Krystyna. – Mnie wyraźnie oszczędzał. Wiedziałam, że mnie nie zrani, nigdy tego nie zrobił. Nie było o tym mowy. Mimo to nie czułam się przy nim bezpieczna”[23].

Gdy przebywała w Warszawie, chętnie zapraszał ją na spacer. Dziewczyna bywała też na spotkaniach towarzyskich w domu rodziców Witolda.

„Rozumiałam, że jest inny, ciekawy, oryginalny. O wiele lepiej czułam się jednak w towarzystwie zwyczajnych chłopców z sąsiedztwa”[24].

Witold od dzieciństwa chorował na astmę, dlatego też nie przepadał za sportem. Dorobił do tego własną ideologię – jazdę konną uważał za absurd, a do narciarstwa nigdy nie nabrał przekonania. Podstawowe rozrywki ziemianstwa, czyli brydż i polowanie, uznawał za stratę czasu. Do tego jeszcze nie umiał tańczyć i nawet nie chciał się tańca uczyć. A to bardzo ograniczało jego atrakcyjność towarzyską.

„Na jednym z wieczorków u państwa Gombrowiczów w Warszawie ojciec Witolda bardzo go namawiał, żeby choć raz ze mną zatańczył. Cierpiał, że syn nie tańczy, nie bryluje wśród panien. Witold wymawiał się, że nie lubi froterować podłóg, nie ma słuchu, nie wie, jakie stawiać kroki. W końcu poprosił mnie jednak do tańca, ale męczył się wyraźnie. Czerwony, zawstydzony, niezgrabny, co raz zerkający w wielkie lustro na ścianach, żeby sprawdzić, jak wyglądamy. Byłam z nim równa, na obcasach wyższa, co go szalenie peszyło”[25].

Przez intymny dziennik Witolda przewijają się również postacie męskie, z którymi zapewne łączyły go wówczas relacje erotyczne. W 1935 roku pojawił się w jego życiu niejaki Franek – jego pierwszy stały męski partner. Niewiele o nim wiadomo, musiał być jednak znacznie od pisarza młodszy, gdyż dopiero trzy lata po poznaniu Witolda rozpoczął zasadniczą służbę wojskową.

Negatywny stosunek Witolda do kobiet można odnaleźć również we wspomnieniach Kępińskiego z okresu studiów Gombrowicza. Pisarz uwielbiał wykłady z prawa rzymskiego profesora Ignacego Koschembahra-Łyskowskiego, gdyż wykładowca ten nie ukrywał swojego antifeminizmu.

„[...] profesor pod koniec trymestru odmówił jednej z koleżanek podpisania indeksu – relacjonował Kępiński. – Ta, mało nie płacząc, powiada:

– Chodziłam punktualnie na wszystkie wykłady pana profesora.
– Tak, wiem o tym, widziałem, że pani chodziłaś, ale pani jesteś tak głupia, że nic nie rozumiałaś”[26].

Już wtedy Gombrowicz przejawiał upodobanie do ludzi, których zachowania nie były akceptowane przez otoczenie. Nigdy nie lubił przestrzegać norm społecznych – uważał, że człowiek dlatego posiada wolną wolę, aby swobodnie kształtować własne życie. Cenił ludzi, którzy nie ukrywali swojej odmienności, tylko śmiało ją manifestowali.

„Myśmy bywali u różnych kolegów – tłumaczył Kępiński – on u nikogo. Z wyjątkiem hrabiego C., u którego tylko raz byliśmy we czterech, dobrze zszokowani jego towarzyszem, z którym mieszkał. [...] Co pociągało Itka [Gombrowicza – S.K.] w naszym oryginalnym, chociaż bardzo sympatycznym koledze? Jego dezynwoltura, dojrzała inność, niedbałość w ubiorze, przy doskonałym kroju i gatunku ubrań, milcząca, a taktowna nonszalancja – wszystko to zajmowało jego wyobraźnię, która miała zwrócić się w przyszłości do ferdydurkowskiego »kolegi we flanelowych spodniach«. Jego tryb życia ani trochę nie bulwersował ani nie dziwił Itka. Nigdy tam, w Alejach Ujazdowskich, nie bywaliśmy, ale Itek doprowadził do tej wizyty, aby pokazać nam scenerię i dekorację à la Wschód oraz fotosy rozwieszane na ścianach, niepozostawiające żadnych wątpliwości. Twierdził, że kolega C. wtajemniczał go w niektóre sprawy”[27].

Gombrowicz cenił życie towarzyskie, ale nie robił niczego z obowiązku. Nie lubił wracać do przeszłości, do spraw, które uważał już za zamknięte. Jeszcze podczas studiów odmówił wzięcia udziału w zjeździe absolwentów swojego gimnazjum, twierdząc, że tego rodzaju imprezy przypominają spacer po cmentarzu. Nie odczuwał żadnego sentymentu do dawnych kolegów i nauczycieli, a oni rewanżowali się mu podobnymi uczuciami. Podczas kolejnych zjazdów był już znany jako dziennikarz i pisarz, ale zapewne nie bez powodu nikt o niego nie pytał i nie komentował jego nieobecności. Gombrowicz żył we własnym świecie, co otoczenie doskonale wyczuwało, tym bardziej że potrafił dawać temu wyraz w sposób mało przyjemny dla innych.

Pamiętnik z okresu dojrzewanania

Chociaż Witold od najmłodszych lat miał ambicje literackie, to jednak zdecydował się na studia prawnicze, a nie na polonistykę. Zapewne gdyby mógł sam decydować i nie znajdował się pod presją rodziny, wybrałby filozofię, podobnie jak Tadeusz Kępiński. Rodzina jednak sugerowała mu zdobycie zawodu rokującego nadzieje na przyzwoite dochody. Pewien wpływ na decyzję Witolda miało też to, że w tamtym czasie prawo było modnym kierunkiem studiów. Natomiast sam Gombrowicz uzasadniał swój wybór nieco inaczej.

„Uważał mianowicie, nie bez słuszności – komentował Kępiński – że prawo da mu wiedzę ujętą w ścisłą dyscyplinę, czego nie upatrywał w tym stopniu w innych naukach humanistycznych. [...] W każdym razie Itek traktował swe studia raczej jako pracę intelektualną, a nie przygotowanie do zawodu, zwłaszcza w późniejszych latach uniwersyteckich”[28].

Mimo to jako wolny słuchacz zjawiał się na wykładach filozoficznych i polonistycznych, przy czym bardziej interesowały go tam konkretne problemy, a nie systematyczna wiedza. Nie lubił jednak wykładów Władysława Tatarkiewicza i Tadeusza Zielińskiego, a szczególnie irytowała go „wzniosłość” tego ostatniego. Przyznawał mu jedynie „niezwykłość i wspaniałość postaci”, gdyż „ta strona zawsze go brała”.

Próbował już wtedy pisać, chociaż nikomu nie chciał pokazywać swoich utworów. I zaskakiwał otoczenie oryginalnymi pomysłami, choćby takimi jak projekt napisania powieści „dla kucharek”.

„Kiedy byłem na drugim roku prawa, zabrałem się do pisania nowej powieści – wspominał Gombrowicz po latach. – [...] Zaczęło się od tego, iż z Tadeuszem Kępińskim, moim ex-kolegą szkolnym, postanowiliśmy napisać na cztery ręce powieść sensacyjną, żeby zarobić kupę forsy. Nie wątpiliśmy, iż intelektem wyższym, jak nasze, nietrudno będzie spłodzić taką brechtę – łatwą, a pasjonującą. Wkrótce jednak rzuciliśmy wszystko do kosza, przerażeni niezdarkością naszych gryzmołów.

Napisanie złej powieści nie jest bodaj łatwiejsze od napisania dobrej – powiedziałem wtedy Kępińskiemu.

I ten problem zaczął mnie interesować. Stworzyć dobrą powieść dla wyższych dziesięciu tysięcy czy nawet stu tysięcy – no, to zawsze się robi, to jest banał i nudziarstwo. Ale napisać dobrą powieść dla tego niższego, podrzędnego czytelnika, któremu smakuje nie to, co nazywamy »dobrą literaturą« [29].

Gombrowicza zawsze interesował fenomen *Trędowatej* – czytał tę powieść wielokrotnie, zastanawiając się nad przyczynami jej popularności. Bez końca analizował technikę pisarską nie tylko Mniszkówny, ale również innych kasowych autorów.

„Wkrótce spostrzegłem, że interesuje się Dołęgą-Mostowiczem – kontynuował Kępiński – a nade wszystko rozczytuje się w *Iwonce* Germana, ponadto w powieściach Zarzyckiej o »nowoczesnym« podlotku i jego perypetiach we współczesnym świecie. Do tematu tego wracał obsesyjnie» [30].

Wspólnie z Tadeuszem zaplanowali powieść, która powinna podobać się wielbicielom „lekkiej, nawet brukowej literatury”, będąc jednak utworem o wiele bardziej wyrafinowanym. Młodzieńcy postanowili pisać rozdziały na zmianę, co miało zdopingować ich do wysiłku.

Współpraca nie przyniosła większych efektów, bo choć Kępiński napisał dwa rozdziały, to potem, ze względu na zajęcia zawodowe, nie mógł sobie pozwolić na dalszą współpracę. W innej sytuacji był Gombrowicz, który bezpośrednio po studiach rozpoczął aplikację sędziowską, aby niebawem ją porzucić. Wprawdzie jeszcze przez blisko rok przebywał w Paryżu, studiując w Institut des Hautes Études Internationales, ale bardziej interesowały go kontakty z innymi studentami niż nauka. Po powrocie do kraju nie musiał podejmować pracy zarobkowej, utrzymując się z czynszu z dwóch kamienic kupionych dla niego przez ojca. W tej sytuacji mógł poświęcić się próbom literackim, ale pomysł powieści „dla kucharek” na razie odłożył. Powrócił do niego pod koniec lat 30., już po swoich pierwszych sukcesach literackich. Nie zdecydował się jednak na publikację utworu pod własnym nazwiskiem i użył pseudonimu Zdzisław Niewieski. W 1939 roku książka zaczęła się ukazywać w odcinkach na łamach prasy, a ostatnie jej fragmenty opublikowano już po wybuchu wojny, gdy Gombrowicz od kilku tygodni przebywał w Argentynie. Do autorstwa *Opętanych* przyznał się dopiero pod koniec życia.

Nie pracując zawodowo, dostosował swój rozkład dnia do rytmu twórczości literackiej. Sypiał niemal wyłącznie w dzień, a pisał nocą. Nabral upodobania do pracy w łóżku, twierdząc, że jest to dla niego najwygodniejszy sposób przelewania pomysłów na papier. Nie był natomiast wymagający w kwestii urządzenia swojego pokoju i można powiedzieć, że do szczęścia potrzebował niewiele. Chociaż mógł sobie pozwolić na bardziej komfortowe wyposażenie, jego miejsce pracy było umeblowane wręcz po spartańsku.

„Łóżko, na którym przesiadywał – opisywał Kępiński – [...] przykryte bardzo przyjemną gobelinową narzutą, dwa krzesła, stolik, szafka, prawie nagie ściany i trochę książek – to wszystko. Żadnego zadomowienia, zadbania, wykończenia. Nic z przytulności (mieszkańskiej), blichtru. Trochę cygańska, trochę zarwańska ulica. Całe życie koncentrowało się właściwie na dwóch sprzętach: na łóżku i na stoliku służącym mi do rozkładania książek, zeszytów i szachów» [31].

Debiutem wydawniczym Gombrowicza był zbiór opowiadań *Pamiętnik z okresu dojrzewania*, który ukazał się w 1933 roku. Książka doczekała się miazdzącej recenzji prasowej Juliusza Kadena-Bandrowskiego na łamach „Gazety Polskiej”. Uznany pisarz okazał lekceważenie młodszemu koledze, krytykując trzy z jego siedmiu opowiadań. Pozostałe zaś uznał „za utwory zupełnie nieistotne, raczej umyślnie przez autora snute dość bezsensowne wątki, które stanowić mogą raczej pewną mierzwę pomysłu literackiego niż materiał godny kompozycyjnej obróbki”[32].

Recenzent nie dawał debiutantowi szans na literacką przyszłość, twierdząc, że „warsztat pisarski młodego autora nie wszedł jeszcze ani w okres dojrzewania, ani nawet w okres formowania środków artystycznej ekspresji”. Najbardziej jednak zirytowały go pseudofilozoficzne dywagacje Gombrowicza.

„Na samym końcu swej pierwszej książki mówi młody autor, iż – »zewnętrzność jest zwierciadłem, w którym przegląda się wnętrze«. Mniejsza o samo sformułowanie, dość nieporadne, mniejsza też o filozoficzny sens zdania, tak dalece uzależniający »zewnętrzność« od naszego widzimisię. Rozumiemy wszyscy, iż w zdaniu o zewnętrzności chodziło o głębsze znaczenie moralne. Idąc więc za premisą autora, stwierdzić muszę, iż wnętrze jego przerzuca, jak dotąd, na »zewnętrzność« cały szereg pośpiesznych, nieprzemyślanych gestów, grymasów, niechęci, urazów, które nie dają i nie mogą jeszcze dać właściwego pojęcia ani o istocie, ani o tendencjach samego wnętrza”[33].

Gombrowicz zapoznał się z recenzją Kadena w najgorszych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić – właśnie przyjechał do majątku Janowskich i tam wręczono mu gazetę z artykułem. Nigdy nie zapomniał tego upokorzenia, a najbardziej zabolowało go to, że znany pisarz całkowicie odmówił mu talentu literackiego.

Niebawem pocieszył go Adolf Nowaczyński, który każde opowiadanie z tego zbioru nazwał „małym arcydziełem”. Wtedy Gombrowicz ze zdumieniem przekonał się, że tyle jest opinii, ilu recenzentów. Zrozumiał też, że pochwały i nagany będą stałym elementem życia literackiego, nigdy jednak nie potrafił przejść do porządku nad krytycznymi opiniami na temat swojej twórczości. Przekonała się o tym Mira Zimińska, której kilka lat później zaprezentował maszynopis *Iwony, księżniczki Burgunda*, prosząc ją o ocenę szans scenicznych utworu.

„Gdy napisał *Iwonę* – wspominała Zimińska – nie bardzo wiedział, czy to się w ogóle nadaje na scenę. Dał ją Adasiowi Mauersbergerowi, który poradził mi, żebym ja to przeczytała. Na jakimś przyjęciu Gomber wręczył mi tekst ze słowami:

– Adaś powiedział, że jest pani najinteligentniejszą z aktorek!

– No i jak się to pani podobało, pani Miro? – spytał po jakimś czasie, kiedy już *Iwonę* przeczytałam.

Powiedziałam, zgodnie zresztą ze swoimi wrażeniami, że owszem, pierwszy akt dobry, dalej do niczego. Ja jestem – mówiłam – wychowana na Fredrze, Rittnerze, Zapolskiej. Pan jest z zupełnie innego świata.

A on bardzo złośliwie:

– No proszę, Adaś zapewniał, że jest pani inteligentna!”[34].

W świecie artystycznym Warszawy

„Co wieczór w okolicach dziewiątej – wspominał Gombrowicz – wyruszałem do kawiarni – do popularnej wówczas »Ziemiańskiej«, w pobliżu placu Wareckiego. Zasiadałem przy stoliku, zamawiałem »pół czarnej« i czekałem, aż zbierze się grono kawiarnianych kompanów”[35].

W tamtych latach kawiarnia była naturalnym środowiskiem artystów, miejscem wymiany

poglądów i prezentacji nowych pomysłów. Tutaj komentowano bieżące wydarzenia, dyskutowano o polityce, prezentowano nowe utwory.

„Kawiarnia może stać się nałogiem jak wódka – przyznawał Gombrowicz. – Dla prawdziwego bywalca nie pójść do kawiarni o oznaczonej godzinie to po prostu zachorować. Ja w krótkim czasie stałem się takim maniakiem, iż zawiesiłem na kołku wszystkie inne zajęcia wieczorowe jak teatr, kino, życie towarzyskie”[36].

Ziemiańska była w tamtym czasie prawdziwą instytucją artystyczną. Na parterze swoje stoliki mieli plastycy, a w pobliżu urzędowali członkowie grupy literackiej Kwadryga. Natomiast na półpiętrze stał słynny stolik skamandrytów, przy którym nie wolno było zajmować miejsc bez specjalnego zaproszenia. Lokal był z reguły mocno zatłoczony, bo oprócz artystów odwiedzało go wielu warszawiaków i przyjezdnych.

„[...] wchodziło się z ulicy w ciemność – kontynuował Witold – w jakąś okropną zupę z dymu i zaduchu, z której to otchłani wyzierały zdumiewające oblicza usiłujące coś wykrzyknąć i wygestykulować w powszechnym szumie. Krogulcze rysy rozmaitych [...] pięknoduchów intelektualnych bratały się z poczciwością i okrągłością gąb wsiowskich, chłopskich, wczoraj przybyłych z Lubelskiego, spod Lwowa, zdarzała się twarz cwana z przedmieścia, a czasem wystrzelał sumiasty wąs szlagona – albowiem była to kawiarnia poetów, a poeci rodzą się wszędzie jak robactwo”[37].

Czasami Gombrowicza męczył panujący w Ziemiańskiej tłok, drażnili go pseudointelektualiści prowadzący tutaj jałowe dyskusje, które obnażały tylko ignorancję i zacofanie rozmówców. Irytowali go „poeci proletariatu”, którzy za pomocą wierszy i marksizmu poszukiwali odpowiedzi na dręczące ich pytania. Bawił go natomiast tłum „półinteligentów” przysłuchujący się rozmowom i przypominający chór z greckiej tragedii.

„Kiedy ujawniło się, że mój stolik ma tendencję zwykłą, od razu jeły przysuwać do niego krzesła takie osoby z miną kogoś zasiadającego w pierwszych rzędach teatru – noc w noc to trwało w zupełnym milczeniu, czasem tylko któryś kaszlnął albo zachichotał”[38].

Witold nie ograniczał się tylko Ziemiańskiej – regularnie bywał w Adrii, w kawiarni Instytutu Propagandy Sztuki, a szczególnie upodobał sobie Zodiak. Tam zbierało się grono ludzi bliższych mu intelektualnie i wiekowo, a poza tym lokal ten nie był tak przepelniony klientelą jak Ziemiańska. W Zodiaku Gombrowicz był jednocześnie „mistrzem, prorokiem, pajacem, ale tylko wśród istot jak on, jeszcze nie całkiem zrobionych, nieoszlifowanych, podrzędnych”. W tych latach ostatecznie ukształtowało się jego upodobanie do kawiarnianego trybu życia, któremu później miał z powodzeniem hołdować w Buenos Aires.

Stałymi bywalcami stolika Gombrowicza w Zodiaku byli: Stefan Otwinowski, Zuzanna Ginczanka, Stanisław Piętak, Eryk Lipiński, Gizela Ważykowska, Kazimierz Brandys, Janusz Minkiewicz, Kazimierz Rudzki, Światopełk Karpiński. Każdą z tych osób traktował na indywidualnych zasadach.

„Nawet nie próbował mnie dominować – wspominał Janusz Minkiewicz – ani reszty mojej paczki, to znaczy Światopełka Karpińskiego i Zygmunta Jurkowskiego. Bo to wtedy my, nie on, mieliśmy popularność, pozycję i pieniądze”[39].

Minkiewicz i jego kompani byli na permanentnym rauszu, natomiast Gombrowicz pił niewiele i raczej nie gustował w alkoholowych libacjach. To powodowało pewne problemy z komunikacją i sprawiało, że Witoldowi brakowało swobody zachowania i odrobiny pijackiego szaleństwa.

„Nie umiałem się bawić w ten sposób – tłumaczył pisarz. – Miałem »zły alkohol«, jak mnie pouczał wielki znawca, Świątek Karpiński, alkohol hipochondryczny i wątrobiany, który nie łączył mnie z nikim, a właściwie odstręczał. Ta melancholijna właściwość nie pozostała,

rzecz jasna, bez decydującego wpływu na moje literackie losy, albowiem w Polsce łatwiej sobie wyobrazić literata bez pióra niż bez kieliszka”[40].

Witold doceniał ułańską fantazję przyjaciół, ale sam zadowalał się rolą obserwatora ich ekscesów. Przyjemność sprawiało mu oglądanie Minkiewicza zebrzącego na wódkę pod „wielce szacowną pensją panny Plater” albo Karpińskiego wożącego windą ryby, „żeby miały przyjemność”. Sam jednak w podobny sposób nigdy się nie zachowywał i najwyraźniej nie był stworzony do radosnej konsumpcji alkoholu.

Kiedyś, korzystając z nieobecności rodziny, urządził u siebie huczny bal sylwestrowy, jednak szybko tego pożałował. Na balu zjawiała się większość jego znajomych, a do tego jeszcze Tadeusz Breza, Michał Choromański, Zdzisław Czermański, Bruno Schulz i Witkacy, ale on uznał ten wieczór za stracony. Po prostu nie czuł się dobrze w alkoholowych klimatach i niechętnie oddawał się „tego typu uciechom”.

Wyżywał się za to w dyskusjach przy kawie i herbacie. Jak zwykle złośliwy i bezkompromisowy, codziennie poszukiwał nowej ofiary. Najczęściej rola ta przypadała jakiemuś przypadkowemu uczestnikowi kawiarnianych spotkań. Gdy jednak brakowało osób z zewnątrz, Gombrowicz zajmował się kimś ze ścisłego grona znajomych.

„Obcowanie ze mną zawsze było [...] dosyć trudne – przyznawał – dlatego, iż z reguły dążę do dyskusji, starcia, staram się prowadzić rozmowę w ten sposób, aby była ryzykowna, czasem nawet nieprzyjemna, żenująca, niedyskretna, gdyż to wciąga w grę osobowość zarówno moją, jak i mego partnera. Rozmowa uprzejma, spokojna, delikatna, taka, jaką się zwykle uprawia w kołach literackich, wydawała mi się zawsze czymś śmiertelnie mdłym i niegodnym ludzi bardziej rozbudzonych pod względem duchowym”[41].

Witold „tworzył nie tylko książki, ale i życie”, przybierając pozę szydery i pilnie obserwując zachowanie otoczenia. Prowokował różne sytuacje, aby oglądać ich efekty i demaskować swoich rozmówców.

„Częstym gościem przy stoliku Gombrowicza był Kazimierz Rudzki, którego już wówczas znano [...] ze znakomitych ripost słownych – opowiadał Eryk Lipiński. – Zapamiętałem zwłaszcza jedno party w mieszkaniu Kazia przy ulicy Sułkowskiej. Kazio demonstrował gościom rozmaite przedmioty zakupione w sklepie przy ulicy Chmielnej róg Szpitalnej. Była tam między innymi sztuczna plama atramentu, szklanka z dziurką, duże zęby, które wkładało się do ust. Gombrowicz patrzył z dezaprobatą na przedmioty, a następnego dnia opowiadając w »Zodiaku« o wieczorze, mówił: »Pan Kazimierz to człowiek dowcipny, jest specjalistą od humoru z przyrządami...«. Opinia ta bardzo Kazia dotknęła i od tego czasu już tych przedmiotów nie używał”[42].

Gombrowicz nie oszczędzał nikogo i niczego. Pewnemu mało utalentowanemu, ale pracowitemu pisarzowi poradził, aby starał się dalej, a za dziesięć lat zostanie wreszcie „porządny grafomanem”. Towarzystwo przy swoim stoliku zdominował do tego stopnia, że znajomi nadal przychodzili, chociaż bali się jego ostrego języka. Ale to było jak narkotyk – nie potrafili sobie wyobrazić dnia bez spotkania z Gombrowiczem.

„Gombrowicz peszył, irytował – wspominał Andrzej Nowicki – często nie potrafiłem się odgryźć, choć przecież byłem satyrykiem »Szpilek«. Mimo to, tak jak i reszta, musiałem codziennie być przy stoliku. Chodziliśmy tam właściwie jak na spektakl. Zdawałem sobie sprawę ze swojego zafascynowania, wiedziałem, że obcuje z indywidualnością niepowtarzalną. Nigdy później nie miałem już wobec nikogo podobnego wrażenia”[43].

Potyczki słowne przy kawiarnianym stoliku były dla Gombrowicza ulubioną formą spędzania czasu, ale potrafił też odnaleźć się na spotkaniach u Zofii Nałkowskiej. Co prawda twierdził, że imprezy w jej salonie przypominają herbatki urządzone przez jego matkę czy wręcz

„przyjęcia u kanoniczek”, lecz mimo to nie potrafił się oprzeć urokowi gospodyni. Podziwiał zręczność, „z jaką ta dama umiała wykrzesać iskrę nawet z notorycznych dzikusów, odludków, jąkałów i milczków”. W istocie pani Zofia potrafiła wydobyć z każdego to, co najlepsze, a w jej salonie goście dawali z siebie dosłownie wszystko.

„Raz na takie zebranie – opowiadał Jan Kott – trafił jakiś starszy inżynier z prowincji, specjalista od sztucznego włókna. Milczał, był wyraźnie onieśmielony, gubił się wśród tych wszystkich pisarzy. I nagle Nałkowska go podprowadziła. I zaczęło się to wspaniałe solo o sztucznym włóknie, zaskakujące, olśniewające. Nałkowska promieniała. Była zawsze wielkim dyrygentem”[44].

Pomimo swojej sympatii do Nałkowskiej Gombrowicz nie przepadał za kobietami zajmującymi się pisaniem. Ze smutkiem zauważył, że w poezji dominują mężczyźni, natomiast proza, z małymi wyjątkami, pozostaje domeną płci pięknej.

„[...] Dąbrowska, Nałkowska, Kossak-Szczucka, Kuncewiczowa, Krzywicka czy Naglerowa, czy Gojawiczyńska – twierdził – były dostarczycielkami powieści, omawianych górnio i szeroko w prasie oraz rozchwytywanych przez czytelników. Nie była to bynajmniej zła robota, zdarzały się nawet dzieła bardzo wartościowe, ale to ukobiecenie polskiego piśmiennictwa przysparzało mu za wiele miękkości, dobrotliwości, łagodności i nieokreśloności, odbierając cechy takie, jak polot, śmiałość, siłę... W pewnej chwili zbuntowałem się, doszedłem do wniosku, że trzeba tępić kobiecość w literaturze”[45].

W salonie Nałkowskiej Witold poznał Brunona Schulza, którego cenił za wydane niedawno *Sklepy cynamonowe*. Schulz z wielką atencją wypowiadał się o *Pamiętniku z okresu dojrzewania*, wobec czego Witold poprosił go o przeczytanie rękopisu *Ferdydurke*. Brunon miał być pierwszym recenzentem utworu.

„Dałem mu rękopis, jeszcze daleki do końca, za którymś z jego przyjazdów do Warszawy. Po kilku dniach powiedział mi łagodnie, ale z nieopuszczającą go surowością czy ostrością na dalszym i męczeńskim planie: – Ja bym radził zostawić to... Niech pan wróci do tamtego rodzaju, z *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, którym pan tak świetnie włada... mnie się zdaje, że tego nie trzeba publikować.

Zrobiło mi się zimno.

Nikt poza nim nie czytał tego utworu, w który tyle pracy włożyłem. Bruno był pierwszy. Do niego miałem zaufanie. A trzeba wziąć pod uwagę, że *Ferdydurke* to było zapuszczanie się na tereny dziewicze, próba odkrywania nowych ścieżek – robota, słowem, ryzykowna i niedająca się dobrze skontrolować. Diabli wiedzą! A nuż to rzeczywiście nic niewarte? Dwa lata wysiłku! Tyle nadziei! Byłem bliski wrzucenia tego do śmieci”[46].

Na szczęście Gombrowicz „postanowił dalej pchać taczkę” i dopracował utwór. A gdy po jego wydaniu wysłał egzemplarz autorski do Drohobycza, Schulz wręcz oszalał z zachwyty. W ciągu jednego dnia Witold dostał od niego kilkanaście telegramów, gdyż Bruno, czytając *Ferdydurke*, po każdym udanym fragmencie biegł na pocztę i wysyłał gratulacje. Biorąc pod uwagę, że obaj panowie byli właściwie rywalami literackimi, można to uznać za dowód wielkiej przyjaźni i bezinteresowności.

Dzięki Schulzowi Gombrowicz poznał Witkacego. Za „demonem z Zakopanego” jednak nie przepadał – uznał go za zbyt pretensjonalnego, aby się z nim zaprzyjaźnić. Doceniał intelekt i talent Stanisława Ignacego, ale nie znosił jego rozlicznych nałogów. Czasami jednak spotykał się z nim, a zdarzało się, że towarzyszył im Bruno. Wydaje się, że wielu dzisiejszych czytelników zaprzedałoby duszę diabłu, aby na żywo posłuchać dyskusji Gombrowicza z Schulzem i Witkacym...

Nieszczerość

Jesienią 1968 roku, przygotowując notkę biograficzną dla Cahier de l'Herne, Gombrowicz napisał swoje krótkie, intymne kalendarium:

„Rok 1926 – Pierwsze flirty z kuzynkami i przyjaciółkami siostry, którym dokuczał za ich żarliwy katolicyzm.

Rok 1936 – Miłostki z kucharką.

– Flirt z młodą i piękną poetką.

Rok 1941 – Doświadczenia homoseksualne z młodymi chłopakami z ludu z Buenos Aires”.

Wydaje się, że nie był wówczas szczery. Z lektury *Kronosa* wynika, iż już przed wybuchem II wojny światowej określił swoją seksualność. Wspomniany wcześniej Franek zapewne nie był jego pierwszym męskim partnerem, gdyż w intymnym dzienniku Gombrowicz wspominał, że w 1934 roku miał „pierwsze próby pe ze stróżem z [ulicy] Wiejskiej”. Czy jednak na pewno była to prawda? Po tylu latach trudno odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie.

W kwestii orientacji seksualnej Gombrowicza nie mieli natomiast wątpliwości ludzie z jego otoczenia. Nawet po upływie długiego czasu wypominali mu nieszczerość w przedstawianiu siebie samego oraz kreowanie obrazu, który był dość daleki od rzeczywistości.

„[...] w swoim pisarstwie Gombrowicz też nie śmie dobrać się do rdzenia któregośkolwiek z problemów ludzkich – pisał Zygmunt Mycielski. – Nawet własnej pederastii nie może jasno wyłożyć, a cóż dopiero załatwić. Jego pisarstwo jest krążeniem wokoło problemów: ja, homoseksualizm, Polska – przy czym tylko siebie wysuwa jasno na pierwszy plan”[47].

W interesujący sposób ułożyły się relacje Gombrowicza z innym młodym pisarzem o orientacji homoseksualnej, Jerzym Andrzejewskim. Witolda drażnił jego ostentacyjny katolicyzm i uważał zapewne, że autor głoszący podobne poglądy powinien być konsekwentny w swoim postępowaniu. Gdy obaj panowie przez pewien czas przebywali wspólnie na wakacjach w majątku przyjaciół w Poznańskim, Gombrowicz w swoich felietonach drukowanych na łamach „Kuriera Porannego” nie szczędził Andrzejewskiemu delikatnych uszczypliwości.

„[...] jest chuderlawym blondynem w okularach o głębokim wejrzeniu. W tym człowieku czają się wielkie męki pod powłoką pozornej szczeroci i prostoty. Szczeroci i prostota jest u niego osiągnięciem moralnym, nie zaś cechą naturalną. Szalenie wrażliwy, a nawet drażliwy, potrzebuje koniecznie pewnej serdeczności”[48].

Andrzejewski poczuł się urażony, ale do otwartego konfliktu doszło dopiero kilkanaście miesięcy później. Tym razem Gombrowicz dotknął go do żywego, publicznie przystępując do rywalizacji o względy tego samego partnera. Całkiem możliwe też, że zrobił to wyłącznie w celu dokuczenia koledze po piórze.

„W końcu na sylwestra roku 1938/39 zerwaliśmy zupełnie – opowiadał Andrzejewski. – I to ostro, w obecności wielu osób, a dokładniej w restauracji »Kameralna«. Zjawiłem się tam z moim przyjacielem, już dobrze po północy. Jak to na sylwestra na sali kłębiło się sporo osób, w tym wielu moich znajomych, między innymi Otwinowscy oraz właśnie Gombrowicz, który zaraz zaczął gwałtownie i natarczywie zaczepiać mojego przyjaciela – chciał mnie po prostu dotknąć. Byłem młody, nieopanowany, pryncypialny. Zareagowałem ostro. Wynikła scysja”[49].

Po incydencie tym nie pozostał żaden ślad w *Kronosie* – być może dla Gombrowicza stanowił on zbyt mało znaczący epizod, by pamiętać o nim kilkanaście lat później. Owszem – pisze tam o rozmowach z Andrzejewskim na temat *Ferdydurke*, wspomina nawet o tamtym wieczorze sylwestrowym, ale awanturę w Kameralnej pomija całkowitym milczeniem.

Na uwagę zasługuje pewna informacja z 1955 roku. Odmienna od wypowiedzi zawartych w *Kronosie*, dobrze oddaje sposób, w jaki Gombrowicz chciał być postrzegany:

„Zdawałem sobie sprawę, że zabrnąłem gdzieś na niebezpieczne pogranicze i, naturalnie, pierwsze, co mi przyszło do głowy, to, iż torują sobie we mnie drogę podświadome [!] homoseksualne skłonności. I może z zadowoleniem powitałbym ten fakt, gdyż on przynajmniej umieściłby mnie w jakiejś rzeczywistości – ale nie, w tym samym czasie nawiązałem bliższe stosunki z kobietą, których intensywność nie pozostawiała nic do życzenia. I w ogóle w tym okresie dość dużo chodziłem za dziewczynkami, nieraz nawet trybem dość skandalicznym”[50].

Gombrowicz doskonale wiedział, że nie ma możliwości ukrycia swoich rzeczywistych preferencji seksualnych, jednak z niewiadomych powodów wolał być postrzegany jako biseksualista. Nawet jeżeli czasami głośno deklarował swoją niechęć do kobiet i upodobanie do stanu kawalerskiego. Nigdy nie przejawiał też chęci posiadania potomstwa, a jego kontakty z płcią piękną często sprawiały wrażenie związków na pokaz. W rzeczywistości były to krótkotrwałe przygody, które w najlepszym razie kończyły się po kilku spotkaniach. A może wówczas faktycznie był biseksualistą?

Najważniejsza decyzja

W grudniu 1933 roku zmarł ojciec pisarza, a przy łożu konającego Jana Onufrego byli tylko Witold i jego matka. Resztę krewnych zaalarmowano zbyt późno, w związku z czym przybyli oni na miejsce już po śmierci głowy rodu. Zgon ojca po raz kolejny uświadomił Witoldowi, że nie potrafi okazywać uczuć nawet wobec najbliższej rodziny.

„Ta śmierć pozostawiła mi nieco zawstydzające wspomnienie. Gdy skonał, spróbowałem objąć matkę, aby chociaż w ten sposób okazać moje uczucie – ale gest wypadł niezręcznie, i jak w okamgnieniu ukazała się moja nędza: byłem niezdolny do zwykłych ludzkich odruchów, do serdeczności, czułości, byłem jak sparaliżowany formą, stylem, tym całym przeklętym sposobem bycia, który sobie urobiłem... i oto rodzonej matce nie byłem w stanie dostarczyć trochę ciepła w tym momencie!”[51].

Po śmierci Jana Onufrego sytuacja finansowa rodziny trochę się pogorszyła. Gombrowicz z matką i siostrą przeprowadzili się do tańszego i mniejszego mieszkania przy ulicy Chocimskiej w pobliżu placu Unii Lubelskiej. Nadal byli właścicielami dwóch kamienic (przy Wspólnej i Próznej), ale z niewiadomych powodów nie chcieli zamieszkać w żadnej z nich. Czyny od lokatorów wystarczał im jednak na życie, toteż Gombrowicz mógł kontynuować swoje próby literackie.

Podjął współpracę z „Polską Zbrojną” i „Gazetą Polską”, ale nie trwało to zbyt długo. Następnie związał się z „Kurierem Porannym”, co jednak trudno uznać za systematyczną pracę. Pisał, gdy miał na to ochotę, bo stabilna sytuacja finansowa nie zmuszała go do regularnych publikacji. W związku z brakiem stałych zobowiązań zawodowych mógł jeździć po kraju, a na początku 1938 roku odbył dłuższą podróż do Włoch. Po latach twierdził, że pojechał tam, aby zobaczyć faszyzm na własne oczy, a eskapada ta miała wywrzeć wpływ na całe jego życie.

Początkowo w Rzymie zachowywał się podobnie jak kilka lat wcześniej w Paryżu – niespecjalnie interesowały go zabytki i tylko Forum Romanum wzbudziło jego zaciekawienie. Wygrzewał się w słońcu, spacerował nad morzem i czuł, że odpoczywa po stresie związanym z wydaniem *Ferdydurke*.

„[...] więcej włóczyłem się, pozerając rozmaite ślimaki i zapijając to Chianti, niż wypełniałem obowiązki turysty w muzeach i kościołach. Opanowało mnie to wałęsanie [...], niczego nie projektowałem, nawet bawić się nie miałem ochoty. W tym czasie jury »Wiadomości

Literackich« dyskutowało nad przyznaniem nagrody za najlepszą książkę 1937 roku i ja już z góry trwonilem tych kilka tysięcy – lekkomyślnie, jak się potem okazało, bo nagrodę dano Boyowi za *Marysienkę*. Ale niewiele mnie to obeszło, wiedziałem, że z nagrodą czy bez wszedłem już do literatury polskiej na stałe. Wypoczywałem»[52].

Atmosferę leniwego spokoju zakłócała jednak rzeczywistość rzymskiej ulicy. Działalność ekipy Mussoliniego była widoczna na każdym kroku, prasa wychwalała sojusz z Hitlerem, w mieście organizowano przemarsze zwolenników Duce, w lokalach chóralnie śpiewano faszystowskie piosenki.

Zdegustowany Gombrowicz uznał atmosferę ówczesnego Rzymu za „coś mętneho, a potwornego, zmorę niczym ze snu”. Z bliska zobaczył, jak wygląda zwykły dzień faszyzmu i to mu wystarczyło. Ostatni tydzień zamierzał spędzić w Wenecji, a w drodze do niej poznał kilku młodych włoskich lotników, z którymi umówił się na spotkanie na placu św. Marka.

„Ten »salon Europy« – wspominał po latach – świecił pustkami, nie wiem, czy dlatego, że sezon się jeszcze nie zaczął, czy też że zalaływało prochem z powodu Austrii. Melancholią i opuszczeniem ziały gołębie i lazury nieba i ziemi.

– No dobrze, a gdyby tak Duce kazał wam zbombardować to wszystko? – ruchem ręki objąłem kościół, pałac, Prokuratorię...

– Wówczas nie pozostałby z tego kamień na kamieniu – odpowiedział kiepską francuszczyzną najstarszy z nich, może 25 lat liczący. Mnie ta odpowiedź nie zdziwiła. Tego należało oczekiwać. Ale zdziwiła mnie jego radość, oczy mu błyszczały, obwieścił mi to prawie tryumfalnie – i na twarzach jego kolegów, gdy się dowiedzieli, o co chodzi, też wyczytałem nietajoną satysfakcję. Co ich tak zachwycało? Czyż nie to, że czuli się twórcami historii? Przeszłość stała się mniej ważna niż przyszłość, mogli burzyć»[53].

W drodze powrotnej do Polski zetknął się z czymś znacznie groźniejszym niż włoski faszyzm. Gdy pociąg dotarł do Wiednia, okazało się, że w mieście dzieje się coś niezwykłego.

„Naokoło, w przedziale, na korytarzu, wszyscy się bali. Twarze były naprężone, wymieniano jakieś uwagi, coś komentowano... Co? Było widoczne, że coś się stało. Ale nie chciałem pytać.

Gdy wjechaliśmy na przedmieścia wiedeńskie, ujrzałem gromady ludzi z pochodniami, wiwatujących. Krzyki »Heil Hitler« dochodziły do naszych uszu. Miasto szalało.

Zrozumiałem: to był *Anschluss*. Hitler wkraczał do Wiednia»[54].

Wrażenia z Austrii i Włoch miały mieć decydujący wpływ na późniejsze życie Gombrowicza. Przez następne miesiące z niepokojem obserwował pogarszającą się sytuację międzynarodową: konferencję w Monachium, przyłączenie Czech do Rzeszy, aneksję Kłajpedy. Następnie przyszedł czas eskalacji niemieckich żądań wobec Polski i słynnej sejmowej mowy Józefa Becka. Chcąc odpocząć od polityki, zdecydował się popłynąć do Buenos Aires na pokładzie transatlantyku m/s Chrobry. Był to dziewiczy rejs tej jednostki, a Gombrowicz wszedł na jej pokład jako jeden z reporterów. Pobyt w Buenos Aires miał trwać dwa tygodnie.

Chrobry zawinął do argentyńskiego portu przed południem 20 sierpnia 1939 roku. Trzy dni później świat obiegnęła informacja o podpisaniu w Moskwie niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji. Atmosfera stała się nerwowa, tym bardziej że dowódca transatlantyku otrzymał polecenie natychmiastowego powrotu do kraju. Gombrowicz wahał się, czy pozostać w Buenos Aires i przeczekać nadciągającą wojnę, czy też płynąć do Polski.

„Odprowadziłem go do portu – wspominał Jeremi Stempowski, przedstawiciel linii okrętowej będącej właścicielem transatlantyku. – Oddał rzeczy tragarzowi, pożegnał mnie i wszedł na statek. W dziesięć minut później rozległ się dźwięk pożegnalnej syreny, a ja zobaczyłem Witolda; z dwiema walizkami w ręku zbiegł po trapie na molo. Była to ostatnia

chwila do powzięcia decyzji i skorzystał z niej. Drżał i powtarzał: »Nie mogę«. Potem dodał, że była to najtragicznieszka chwila w jego życiu»[55].

Decyzja ta zaważyła na jego przyszłości. Pozostając w Argentynie, określił swój los i nigdy już nie zobaczył ojczystego kraju i większości rodziny. Na zawsze miał pozostać emigrantem.

Argentyńska bieda

Witold miał z sobą 160 dolarów (o wartości nabywczej nieco ponad 2600 dolarów dzisiejszych), co było niedużą sumą, by rozpocząć nowe życie w obcym kraju. Nie znał praktycznie nikogo i nie władał językiem hiszpańskim. W pierwszych dniach wielką pomoc okazał mu Stempowski, który zawiózł go do małego pensjonatu w centrum Buenos Aires, wprowadził do środowiska miejscowej Polonii i namówił do wystąpienia o niewielką zapomogę w polskim poselstwie.

Niebawem Gombrowicz poznał zamożnego pisarza i historyka Arturo Capdevilę. Został przez niego zaproszony do wygłaszania pogadanek o kulturze europejskiej dla jego córki Chinchiny oraz jej przyjaciółek. W rzeczywistości wykłady te były formą pomocy finansowej dla biedującego pisarza.

„Jego ukochanym tematem był »styl argentyńskiej kobiety« – wspominała Chinchina. – Twierdził, że Argentyнки muszą wyrobić sobie własny styl, tak jak go sobie wyrobiły Europejki. Porównywał sposoby bycia Angielek, Francuzek itd. ze sposobem bycia Argentynek. Cała zabawa trwała miesiąc, spotykaliśmy się raz w tygodniu. Mojego ojca bawiły te zebrania i żałował, że nadmiar pracy nie pozwala mu w nich brać udziału»[56].

Arturo próbował wprowadzić Gombrowicza do miejscowych elit intelektualnych, jednak poważną przeszkodę stanowiła bariera językowa. Kłopotów przysparzał również charakter Witolda, który pomimo fatalnej sytuacji finansowej nie potrafił zmusić się do kompromisów. Szczególnie wtedy, gdy chodziło o przedstawicieli miejscowego establishmentu.

„Zatrzymajmy się nad przykładem Eduarda Mallei, który był redaktorem naczelnym »La Nación« – opowiadał krytyk i dziennikarz Roger Pia. – Był on autorytetem, nie tyle jaką postacią, arystokratą mieszkającym w Barrio Ocampo (najelegantsza dzielnica Buenos Aires), [...] człowiekiem poważnym, ale mimo to dostępnym, liberałem, *caballero*. To on poparł wydrukowanie artykułów Gombrowicza w »La Nación«. Był szczodry i umiał popierać młode talenty. Ale trzeba było w jakiś sposób się do niego dostosować. Gombrowicz nie był do tego zdolny i natychmiast zatrząskiwał drzwi, które ludzie »znaczący«, jak Mallea przed nim otwierali. To samo zdarzyło mu się z pisarzami krążącymi wokół miesięcznika »Sur«. [...] W żaden sposób nie zgadzał się na hipokryzję, na pochlebstwo, [...] jego szczerść bywała niemal prowokacyjna»[57].

Zachowanie Gombrowicza wydaje się tym bardziej dziwne, że pierwsze miesiące w Argentynie okazały się dla niego szczególnie trudne. Podczas spaceru poznał jakiegoś kolejarza, który miał go uczyć hiszpańskiego, a skończyło się na tym, że osobnik ten okradł go ze złotego zegarka, pióra, koszuli i garnituru. Wprawdzie Gombrowicz tłumaczył, że stało się to podczas wspólnego spożywania wina, ale okoliczności kradzieży wydają się dość podejrzane. Czyżby Witold upił się do tego stopnia, że stracił przytomność? A może został odurzony? Czy tej sprawie nie towarzyszyły inne, bardziej intymne okoliczności, skoro poznał kolejarza na ławce na placu Constitution – w zwyczajowym miejscu spotkań homoseksualistów?

Pomimo złej sytuacji materialnej Gombrowicz pozostawał sobą i nie potrafił schlebiać możnym tego świata. Zmieniał pensjonaty na coraz gorsze, a z powodu długów został

poturbowany przez właściciela jednego z nich. Pół roku spał na podłodze w domu znajomego i przez cały ten czas nie dojadł, a mimo to nie zamierzał płaszczyć się przed Argentyńczykami. Jednak w towarzystwie polskich przyjaciół czasami przyznawał się do swojej biedy.

„Kiedyś wieczorem zjawia się u mnie pan Witold – wspominała Halina Nowińska. – Jest blady, zielonkawy, ma zapadnięte policzki, kaszle, ciężko osuwa się na krzesło i prosi: »Niech pani mi da coś do zjedzenia, już drugi dzień nie jem«. Usmażyłam mu naprędce kawałek mięsa, z przejęcia nie osoliłam, ale dopiero przy ostatnich kęsach zauważył to. Wyciągnęłam wtedy od niego, że przyjechał do mnie z Morón tramwajem (to była wtedy najdłuższa linia tramwajowa, Morón to chyba ze 30 kilometrów od centrum miasta), bo na kolej nie miał pieniędzy”[58].

Jedną z znajomych Gombrowicza, uważając, że jest on lekkomyślny i przepuszcza otrzymywane od przyjaciół pieniądze, opłacała w pensjonacie poranne pieczywo i mleko dla niego, inni przekazywali mu używaną odzież i stare, niepotrzebne już sprzęty. Pewnego razu dostał od emerytowanego polskiego bankiera trochę eleganckich ubrań. Wśród nich był znakomitej jakości garnitur, który pisarz nosił z niechęcią, bo miał on zbyt wieczorowy, wizytowy charakter. Garnitur ten bardzo spodobał się szachowemu partnerowi Witolda z klubu Rex, Armandowi Vileli.

„[...] Gombrowicz dostał w prezencie elegancki, ciemny, dwurzędowy garnitur – opowiadał Vilela. – Ja miałem ubranie koloru beżowego. Spotkawszy Gombrowicza w »Rexie«, powiedziałem: »Ale piękny garnitur«, na co Gombrowicz: »Twój jest o wiele ładniejszy«. »Chcesz się zamienić?«, zaproponowałem. Byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu. Zeszliśmy do kawiarni i tam w toalecie zamieniliśmy się ubraniami. Gombrowicz wyszedł cały w beżach, ja zaś wystąpiłem na ciemno. Był zachwycony. Długie lata nosiłem ten garnitur. Nawet brałem w nim ślub. Jeżeli nie pochodził od jakiegoś ambasadora, to w każdym razie od jego sekretarza”[59].

Rex

Lektura *Kronosa* nie pozostawia wątpliwości – od pierwszych dni pobytu w Buenos Aires Gombrowicz odwiedzał miejsca, gdzie spotykali się homoseksualiści. W jego intymnym dzienniku nie brakuje też wzmianek o argentyńskich kobietach, przy czym nie są one zbyt pochlebne dla tamtejszych przedstawicielek płci pięknej. Już kilkanaście dni po przybyciu do Buenos Aires pisarz stwierdził, że „kobiety argentyńskie bardzo mu się nie podobają”[60], zdarzyło mu się jednak spędzić noc z jakąś tancerką, służącą, a także z „włochatą baletnicą”.

Prowadził tak intensywne życie seksualne, że w końcu zapadł na syfilis. Na kartach intymnego dziennika można znaleźć informacje o seriach zastrzyków, a także nazwę kliniki, w której leczył schorzenia weneryczne. Z powodu swojej aktywności erotycznej miał również problemy z policją. Co prawda w Argentynie pederastia nie była zakazana, ale skandale obyczajowe mogły utrudnić Gombrowiczowi otrzymanie prawa stałego pobytu. Wiadomo, że dwukrotnie trafił na komisariat i że z powodu homoseksualizmu był też szantażowany. Ograniczył wówczas swoją aktywność erotyczną. Gdy jednak dostał kartę stałego pobytu, wszystko wróciło do normy.

Pisarz mógł żyć bez pieniędzy, ale nie wyobrażał sobie życia bez kawiarnianych spotkań i dyskusji. Początkowo bywał w kawiarni Miraflores, a następnie przeniósł się do Rixa, w którym właśnie zorganizowano salę szachową.

Witold zawsze uwielbiał szachy, chociaż nigdy nie starczyło mu cierpliwości, aby zgłębić literaturę na ten temat. Rozgrywkę traktował jak spotkanie towarzyskie, twierdził, że gra pozwala mu zapomnieć o wojnie, a poza tym jest znakomitym treningiem dla umysłu. Przy okazji

szlifował swój hiszpański, co miało ogromne znaczenie.

„Gombrowicz nie był graczem zawodowym – opowiadał jego znajomy Paulino Frydman – był amatorem na dobrym poziomie. Miał bardzo osobisty, trochę fantastyczny sposób gry, nie dość dobrze znał teorię i zawsze usiłował atakować. Poza tym kierował się stanem psychicznym przeciwnika. Miał rozmaite manie, które jego partnerów całkowicie wyprowadzały z równowagi, na przykład brał pionek między drugi i trzeci palec i długo poruszał nim w miejscu”[61].

Frydman zawsze wypowiadał się o Gombrowiczu w samych superlatywach. Twierdził, że pisarz zawsze był schludnie i czysto ubrany, dokładnie ogolony i uczesany. Nie przypominał przedstawiciela cyganerii artystycznej – z natury metodyczny i skrupulatny nic nie pozostawiał przypadkowi. Nie skarżył się na nędzę, twierdził, że lubi Buenos Aires, gdyż życie w tym mieście było „pełne małych przyjemności”. Preferował niższe klasy społeczne i „miał mądrość zadowalania się niewielkim”.

„Był to człowiek, który nigdy niczego nie zapomniał, ani nigdy nie zaniedbał najdrobniejszego szczegółu. Swą konsekrację literacką zawdzięczał wyłącznie sobie samemu. Zawsze, nawet w najgorszych momentach i wśród wszelkich przeciwności, widziałem go zdecydowanego, by nie zejść z drogi, którą sobie wyznaczył. Jego powołanie artystyczne było jedynym motorem jego życia i pozostał mu wierny bez najmniejszej chwili słabości aż do końca. Twierdzą, że Gombrowicz był najpoważniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu”[62].

W 1941 roku do stolicy Argentyny przyjechał kuzyn Witolda, Gustaw Kotkowski. Od początku wojny przebywał w Nowym Jorku, a do odwiedzenia Buenos Aires skłonił go list od Gombrowicza, który informował, że prowadzi „pasjonujące życie, mieszka u księżniczki we wspaniałej willi”. Na miejscu informacje okazały się nieco przesadzone, ale Kotkowski pozostał w Argentynie. Gombrowicz wprowadził go w swoje towarzystwo, obaj byli stałymi bywalcami Rexa.

„[...] w Buenos Aires szachy stały się jego prawdziwą pasją – wspominał Kotkowski. – Wy tłumaczył mi, że to dla niego jedyny sposób na uspokojenie nerwów i ukojenie obaw. W Rexie spotykało się postacie barwne i bardzo zabawne, w tym także Polaków, którzy udzielali mu gościny lub wspierali finansowo, a należał do nich głównie dyrektor Paulino Frydman. Pamiętam między innymi Ludwika Fürstemberga, bogatego przemysłowca, niegdyś związanego interesami z ojcem Witolda. Jeremi Stempowski wstawił się u niego, by ten wspomagał Witolda finansowo. Fürstemberg »pożyczał« mu pieniądze, nie mając żadnych wątpliwości, że to darowizna. Fürstemborgowie byli ludźmi kulturalnymi i Witold bywał u nich przez pewien czas. Inny bogaty przemysłowiec, pan Szapiro, też mu trochę pomógł. Zaproponował, aby Witold przetłumaczył jakąś książkę, ale to był tylko pretekst. Oczywiście Witold nic nie przetłumaczył. Kłócił się ze wszystkimi swoimi bogatymi protektorami, bo nie chciał być zależny. Nie potrafił ich zdobywać dla siebie ani czynić w ich stronę ustępstw”[63].

W Rexie nawiązywał też ważne znajomości literackie. Brat Armanda Vileli (tego od garnituru), Ricardo, poprawiał hiszpańskojęzyczne teksty Gombrowicza, które pisarz drukował na łamach miejscowych gazet. Wprawdzie „nędznie mu za nie płacono”, ale dla Gombrowicza każda kwota miała znaczenie. Szczególnie, gdy były to pieniądze zarobione pisaniem, co świadczyło, że powoli przystosowuje się do tutejszego środowiska.

Witold publikował pod pseudonimem, były to artykuły i opowiadania o zupełnie odmiennym charakterze niż dotychczasowa twórczość, ale uważano je za „wcale niezłe”. Przy okazji znakomicie dbał o reklamę wśród literatów odwiedzających Rexa. Opowiadał nieprawdopodobne historie o swojej przeszłości i podróży do Buenos Aires, dawał do zrozumienia, że jest literackim geniuszem, któremu tylko brak przekładu *Ferdynurke* na hiszpański uniemożliwia zaprezentowanie swojego talentu. Do tego dochodziły jeszcze

specyficzny sposób bycia, intelekt i poczucie humoru, co niebawem miało przynieść wymierne efekty.

Właściwy czas nadszedł w kwietniu 1944 roku, gdy na łamach „Papeles de Buenos Aires” ukazało się tłumaczenie fragmentu *Ferdydurke – Filidor dzieckiem podszyty*. Publikacja okazała się prawdziwą sensacją, a Gombrowicz mógł wreszcie udowodnić swoim argentyńskim przyjaciółom skalę swojego talentu.

„Gdy w lutym 1946 roku przyjechałem do Buenos Aires – opowiadał kubański poeta i prozaik Virgilio Piñera – argentyński pisarz Adolfo de Obieta powiedział: »*Che*, musi pan koniecznie poznać Gombrowicza...«. Podczas gdy to mówił, na jego twarzy pojawił się odcień ironii, za którym zwykle wstydliwie skrywał swój szczerzy i otwarty podziw. »Podaje się za hrabiego, twierdzi, że ma prawo do tronu hiszpańskiego, bo jego babka była ponoć grandezzą Hiszpanii, uważa się za mistrza szachowego i co wieczór bywa przy szachowych stolikach kawiarni Rex. Nie ulega wątpliwości, że jest na ustach całego literackiego Buenos Aires, jedni go chwala, inni ubliżają»[64].

Gombrowicz kokietował swoich przyjaciół z Rexa na wszelkie możliwe sposoby, opowiadał, że głównym powodem jego pozostania w Argentynie była chęć literackich „studiów nad duszą Latynosa”. W rzeczywistości widział w miejscowym gronie artystów szansę na propagowanie swojej twórczości, w tych kręgach czuł się podobnie jak przed wojną w warszawskim Zodiaku czy Ziemiańskiej. Rex stał się jego naturalnym środowiskiem, co niebawem miało zaprocentować.

Tłumaczenie, jakiego dotąd świat nie widział

Nigdy jednak nie zmienił swojego zachowania wobec ludzi, których uważał za głupców. Nie znosił zarozumiałych pseudointelektualistów, a rozmowy z nimi traktował jako stratę czasu. Nie miały przy tym znaczenia ich pozycja społeczna ani sytuacja towarzyska – w takich chwilach Gombrowicz zawsze pozostawał sobą.

„Raz tylko u nas widziałam go poirytowanego – wspominała Halina Nowińska – kiedy jedna niemiła pani zaczęła go pouczać, jak należy pisać, i skarżyła się, że ona nie rozumie jego dzieł. – »Ja byłbym niepokieszony, gdyby pani je rozumiała, ja się cieszę, że one nie dla pani«. Po odejściu tych gości prosił mnie, by go więcej razem z tą panią nie zapraszać»[65].

Na ogół nie przepadał za ludźmi zamożnymi i ustosunkowanymi, ale uczynił jeden ważny wyjątek. W 1945 roku poznał Cecylię Benedit de Debenedetti, do której od razu poczuł sympatię. Ale nawet ta znajomość odbywała się na zasadach, które ustalił pisarz, a jego nowa przyjaciółka musiała je zaakceptować.

„Nie byliśmy specjalnie blisko – potwierdzała Cecylia – on na to nie pozwalał, zawsze zamknięty w swoim własnym świecie. Jego nader żywotna inteligencja była niebywała, bez niej nie zniósłby tego wszystkiego, co przeszedł. Z każdej rzeczy, która się ofiarowywała, brał tę troszkę właśnie, której potrzebował. Należałam do owej »troszki«. Ale szanowaliśmy to – miałam dla niego wiele szacunku, wielki respekt. Podziwiałam go»[66].

Cecylia prowadziła wydawnictwo muzyczne promujące dzieła nieznanych, awangardowych twórców. Wspomagała swoich podopiecznych finansowo, znana też była z przyjęć dla cyganerii artystycznej Buenos Aires. Wysoko ceniła Gombrowicza i szybko stała się jego wielbicielką i protektorką.

„Cecylia żyła w jakimś zamroczeniu – wspominał pisarz – zdumiona, przerażona, odurzona życiem, osaczona ze wszystkich stron, budząca się ze snu, aby przetoczyć się w inny sen i bardziej fantastyczny, walcząca po chaplinowsku z materią istnienia... ona niezdolna była

wytrzymać tego, że istnieje... zresztą kobieta świętych przymiotów, cnót wybitnych, o szlachetnej i arystokratycznej duszy”[67].

Sukces *Filidora* sprawił, że Gombrowicz zaczął na poważnie rozważać przekład *Ferdydurke* na hiszpański. Potrzebna mu jednak była pomoc przyjaciół z Rexa, bo zdawał sobie sprawę, że jego znajomość miejscowego języka uniemożliwia mu samodzielną pracę. W rezultacie zwrócił się o pomoc finansową do Cecylii.

„[...] w drugiej połowie 1946 roku – opisywał Gombrowicz – [...] znalazłem się po raz nie wiem który z wypróżnioną zupełnie kieszenią i nie wiedząc, skąd złapać nieco grosza, wpadłem na następujący pomysł: poprosiłem Cecylię Debenedetti, aby sfinansowała przekład *Ferdydurke* na hiszpański i zastrzegłem sobie sześć miesięcy na wykonanie zadania. Cecylia zgodziła się chętnie”[68].

Gombrowicz wiedział, że przyjaciele go nie zawiodą. Nie musiał nawet specjalnie zabiegać o ich pomoc, bo wystarczyło, że pojawił się z polskim tekstem w kawiarni, a wokół niego szybko zgromadziła się grupa pomocników. Chętnych nie brakowało, a szczególnie zasłużyli się dwaj kubańscy literaci przebywający w Buenos Aires: Virgilio Piñera i Humberto Rodriguez Tomeau oraz argentyński poeta, Adolfo de Obieta.

Towarzystwo spotykało się codziennie i trzeba przyznać, że czegoś podobnego historia literatury jeszcze nie notowała.

„Tłumaczenie *Ferdydurke* było czymś niesłychanie zabawnym – wspominał de Obieta – współpraca Polaka, który zaledwie znał hiszpański, z garstką południowych Amerykanów rozumiejących sens najwyżej paru polskich słów. Rzecz odbywała się przy kawiarnianych stolikach, w atmosferze często godnej absurdu *Ferdydurke*. Od czasu do czasu Gombrowicza ogarniała specjalna czułość dla jakiegoś hiszpańskiego wyrazu, którego sens właściwie nie był dla niego do końca jasny, i narzucał go tłumaczom, bowiem jego dźwięk lub aspekt wydawał mu się obiecujący”[69].

Przy okazji pisarz prowadził z przyjaciółmi własną grę. Przekład przekładem, ale Gombrowicz nie potrafił sobie wyobrazić pracy bez codziennych utarczek słownych i solidnej porcji humoru. Szczególny charakter miały jego relacje z Piñerą.

„W zasadzie każdy płacił za siebie – opowiadał Tomeau. – Ale pomiędzy Piñerą i Gombrowiczem toczyła się walka o to, żeby nie zapłacić. Jeżeli pojawiała się kawa, Witold nalegał, by mu ją podać. Virgilio bronił się: »Ja płaciłem wczoraj!«. Ustępowaliśmy, bo w sumie mieliśmy więcej pieniędzy niż on. Była to zabawa czysto psychologiczna, szło o zatriumfowanie nad Piñerą. Rywalizowali na każdym polu. Rzecz jasna szło o głębszą rywalizację, o rywalizację osobowości. Piñera znał swą własną wartość intelektualną. W tym sensie był pewien siebie. Gombrowicz również. Byłem zawsze obiektem tej rywalizacji. Każdy z nich chciał mnie przeciągnąć na swoją stronę. Miało to być dowodem, kto ma na mnie większy wpływ. Byłem od nich młodszy”[70].

Z czasem zrezygnowano jednak ze spotkań w Rexie, tłumaczenie *Ferdydurke* było zbyt skomplikowanym zajęciem, aby zajmować się nim wśród hałasu kawiarni. Spotkania przeniesiono do mieszkania Kubańczyków, tam też przychodził Gombrowicz i reszta ekipy. Trzeba przyznać, że zadanie, jakiego podjęła się grupa przyjaciół, było wyjątkowo trudne. Powieść zawierała ogromną liczbę neologizmów, które należało oddać po hiszpańsku. Dodatkowo dochodziły jeszcze różnice językowe pomiędzy Kubańczykami i Argentyńczykami.

„Witold zjawiał się punktualnie o piątej i przynosił nam swój tekst – kontynuował Tomeau. – Był to szkic tłumaczenia na pseudohiszpański. Z czasem nauczył się dobrze po hiszpańsku, ale zachował silny akcent. Dyskutowaliśmy każde zdanie pod wieloma aspektami: zestawu słów, euforii, kadencji i rytmu. Obserwacje Witolda były zawsze słuszne.

Polsko-hispański słownik nie istniał. Należało więc nie tylko tłumaczyć, ale wymyślać nowe słowa mogące być ekwiwalentami słów polskich. Pamiętam, jak kiedyś trzy godziny dyskutowaliśmy wyrażenie *matungos de tiro* (stare jędze). Dyskusja była burzliwa. Piñera miał bardzo stanowczy charakter, Witold chciał mu narzucić swój punkt widzenia, ten się opierał. Ale Piñera wiernie ciągnął tłumaczenie mimo sporów, które nieraz trwały i dziesięć dni. Piñera rzeczywiście wierzył w *Ferdydurke*”[71].

Gombrowicz wiedział, że jeżeli powieść ukaże się w Argentynie, to jego pozycja literacka automatycznie wzrośnie. Nie liczył na sukces finansowy, znał jednak wartość *Ferdydurke*, pamiętał też, że język hiszpański jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych na świecie. Wydanie książki w Buenos Aires oznaczało, że będzie ona dostępna dla czytelników niemal w całej Ameryce Łacińskiej.

Gdy przekład został zakończony, rozpoczęły się poszukiwania wydawcy. Ponownie bardzo przydatni okazali się argentyńscy i kubańscy przyjaciele, którzy wędrowali po wydawnictwach, oferując im książkę Polaka. Bez skutku – powieść nie rokowała nadziei na sukces komercyjny, a do tego Gombrowicz był kompletnie nieznany w Paryżu i Londynie.

Powiodło się wreszcie w nowo założonym wydawnictwie Argos, w którym powieść ukazała się w 1947 roku. Autor zadedykował argentyńskie wydanie Cecylii Bénédict.

Książka sprzedawała się słabo, została jednak dostrzeżona przez krytykę. Opinie były zróżnicowane, część recenzentów uznała Gombrowicza za objawienie, inni zaś za literackiego hochsztaplera. Dużo negatywnych uwag zebrali tłumacze, którym zarzucano błędy gramatyczne i brak konsekwencji. Książka „zdobywała natomiast wielu zwolenników wśród młodych”, co Gombrowicza całkowicie satysfakcjonowało.

„Cieszy nas dziś bardzo – pisał Piñera kilkanaście lat później – że w tym odległym roku 1946 przeżyaliśmy *Ferdydurke* jako książkę niezwykłą. Cieszymy się zwłaszcza dlatego, że nasze bezwarunkowe poparcie dla Gombrowicza nie było wynikiem »nakazu« rodem z Paryża czy Londynu. W tym sensie Gombrowicz miał szczęście [...] że spotkał młodych pisarzy, którzy walczyli, aby wyzwolić się spod kurateli Paryża czy Londynu, i wszyscy, zarówno autor, jak i jego współpracownicy, cieszymy się, że na trwałe ogarnął nas młody duch ferdydurkizmu”[72].

Mężczyzna, z którym dzielił życie

W grudniu 1947 roku Gombrowicz rozpoczął pracę w Banco Polaco, filii banku Polska Kasa Opieki SA. Ofertę pracy złożyła mu żona dyrektora, Halina Nowińska, a posada ta była zawołowaną formą pomocy dla pisarza. Na wstępie dyrektor dość jasno określił jego „obowiązki służbowe”:

„Panie Witoldzie [...], nie musi pan w biurze nic robić, zresztą nie jestem pewien, czy pan coś z bankowości umie. Musi pan jednak urzędować, przynajmniej przychodzić do biura, tego wymaga regulamin Banku”[73].

Pisarz objął stanowisko drugiego sekretarza dyrekcji, a do jego obowiązków należało przygotowywanie sprawozdań i redagowanie bankowego biuletynu. Tymczasem on zajmował się głównie pisaniem własnych utworów albo publicznym demonstrowaniem niechęci do pracy biurowej.

„Przychodził do biura – wspominał jeden z jego współpracowników – ale urzędowanie przekraczało jego wytrzymałość nerwową. Kładł się na biurku i nieruchomo wpatrywał w sufit albo – co gorsza – wykrzykiwał, że woli już obóz koncentracyjny aniżeli pracę urzędnika”[74].

Początkowo pracował w jednym pokoju z sekretarką Heleną Zawadzka, specjalizującą się w pisaniu na niego donosów do dyrekcji. Zawadzka pracowała w banku od kilkunastu lat i nie

potrafiła zrozumieć, że Gombrowicz funkcjonuje tam na specjalnych zasadach.

„Dziś znowu się spóźnił – donosiła – dziś niechlujnie ubrany, obrzydliwie je pomarańcze, pestki wypluwa do kosza, brak guzika u koszuli i najgorsze – dziś znowu zasnął”[75].

Pisarz zarabiał niewiele, był to jednak stały dochód, do którego doliczano jeszcze premie i inne świadczenia. Dyrekcja okazywała mu wyrozumiałość, ale taki pracownik jak on potrafił wyprowadzić z równowagi nawet najbardziej łagodnego szefa. Praca w banku rozpoczynała się o godzinie dziesiątej, a pisarz zjawiał się około południa. Ostatecznie zirytowany Nowiński kazał mu wpisywać na liście obecności godzinę przybycia do pracy.

Ciekawym dokumentem są notatki Kazimierza Rytla, męża Zawadzkiej. Pracował również w tym banku i obserwował codzienne zachowanie Gombrowicza:

„Środa 7 stycznia

Przychodzi do mnie, rozpiną sobie spodnie, pasek kładzie na biurku i w dalszym ciągu podjudza mnie, zrzucam jego pasek z biurka. Mówię mu, że to nie garderoba. Widzi moje oburzenie, wychodzi, mówiąc, że za dużo sobie pozwalam.

Środa, 14 stycznia

„WG. Mistrz dziś często przychodził i bredził. Cały dzień był chłopem (Jest prosty człowiek – prosty chłop ze wsi).

Środa, 15 kwietnia

Prawie cały dzień WG przesiaduje u mnie i robi miny w lustrze.

Poniedziałek, 5 października

Kłóci się na każdym kroku. Zachowuje się już nie tylko jak marny urzędnik, ale jak żak – wyrostek – słusznie pisze o sobie gówniarz – to najlepsze określenie”[76].

Praca w banku zbiegła się w czasie ze znacznym pogorszeniem stanu jego zdrowia. Gombrowicz cały czas miał problemy z astmą, którą zaostrzało nałogowe palenie papierosów. Wypalał trzy, cztery paczki dziennie, a opowiadano nawet, że nosił przy sobie tylko jedną zapalną, gdyż po zapaleniu pierwszego papierosa odpalał później jednego od drugiego. Do tego doszły jeszcze wywołane grzybicą egzemy na głowie, z którymi lekarze nie potrafili sobie poradzić. Uskarżał się również na problemy z przewodem pokarmowym, miał kłopoty z kręgosłupem i od czasu do czasu paraliżowały go też silne bóle w odcinku szyjnym.

W tym czasie był już związany ze studentem filozofii Alejandrem Rússovichem. Poznali się w kawiarni Fragata, gdy Rússovich siedział przy jednym stoliku z tłumaczami *Ferdydurke*. Pisarz zrobił na młodym Argentyńczyku ogromne wrażenie.

„[...] przysiadł się do nas – wspominał wiele lat później. – Przyglądałem mu się; nie wyglądał na biedaka. Jego ubiór nie pasował do jego wyglądu ani dystyngowanego stylu bycia. Nie wyglądał też na artystę, w każdym razie nie był podobny do intelektualistów, jakich zwykłem spotykać w Buenos Aires. Mówił o literaturze, życiu, ludziach z sarkazmem i ironią. [...] Obserwowałem go tak intensywnie, że się spostrzegł i spojrzął na mnie spod oka. Potem wstał, żeby udać się do Rexa. Wstałem i ja – chciałem pójść za nim. Inni zostali. Gombrowicz już był na trotuarze i jakby mnie nie zauważył, równocześnie jednak wydało mi się, że choć na mnie nie patrzy – czeka na mnie”[77].

Idąc w kierunku kawiarni, rozmawiali, a Rússovich nie ukrywał fascynacji swoim rozmówcą. Bezpośredni kontakt z Gombrowiczem był dla niego prawdziwym objawieniem. Witold doskonale to wyczuwał, toteż panowie ostatecznie nie dotarli do Rexa, tylko udali się do

pokoju Witolda w pensjonacie przy ulicy Venezuela.

„Szliliśmy w kierunku centrum – opowiadał Rússovich. – Jego sposób chodzenia sprawiał wrażenie siły i lekkości zarazem. Za pozorną sztywnością kryła się zaskakująca fizyczna giętkość. Nie zdziwiłem się, gdy dowiedziałem się później, że w młodości wiele grywał w tenisa. Zrobiło się późno. Ciągle szliśmy. Kiedy coś mówiłem, odpowiadał mi monosylabami lub wręcz milczał. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, rzucił: »Co robisz teraz? Idziesz gdzieś?«. Odpowiedziałem: »Mam tyle czasu, ile chcesz«. Wtedy zapytał: »Chcesz wstąpić do mnie?«. Poszliśmy razem w kierunku ulicy Venezuela”[78].

Russo – bo tak Gombrowicz go nazywał – szybko stał się nieodłącznym towarzyszem pisarza. Przetłumaczył na hiszpański dopiero co ukończony *Ślub*, zajmował się również poszukiwaniem wydawcy dla tego dramatu. Ostatecznie ukazał się on nakładem wydawnictwa Cecylii Bénédict, ale przeszedł zupełnie niezauważony. Alejandro uważał, że zostało to spowodowane brakiem doświadczenia wydawcy w promowaniu utworów literackich.

„Najgorszy był brak recenzji – narzekał Russo – nie ukazała się ani jedna. [...] Ani w »Sur«, ani w »La Nación« (gdzie Gombrowicz już pisywał). A przecież sam zaniósłem książkę do najważniejszych dzienników i czasopism literackich. Ktoś z przyjaciół obiecał osobiście dostarczyć egzemplarz jednemu ze współpracowników »Sur«. Żadnej reakcji. Oprócz mnie jedynymi »ferdydurkistami« zdolnymi naprawdę się zaangażować byli »Kubańczycy«, których niestety nie było w Buenos Aires. Inni albo dlatego, że nie mieli żadnego wpływu na argentyńskie życie literackie, albo z innych przyczyn nie mogli lub nie chcieli się zaangażować”[79].

Praca nad przekładem *Ślubu* na tyle zbliżyła obu panów, że Gombrowicz zaproponował Alejandrovi przeprowadzkę do swojego pensjonatu. Właśnie zwolnił się sąsiedni pokój i Witold nalegał, aby Russo go wynajął. Chłopak protestował, tłumaczył, że dobrze się czuje w swoim hoteliku, ale ostatecznie uległ. Po latach uznał to za jedną ze swoich najlepszych decyzji życiowych.

„Mogliśmy dyskutować do woli, chodzić na spacer, wymieniać książki, snuć wspólne plany. Moja potrzeba przyjaźni została wreszcie całkowicie zaspokojona. Podczas kilku pierwszych lat byłem z nim naprawdę szczęśliwy. On również był ze mną szczęśliwy, jestem tego pewien, choć rzecz jasna na swój hermetyczny sposób nigdy tego nie okazywał. Nie dziwiło mnie to; wiedziałem, że jest suchy i trudny w ujawnianiu uczuć”[80].

Alejandro pochodził z zamożnej rodziny posiadaczy ziemskich, nie chciał jednak korzystać z domowych pieniędzy. Studiował i pracował w ministerstwie obrony narodowej, ale nigdy nie wystarczało mu do końca miesiąca. Gombrowicz był od niego bardziej „metodyczny i zorganizowany” pod względem finansowym, bo lata ubóstwa nauczyły go oszczędności. Nie zawsze jednak potrafili obliczyć swój budżet i czasami przychodziły głodne dni.

„Wtedy szukaliśmy najrozmaitszych rozwiązań – przyznawał Russo. – Pamiętam, że w najgorszych chwilach zjadałem posiłek Fifi, pieska Frau Elsy [właścicielki pensjonatu – S.K.]. Przygotowywała mu zawsze coś dobrego i stawiała talerz na podłodze. Kiedy głodny wracałem do domu, szybko to zjadałem. Słyszałem potem, że pies szczeka, a Frau Elsa robi mu wymówki. Rzecz jasna nie zdarzało się to często. Byliśmy obaj naprawdę przywiązani do tego pieska, jego śmierć bardzo dotknęła Witolda”[81].

Obaj doszli do perfekcji w stołowaniu się na cudzy koszt. Wprasali się do przyjaciół, naciągali znajomych, zdobywali około dziesięciu zaproszeń miesięcznie. A w krytycznych chwilach stosowali metodę opracowaną przez Gombrowicza:

„[...] Witold żądał, byśmy oddzielnie chodzili po ulicy, na wypadek gdyby któryś natknął się na ewentualnego fundatora... »Może zapłacić za dwie osoby, ale nie za trzy« – rozumował. –

Tak, byliśmy w biedzie, ale nigdy z tego powodu smutni czy przygnębieni. Wymyślaliśmy rozmaite fortele, a wszystkie trudności znosiliśmy z humorem”[82].

Gombrowicz dominował nad młodym partnerem, ale Rússovich także wywierał na niego wpływ. Argentyńczyk oddał dużą przysługę polskiej literaturze, gdyż to właśnie on namówił Witolda do przeczytania *Dziennika* André Gide’a. Po tej lekturze pisarz zainteresował się tą formą literacką, choć – jak zwykle u niego – wszystko odbyło się w nietypowej kolejności. Zwykle swoje notatki publikowali ludzie powszechnie już znani, natomiast Gombrowicz zaczął prowadzić dziennik, zamierzając dzięki niemu stać się sławnym.

„Russo jest dla mnie wcieleniem argentyńskiej genialnej antygenialności – notował pisarz. – Podziwiam. Mechanizm mózgowy – bezbłędny. Inteligencja świetna. Chwytność i chłonność. Wyobraźnia, polot, poezja, humor. Odczucie świata swobodne, bez kompleksów”[83].

Znajomi Alejandra zarzucali mu, że zbyt ulega Gombrowiczowi, ale chłopak akceptował taki układ, wiedząc, że „jest to właściwie jedyny sposób na utrzymanie z nim stosunków”. Przyjmował partnera takim, jakim był, nie uważając jednak, że ich stosunek przypomina relację mistrza z uczniem. Mimo to świadomie naśladował Witolda, który był dla niego wzorem. Uważał to za naturalne, gdyż „przez naśladowanie człowiek łączy się z tym, kogo naśladuje, zaczyna go lepiej rozumieć”. Dla niego codzienny kontakt z Gombrowiczem był spełnieniem marzeń, aprobował więc jego najróżniejsze dziwactwa.

„To [była] jednak nietuzinkowa osobowość – wyjaśniał krytyk filmowy i muzyk Carlos Coldaroli – miał trudny charakter, często nieznośny i bardzo męczący. Miał zwyczaj systematycznie zaprzeczać wszystkim. »Co pan czyta? Szekspira? Przecież to starocie, ma ponad czterysta lat. Trzeba iść z biegiem czasu!«. Gdy czytało się współczesnego autora, Witold znów przystępował do ataku: »Cóż za strata czasu! Trzeba czytać Szekspira. Wszystko jest u Szekspira!«”[84].

Nigdy właściwie nie ustalono, co tak naprawdę łączyło Gombrowicza z Rússovichem. Przyjaźń, miłość czy był to może związek oparty wyłącznie na seksie? W intymnym dzienniku Witolda jego przyjaciel występuje stosunkowo rzadko, najczęściej jako towarzysz spotkań lub podróży. A obok można znaleźć informacje o przelotnych związkach z różnego rodzaju *chico* (chłopcami) czy *muchacho* (chłopakami), nie brakuje też wzmianek o młodych *puta* (dziwkach). Ale czy to wszystko jest prawdą? Czy w odniesieniu do Alejandra *Kronos* nie jest kolejną kreacją? W wywiadzie udzielonym dziesięć lat po śmierci Witolda Russo wyjaśniał:

„[...] nigdy nie określiliśmy naszej przyjaźni. Przed innymi ukrywaliśmy, że mieszkamy razem, by nie pomyśleli, że... W sumie jednak sami przed sobą kryliśmy rzeczywisty sens tej przyjaźni. Wiedzieliśmy, jak się to wszystko między nami zaczęło i jak zrezygnowaliśmy z pewnego rodzaju intymności [podkreślenie – S.K.], ażeby ta przyjaźń zdołała się utrzymać. Ale Witold nigdy nie chciał o tym mówić inaczej niż w *Dzienniku*, w dodatku nigdy mnie nie wymieniał. W jakiś sposób wiedziałem, że zwraca się do mnie i wychwytywałem pewne rzeczy wyjaśniające naszą wzajemną sytuację. Ale nigdy nie omówiliśmy szczerze tej sprawy. Stale odczuwałem brak tej jasności. Na przykład robiliśmy plany na przyszłość: wynająć lub kupić mieszkanie, zaciągając pożyczkę w banku, albo pojechać do Europy. Ale z tych projektów nigdy nic nie wychodziło. Rozłączyły się. Męczyła mnie ta ciągła frustracja na planie uczuciowym. Pragnąłem większej jasności i prawdy między nami”[85].

Alejandro miał do partnera pretensje, że ten wykluczył go z wszelkich kontaktów z Polakami. Ponadto Gombrowicz nie mówił o swoim życiu uczuciowym, podczas gdy on zwierzał mu się ze „swoich przygód z dziewczynami na uniwersytecie”. Pewne sprawy w życiu Witolda były ukryte „za żelazną kurtyną” i nikt nie miał do nich dostępu. Russo czasami starał

się naprowadzić przyjaciela na temat jego wizyt w okolicach dworca Retiro, ale on unikał odpowiedzi. Mimo to Alejandro „i tak wiedział o wszystkim”.

Dworzec Retiro znajdował się w pobliżu portu i uchodził za największy kompleks uciech erotycznych w argentyńskiej stolicy. To właśnie tam spotykali się homoseksualiści, a liczne burdele nigdy nie narzekały na brak klientów.

„Obok dworca kolejowego – opowiadał przyjaciel Witolda, Miguel Grinberg – [...] wzdłuż ulic Alem i Madero wznosiły się zakurzone konstrukcje Parque Retiro, podupadłego wesołego miasteczka, które oferowało wszystkie atrakcje, jakie spotykało się w takich miejscach: tunel strachu, tor szybkiej górskiej kolejki, salę krzywych luster. Moc niewinnych rozrywek dla niezliczonych istot pozostających na bakier z prawem: przemytników, złodziei, pijaków, kurew, męskich prostytutek, alfonsów, hazardzistów, włóczęgów, marynarzy uprawiających drobny handelek i innych gatunków fauny tego przemysłowego półświatka. Nie licząc miłośników sztuki i bon vivantów z zamożnych rodzin argentyńskiej stolicy”[86].

Relacja Rússovicha jest zbieżna z informacjami zawartym w *Kronosie* – można odnieść wrażenie, że partnerzy, mieszkając pod wspólnym dachem, zrezygnowali ze stosunków erotycznych. Jednak bez wątplenia początkowo istniała między nimi więź seksualna, a po latach Alejandro przyznał, że Gombrowicz „uwiódł go tak jak Sokrates, według relacji Platona, uwodził swoich uczniów”[87]. Zapewne stało się to już podczas ich pierwszego spotkania.

„Doszliśmy w naszej przyjaźni do punktu krytycznego – opowiadał Rússovich – i powinniśmy byli wszystko sobie wytłumaczyć. Zamiast tego Witold wsunął mi do pokoju list, ten był tak twardy, tak bolesny, że nie potrafię odtworzyć jego sformułowań, prawdopodobnie dlatego, że postanowiłem na zawsze wyrugować go z pamięci. Oznaczało to koniec naszej przyjaźni. Gombrowicz dokonał tego brutalnie i definitywnie. Była to reakcja na moje powolne odsuwanie się od niego, podyktowana uczuciem samotności i niewątpliwie dumy. Gdy zarzucał mi oddalanie się od niego, czułem, że jedyny prawdziwy zarzut, nie sformułowany, to ten, że go zdradziłem”[88].

Russo przestał chodzić do Rexa, a w jego życiu pojawiła się kobieta, pracownica agencji Cecylii Bénédict, Rosa Maria Brenca. Alejandro wyjaśnił jej charakter swoich związków z Gombrowiczem, co wcale dziewczyny nie odstraszyło. Zaakceptowała pisarza, czasami spotykali się w trójkę.

„Bardzo lubiłam Gombrowicza – przyznawała – i nie wiem, kim byłby Alejandro bez niego. Może by mnie tak nie pociągał. Dlatego pewnie nigdy nie miałam uczucia, żeby Gombrowicz nas dzielił albo żeby odgrywał negatywną rolę w naszych stosunkach. Z pewnością nie. Przyjaźń z Gombrowiczem była jedną z wartości Alejandra i lubiłam tę przyjaźń”[89].

W lipcu 1953 roku Russo wyprowadził się z pensjonatu Frau Elsy i poślubił swoją wybrankę. Nadal utrzymywał kontakt z Witoldem, zaprosił go nawet do rodzinnej posiadłości w Goya w prowincji Corrientes. Wizyta w majątku rodziców byłego partnera zrobiła na Gombrowiczu duże wrażenie, inaczej teraz patrzył na Rússovicha i lata z nim spędzone:

„[...] Nie bez ciekawości oglądałem i słuchałem w Goi, by uzupełnić moją znajomość z Alejandrem, i szybko odkryłem, że dość sprytnie ukrywał przede mną przynajmniej połowę swojego życia. Było oczywiste, że jego młodość [...] uformowała się w opozycji do tej egzystencji pozbawionej lub prawie całkiem pozbawionej czaru (w Argentynie poezja rodzi się prawie zawsze z protestu przeciw brakowi poezji), ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak dalece był uczuciowo z tym wszystkim związany. Nagle zobaczyłem go z ludźmi bliskimi jego dzieciństwu, z rodziną, przyjaciółmi, matką chrzestną...”[90].

Wydaje się, że to Gombrowicz bardziej odczuł skutki zerwania. Russo miał żonę i kochającą go rodzinę, a Witold pozostał samotny. Chociaż czasami spotykali się na stopie

towarzyskiej, musiał widzieć, że dawny kochanek „nie odczuwał potrzeby widywania go”. Rússovich potrafił wyprzeć z pamięci uczucia, pamiętając tylko, że przy Gombrowiczu nieprawdopodobnie rozwinął się intelektualnie. Był już zupełnie innym człowiekiem niż ten 21-letni, nieśmiały młodzieniec, który poznał Witolda przy stoliku kawiarni Fragata.

Alejandro Rússovich ukończył studia filozoficzne i medyczne. Poświęcił się pracy naukowej, został profesorem filozofii na uniwersytecie w Buenos Aires. W 1994 roku wydał książkę *Quién es Witold Gombrowicz? (Kim jest Witold Gombrowicz?)*. Zmarł w maju 2015 roku.

Powrót do literatury

Przekład *Ferdydurke* obudził w Witoldzie potrzebę pisania. Niebawem powstał *Ślub*, po czym Gombrowicz przystąpił do pracy nad *Trans-Atlantykiem*. Większą część tej powieści napisał przy swoim służbowym biurku w godzinach urzędowania w Banco Polaco. Ukończył ją w marcu 1950 roku, a rok później utwór zaczął się ukazywać w odcinkach na łamach paryskiej „Kultury”. Jednocześnie londyńskie „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego (konkurencyjne wobec „Kultury”) opublikowały opowiadanie *Szczur*.

Współpraca z Jerzym Giedroyciem ostatecznie pogrzebała nadzieje na publikowanie w kraju, ale Gombrowicz był zadowolony. Dobrze wiedział, że jego twórczość jest dla komunistów nie do zaakceptowania jako zbyt odległa od wymogów „najlepszego z ustrojów”, w związku z czym pozostawały mu tylko wydawnictwa emigracyjne. W styczniu 1953 roku nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu ukazało się książkowe wydanie *Trans-Atlantyku* (w jednym tomie ze *Ślubem*), „Kultura” rozpoczęła też publikację *Dziennika*. Na reakcję władz PRL pisarz nie musiał długo czekać, bo już w maju 1953 roku zaatakował go osobiście Józef Cyrankiewicz.

„Oto jeden z licznych przykładów upadku tej ekspozytury Polski wczorajszej – grzmiał wicepremier w jednym ze swoich przemówień – kompletnego rozkładu tych, którzy sami siebie nazywają dziś cynicznie »tymczasowymi Polakami« i wstydzą się swej polskości. Na łamach paryskiej »Kultury«, która stała się ośrodkiem renegackiej myśli kosmopolitycznej, czytaliśmy niedawno takie oto rozważania na temat wielkich geniuszów polskiej myśli narodowej: »Geniusze? Do cholery z tymi geniuszami... Cóż mnie obchodzi Mickiewicz«”[91].

Zgodnie z frazeologią epoki Gombrowiczowi zarzucono współpracę z niemieckimi odwetowcami i amerykańskimi imperialistami, a także zamiar niszczenia polskiej tradycji narodowej. Za koronny dowód uznano lżenie Mickiewicza i podnoszenie sprawy pochodzenia „niezupełnie rdzennego Kopernika” i „półfrancuskiego Szopena”. Gombrowicza zaliczono jednocześnie do przedstawicieli polskiej burżuazji i „epigonów szlachetczyzny”, ale w propagandzie PRL wszystko było możliwe.

Tymczasem Gombrowicz był przekonany, że jego twórczość wykracza poza ramy polskiej literatury. Jako jeden z nielicznych naszych pisarzy miał szansę na międzynarodową karierę, z tego też powodu zawsze zabiegał o przekłady swych dzieł. Powstanie wersji hiszpańskojęzycznych uważał za wielki sukces, jednak najwięcej do powiedzenia mieli krytycy i publiczność w Paryżu. *Ślub* został więc przełożony na francuski zaraz po ukończeniu, a jego fotokopię Witold posłał André Gide’owi i Albertowi Camusowi. W 1956 roku wraz z tłumaczem i dziennikarzem Rolandem Martinem stworzył francuski przekład *Ferdydurke*, który ukazał się w Paryżu dwa lata później.

Gombrowicz nabierał rozpędu – po *Trans-Atlantyku* napisał opowiadanie *Bankiet*, rozpoczął pracę nad *Kosmosem*, szkicował *Operetkę*. Publikował w prasie i przygotowywał

teksty dla Wolnej Europy, od której dostał stałe stypendium. Osiągał coraz większe dochody z pracy literackiej i zastanawiał się nad porzuceniem posady w banku, gdyż sytuacja w miejscu pracy znacznie się pogorszyła. Trwały spory własnościowe pomiędzy rządem PRL i władzami emigracyjnymi, podczas gdy rząd argentyński przygotowywał prywatyzację tej placówki. Pracownicy zostali poddani zwiększonym rygorom dyscyplinarnym, a Gombrowiczowi zabroniono pisać w czasie urzędowania. Oznaczało to stratę najlepszych godzin dnia, gdyż podczas pobytu w Argentynie zawsze pisał do piątej po południu.

Witold był również rozczarowany zarobkami, gdyż znacznie ograniczono świadczenia dla pracowników. Wprawdzie uczciwie przyznawał, że „nic nie robi w banku”, ale nie uważał, że był to wystarczający powód do pozbawiania go części dochodów. Decyzja o rezygnacji z pracy coraz bardziej dojrzewała i ostatecznie Gombrowicz opuścił bank w czerwcu 1955 roku. Pracował tam ponad siedem lat.

Początkowo prowadził nieźle płatne kursy filozofii dla miejscowej Polonii, później skoncentrował się na literaturze. Odbył serię podróży po Argentynie, podczas których zatrzymywał się u swoich znajomych. W czasie drugiego pobytu w Goya razem z Sergem Rússovichem (młodszy bratem Alejandra) przetłumaczył na hiszpański opowiadanie *Bankiet*.

Przed wszystkim jednak intensywnie pracował, poza regularnym prowadzeniem *Dziennika* (pierwsza część wyszła w wersji książkowej w Paryżu w 1957 roku) napisał *Pornografię* i rozpoczął *Operetkę*.

W marcu 1956 roku zmarł Bolesław Bierut, a w czerwcu doszło do krwawych starć w Poznaniu. W Polsce zachodziły zmiany polityczne, rozluźniono cenzurę. Po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę dopuszczono do pewnej liberalizacji w życiu kulturalnym kraju, dzięki czemu Państwowy Instytut Wydawniczy wydał *Ferdydurke* oraz *Iwonę, księżniczkę Burgunda*, a Czytelnik – *Trans-Atlantyk* i *Ślub*. *Iwona* była nawet wystawiana na krajowych scenach teatralnych, ale odwilż nie trwała zbyt długo i już w maju 1958 roku podjęto decyzję o zakazie publikacji utworów Gombrowicza. Od tej chwili aż do połowy lat 80. były one nad Wisłą zakazane, więc wielbicielom talentu ich autora pozostawały wydawnictwa emigracyjne, a w okresie późniejszym – oficyny drugiego obiegu.

Ostatni powiew młodości

„Jakież były możliwości porozumienia pomiędzy mną a tą Argentyną intelektualną, estetyzującą, filozofującą? – pytał Gombrowicz. – Mnie fascynował w tym kraju dół, a to była góra. Mnie urzekła ciemność Retiro, ich – światła Paryża. [...] Oni nie dostrzegali (w młodości) żadnego atutu i ta argentyńska elita przypominała raczej młodzież potulną i pilną, której ambicją było nauczyć się jak najprędzej od starszych starszości”[92].

Alejandro Rússovich był jedynym mężczyzną, z którym Gombrowicz dzielił życie w Argentynie, nie oznacza to jednak, że pisarz zrezygnował z przygód erotycznych. Podobno niejakiego Aldo darzył nawet uczuciem, ale był to wyjątek. Witold zdecydowanie wolał przelotne związki bez zobowiązań, dlatego też regularnie bywał na Retiro. W swoim oficjalnym *Dzienniku* przedstawiał te eskapady jako poszukiwanie młodości.

„Nie szukałem więc na Retiro przygód erotycznych, ale – oszołomiony, wytracony z siebie, wydziedziczony i wykolejony, trawiony pasjami ślepych, które rozniecił we mnie mój walący się świat i bankrutujący los – czegoż szukałem? Młodości. Mógłbym powiedzieć, że szukałem zarazem młodości własnej i cudzej. Cudzej – gdyż tamta młodość w marynarskim czy żołnierskim mundurze, młodość tych arcyzwykłych chłopców z Retiro, była mi niedostępna, tożsamość płci, brak pociągu seksualnego wykluczały wszelką możliwość zespolenia

i posiadania. Własnej – gdyż ona była jednocześnie moją, urzeczywistniała się w kimś jak ja, nie w kobiecie, ale w mężczyźnie, była to ta sama młodość, która mnie porzuciła, teraz kwitnąca w kimś innym. [...] A do tego – w dół, w dół, w dół! To ścigało mnie w dół, w najniższą sferę, w krainę poniżenia, tu młodość, raz już poniżona jako młodość, poddana była jeszcze wtórnemu poniżeniu jako młodość gminna, proletariacka...”[93].

Nie był do końca szczery, bo w rzeczywistości nadal interesowała go erotyczna strona życia. Wprawdzie ze względu na stan zdrowia znacznie ograniczył swoją aktywność seksualną, ale przecież jej nie porzucił. Nazywał to „uspokojeniem zmysłów”.

Zdrowie faktycznie szwankowało mu coraz bardziej – nasilały się problemy z astmą, miał kłopoty z zębami, prostatą i wątrobą. Cierpiał na różnego rodzaju przelotne infekcje, przeraziły go też słowa lekarzy, którzy podejrzewali u niego „zwyrodnienie nerwu usznego na tle syfilitycznym”.

We wrześniu 1957 roku zdecydował się wyjechać do Tandilu, miasta leżącego 300 kilometrów na południe od Buenos Aires, gdyż tamtejszy klimat był bardziej przyjazny dla jego płuc. Nie przypuszczał wtedy, że będzie tam powracał przez kilka lat z rządu, a jego pierwsza wizyta odmieni życie kilku młodych mieszkańców miasta.

„W początkach 1957 roku – opowiadał w rozmowie z Ritą Gombrowicz Jorge di Paola (»Dipi«) – mój przyjaciel Juan Carlos Ferreyra odkrył w bibliotece w Tandilu książkę o poźółkłych kartkach, która wywarła na nim głębokie wrażenie: *Ferdydurke*. Byłem drugim czytelnikiem! Jeszcze paru z naszego kółka przeczytało ją i wprowadziliśmy do naszych rozmów słowo »pupa«, »nowoczesna pensjonarka«, »dzieckiem podszyty«. Jeden z nas zawsze trzymał w ustach zieloną gałązkę, a gdy coś nam się nie podobało, chwytałyśmy się za lewe ucho. *Ferdydurke* weszła w nasze życie”[94].

Jorge di Paola należał do grupy miejscowych nastoletnich poetów. Gdy przeczytał *Ferdydurke*, miał 17 lat i nawet nie marzył, że kiedyś pozna autora tej powieści. Jednak kilka miesięcy później dowiedział się, że w jednej z kawiarni w Tandilu przesiaduje „przedziwny polski pisarz”, który chce poznać tutejszych młodych poetów. Udał się tam wraz z przyjaciółmi, co zadecydowało o jego losach.

„Wchodzimy – wspominał di Paola. – W kącie czujny, skupiony, napięty siedzi jakiś blondyn, krótko ostrzyżony, szczupły i zawzięcie pali fajkę. Podchodzimy. Po zwyczajowym powitaniu Magariños pyta z hiszpańską uprzejmością:

– Jaka jest pańska godność?

– Moje nazwisko jest za trudne dla miejscowych – słyszymy – jeśli macie pióro, napiszę je, litera po literze.

– Witold – napisał na serwetce.

– Gombrowicz – dopowiedziałem bez zdziwienia, jakby chodziło o najzwyczajsze rozpoznanie na świecie. [...]

– Pan mnie zna? – zapytał i przedziwnie zamachał rękoma jak ktoś, kto nagle się zakrztusił. Nie ulegało wątpliwości: człowiek ten nie był przyzwyczajony, by rozpoznawano w nim pisarza, człowiek ten żył w Argentynie samotnie.

– Autor *Ferdydurke* – wyjąkałem.

– Mój czytelnik na dzikiej pampie! – zawołał i uniósł obie ręce, w lewej trzymał fajkę.

Gestykulował pajacowato. Przyszedł mi na myśl Chaplin, był to jednak Chaplin odmienny. To znaczy jego mina, umyślnie patetyczna lub śmieszna, i jego gesty miały siłę wzruszania lub rozśmieszania jak u Chaplina. Choć nie był do niego podobny. Poddał mnie zaskakującemu przesłuchaniu na temat *Ferdydurke*, co bardziej przypominało farsę niż egzamin. Wyglądało na to, że udaje lub wciela się w nową rolę. Brwi stroszył jak stary profesor rzucający

niespodziewane pytanie, przeskakiwał gwałtownie od spraw ogólnych po jakiś błahy szczegół. Zbijał z tropu”[95].

Od tego dnia Gombrowicz regularnie spotykał się z młodymi poetami. Interesował się ich próbami literackimi i życiem prywatnym. Zachowywał się wobec nich jak starszy, bardziej doświadczony brat i kolega po piórze jednocześnie. Dla nastolatków z Tandilu było to niezapomniane przeżycie, polski pisarz traktował ich jak równych sobie.

„Gombrowicz jest pierwszą dorosłą osobą – mamy przeciętnie po 19 lat – która przysiadła się do nas i została – wspominał Jorge Rubén Vilela. – Są w mieście ludzie ważni i dojrzały, lekarze, dziennikarze i adwokaci [...], spotykamy się z nimi przelotnie na prelekcjach i przy wyjściu z kina w dniach premiery. [...] Stary to co innego; został z nami. Mijają dni, a on czynnie włączył się w życie stolika, nie wiem, jak to robi, faktem jest, że nas znosi... i my również jakoś z nim wytrzymujemy; myślę, że jesteśmy jednakowo okropni”[96].

Gombrowicz wcielił się w rolę preceptora tandilskich nastolatków. Lubił z nimi żartować i rozmawiać o codziennym życiu, ale też godzinami omawiał *Czarodziejską górę*. Tłumaczył swoją niechęć do twórczości Kafki i Borgesa, z tym ostatnim miał zresztą osobiste porachunki. Argentyński pisarz nazywał go „hrabią, pederastą i grafomanem”, natomiast Gombrowicz uważał go za „intelektualistę, artystę, międzynarodowo wyrafinowanego”, ale „Argentyńczyka po europejsku”. Witold przybliżał młodzieży swoje upodobania literackie, był dociekliwy i dowcipny, ale czasami ironiczny i złośliwy. Di Paola obraził się kiedyś na niego, bo nazwał go osłem. Bezpośredni kontakt z pisarzem okazał się jednak ważniejszy od zranionej miłości własnej, toteż Jorge nadal przychodził na spotkania z Gombrowiczem, choć przez dwa tygodnie nie odezwał się wtedy ani słowem.

Gombrowicz powrócił do Buenos Aires, utrzymywał jednak z młodymi przyjaciółmi kontakt korespondencyjny. Kilka miesięcy później ponownie pojawił się w Tandilu, a tym razem wizyta omal nie zakończyła się katastrofą.

„W owej epoce ulice nie były brukowane – opowiadał Mariano Betelú – kiedy było wietrznie, podnosił się kurz, a on się dusił. [...] Któregoś dnia przychodzę do kawiarni i widzę, że nie ma go na zwykłym miejscu pod lustrem. Marlon powiedział kelnerowi, że Witoldo jest chory. Dowiaduję się, że Horatio Ruiz go widział, że był bardzo blady i spocony, a na jego pytanie, jak się ma, odpowiedział: »Umieram«. Słyszę również, że Marlon i Eugenio Pages zawieźli go w ataku astmy taksówką do kliniki”[97].

Witold jeszcze przez miesiąc przebywał w Tandilu, po czym zgodnie z zaleceniami lekarzy wyjechał na kilka miesięcy do Santiago del Estero. Tamtejszy gorący klimat miał pomóc w jego problemach z płucami, gdyż miasto leżało w pustynnej, suchej okolicy.

Gombrowicz dotarł do Santiago w sobotni wieczór i od razu oczarowała go uroda jego mieszkańców. Przyznał, że tak urodziwej młodzieży nie widział nie tylko w Argentynie, ale również nigdzie na świecie:

„Z tego roześmianego pogodnie sobotniego pochodu, który odbywał się w świetle lamp, pod palmami, jęły uderzać we mnie twarze przepyszne dziewcząt, zaledwie rozwiniętych, delikatnych, barwnych, giętkich, tryskały w przelocie błyski tych oczu, zębów, falistość tych linii, czerń lśniąca włosów i lśniąca białość uśmiechów. Zbaraniałem! Nie była to jedna piękność ani nawet dziesięć, był bezlik, zatrząsienie dziewczyn tak wspaniałych, iż każda byłaby w Paryżu rewelacją! [...] A trzeba dodać, że młodzież męska nie ustępowała pod względem piękności dziewczętom, aż prawie było to zawstydzające”[98].

Pisarz jednak szybko oprzytomniał z zachwytu. Zaniepokoiło go to, że na twarzach mieszkańców Santiago nie widział egzystencjalnego niepokoju. To nie byli ludzie, którzy oczekiwaliby czegoś więcej od życia poza zabawą i zaspokojeniem codziennych potrzeb:

„[...] cała ta piękna ludzkość, te wspaniałości, grażyły się w jakiejś bolesnej impotencji. [...] Nic błyskotliwego, ciekawego, natchnionego nie rodziło się w tych twarzach urzekających, żadna poezja z nich nie powstawała, choć same były przecież poezją”[99].

Uznał, że „nie ma nic gorszego niż nadmiar”. Znał przecież miasta, w których każda z tych urodziwych dziewcząt „byłaby warta sto tysięcy”, natomiast w Santiago „nie dałby nawet trzech groszy”. Towarzyszący mu miejscowy dziennikarz potwierdził, że „tutaj nic nie chce wzbic się ani zabłysnąć”. Coś takiego w Tandilu byłoby niemożliwe, a jego młodzi znajomi poeci byli zupełnie innymi ludźmi.

Zawiedziony Gombrowicz zrezygnował z pobytu w Santiago. Wybrał Tandil, a jego tamtejsi przyjaciele odwiedzali go w Buenos Aires. Czasami zachowywał się wobec nich jak ojciec i, korzystając z polepszenia swojej sytuacji, wspomagał ich nawet finansowo.

„[...] opłacał moje studia – potwierdzał Mariano Betelú. – Nie robił tego dla nikogo więcej. W kawiarni też płacił za mnie [...] Miałem bardzo małe stypendium, rodzice coś niecoś mi dawali, no i miałem zamiar znaleźć sobie jakąś pracę. Witoldo był oburzony: »Też pomyśl marnować młodość na jakieś głupie prace! Musisz rozwijać swój umysł, musisz się trochę bawić. Jesteś młody. Postaram ci się o jakąś małą sumkę – nie więcej niż 500 pesos«. I rzeczywiście płacił mi te 500 pesos, które wystarczały mi na jedzenie i na drobne wydatki”[100].

Był powiernikiem od spraw sercowych, cierpliwie wysłuchiwał żali i pretensji, tłumaczył, że życie jest zbyt piękne i krótkie, aby marnować je na rozpamiętywanie spraw bez znaczenia. Gdy Jorge di Paola po jakimś zawodzie miłosnym postanowił popełnić samobójstwo, to przedtem pojechał do Gombrowicza do Buenos Aires. Witold zrobił dla niego wyjątek w swoim porządku dnia i, nie czekając do godziny piątej, od razu zaprosił chłopaka na obiad.

„W restauracji kazał mi coś sobie zamówić – opowiadał »Dipi«. – Protestowałem: »Nie jestem głodny. Jestem zrozpaczony. Jak mam z tobą rozmawiać w czasie jedzenia?«. Wtedy zaczął mi tłumaczyć, że ta dziewczyna nie była dla mnie: »Myślisz, że ją kochasz, bo jesteś idiota. Czy ty wiesz, co to jest miłość? Przecież ty nie jesteś piesek, prawda?«. »Piesek?«. »Żeby stale iść przy nodze jednej i tej samej osoby«. Zacząłem się śmiać. »To, czego ci trzeba, to dwóch dziewczyn. Jakbyś miał dwie, kochałbyś obydwie, jakbyś miał trzy, kochałbyś wszystkie trzy. Jakby cię jedna rzuciła, nie byłbyś w takiej rozpacz, w jakiej jesteś teraz«. Śmiałem się wbrew sobie. Potem przynieśli nam wielki półmisek spaghetti. Gombrowicz mówił: »Weź więcej, bardzo dobre spaghetti«. Powoli apetyt mi wracał. Zjadłem masę. Powiedział: »Masz pojęcie, co by to była za farsa odbierać sobie życie z pełnym brzuchem?«”[101].

Chłopcy z Tandilu naśladowali swojego mistrza, a szczególnie gorliwie robił to Betelú. Wyrażał się tak jak on i podobnie się ubierał. Także di Paola przyznawał, że przez wiele lat pozostawał pod dużym wpływem Witolda, a gdy pisał do niego listy, to adresat miał wrażenie, że już kiedyś je czytał...

Jorge di Paola w przyszłości został dziennikarzem i pisarzem, Mariano Betelú – rysownikiem i karykaturzystą, a Jorge Vilela – rzeźbiarzem. Po latach przyznawali, że bez Witolda ich życie potoczyłoby się zupełnie odmiennie i zapewne byłiby innymi ludźmi.

„Jego wpływ był nieunikniony – tłumaczył di Paola – bo Gombrowicz był i jest częścią mojego życia. Prawie całym moim życiem intelektualnym. Gombrowicz wzbogacił mnie boleśnie. Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym nie był go znał. [...] To, do czego doszedłem na planie kulturalnym, nie byłoby możliwe bez niego i bez tej dwuznacznej walki między, z jednej strony, uczuciem i podziwem, jakie w stosunku do niego czuję, a z drugiej – koniecznością wytyczenia sobie własnej drogi”[102].

Pożegnanie z Argentyną

W 1961 roku syn żydowskich emigrantów z Polski Miguel Grinberg założył „Eco Contemporáneo” – pismo literackie będące organem „młodych gniewnych” zwanych Los Mufados. Jego publicyści zwracali się przeciwko uznanym twórcom, nie chcąc „dać się otumanić zbiorowym kłamstwem” i proponując w zamian nową literaturę.

Do literackich buntowników przyłączyli się przyjaciele Gombrowicza z Tandilu. Za ich pośrednictwem Grinberg osobiście poznał Witolda i uznał go za cennego sojusznika. Poświęcił mu cały numer pisma, rozpoczął też starania o wznowienie *Ferdydurke*.

„[...] największy nawet wysiłek literacki – twierdził Witold – jest niweczony przez naśladownictwo »dojrzałej« literatury zagranicznej. [...] Pisarze przejmują się wszystkim, tylko nie swoim prawem do pisania tak, jak piszą. [...] Wszyscy wolą narzekać na pozycję kogoś młodszego i gorszego, zamiast przyjąć ją jako świeże i inspirujące rozwiązanie... Bardzo wątpię, by z moimi poglądami zgodzili się uświęceni mistrzowie [...], ale pokładam nadzieję w tych mistrzach, którzy dopiero się narodzą”[103].

Gombrowicza cieszyła popularność w środowisku Los Mufados, wiedział jednak, że w Argentynie nigdy nie osiągnie sukcesu. Ten czekał na niego w Europie, gdzie jego nazwisko zaczynało być znane. Francuski przekład *Ferdydurke* spotkał się z entuzjastycznymi recenzjami krytyków. Powieść wydano również w Niemczech Zachodnich, Wielkiej Brytanii i Holandii, po niemiecku ukazał się także przekład pierwszego tomu *Dziennika*. Pojawiły się propozycje inscenizacji teatralnych. Obecność pisarza w Europie stawała się koniecznością, ale on ciągle się wahał. Sprawę ostatecznie przesądziło przyznanie mu rocznego stypendium Fundacji Forda.

„[...] cóż mam robić tutaj, gdzie nikt mnie nie czyta, nie wydaje i nie zna – mówił w wywiadzie prasowym na kilka dni przed wyjazdem z Buenos Aires. – Takie anonimowe i spokojne istnienie bez wątpienia nadaje się do pracy intelektualnej i artystycznej, niemniej jednak wszystkie mechanizmy mojej sytuacji już mnie stąd wypychają”[104].

Pisarz nie miał złudzeń i wiedział, że wyjeżdża na zawsze i więcej w Argentynie już nie zamieszka. Obawiał się jednak zetknięcia z Europą po tak długiej nieobecności. To był przecież zupełnie inny świat niż ten, który znał przed wybuchem wojny.

„[...] powrót do Europy to dla mnie niemal dramat, wcale nie przypomina podróży turystycznej. Będę musiał spojrzeć w twarz podstarzałym przyjaciołom, przyjaciołom martwym, miastom zmienionym, nieznanym ludziom, objawi się przede mną Europa w przebraniu i boję się, że czas nazbyt da znać o sobie...”[105].

Przyjaciele pomogli mu spakować niewielki dobytek, bo Gombrowicz rozdał część swoich rzeczy. Został odprowadzony do portu, a później w otoczeniu przyjaciół i wielbicieli przechadzał się jeszcze po pokładzie statku. Na pożegnanie spóźnił się Alejandro Rússovich, który przyjechał na miejsce, gdy statek już odcumowywał. Pozostali jednak nie zawiedli.

„Weszliśmy na statek, zwiedziliśmy go – wspominał Mariano Betelú. – Witoldo opowiadał o jakichś morskich przygodach i deklamował wyjątki poezji na temat statków. Wreszcie przestał się zgrywać i zaczął dawać nam ostatnie zalecenia: »Macie się zawsze szanować, nie obrażać jedni drugich«. Było to smutne. Mówił prosto z serca. Porobiliśmy zdjęcia. W pewnej chwili Witoldo rzekł: »Dosyć tej piekielnej maszyny. Teraz ja zrobię wasze zdjęcia«. Stał na wprost nas z rękami w kieszeniach. Ustawiliśmy się rzędem. I patrzył na nas. Twarz miał jak maska. Patrzył na jednego po drugim, jakby chciał utrwalić nas sobie w pamięci. Potem podszedł do mnie i uściskał mnie. Każdego pożegnał inaczej, słowem, gestem. Zeszliśmy ze statku, nie odwracając się. Nie chcieliśmy przedłużać pożegnań. To było rozstanie. Obyło się

bez sentymentalnych demonstracji, bez jakiegokolwiek wylewności, ale było bardzo wzruszające”[106].

Witold Gombrowicz opuścił na zawsze Argentynę 8 kwietnia 1963 roku. Wyjeżdżał jako artysta znany jedynie w wąskim kręgu młodych elit kulturalnych kraju, ignorowany przez uznanych twórców i krytyków. Dopiero gdy odniósł sukces w Europie, zaczęto doceniać go w Buenos Aires. Wówczas też przypomniało sobie, że przez wiele lat mieszkał w Argentynie dziwny polski pisarz, który tłumaczył wszystkim, że jest geniuszem.

Gombrowicz widział to nieco inaczej i twierdził, że to on sam i z własnej woli odrzucił kompromis z argentyńskim establishmentem literackim.

„Po moim exodusie z Argentyny – pisał pięć lat po wyjeździe – stworzono coś na kształt melodramatycznej legendy: okazuje się, że uznany dziś w Europie autor mieszkał w Argentynie, upokorzony, wzgardzony i odrzucony przez lokalny parnas. To wszystko nieprawda. Z własnej woli nie chciałem utrzymywać bliskich stosunków z parnasem, ponieważ środowiska literackie pod każdą szerokością geograficzną składają się z istot ambitnych, drażliwych, pochłoniętych własną wielkością, skłonnych do obrazu z powodu najmniejszego głupstwa”[107].

Maisons-Laffitte

Gombrowicz zawdzięczał stypendium Konstantemu „Kotowi” Jeleńskiemu, który był jego gorącym wielbicielem. To właśnie on namawiał Jerzego Giedroycia do publikacji *Dziennika* na łamach „Kultury”, zabiegał również o przekłady utworów Witolda. Pisarz twierdził wręcz, że każde nowe tłumaczenie powinno mieć adnotację „dzięki Jeleńskiemu”.

„[...] walczy o mnie od dawna – potwierdzał Gombrowicz – może nigdy nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jestem, tego, co piszę. [...] Użera się o mnie z polską emigracją. Wykorzystuje wszystkie atuty swojej sytuacji paryskiej i rosnącego osobistego prestiżu w intelektualnym beau-mondzie, żeby mnie popchnąć. Biega do wydawców z moimi tekstami. Zdobył mi już kilku popleczników, wcale nie tanich. Uznanie, zgoda, podziw nawet... To ostatecznie rozumiem (*homo sum*)... ale ta pracowitość? To, że podziw nie ogranicza się do podziwu?”[108].

Jeleński ze swej strony twierdził, że w jego zachwycie nie było nic z solidarności narodowej. Tak samo promowałby autora włoskiego czy francuskiego, pod warunkiem że uznałby go za geniusza. Przy okazji doceniał odwagę swojego idola, bo to Gombrowicz jako pierwszy polski literat miał odwagę powiedzieć głośno, że „nasza kultura jest kulturą z drugiej ręki”, a „wszystko, co się u nas dokonało”, właściwie było tylko „echem tego, co działo się na Zachodzie”.

Panowie długo z sobą korespondowali, a osobiście poznali się dopiero pod koniec kwietnia 1963 roku, gdy Gombrowicz w drodze do Berlina zatrzymał się w Paryżu. Bez problemów znaleźli wspólny język, bo już dość dobrze znali się z listów.

„Wystylizowaliśmy więc nasz stosunek – wspominał Jeleński – na znajomość dwóch polskich szlachciców, sąsiadów przez miedzę, z których jeden jest starszy i ważniejszy od drugiego. Ja na przykład od czasu do czasu cmokałem go – cium! – w przedramię, w okolice łokcia. Witolda trochę to irytowało, ale też bawiło”[109].

Inaczej natomiast ułożyły się stosunki Gombrowicza z Jerzym Giedroyciem, choć przecież i z nim pisarz korespondował od lat. Tutaj doszły do głosu różnice temperamentów, przez co relacje z szefem „Kultury” nigdy nie wyszły poza kontakty służbowe. Giedroyc cenił Gombrowicza jako pisarza, jednak ów ceniony pisarz irytował go jako człowiek. Pan Jerzy był zresztą człowiekiem wyjątkowo mało towarzyskim i nie odczuwał potrzeby zażyłych kontaktów

z bliźniami.

„Maisons-Laffitte – opisywał Gombrowicz. – Słoneczne popołudnie. Wchodzę po raz pierwszy do domu »Kultury«. Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroycowi.

On: – Cieszę się, że pana widzę... Ja: – Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecież mówił »pan« komuś, z kim od lat jesteś w listach na »ty!«. On: – Hm... hm... a tak... no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: – Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: – Dostyc przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy... Ja: – Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, to poza dyskusją, ludziom głos się łamie, gdy mówią ze mną przez telefon. On: – Hm... ja Mickiewicza nie bardzo lubię.

Józef Czapski przysłuchuje się z uciechą dialogowi naszych odmiennych temperamentów”[110].

Gombrowicz już wcześniej poznał Czapskiego, gdy ten przebywał w Argentynie w 1955 roku. Malarz uznał go wówczas za „całkowicie normalnego”, miał jednak wrażenie, że Gombrowicz nie był zdolny do „naprawdę bezpośredniego kontaktu”. Teraz, w Paryżu, mógł się przekonać, że pisarz jest znakomitym partnerem do rozmowy, chociaż w wielu kwestiach kompletnie się z sobą nie zgadzali.

Czapskiego irytowała niechęć Witolda do malarstwa. Pisarz uważał, że ludzie chodzą do Luwru, aby patrzeć, niczego nie rozumiejąc. Dzielilo ich również podejście do spraw religii, bo Gombrowicz był wówczas „zatwardziałym ateistą”. Czapski dostrzegł, że Witold cierpi na obsesję wspólną wielu twórcom – był typem człowieka pragnącego, aby „wszyscy go kochali”, podczas gdy „on nie kocha nikogo”. Ale pozostawał pod dużym wrażeniem jego talentu i osobowości, nawet w chwilach, gdy się z nim nie zgadzał. Zresztą, czy można było pozostać obojętnym na jego poczucie humoru?

„Z krótkiego pobytu Gombrowicza u nas – opowiadała Zofia Hertz – pamiętam dwie rzeczy. Ponieważ w swoim czasie napisał i w *Dzienniku*, i w liście do Jerzego, że »ogłosił się hrabią« – bez komentarza, dlaczego to zrobił – w rozmowie zapytałam go:

– No jak tam było z ogłoszeniem się hrabią?

– Nie było warto – odpowiedział. – Odwołałem to”[111].

Berlińska tragedia

Paryż to jednak nie tylko „Kultura” i ludzie z jej kręgu. Witold spotykał się także ze swoimi francuskimi wydawcami, tłumaczami i przedstawicielami miejscowej elity artystycznej. Jak zwykle był bezkompromisowy, chciał zrobić karierę w Europie, ale pozostać sobą. Nie zamierzał się zaprzedać, wierzył, że jego talent stanowi wystarczającą przepustkę do sukcesu.

„W Paryżu wszystko obnażał – wspominał Jeleński. – Dla Francuzów był całkowicie inny od wszystkich. Ja – nad czym może należy ubolewać – zawsze przestrzegałem wszystkich konwenansów. Witold był ich zdecydowanym wrogiem. Podziwiałem Nathalie Sarraute i nadal ją podziwiam. [...] Podeszła do niego, mówiąc, że jest szczęśliwa, iż może go poznać, że czytała jego książkę, którą uważa za wspaniałą, prawdziwe arcydzieło. Na to Witold: »Tak, dziękuję pani. Pani Nathalie Sarraute? Ach, tak, słyszałem o pani książkach«. I ani słowa więcej.

Witold doskonale umiał się zachowywać jak człowiek światowy, ale też, jak sam mówił, jak naddunajski chłop. Bądźmy szczerzy, jak wielu twórców nie interesował się zbytnio twórczością innych. Nathalie Sarraute nigdy nie czytał”[112].

W wywiadach szokował swoich rozmówców. Mówił, że „Paryż jest bardziej barbarzyński od Afryki”, porównywał jego mieszkańców do psów Pawłowa i radził miejscowym pisarzom, aby „zostawili pisanie literatury francuskim kucharzom, bo będzie miała wówczas lepszy smak”. Mimo to nikogo do siebie nie zraził, a jego wypowiedzi uznano za przejaw ekscentrycznej fantazji wielkiego artysty.

Po trzech tygodniach spędzonych w Paryżu wyjechał do Berlina Zachodniego. Miał tam spokojnie pracować, poznawać innych twórców i przez rok nie odczuwać żadnych problemów finansowych.

Pierwsze wrażenia były bardzo pozytywne. Witold był zadowolony z warunków, jakie zastał na miejscu, i gorliwie zajął się swoim życiem erotycznym. Tak zapamiętał się w uciechach seksualnych, że chwilami przerażały go jego własne wyczyny. Nawiązywał znajomość za znajomością, miał nawet problemy z identyfikacją partnerów, co zresztą nie powinno dziwić, skoro ich imiona się powtarzały. Próbował sobie z tym radzić, dodając do imion liczby porządkowe.

„Tutaj okropne rzeczy – pisał do Jeleńskiego – *entre nous soit dit* [między nami mówiąc] okropnego ataku pederastii dostałem, nic innego nie robię, tylko to właśnie z czterema na razie Niemczykami, bój się Boga, w moim wieku!”[113].

Gombrowicz nie ograniczał się jednak do poszukiwania przygód seksualnych. Pracował nad *Kosmosem*, nadal pisał *Dziennik*, organizował spotkania literackie w kawiarni Zuntz. Chętnie też przebywał w towarzystwie innej stypendystki Fundacji Forda – austriackiej poetki Ingeborg Bachmann.

[...] była pierwszą osobą, z którą się zaprzyjaźniłem – notował w *Dzienniku*. – Spacerowaliśmy, oboje nieco zdziwieni czy oszołomieni tą wyspą (na komunistycznym oceanie), a może czymś innym, niewiele widzieliśmy, prawie nic, przypominam sobie, że zdumiewało mnie bezludzie Berlina, gdy gdzieś w oddali ktoś się pojawił, wykrzykiwaliśmy: »O, o, człowiek na horyzoncie«”[114].

Poznał też Günтера Grassa cieszącego się już międzynarodową sławą po debiutanckim *Błaszonym bębenku*. Cenił specyficzne poczucie humoru Niemca, który – gdy mu wyrzucano, że na oficjalnych przyjęciach pojawiał się w stroju sportowym – „sprawił sobie smoking potwornie fioletowy i zadawał nim szyku na śniadaniach i popołudniowych herbatkach”. Grassowi natomiast imponowała erudycja Witolda, wydającego się „obywatelem nieistniejącego państwa,

Polski przedwojennej”. Uważał go za jednego z najwybitniejszych pisarzy XX stulecia i porównywał do Jamesa Joyce’a i Alfreda Döblina, którzy „otworzyli nowe drogi prozie”.

Gombrowicz spotykał się również z Uwe Johnsonem, laureatem Międzynarodowej Nagrody Wydawców (Prix Formentor). Ich rozmowy miały dość specyficzny charakter i nie przypominały pogawędek dwóch znanych literatów.

„Kiedyś Uwe Johnson natknął się na mnie przypadkiem w restauracyjce naprzeciw Akademii der Künste – notował Gombrowicz. – Podeszedł i w zawstydzeniu północnym mruknął coś, co, jak się domyśliłem, było komplementem dotyczącym świeżo wydanej po niemiecku *Pornografii*. Zawstydzilem się jego wstydem, coś wymamrotałem i rozmowa zesłała na zwykłe między nami tematy, to jest fajki, guziki i klapy marynarek”[115].

Przyjeżdżając na stypendium do Berlina, Gombrowicz nie podejrzewał, że nad Sprewą dopadnie go polityka. Miasto było jednym z najbardziej zapalnych miejsc na świecie, dwa lata wcześniej powstał mur berliński, a już podczas pobytu pisarza miała miejsce wizyta prezydenta Kennedy’ego, podczas której padły słynne słowa: „Ich bin ein Berliner” (jestem berlińczykiem). To właśnie izolacja miasta zatopionego wewnątrz NRD zadecydowała, że Fundacja Forda wysyłała tam swoich stypendystów. Miał to być widoczny dowód i przekaz, że odcięte od świata zachodnie sektory Berlina normalnie funkcjonują. Niestety, w Polsce pobyt Gombrowicza nad Sprewą odebrano w sposób najgorszy z możliwych. Uznano, że pisarz za niemieckie pieniądze wysługuje się potomkom hitlerowców. Na domiar złego ogłosił on na łamach berlińskiego „Akzente” artykuł na temat ograniczenia wolności słowa w Polsce, czego dowodem miała być likwidacja dwóch tytułów prasowych: „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury”. Artykuł ten (*Tandeta*) przedrukowała później paryska „Kultura”.

„A więc w Polsce wykończono resztki zdychającej od paru lat wolności słowa. Wypowiedzi towarzysza Gomułki i innych towarzyszy nie pozostawiają w tym względzie żadnych wątpliwości: dość tego tam gadania, od dziś znowu ma zapanować zdrowa jednomyślność i konstruktywny zapał, pisarze i dziennikarze niech kroczą dziarsko i karnie ku »świetlanej przyszłości«”[116].

Dla partyjnych decydentów w kraju był to widoczny dowód na to, że pisarz stał się zdrajcą i renegatem. Na efekty nie trzeba było długo czekać – na łamach krajowej prasy rozpętano bezprecedensową nagonkę na Gombrowicza. Jako pierwszy wypowiedział się na łamach „Kultury” (tej warszawskiej) pisarz Stanisław Zieliński. Zarzucił mu cynizm i megalomanię, odmawiając jednocześnie talentu literackiego.

„Odległość, oddalenie zabijało go i przerażało przez 24 lata transatlantyckie. Stamtąd, z Argentyny, próbował osiągnąć Polski. Sztukował wydawany na emigracji *Dziennik* nazwiskami i korespondencją, łątał anonsami i felietonami, wydłużał białą laskę ślepeca”[117].

Artykuł ilustrowały odpowiednio dobrane cytaty z *Dziennika*, które miały potwierdzić tezę o chorej ambicji Gombrowicza. Według Zielińskiego pisarz już dawno stracił kontakt z rzeczywistością, uznając swoje utwory za najważniejsze w dziejach polskiej literatury.

„[...] chciałby Polskę przymierzyć dla siebie, choć byłby naprawdę szczęśliwy, gdyby w szkołach globusy uformowano na jego obraz i podobieństwo, choć chciałby być tylko Gombrowiczem, niczym więcej – zapierał się Polski jak żaba błota”[118].

Zieliński nie żałował barwnych porównań – Gombrowicz miał przywieźć do Berlina „lampę naftową”, nad którą „wywalił neon reklamowy na pół nieba”, dając przy tym słowo, że „energię czerpie z elektrowni atomowej”. W rzeczywistości jednak „z równym powodzeniem mógłby łuczywo zachwalać sputnikiem”. Zdaniem Zielińskiego Gombrowicz przyjechał do Berlina w ściśle określonym celu.

„Przy pomocy słownika (bo nie zna niemieckiego) padł plackiem przed

zachodniobrzeżnymi słuchaczami. Ponieważ lampa naftowa się nie sprawdziła, więc Gombrowicz swoją miłość [...] dedykował Niemcom, swoje serce młodzieży niemieckiej, a wolność ulokował w Berlinie Zachodnim. [...] W Berlinie Zachodnim gombrowiczowskie borykanie się z Polską stało się błazeńską kontynuacją osławionego wydawnictwa hitlerowskiego"[119].

Miesiąc później „Życie Literackie” opublikowało sfalszowany wywiad, jakiego pisarz udzielił rzekomo w Berlinie Barbarze Witek-Swinarskiej. Żona znanego reżysera, przebywając w Berlinie, umówiła się z Gombrowiczem na prywatną rozmowę, którą później przedstawiła w formie wywiadu. Pisarz został ukazany jako cyniczny karierowicz zainteresowany wyłącznie sobą i swoimi sprawami. Za zachodniemieckie marki miał się wyrzec polskości, zdradzał faszystowskie sympatie, pomniejszał i lekceważył niemieckie zbrodnie, a Polakom w kraju zarzucał, że chlubią się milionami rodaków zabitych podczas wojny.

Kilka tygodni później Ludwik Hieronim Morstin zamieścił na łamach „Życia Warszawy” *List do Gombrowicza* (przedrukowany przez „Trybunę Ludu”). Po zapoznaniu się z „wywiadem” Witek-Swinarskiej wyrażał oburzenie z powodu „oskarżania społeczeństwa polskiego o zaściankowy nacjonalizm za to, że nie może zapomnieć swych cierpień w czasie okupacji i wobec ciągłych enuncjacji rewizjonistów gotuje się do obrony swych granic”[120].

Gombrowicz usiłował się bronić, udzielając autoryzowanego wywiadu dla Wolnej Europy, a na łamach paryskiej „Kultury” z zarzutami wobec niego polemizował Jeleński. Gombrowicz przesłał list protestacyjny do „Życia Literackiego”, wyjaśniając kulisy powstania „wywiadu” Witek-Swinarskiej, wobec czego pojawiła się „odpowiedź” zawierająca odpowiednio dobrane fragmenty *Dziennika*, z których można było odnieść wrażenie, że pisarz gloryfikował Niemców. Ponownie odezwał się Zieliński, twierdząc, że pisarz zaprzedał się Fundacji Forda i że jego pobyt w Berlinie Zachodnim ma wymiar polityczny, bo wspiera interesy niemieckich ziomkostw i rewizjonistów. Do dyskusji przyłączył się Krzysztof Teodor Toeplitz, ogłaszając, że pisarze, nawet zdolni, oderwani od swojej ziemi marnują się i kończą, i nie ma współcześnie ani jednego przykładu, aby mogło się zdarzyć inaczej”[121].

Nie cofano się przed żadnym oszczerstwem, a niesławnej pamięci felietonista warszawskiej „Kultury” o pseudonimie Hamilton (Jan Zbigniew Słojewski) stwierdził:

„Był okres, gdy w pewnych środowiskach nazwisko Gombrowicza było sztandarem, a jego słowo manifestem; dziś ekstaza opadła, nawet najgorliwsi podgombrowicze milczą; można w tym kraju dużo znieść, ale nie można znieść pisarza polskiego wyzwającego się w Berlinie Zachodnim z polskości. [...] Gombrowiczowi wydaje się, że jest partnerem narodu; naród jednak albo go nie dostrzega, albo patrzy na niego tak, jak entomolog patrzy na motyla nadzianego na szpilkę”[122].

Do głosów potępienia przyłączyli się nawet Artur Sandauer i Maria Dąbrowska, którzy uważali, że Gombrowicz nie powinien przyjmować zaproszenia od Niemców. Dąbrowskiej nie przeszkadzał przy tym fakt, że sama była gościem Związku Pisarzy NRD. Najwyraźniej sędziwa pani Maria, zgodnie z obowiązującą wtedy doktryną polityczną, dzieliła Niemców na tych „dobrych” z NRD i „złych” z RFN. Twierdziła również, że są sprawy, których „emigranci nie potrafią zrozumieć”.

Gombrowicz bardzo przeżył ten atak na swoją osobę i po raz pierwszy w życiu poczuł się jak prawdziwy wygnaniec. Gotowy był na dyskusję o swojej twórczości czy o poglądach na literaturę, ale nie na ataki polityczne, tym bardziej że zaproszenia od Fundacji Forda otrzymywali także polscy marksiści. Złemu stanowi psychicznemu towarzyszyło gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia. W lutym i marcu 1964 roku zapadł trzykrotnie (!) na gripę, miał problemy z sercem i oddychaniem. Został na dwa miesiące hospitalizowany w prywatnej berlińskiej klinice, gdzie

dostawał całe serie zastrzyków i przechodził fizjoterapię. Myślał o śmierci i był przekonany, że już się nie podniesie.

Gdy w maju 1964 roku opuszczał Berlin, był wrakiem człowieka, który w niczym nie przypominał pisarza święcącego triumfy zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Zofia Hertz w Paryżu niemal go nie poznała... Szukał pomocy u przyjaciół z Maisons-Laffitte, ale chyba wymagał zbyt wiele.

„Oczekiwał, że ktoś się nim zajmie – wspominał Józef Czapski – ale nikt tego nie mógł zrobić, bo każdy się kręcił wokół własnych spraw. Ja również. Malarstwo – kiedy tylko zaczynałem naprawdę malować – nie pozwala mi się zatrzymywać. Chciał, żeby się nim ktoś zajął, ponieważ cierpiał, był zrezygnowany po swoim pobycie w Berlinie. Odniosłem wrażenie, że czuł się urażony, że po przyjeździe z tak daleka tutaj, do Maisons-Laffitte, trafił na chłodne przyjęcie w domu, w którym wszyscy bez ustanku pracują, od świtu do nocy. Ale był Kot. On był jego jedynym prawdziwym przyjacielem. I Kot zabrał go do Royaumont”[123].

W rzeczywistości było jeszcze gorzej. Gdy chory Gombrowicz poprosił Giedroycia o gościnę, ten dał mu tydzień na znalezienie sobie nowego miejsca do życia. Pisarz myślał o powrocie do Argentyny, ale stan jego zdrowia uniemożliwiał powrót za ocean. Wybawieniem miał się okazać wyjazd z Jeleńskim do Royaumont.

Codzienne problemy życia z geniuszem

Obraz codziennego życia z Ritą, jaki przedstawił Gombrowicz w swoim intymnym dzienniku, to ciągle problemy zdrowotne przeplatane domowymi kłótniami. Ona jednak zupełnie inaczej pamięta te czasy i choć przyznaje, że niekiedy rzeczywiście występowały różnice zdań, to nie rzutowały one na ich wzajemne kontakty. Podkreśla również, że Gombrowicz pisał *Kronosa* raz w miesiącu, czasami bezpośrednio po kłótni, co musiało wpływać na jego oceny. Równie ważny był też fakt, że stały związek z kobietą był dla niego zupełną nowością i pomimo zaawansowanego wieku Witold nie miał potrzebnego doświadczenia.

„Uważam, że w tych fragmentach [*Kronosa*] Witold nie był sprawiedliwy – opowiadała po latach. – Klóciliśmy się bardzo mało, dosłownie kilka razy, o zupełne głupoty, ale on szalenie przeżywał te spory, chyba trudno mu było przyjąć fakt, że ja mogę się z nim nie zgadzać. To taki przejaw delikatnego mizoginizmu, który był obecny w jego osobowości. W *Kronosie* Witold pisze o »histerii Rity«, ale to naprawdę nie były żadne historie, po prostu kilka razy obraziłam się na niego i przestałam się do niego odzywać”[124].

Najważniejszym problemem ich związku był stan zdrowia Gombrowicza. Pisarz obliczył, że podczas pobytu w Vence dręczyło go aż 17 (!) przewlekłych schorzeń, które chwilami niemal całkowicie uniemożliwiały mu normalne funkcjonowanie. Do tego jeszcze dochodziła hipochondria, bo ze względu na astmę i rozedmę płuc Witold panicznie bał się wszelkiego rodzaju infekcji oddechowych, a zaziębienie partnerki traktował jak śmiertelną zarazę.

„Rak? Operacja? Rano zastrzyki domięśniowe i dożylny, potem liczne lekarstwa. Kuracja. Po tygodniu jakimś przerwaniem kortyzony [kortyzon przyjmowany jest doustnie na ataki astmy – S.K.], dają się we znaki duszności, pigułki, czopki nie pomagają [...], Rita niezbyt inteligentnie dostaje kataru, robi mi sceny (bo wyrażałem obawę, że się zarażę) [...]. Życie monotonne, zastrzyki, wychodzę mało. Niepogoda. Katar (Rity?) opada na oskrzela. Noce coraz cięższe, duszności. Ciężar jakiś na żołądku?”[125].

Dolegliwości żołądkowe były spowodowane wrzodem, który udało się zaleczyć bez ingerencji chirurgicznej, co polepszyło nastrój pisarza. Nie wracał już do myśli o samobójstwie i zajął się pracą. Humor poprawiało mu również to, że sprawy finansowe układały się coraz lepiej, bo w całej Europie Zachodniej wystawiano jego sztuki. Dalej pracował nad *Kosmosem* i nad *Operetką*, z którą wiązał szczególne nadzieje.

„*Operetka* ukończona w 1966 roku – wspominała Rita – wyszła po francusku dopiero w 1969 roku. Strasznie mu zależało na jej wystawieniu. Uważał, że jest jego najbardziej dostępnym dziełem i że może przyciągnąć szerszą publiczność do innych książek. Francuscy tłumacze, Konstanty Jeleński i Geneviève Serreau, biegali z rękopisem po paryskich teatrach, ale nic z ich starań nie wyszło. Wreszcie w czerwcu 1969, kilka tygodni przed śmiercią, Witold dowiedział się, że Jacques Rosner wyreżyseruje sztukę w Théâtre National Populaire w pałacu Chaillot, prowadzonym wówczas przez Georges’a Wilsona. Dwie inne sztuki zostały świetnie wystawione w Teatrze Królewskim w Sztokholmie w inscenizacji Alfa Sjöberga. Był to dla Witolda jeden z największych powodów do dumy pod koniec życia”[126].

Gombrowiczowi zależało na popularności w szerokich kręgach czytelników, dlatego dużą wagę przykładął do tanich kieszonkowych wydań swoich książek. Wiedział, że jego literatura nie należy do najłatwiejszych, liczył jednak na dotarcie do przeciętnego czytelnika. Miał nadzieję, że oznaczać to będzie stabilizację finansową, która umożliwi dalszy pobyt z partnerką w Prowansji.

„[...] Rita dobrze się miewa – pisał w lutym 1966 roku do brata – gra w tenisa, prowadzi auto, jeździ na nartach (jest śnieg o 20 kilometrów w górach), kąpie się (plaża o 20 minut

samochodem, sezon zaczyna się w końcu marca). Tylko pytanie, jak długo, bo moje dochody są zupełnie niestabilizowane i trzeba żyć z miesiąca na miesiąc”[127].

Wiedział, że podstawą jest odpowiednia reklama, a promocję jego dzieł ułatwiłoby przyznanie mu ważnej nagrody. Twierdził, że zasłużył na Międzynarodową Nagrodę Wydawców (Formentor) – wyróżnienie lokowane w Europie zaraz po literackiej Nagrodzie Nobla. W poprzednich latach dostali ją: Samuel Beckett, Jorge Luis Borges, Uwe Johnson, Carlo Gadda, Nathalie Sarraute, Saul Bellow. Gombrowicz uważał, że wcale nie jest od nich gorszy.

Wielki dzień nadszedł na początku maja 1967 roku, gdy Witold dowiedział się o przyznaniu mu Formentora. Poza prestiżem i reklamą nagroda miała również swój wymiar finansowy – Gombrowicz nigdy dotąd nie dysponował ogromną kwotą 20 tysięcy dolarów. Nie obyło się jednak bez pewnych komplikacji jakby żywcem wyjętych z książek laureata.

„[...] jury zapomniało zawiadomić mnie o przyznaniu nagrody – zanotowałem w *Dzienniku*. – Po ośmiu dniach wyczekiwania, jeszcze oficjalnego telegramu nie mając, napisałem do Nadeau [wydawca francuski – S.K.], żeby się poinformował, co to znaczy. Sekretarz Generalny zgubił gdzieś mój adres, a potem powiedział sobie, że nie warto mnie zawiadamiać, bo już z prasy się dowiedziałem”[128].

Gombrowicz bez większego zdziwienia zauważył, że nagroda najmniej emocji wywołuje w środowisku londyńskiej emigracji. Według niego był to dowód na to, że ludzie ci kompletnie nie znali się na literaturze, a poza tym nigdy go nie zaakceptowali. Gdyby bowiem uhonorowano kogoś związanego z londyńskimi „Wiadomościami”, na przykład Kazimierza Wierzyńskiego, to wówczas „byłby jubel w narodzie”.

„Natychmiast po otrzymaniu nagrody – notował ironicznie Gombrowicz – sporządziłem sobie listę moich wrogów literackich (większość, niestety, to polskie nazwiska) i wyłapując z niej na chybił trafił tego lub owego, syciłem się w wyobraźni tym rozpaczliwym kwasem, tą jakąś zszarzałą cierpkością”[129].

Formentor niewiele zmienił w jego życiu, bo choć poczuł się pewnie pod względem finansowym, to zachowywał się tak jak dawniej. Razem z Ritą udał się do antykwariatu, gdzie kupili „stylową szafę, tudzież stylowy stół i arcyrenesansowe krzeselka”. Narzekał jednak, że nagroda przyniosła nowe obowiązki. Musiał udzielić wielu męczących wywiadów, które odciągały go od pracy. Zapowiedział też Ricie, że jeśli otrzyma literackiego Nobla (na co miał wielkie szanse), to też nic to nie zmieni.

„Zabawiły się na większą skalę – opowiadała Rita – ale nie poszedłby na żadne ustępstwa, jeśli chodzi o postawę czy styl życia. O Nagrodzie Nobla mówił tak: »Wynajmiemy rolls-royce’a i pojedziemy do Londynu pokazać się moim wrogom. Posmarujemy sobie włosy brylantyną, bo tylko nasze głowy będzie widać. Włożysz bardzo błyszczące kolczyki, a ja przypnę z tyłu czapki jakiś czerwony i tajemniczy order”[130].

Chociaż Witold był wyjątkowo zaangażowany w swoją pracę, jego uwadze nie umykały najważniejsze wydarzenia literackie. Czytał dużo książek wypożyczanych w miejscowej bibliotece, a Rita regularnie odwiedzała pobliską księgarnię. Cenił polskie wydawnictwa i zawsze okazywał radość, gdy do Vence docierały książki z kraju.

Nie zapominał też o edukacji literackiej swojej partnerki, tłumaczył jej, które pozycje powinna znać, a jakie może pominąć. Za niezbędne uważał zapoznanie się z całą twórczością Dostojewskiego i Tomasza Manna, a przy okazji namawiał ją też do przeczytania *Psa Baskerville’ów* Conan Doyle’a i *Zabójstwa Rogera Ackroyda* Agathy Christie. A gdy mu nie dowierzała, to z pamięci naszkicował plan mieszkania, w którym dokonano zbrodni.

„Witold nigdy nie kupował gazet i nigdy mnie o nie nie prosił, ale ja sama codziennie przynosiłam „Le Monde” i „Nice-Matin”. Czytał je w czasie sjęsty, mówiąc czasem: »Nie

powiniem. Poważny artysta nie powinien«. Nigdy nie omieszkał przeczytać kroniki towarzyskiej w »Le Monde«, zwłaszcza nekrologów. Czytaliśmy tygodniki »Le Nouvel Observateur« i »L'Express«. Nie prenumerowaliśmy żadnych pism literackich z wyjątkiem »Wiadomości« londyńskich i, oczywiście, paryskiej »Kultury«. Czytywaliśmy także »La Quinzaine Littéraire« Maurice'a Nadeau"[131].

Wizyty rodaków

Vence zamieszkiwała duża kolonia artystyczna, w której nie brakowało Polaków. Jednym z nich był malarz Kazimierz Gład, laureat Nagrody Chagalla, który otrzymał stypendium w Prowansji. Znał on utwory Gombrowicza i zaraz po przyjeździe zapragnął osobiście poznać pisarza. Pośredniczką była Rita, którą spotkał w jednej z kawiarni. Gład został zaproszony na herbatę, a później był u nich częstym gościem.

„Teraz zdaję sobie sprawę, że te wszystkie spotkania są historią – wspominał malarz. – Gdybym wtedy o tym wiedział, mocniej zachowałbym je w pamięci... A wszystko odbywało się tak normalnie. Najpierw spotkanie w kawiarni, potem na herbatce o piątej, z herbaty robił się późny obiad, Rita dobrze gotowała, co przy moim skromnym budżecie bardzo mi pasowało...”[132].

Gombrowicz nie byłby sobą, gdyby w towarzystwie malarza nie wypowiadał się negatywnie o malarstwie. Uważał ten rodzaj sztuki za naciąganie i nie przeszkadzało mu w tym fakt, że na ścianach jego własnego mieszkania wisiały obrazy znajomych artystów.

„Malarstwo nie istnieje! – wołał. – Malarstwo to jest reklama! Przyjdzie taki dizajner, w ciągu nocy zrobi wystawę i płacą mu za to jeszcze dwadzieścia tysięcy dolarów! To ja się męczę nad książką pięć lat i taki szubrawiec agent zabiera mi połowę!”[133].

Niemniej jednak pewnego dnia postanowił kupić obraz Głaza. Ten wycenił płótno na 600 franków, natomiast pisarz zaproponował mu jako zapłatę fragment swojego *Dziennika*. Gład uparł się przy gotówce, czego później przez lata żałował. Pieniądze szybko się rozeszły, tymczasem pisany ręcznie fragment *Dziennika* z osobistą dedykacją Gombrowicza byłby fantastyczną pamiątką. A poza tym jego wartość znacznie przekraczałaby kwotę 600 franków.

Gład był też świadkiem zabawnej sceny – miała ona miejsce, gdy do Gombrowicza przyjechał Sławomir Mrozek, który jeszcze mniej niż Witold znał się na kuchni. Po pewnym czasie panowie poczuli się głodni, a Rita akurat wyjechała do Saint-Tropez.

„– Kolację zrobimy sami – dysponuje gospodarz. – Sławomirze, poszukaj makaronów. Są gdzieś na półce.

– Są – znalazł Mrozek. – Ale jak je gotować?

– Jak to jak? Rzuć do wody.

– A jak poznać, że już są ugotowane? – drążył Mrozek.

– Zwyczajnie. Trzeba spróbować – uczy Gombrowicz.

Mrozek gotował makaron, ja z lodówki wybieram jogurty, bo Rita podawała często jogurt z ziemniakami... Kolacja jak się patrzy”[134].

Gombrowicz nie był specjalnie wybredny w sprawach codziennego jadłospisu. Miał słabość do polskiej kuchni, jednak przez lata pobytu w Argentynie przyzwyczaił się do tamtejszych potraw. Zdał sobie z tego sprawę po powrocie do Europy, gdy zauważył, że porządny befsztyk wołowy smakował mu bardziej niż europejskie potrawy z jarzynami. Ale pod tym względem Rita nigdy nie miała z nim problemu.

„Mówił, że jedzenie to jedna z rzadkich przyjemności w życiu człowieka chorego. Nie cierpiał koneserów i wybrednych smakośy. Jadł spokojnie, nie kaprysząc ani w domu, ani w restauracji. [...] W jedzeniu przejawiała się najbardziej jego tęsknota za Polską i dzieciństwem. Nauczył mnie paru polskich potraw. Przez Paczowskich dostawał z Polski torebki z barszczem w proszku [...]. W pewnym okresie jedliśmy w »oberży Pickwicka« w Villeneuve-Loubet, gdzie Witold zamawiał obiad w odwrotnej kolejności, zaczynając od kawy i kończąc na mięsie. Ostatniej jesieni, w Juan-les-Pins, nastąpił czas ascezy. »Największa przyjemność polega na tym,

żeby umiejętnie zestawiać wszystkie potrawy«. Jadł wtedy mięso z rusztu z chlebem, nic więcej”[135].

Dostawcy barszczu w proszku, małżeństwo Paczowskich, mieszkali wówczas razem z Mroźkami w Chiavari we włoskiej Ligurii. Było to niespełna 300 kilometrów od Vence, więc często odwiedzali pisarza i jego partnerkę. W czerwcu 1965 roku Paczowscy znaleźli dla nich niedrogie mieszkanie do wynajęcia, w związku z czym Witold i Rita przyjechali do Chiavari na miesiąc. Wyprawa zakończyła się bardzo niefortunnie.

„Mieszkanko przyjemne – notował Witold. – Morze. Wizyty. Paczowscy – Mroźkowie. Pobolewa mnie zastrzyk i noga (reumatyzm). W tyłku wrzód, przecina chirurg Raffo, przedłużenie pobytu. Złe oddycham. Rita zwierza się, panika z Paczowskimi, zabieg w Genui”[136].

Mroźek był znacznie młodszy od Gombrowicza, ale Witold wysoko go cenił. To on jako pierwszy nawiązał kontakt z nieznanym jeszcze wówczas w Europie literatem.

„Gdy zaistniałem – wspominał pan Sławomir – pojawiłem się w polskiej literaturze, Gombrowicz napisał do mnie list, choć wcale mnie przecież nie znał. Po prostu kilka serdecznych, pochwalnych słów na temat mojej twórczości. Byłem mile zaskoczony, zadowolony – ogromnie go przecież ceniłem. Nie pamiętam, skąd miał adres. Zdaje się, że jego list doręczyli mi znajomi, którzy widzieli się z nim w Paryżu – wrócił już wtedy do Europy”[137].

Witold uważał Mroźka za jednego z pięciu najlepszych polskich pisarzy (obok siebie, Schulza, Witkacego i Miłosza). Wizyty Sławomira w Vence traktował z całą powagą, nigdy jednak nie udało się Witoldowi sprowokować swojego rozmówcy. Pan Sławomir był całkowicie odporny na sugestie starszego kolegi, a prawdopodobnie – jak w przypadku Giedroycia – decydowała o tym różnica temperamentów.

„Nie, nie żałuję dziś wcale – opowiadał Mroźek – że nie podejmowałem z nim gry i tym samym lepiej go nie poznawałem. Po co? Nie mam w sobie ciekawości intelektualnej tego typu, to nie moja dziedzina, wystarczało mi zawsze to, co pisał”[138].

Niewiele jednak brakowało, by doszło do poważnego literackiego nieporozumienia. Gdy bowiem ukazała się *Operetka*, Mroźek uznał, że nie może teraz wydać napisanego wcześniej *Krawca*. Jego tekst, chociaż chronologicznie wcześniejszy, wydałby się czytelnikom plagiatem z Gombrowicza. Wstrzymał się zatem z publikacją na wiele lat, prywatnie przyznając zresztą, że cierpi na kompleks Gombrowicza i Witold jest jego koszmarem. Ale dodawał zaraz, że „byłoby mu jednak przykro, gdyby ten koszmar nie istniał”.

W maju 1967 roku w Vence pojawił się inny tytan polskiej literatury.

„Miłosz – notował Gombrowicz w sierpniu. – Jego żona. Zamieszkali tuż obok, na stoku St. Paul. Dyskusje. Spaceruje. Od przedwojnia go nie widziałem, ale wtedy tylko parę razy, więc właściwie prawie go nie znałem”[139].

Panowie się zaprzyjaźnili i w mieszkaniu Witolda prowadzili niekończące się dyskusje o literaturze, sztuce i filozofii. Czasami też wypuszczali się samochodem w plener. Miłosz był wówczas zatrudniony na uniwersytecie w Berkeley i ze zdziwieniem obserwował warunki bytowe Gombrowicza.

„Co »Gombro« pisze w *Dzienniku* o zadowoleniu ze swojej stabilizacji i względного dobrobytu, jest prawdą, było to jednak bardzo skromne życie po latach zmagania, tak że jako profesor dużego amerykańskiego uniwersytetu przyjeżdżający do Europy [...] czułem się w porównaniu z nim uprzywilejowany”[140].

Ze względu na Ritę rozmawiali głównie po francusku, czasami jednak używali polskiego. Gombrowicz zauważył zresztą, że Miłosz w obcym języku wyraża się znacznie precyzyjniej niż w rodzimym. Pana Czesława natomiast zaskakiwało zachowanie własnej żony, która doskonale

czuła się w towarzystwie Witolda. Chociaż dotychczas była bardzo niechętna środowisku literackiemu i z tego powodu „oskarżana o wyniosłość i chłód”, to teraz znajdowała wspólny język z Gombrowiczem i w dyskusjach częściej brała jego stronę.

„Czytałem dużo rozpraw o wewnętrznym pokręceniu Gombrowicza – pisał Miłosz do Joanny Siedleckiej – ale w porównaniu ze mną wydawał mi się względnie prosty, zgodnie z tym, co wyrażał i do czego dążył”[141].

Witold nie stosował wobec poety swoich ulubionych metod dyskusji, nie prowokował go, tylko po prostu wymieniał z nim myśli. Najwyraźniej uważał go za równego sobie, chociaż Miłosz w tym czasie nie opublikował jeszcze na Zachodzie żadnego tomiku poetyckiego. Gombrowicza irytowało jednak, że Czesław wydał antologię *Postwar Polish Poetry (Polska poezja powojenna)* i przygotowywał do druku *The History of Polish Literature (Historię literatury polskiej)*.

„»Czy wyobrażasz sobie Nietzschego układającego antologię? – zapytał Gombro. – Mogę cię usprawiedliwić tylko pod jednym warunkiem: że podręcznik napisałeś dla pieniędzy«. Nie miałem wyboru, odpowiedziałem: »Dla pieniędzy«. [...] Tom okazał się najgorzej sprzedającą się z moich książek [...]. Mimo tych napaści Gombro, jak po jego śmierci napisała mi Rita, lubił mieć *The History of Polish Literature* przy sobie na łóżku, nie znając angielskiego, przeglądał ją i chyba przyjemnie mu było znaleźć swoją dużą fotografię na całą stronę”[142].

Miłosz z zainteresowaniem obserwował relację pomiędzy Ritą a Witoldem. Widział, że pisarz traktuje partnerkę z pewnym pobłażaniem, ale jest do niej wyjątkowo przywiązany. Uważał, że jej obecność stanowiła dla Gombrowicza wybawienie, bo właśnie ktoś taki powinien być obok niego.

„Dla mnie istnienie Rity u jego boku potwierdzało moją opinię o celności jego wyboru. Uroczą, trochę chłopięcą, inteligentną, oddaną, dobrą – czego chcieć więcej? Bawiły mnie później różne wyobrażenia o niej w Polsce, niezgodne z jej osobą i jej rolą wiernej wykonawczyni jego testamentu”[143].

Wspólność i ojcostwo

Gombrowicz nie przepadał za słowem „współżycie”, zdecydowanie bardziej odpowiadało mu „wspólność”. Ritę traktował „autentycznie delikatnie”, chociaż codzienne życie utrudniała im jego nerwowość. Był człowiekiem poważnie chorym, który wiedział, że nie ma już zbyt wiele czasu przed sobą, i niekiedy było to widoczne. Starał się jednak, aby partnerka nie odczuwała zbyt wielkiego dyskomfortu psychicznego.

„Całą swoją inteligencję i dobrą wolę – wspominała Rita – wkładał w to, żeby układało się między nami jak najlepiej. Dla mnie był nie tylko kimś otwartym, ale kimś, komu można wszystko powiedzieć, bo wiadomo, że wszystko zrozumie. Nie osądzał. Nie potępiał. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Nie istniało żadne tabu”[144].

Przy niej trzymał w ryzach swoje ego, tak dominujące w jego twórczości. Mawiał, że wprawdzie „jest środkiem wszechświata, ale ona również”. W długich rozmowach wskazywał partnerce, jakie błędy popełnia, nie starał się jednak narzucić jej własnego punktu widzenia, ale dążył do tego, aby sama wyciągnęła wnioski. Nalegał też, by każdego lata gdzieś wyjeżdżała, a to, że nie mógł jej towarzyszyć, nie miało dla niego znaczenia.

„[...] piękną cechą naszego »wspólności« była jego uczciwość, zdolność do przyznania się do błędu, zawsze w czarujący sposób. To było naprawdę życie we dwoje. Każde z nas miało nie tylko prawo głosu, ale obowiązek samorealizacji, chodzenia własną drogą. Zachęcał mnie do skończenia doktoratu, potem do pisania artykułów do prasy kanadyjskiej. »Niech cię Bóg broni przed literaturą, ale pisząc, możesz zakorzenić się w rzeczywistości, a nie pozostać wieczną aspirantką”[145].

Rita kategorycznie też zaprzeczała opiniom, że była „niewolnicą Gombrowicza”. Według niej tworzyli związek partnerski, byli z sobą z własnej, nieprzymuszonej woli. I jak w każdym udanym związku wypracowali pewien kompromis, który zadowalał obie strony.

Po kilku miesiącach zanikła jednak więź seksualna, jaka początkowo ich łączyła. Gombrowicz ze smutkiem przyznawał, że „z Ritą od dawna nic”, gdyż stan zdrowia uniemożliwiał mu fizyczne „wspólność”. Wiedział, że w kwestiach erotycznych nic się już nie zmieni i pozostawało im tylko pogodzić się z tym faktem.

„Witold obdarzył mnie tym rodzajem miłości, jakim mógł obdarzać po królewsku: miłością ojcowską. [...] Buntowałam się przeciwko życiu rodzinnemu. Nie pragnęłam dla siebie normalnej, banalnej egzystencji. [...] Nie chciałam zakładać rodziny, ale pewnie skrycie szukałam domu, gdzie miałabym jeszcze ojca. A ponieważ Witold był jednocześnie i matką (w swej mądrości), i dzieckiem, sam jeden tworzył wspaniałą syntezę rodziny. Któż mógł mi dać piękniejszy dom niż on, emigrant? Wkroczyłam z nim do zaczarowanego świata poezji i zabawy, do rajy nieskończonego dzieciństwa”[146].

Małżeństwo

W listopadzie 1968 roku Witold przeszedł zawał serca. Nie trafił jednak do szpitala, pielęgnowano go w domu. Gdy znalazł się na granicy życia i śmierci, nagle zniknęła jego hipochondria i wieczne obawy o zdrowie. Tak jakby nie chciał pozostać w pamięci Rity jako mężczyzna, który bał się śmierci.

„Witold zachowywał się zdumiewająco – dziwiła się partnerka. – Znosił chorobę ze stoicyzmem, zimną krwią, a nawet z pewnym ironicznym rozbawieniem, jak gdyby mówiąc: »No proszę, więc to tak!«. W obliczu śmierci zachował naturalność i spokój ducha”[147].

Wprawdzie przed lekarzem przyznał się, że w głębi duszy bardzo się boi, ale wobec otoczenia okazywał opanowanie. Żartował z pielęgniarkami, co sprawiało, że „atmosfera stawała się zupełnie nierealna”. Przy okazji starał się odnaleźć powiązania choroby ze swoją twórczością:

„Moja choroba jest ściśle i tajemniczo związana z moim pisarstwem – tłumaczył. – Nie osiągnęło jeszcze takiego szczytu, żebym musiał od tego umrzeć. A przecież nie jestem zaskoczony. Byłem pewien, że tak się stanie. Jeśli teraz nie umrę, to to się uspokoi. Absolutnie nie boję się śmierci – boję się bólu”[148].

Atak serca przyspieszył decyzję, z którą Witold nosił się już od pewnego czasu. Rok wcześniej poprosił Ritę o rękę, napisał nawet w tej sprawie list do jej rodziców. Teraz oboje uznali, że odpowiednia pora już nadeszła, bo choć pisarz wracał do zdrowia, to zawał był przecież poważnym ostrzeżeniem. Gombrowicz chciał zalegalizować związek, wiedząc, że rozwiąże to wiele problemów. Rita zostanie jego jedyną spadkobierczynią – odziedziczy majątek i prawa autorskie. Poznał ją już wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że będzie najwłaściwszą osobą do zajęcia się spuścizną po nim. Małżeństwo gwarantowało także zabezpieczenie materialne Rity w przyszłości.

Uroczystość odbyła się w ostatnich dniach roku i miała bardzo skromny charakter. Narzeczeni dostali specjalne pozwolenie na zawarcie małżeństwa w domu, a przy ceremonii obecni byli tylko urzędnicy z merostwa i Paczowscy jako świadkowie. A kilka dni po ślubie Gombrowicz podjął heroiczną walkę o powrót do pracy.

„Teraz trzeba było nauczyć się żyć inaczej – relacjonowała Rita – z żelazną dyscypliną walczyć co dzień z szarżyzną. Co dzień leki, zastrzyki, masaże, dieta bez soli itp. – bezsilność, monotonia, nuda. Przez miesiąc leżał w łóżku, dwa miesiące nie pracował. »Wracam z innego świata« – mówił. Pod koniec stycznia zaczął na powrót palić fajkę, słuchać muzyki, pisać do paryskiej »Kultury« i do Cahier de l’Herne. Samodzielnie chodził po mieszkaniu, wspierając się na lasce [...]. Chciał wyjść na dwór, ale nie był w stanie pokonać dwóch pięter”[149].

Zmienił mieszkanie, bo potrzebny był im lokal z windą, aby Witold mógł wychodzić na świeże powietrze. Pod koniec marca przenieśli się do rezydencji Val-Clair przy wjeździe do Vence i tam Gombrowicz miał spędzić ostatnie miesiące życia. Jego serce zaczęło normalnie funkcjonować, zabijały go jednak astma i rozedma płuc.

„Ostatni raz wyszedł z domu w połowie czerwca, gdy była u nas Maria Paczowska. W południe wyszedł ze swego pokoju ubrany w garnitur z jasnego lnu, przywieziony jeszcze z Argentyny i przyciasny, którego nie nosił od czasów Royaumont. »Pogoda jak na Wielkanoc – powiedział. – Jedziemy na spacer«. Maria wolała zostać. Pojechaliśmy w stronę Saint-Paul. Prowadziłam ostrożnie, ale w pewnym momencie poprosił, żebym zwolniła, potem, żebym się zatrzymała. Wyjął chusteczkę z kieszeni i zobaczyłam, że płacze. Głośno wytarł nos, żeby to uciąć. »Umieram, wiem, że umieram« – podziękował mi za to, co dla niego zrobiłam. Prosił, żebym podziękowała też Marii Paczowskiej, Izie i pani Charlotte za to, że opiekowały się nim

w chorobie. Powróciliśmy do domu”[150].

Witold Gombrowicz zmarł w Vence 24 lipca 1969 roku. Rita była z nim do końca.

Kronos

Jeszcze przed zawarciem małżeństwa Witold zaczął wtajemniczać partnerkę w sprawy wydawnicze. Podjął już decyzję co do swojej spuścizny literackiej i chciał jak najlepiej przygotować Ritę do jej przyszłych obowiązków.

„[...] zmęczony i chory, przytłoczony pracą administracyjną, której w coraz większym zakresie wymagała jego twórczość, poprosił mnie o pomoc i w ten sposób wprowadził w swoje »sprawy« – wspomina pani Gombrowicz. – Nauczył, jak należy czytać umowy wydawnicze, jak odpowiadać na listy. Pokazał segregatory zawierające korespondencję i kilka rękopisów”[151].

Pół roku po śmierci Witolda Rita przeniosła się do Włoch i zamieszkała w pobliżu Paczowskich. Zabrała z sobą dwie walizki, w których pomieściła całe archiwum zmarłego męża. Postanowiła dokładnie je uporządkować, problemem był jednak fakt, że Gombrowicz pisał wyłącznie po polsku. Dlatego konieczna stała się pomoc Marii Paczowskiej.

„Przeglądałyśmy zawartość segregatorów, a Maria tłumaczyła mi to, co najważniejsze. W ten sposób po raz pierwszy otwarłyśmy notatki zamknięte w papierowej teczce w lososiowym kolorze, na której widniało napisane ręką Witolda dużymi literami: KRONOS. Były tam zapisane jego pięknym, regularnym pismem kartki firmowego papieru Banco Polaco. Przewracałam duże poślółkłe karty. Patrzyłam, jak mija jego życie rok za rokiem. To było poruszające. Zagadka. Skarb”[152].

Przez siedem lat Rita mieszkała w Mediolanie, potem przeniosła się do Paryża. Poświęciła swoje życie dziełu zmarłego męża, okazując się znakomitą kuratorką jego spuścizny. Utwory Gombrowicza przetłumaczono na blisko 40 języków, dzięki czemu jest jednym z najbardziej znanych w świecie polskich pisarzy. Dla Rity jednak szczególne znaczenie miało propagowanie jego twórczości nad Wisłą, gdzie jeszcze w latach 80. wynegocjowała z władzami PRL pierwsze oficjalne wydania utworów męża. Po upadku komunizmu nic już nie stało na przeszkodzie, aby dzieła Gombrowicza znalazły swoje właściwe miejsce na literackiej mapie Polski. Pojawiły się również filmowe ekranizacje, a rok 2004 ogłoszono Rokiem Gombrowiczowskim.

Rita przygotowała też dwie znakomite książki: *Gombrowicz w Argentynie* i *Gombrowicz w Europie*, oraz dbała, by ukazywały się niewydawane wcześniej utwory męża. Dzięki niej wydrukowano zbiory jego pogadanek nagranych dla Radia Wolna Europa: *Wędrowki polskie* i *Wędrowki po Argentynie*. Wtedy też okazało się, że nikt w rozgłośni nie wiedział, czy w ogóle zostały wyemitowane.

Nad Wisłą Gombrowicz trafił do kanonu lektur szkolnych, nie obyło się jednak bez skandalu, który wywołał ówczesny minister edukacji narodowej, wicepremier Roman Giertych. Zażądał on usunięcia *Ferdynand* z listy lektur szkolnych, co poskutkowało zwiększeniem zainteresowania twórczością autora powieści.

„Ważniejsza niż efekt końcowy – relacjonował publicysta Krzysztof Tomasiak – okazała się sama krucjata, powodująca, że nazwisko pisarza było odmieniane w mediach przez wszystkie przypadki, organizowano pojedynki na miny z udziałem najważniejszych polityków opozycji, a »Gazeta Wyborcza« wydała nawet specjalny dodatek gombrowiczowski. Warto przypomnieć, że jednym z zarzutów Giertycha wobec Gombrowicza był właśnie homoseksualizm pisarza. Gdy szef rządu Jarosław Kaczyński zapowiedział, że *Ferdynand* i *Trans-Atlantyk* pozostaną lekturami szkolnymi, minister odpowiadał: »Jeżeli premier chce wziąć na swoje sumienie wprowadzenie do kanonu lektur książki promującej pederastię, niech to robi«. Oczywiście ten wątek homoseksualny nie został podjęty, nie ma jednak wątpliwości, że w ciągu niespełna roku

swojego zarządzania Ministerstwem Edukacji Narodowej Giertych zrobił dla popularyzacji Gombrowicza bardzo dużo”[153].

Cała ta niezdrowa sytuacja nie wywarła jednak większego wrażenia na Ricie, która była już do takich spraw przyzwyczajona, podobnie jak do mało wybrednych ataków na swoją osobę. Koła emigracyjne od lat jej bowiem zarzucały, że wkradła się w łaski chorego pisarza, aby dobrze urządzić się w życiu. Zresztą wtedy pani Gombrowicz miała inne problemy na głowie, gdyż przygotowywała się do wydania *Kronosa*. Rękopis zdeponowała w jednym z banków, sama natomiast nie rozstawała się z fotokopiami. Poświęciła wiele lat na odcyfrowanie zapisków zmarłego męża, tekst opatrzyła setkami przypisów i odbyła dziesiątki spotkań z ludźmi, z którymi stykał się Gombrowicz. Cały czas jednak wahała się, czy nadeszła już odpowiednia pora na publikację. Najwięcej wątpliwości miała w stosunku do wyłaniającego się z tego dziennika obrazu własnej osoby.

„Czy powinnam udostępnić pełny tekst już teraz, czy też z zapiskami na temat życia Gombrowicza ze mną w Vence poczekać do mojej śmierci? Czy pominąć fragmenty zbyt prywatne, sygnalizując ich opuszczenie? Wahałam się, ale takie wyjście przypominało mi ponure lata cenzury komunistycznej. Jeśli wybrałabym któreś z tych rozwiązań (a miałam do tego prawo), życie Gombrowicza pozostałoby niedopowiedziane”[154].

Pani Gombrowicz podjęła jedyną słuszną decyzję, dzięki której w 2013 roku *Kronos* ukazał się w pełnej wersji. Rita, chociaż czasami nie zgadzała się z opiniami męża na swój temat, to jednak uznała, że „znalazła się po prostu w obiektywie jego studium siebie samego” i pogodziła się z faktem, że była „chcąc nie chcąc częścią życia pisarza, częścią historii literatury”.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się ostatnie lata życia pisarza, gdyby w Royaumont nie spotkał Rity. Czy żyłby dłużej, czy byłby bardziej szczęśliwy? Wątpliwe, bo spotkanie panny Labrosse okazało się chyba jednym z najszcześniejszych wydarzeń w jego życiu. Właściwa osoba pojawiła się we właściwym czasie i w odpowiednim miejscu. I niedługo po ich pierwszym spotkaniu wiedziała już, czego chce w życiu.

„Uderzyła mnie jego samotność, a także naturalność, z jaką o niej mówił – wspominała Rita ich rozmowy w Royaumont. – Był człowiekiem powściągliwym i bezpretensjonalnym, pozbawionym środowiska, interesującym wyłącznie ze względu na swoją osobowość. Byłam zafascynowana jego ukrytą siłą i myślałam, że szybko wyzdrowieje. Że moja wiara i moja miłość góry przeniosą. Ale niczego nie przeniosłam, bo on już kroczył ku śmierci. Mogłam tylko trzymać go za rękę przez tę resztę drogi, jaka mu została”[155].



PRZYPISY DO ROZDZ. I

- 1 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie. Świadczenia i dokumenty 1963–1969*, Kraków 1993, s. 251.
- 2 W. Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, t. 3, Kraków 1988, s. 186–188.
- 3 Za: R. Gombrowicz, *op. cit.*, s. 298.
- 4 *Ibidem*, s. 331.
- 5 *Ibidem*.
- 6 *Ibidem*, s. 330.
- 7 *Ibidem*.
- 8 Za: *ibidem*, s. 359.
- 9 *Ibidem*, s. 332.
- 10 W. Gombrowicz, *Kronos*, Kraków 2013, s. 319.
- 11 R. Gombrowicz, *op. cit.*, s. 332.
- 12 *Ibidem*, s. 321.
- 13 Za: *ibidem*, s. 363.
- 14 Za: T. Kępiński, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, Warszawa 1974, s. 59–60.
- 15 Za: *ibidem*, s. 69.
- 16 Za: *ibidem*.
- 17 *Ibidem*, s. 72.
- 18 Za: *ibidem*.
- 19 W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 43.
- 20 T. Kępiński, *op. cit.*, s. 75.
- 21 *Ibidem*.
- 22 Za: J. Siedlecka, *Jaśnie panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Gdańsk 1992, s. 165.
- 23 Za: *ibidem*, s. 168.
- 24 Za: *ibidem*, s. 172.
- 25 Za: *ibidem*, s. 178.
- 26 T. Kępiński, *op. cit.*, s. 189.
- 27 *Ibidem*, s. 193.
- 28 *Ibidem*, s. 187–188.
- 29 W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, w: *Dzieła*, t. 15, Kraków 1996, s. 48.
- 30 T. Kępiński, *op. cit.*, s. 221–222.
- 31 *Ibidem*, s. 48.
- 32 J. Kaden-Bandrowski, *Niemoc moralna Gombrowicza w „Pamiętniku”*, „Gazeta Polska”, 16.08.1933.
- 33 *Ibidem*.
- 34 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 197–198.
- 35 W. Gombrowicz, *Wspomnienia...*, s. 108.
- 36 *Ibidem*.
- 37 *Ibidem*, s. 108–109.
- 38 *Ibidem*, s. 109.

- 39 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 208.
- 40 W. Gombrowicz, *Wspomnienia...*, s. 108.
- 41 *Ibidem*, s. 112.
- 42 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 210.
- 43 Za: *ibidem*, s. 219.
- 44 Za: *Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej*, Warszawa 1965, s. 254.
- 45 W. Gombrowicz, *Wspomnienia...*, s. 147.
- 46 *Ibidem*, s. 115.
- 47 Za: K. Tomasiak, *Homobiografie*, e-book, Warszawa 2009.
- 48 W. Gombrowicz, *Podróże i przygody. Niesmak w permanencji*, „Kurier Poranny”, 16.07.1937.
- 49 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 211.
- 50 W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, t. 1, Kraków 1997, s. 264.
- 51 W. Gombrowicz, *Wspomnienia...*, s. 101.
- 52 *Ibidem*, s. 184.
- 53 *Ibidem*, s. 186–187.
- 54 *Ibidem*, s. 187.
- 55 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie. Świadectwa i dokumenty 1939–1963*, Kraków 2004, s. 16.
- 56 Za: *ibidem*, s. 22.
- 57 Za: *ibidem*, s. 44.
- 58 Za: *ibidem*, s. 27.
- 59 Za: *ibidem*, s. 39.
- 60 W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 70.
- 61 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 31.
- 62 Za: *ibidem*, s. 32.
- 63 Za: *ibidem*, s. 36.
- 64 Za: M. Grinberg, *Wspominając Gombrowicza*, Warszawa 2005, s. 55.
- 65 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 28.
- 66 Za: *Ibidem*, s. 59.
- 67 W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 2001, s. 207.
- 68 *Ibidem*, s. 71.
- 69 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 87.
- 70 Za: *ibidem*, s. 78.
- 71 Za: *ibidem*, s. 79.
- 72 Za: M. Grinberg, *op. cit.*, s. 62.
- 73 Za: M. Azembski, *Dwie godziny z Gombrowiczem*, „Miesięcznik Literacki”, 9/1975.
- 74 Za: *Ibidem*.
- 75 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 126.
- 76 Za: K. Suchanow, *Argentyńskie przygody Gombrowicza*, Kraków 2005, s. 150–151.
- 77 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 138.
- 78 Za: *ibidem*, s. 138.
- 79 Za: *ibidem*, s. 142.
- 80 Za: *ibidem*, s. 145.
- 81 Za: *ibidem*, s. 148.
- 82 Za: *ibidem*, s. 148–149.
- 83 W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 181.

- 84 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 90.
- 85 Za: *ibidem*, s. 157.
- 86 M. Grinberg, *op. cit.*, s. 22.
- 87 Za: K. Tomasik, *op. cit.*
- 88 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 158.
- 89 Za: *ibidem*, s. 161.
- 90 Za: *ibidem*, s. 136.
- 91 Za: Ł. Garbał, *Wybór cytatów z przemówienia Cyrankiewicza o Gombrowiczu*, wyborcza.pl/1,75248,4295537.html.
- 92 Za: M. Grinberg, *op. cit.*, s. 88.
- 93 W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 221.
- 94 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 253.
- 95 Za: M. Grinberg, *op. cit.*, s. 77–78.
- 96 Za: *ibidem*, s. 63–64.
- 97 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 248.
- 98 W. Gombrowicz, *Wędrowki po Argentynie*, w: W. Gombrowicz, *Dzieła*, t. 15, Kraków 1996, s. 202.
- 99 *Ibidem*, s. 203.
- 100 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 250.
- 101 Za: *ibidem*, s. 255.
- 102 Za: *ibidem*, s. 257.
- 103 Za: M. Grinberg, *op. cit.*, s. 41.
- 104 Za: *ibidem*, s. 133.
- 105 Za: *ibidem*.
- 106 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie...*, s. 279.
- 107 Za: M. Grinberg, *op. cit.*, s. 19.
- 108 Za: W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 323.
- 109 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, Kraków 1993, s. 28.
- 110 W. Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, s. 112.
- 111 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 52.
- 112 Za: *ibidem*, s. 29.
- 113 *Gombrowicz. Walka o sławę. Korespondencja*, t. 2, Kraków 1998, s. 97.
- 114 W. Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, s. 139.
- 115 *Ibidem*, s. 178.
- 116 W. Gombrowicz, *Tandeta*, „Kultura” 9/1963.
- 117 S. Zieliński, *Gombrowicz w Jordanie*, „Kultura” 11/1963.
- 118 *Ibidem*.
- 119 *Ibidem*.
- 120 L. Morstin, *List do Gombrowicza*, „Życie Warszawy” 13–14.10.1963.
- 121 K.T. Toeplitz, *Szlachetność plotki*, „Kultura” 28/29/1963.
- 122 Hamilton, *Emigrant*, „Kultura” 22/1963.
- 123 Za: R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 58.
- 124 Za: M. Gliński, *Rita Gombrowicz: nic już więcej nie chowam*, culture.pl/pl/artukul/rita-gombrowicz-nic-wiecej-juz-nie-chowam-wywiad.
- 125 W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 326–329.
- 126 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 338.
- 127 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 383.

- 128 W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, Kraków 1992, s. 15–16.
- 129 *Ibidem*, s. 15.
- 130 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 339–340.
- 131 *Ibidem*, s. 341.
- 132 Za: B. Koś, *Kazimierz Głaz, malarz i przyjaciel Gombrowicza gościł w muzeum we Wsoli*, echodnia.eu/apps/pbcs.dll/article?AID=/20110922/KULTURARAD05/871189492.
- 133 Za: *ibidem*.
- 134 Za: *ibidem*.
- 135 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 335–336.
- 136 W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 335.
- 137 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 384.
- 138 Za: *ibidem*, s. 334–335.
- 139 W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 13.
- 140 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 375.
- 141 Za: *ibidem*, s. 380.
- 142 Za: *ibidem*, s. 377–378.
- 143 Za: *ibidem*, s. 380.
- 144 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 343.
- 145 *Ibidem*, s. 344.
- 146 *Ibidem*, s. 342.
- 147 *Ibidem*, s. 350.
- 148 Za: *ibidem*.
- 149 *Ibidem*, s. 352.
- 150 *Ibidem*, s. 353.
- 151 Za: W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 5.
- 152 Za: *ibidem*, s. 6.
- 153 K. Tomasik, *op. cit.*
- 154 Za: W. Gombrowicz, *Kronos*, s. 15.
- 155 R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 331.

Dwie żony Sławomira Mrożka





„Maria Obremba

była kobietą wyjątkowo piękną, o ciemnych włosach, bardzo ładnej twarzy, ogromnych, szeroko rozstawionych ciemnych oczach i wspaniałym uśmiechu. Niestychanie dobra i serdeczna, troszczyła się o Sławka, była jego sekretarką i opiekunką. Nie wiem, czy jeszcze wtedy malowała, nigdy nie widziałam jej obrazów. Sławek odnosił się do niej wspaniale, to było bardzo zgodne małżeństwo, choć raczej bez jakiegoś wielkiego gadania. Mara zajmowała się domem, tak że on nic nie musiał robić, i nie słyszałam, żeby choć raz się poskarżyła. W dodatku Sławek, który uciekał od ludzi, zwałił na nią wiele swoich obowiązków towarzyskich i zawodowych”.

Romana Próchnicka

Niełatwo być drugą żoną mężczyzny, ale prawdziwym wyzwaniem jest zastąpienie jego przedwcześnie zmarłej, ukochanej partnerki. Tymczasem Meksykance Susanie Osorio Rosas udało się to osiągnąć u boku Sławomira Mrożka. Sukces ten był tym większy, że pan Sławomir zawsze uchodził za człowieka niełatwego we współżyciu.

Maria Obremba

Pierwsza żona Sławomira Mrożka pochodziła z Mysłowic. Była córką zasłużonego lekarza, Teodora Obremby, który w okresie międzywojennym kierował Szpitalem Gminnym dla Chorych na Gruźlicę w Brzezince. Ojciec Marii angażował się również w działalność polityczną i społeczną, był przewodniczącym rady miejskiej i posłem. W czasie powstań śląskich pełnił funkcję adiutanta Wojciecha Korfantego, z tego też powodu w latach okupacji niemieckiej musiał się ukrywać przed gestapo. Po wojnie pracował jako lekarz kolejowy, zmarł w 1951 roku.

Maria i jej siostra bliźniaczka Gabriela od wczesnych lat przejawiały talent artystyczny i w efekcie obie trafiły do szkół plastycznych. Nie zdawały jednak na tę samą uczelnię, gdyż Gabriela rozpoczęła studia w Krakowie, natomiast Maria w Katowicach. To zadecydowało o ich przyszłych losach. Gabriela niebawem poznała kolegę z uczelni, Andrzeja Wajdę, wyszła za niego za mąż i ostatecznie edukację dokończyła w Warszawie, natomiast Maria związała się z katowicką awangardą zwaną grupą St-53.

Było to jedno z pierwszych powojennych ugrupowań artystycznych. Wśród jego członków przeważali plastycy z katowickiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, jednak nie brakowało tam również literatów, historyków sztuki czy architektów. Nazwa grupy wywodziła się od roku i miejsca jej powstania (w roku 1953 Katowice nosiły jeszcze nazwę Stalinogród), a jednocześnie od nazwiska Władysława Strzemińskiego, do którego twórczości odwoływali się młodzi zapaleńcy.

Byli kontestatorami obowiązującego trendu w sztuce, czyli socrealizmu. Nie protestowali jednak zbyt hałaśliwie i unikali odniesień do polityki.

„[...] młodzi śląscy artyści – pisała Aleksandra Krypczyk w monografii grupy – tworząc specyficzne, nieformalne stowarzyszenie, nie zamierzali walczyć z panującą wówczas w Polsce formułą »socreality«, nie byli grupą zbuntowanych, głoszących awangardowe manifesty, radykalnych politycznie burzycieli. W wielu recenzjach z lat pięćdziesiątych powtarza się określenie »skromni« i wydaje się, że to oddaje istotę rzeczy. Grupa St-53 [...] skupiała młodzież poszukującą nowoczesnych wzorców sztuki, nowoczesnego języka sztuki [...]”[1].

Maria Obremba (zwana Marą) doskonale odnajdywała się w tym środowisku. Młodzi twórcy mieli problemy z miejscem wystawiania swoich prac, wobec czego druga ekspozycja grupy odbyła się w jej mieszkaniu w Katowicach. Mara była zdolną malarką, a jej obrazy porównywano do dzieł Paula Klee. „Piękna i utalentowana” dziewczyna „operowała cienką, delikatną kreską i cieniowaną plamą barwną”. Do dnia dzisiejszego nie zachowała się jednak żadna z jej prac, jej obrazy są znane wyłącznie z czarno-białych reprodukcji. Ale nawet one umożliwiają docenienie jej niezwykłego talentu. Maria współpracowała również z ówczesnymi pismami kulturalnymi, które chętnie zamieszczały jej znakomite ilustracje. W swoich pracach prezentowała „liryzm, bajkowy nastrój, graficzność formy, nieco tajemniczy, nierealny nastrój

kojarzący się z dziełami Matisse'a i Miró”.

Grupa St-53 rozpadła się w 1956 roku, a jej członkowie poszli własnymi drogami. W tym czasie Mara wyjechała na wycieczkę do Związku Radzieckiego, gdzie poznała pewnego początkującego literata. Był od niej o trzy lata młodszy i niespecjalnie towarzyski, ale i tak zafascynował ją swoją osobowością.

„[Była to] pierwsza w historii – wspominał po latach Sławomir Mrozek – wycieczka zagraniczna zorganizowana przez Orbis – państwowe biuro turystyczne. W punkcie zbornym, w pociągu podstawionym na Dworcu Wschodnim w Warszawie, zastałem uszczęśliwionych wycieczkowiczów. Byli uszczęśliwieni, ponieważ nagle zaczęła panować moda na wszelkiego rodzaju sprawiedliwość, czyli na »rozwiązania losowe«. Polegało to na tym, że wycieczki zagraniczne były przydzielane przez losowanie, co w pewien sposób zapewniało sprawiedliwy ich rozdział”[2].

Wycieczkowicze odwiedzili Moskwę, Kijów i Odessę. W czarnomorskim porcie przesiadli się na statek, dotarli do Jałty, stamtąd do Batumi w Gruzji, gdzie spędzili tydzień. Mrozek nie cierpiał wprawdzie przypadkowych kontaktów towarzyskich, ale tym razem nie miał większego wyboru.

„Zapoznałem się bliżej z moimi towarzyszami i towarzyszkami podróży. Byli to ludzie najrozmaitsi, od twórczych inteligentów (niektórzy bardzo znani w Warszawie) do ordynarnych kombinatorów. Szybko powstały grupy, zgodnie z zasadami doboru naturalnego. Pewną uciążliwością był rozdział pokoi, przestrzegany z całą surowością. Pary pozamałżeńskie, do których ja nie należałem, były rozdzielane w sposób nieubłagany. Nieodmiennie lądowałem w pokoju z pewnym nudziarzem, znacznie starszym ode mnie, ale nominalnie również nieżonatym”[3].

Podczas tej podróży Sławomir i Mara bardzo zbliżyli się do siebie. Wprawdzie on zdawał się nie zauważać kobiet, to jednak dla inteligentnej i urodziwej plastyczki zrobił wyjątek. Obremba wywarła na nim wielkie wrażenie, nie była podobna do żadnej z kobiet, które dotąd znał.

„Wracałem z Rosji już odmieniony, sam jeszcze o tym nie wiedząc. Maria Obremba była Ślązacczką. [...] Jej babka mówiła tylko po niemiecku, ale jej rodzina z »zielonego« Śląska trwała przy polskości. Matka była z Poznania [...]. Maria skończyła ASP i trudniła się pracami dorywczymi, jednak głównie uprawiała malarstwo, co w czasach realizmu socjalistycznego nie było rzeczą łatwą”[4].

Literat z Krakowa

„[...] ponurak, małomówny, zamknięty w sobie – charakteryzowano Mrożka w notatce dla Służby Bezpieczeństwa – nieufnie nastawiony wobec wszystkich znajomych. W obecności osób trzecich bywa bardzo ostrożny i wstrzemięźliwy w wypowiedziach”[5].

Wielki wpływ na życie pana Sławomira miały choroba i przedwczesna śmierć jego matki. Przez ostatnie lata jej życia właściwie nie miał z nią kontaktu, gdyż cierpiąca na gruźlicę Zofia Mrozek spędzała czas głównie w sanatoriach i szpitalach. Przyszły pisarz nie potrafił dojść do porozumienia z ojcem ani młodszą siostrą, w efekcie chciał jak najszybciej opuścić dom rodzinny.

Od zakończenia wojny mieszkał w Krakowie, tam też zrobił maturę. Zaczął studiować architekturę, uważając ją za pewien rodzaj kompromisu pomiędzy twórczością artystyczną i normalnym zawodem. Po trzech miesiącach zrezygnował jednak z tego kierunku, a następnie udało mu się zdać egzamin do krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Tam również długo nie zabawił, a gdy zagroził mu pobór do wojska, nagle pojawił się na orientalistyce na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po uzyskaniu odroczenia służby wojskowej porzucił również i te studia, wyprowadził się z rodzinnego domu i zamieszkał na strychu u rodziny swojego bliskiego przyjaciela, późniejszego aktora Leszka Herdegena.

Najbardziej pociągała go praca literacka. Zaczynał w redakcji „Dziennika Polskiego”, później przyszedł czas na publikacje tekstów satyrycznych w „Szpilkach”, „Po Prostu”, „Życiu Literackim” i „Nowej Kulturze”. Nie należał wówczas do grona kontestatorów – szczerze wierzył w komunizm, był członkiem PZPR, a napisany przez niego dla „Przekroju” reportaż o Nowej Hucie mógł uchodzić za przykład ideologicznej ortodoksji.

Szczególne znaczenie miała dla Mrożka znajomość ze starszym od niego o osiem lat krakowskim poetą Adamem Włodkiem, który był wówczas mężem początkującej poetki Wisławy Szymborskiej i mieszkał razem z nią w niewielkim pokoiku na poddaszu Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Było to niedaleko ulicy Świerczewskiego (obecnie Studenckiej), gdzie mieszkali Herdegenowie, toteż Mrozek często przebywał w towarzystwie starszego kolegi.

„Wystarczyło wychylić się z mojego strychu – wspominał wiele lat później – by [...] w otwartym oknie dostrzec jego obfitą czuprynę z mołojckim lokiem i otyłą sylwetkę. W dodatku naga. Włodek miał bowiem zwyczaj przestawać w domu nago, gdy temperatura zbliżała się do 30 stopni Celsjusza. Często przychodziłem do niego przed południem, gdy za pomocą wielkiego garnka warzył w kuchni jakąś obrzydliwą naukową kawę z cykorią. Twierdził, że potrzebuje na śniadanie około litra tej pseudokawy i nic więcej. Potem ubierał się niezobowiązująco i szliśmy do baru mlecznego, gdzie jadł osiem bułek i jajecznicę z pięciu jaj”[6].

Włodek „był urodzonym pedagogiem”, a Mrozek często towarzyszył mu w jego wędrówkach po Krakowie. W tym mieście „wszyscy wówczas się znali”, a więc i Sławomir zawierał cenne znajomości. Dzięki poparciu Włodka przyszły dramaturg otrzymał też pierwsze samodzielne mieszkanie, gdy w Domu Literatów przy Krupniczej zwolnił się jeden z pokoi w oficynie.

„Do tego potrzebna była jednak przynależność do Związku Literatów Polskich – opowiadał Mrozek. – Tu niezawodny Adam Włodek przystąpił do akcji. Wy tłumaczył w Związku Literatów, że piszę książkę, ale na razie nie mam gdzie mieszkać, co było półprawdą. Twierdził, że gdy dostanę mieszkanie, dokończę książkę w pół roku i owa formalność zostanie

niechybnie dopełniona”[7].

Członkowie ZLP weszli w posiadanie kamienicy w sposób dość przypadkowy. W latach wojny mieścił się tam hotel dla niemieckich urzędników, a gdy okupanci opuścili Kraków, pozostał po nich potężny zapas spirytualiów. Gdy budynek odwiedziła grupa literatów poszukujących mieszkań dla członków ZLP, to zaległa tam, „dopóki nie skonsumowała zapasów”. Konsumpcja trwała dość długo, a w tym czasie inne, lepsze kamienice zostały już zajęte, toteż pisarzom „nie pozostało nic innego, jak pozostać tu na stałe”.

Budynek przy Krupniczej, w którym Jadwiga Witkiewiczowa czuła się tak bardzo źle, że uciekła z niego aż do Warszawy, był ewenementem na skalę ogólnoeuropejską. W żadnym innym miejscu liczba wybitnych twórców na metr kwadratowy powierzchni nie była tak duża, nic zatem dziwnego, że kamienicę nazywano „czworakami literackimi” lub „domem czterdziestu wieszczów”.

„Ten dom jest jak Akademia Francuska – opowiadał poeta Bronisław Maj. – Ma trzy klatki schodowe jasno wyznaczające hierarchię. Kiedy umiera zasłużony starzec, który przeważnie dogorywał już w eleganckiej części od frontu, do jego mieszkania przenosi się nieco mniej zasłużony klasyk z klatki środkowej, do mieszkania mniej zasłużonego klasyka przenosi się ktoś z wyższych pięt, czyli z trzeciej klatki z wejściem od podwórka, a na miejsce tego ostatniego wprowadza się młody, dobrze zapowiadający się pisarz. Po serii korzystnych zgonów ja sam zająłem mieszkanie, które Mroźek dzielił wcześniej ze Stanisławem Czychem”[8].

Mroźek zamieszkał więc w małym pokoju, a kuchnię i łazienkę dzielił ze swoim współlokatorem, za którym zresztą nie przepadał. Pan Sławomir z niewiadomych powodów podejrzewał, że Czych ciągle chce od niego pożyczać pieniądze. Przerodziło się to w rodzaj obsesji. Unikał go na wszelkie możliwe sposoby, aż wreszcie doszło do tego, że współlokator publicznie mówił o nim: „Ten skąpy skurwysyn Mroźek”...

„Gdy objąłem te pokoje – kontynuował Maj – część Czycha była... nie powiem, że zdewastowana, ale było widać, że ktoś w niej mieszkał, i to delikatnie mówiąc. Mroźkowska część była natomiast dziewiczo nieskazitelna. Mroźek prawie nie palił w piecu, nie otwierał okien. Miał niewiarygodnie uregulowany tryb życia. Wychodził rano do baru na ulicę Rajską, zjadał bułkę, wypijał szklankę mleka i jak najszybciej wracał. Nie chcąc tracić czasu na rozpalanie w piecu, bo to przecież głupstwa, zakładał rękawiczki i pisał. Okna zaklejał papierem, żeby ciepło nie uciekało i żeby mu nikt nie przeszkadzał”[9].

Podobno „steżenie normalności w tym domu było poniżej błędu statystycznego”, gdyż praktycznie każdy lokator uważał się za geniusza. Gdy ktoś kiedyś poszukiwał Jerzego Szaniawskiego i – nie znając numeru mieszkania – zaczął krzyżeć na podwórzu: „Mistrzu! Mistrzu!”, natychmiast otworzyły się okna prawie wszystkich mieszkań. Był tylko jeden wyjątek i właśnie w tym mieszkaniu petent odnalazł Szaniawskiego.

Na Krupniczej Mroźek pisał opowiadania, inscenizował również swoje pierwsze próby dramatyczne. W mieszkaniu Szymborskiej i Włodka (po kolejnej serii korzystnych zgonów dostali lokal, który kiedyś zajmowali Gałczyńscy) wraz z Herdegenem odgrywał humorystyczne scenki przed gospodarzami i ich gośćmi. Zacierła się różnica pomiędzy aktorami a widownią, wszyscy doskonale się bawili. Po latach Mroźek wspominał ten okres jako czas wyętej pracy, ale też intensywnego pijaństwa. Czy zresztą mogło być inaczej, skoro większość mieszkających tam literatów lubiła nadużywać trunków? Jednak dla pana Sławomira zawsze najważniejsza była literatura. Znalazł swoją drogę życiową i nie zamierzał z niej zrezygnować.

„Młody Mroźek to było okropne dziwadło – wspominał inny mieszkaniak domu przy Krupniczej, Stefan Kisielewski. – Chodził w jakichś czarnych kapeluszach z zasłoniętą twarzą, przebierał się dziwnie, obiad mu przynosili, pod drzwi stawiali. No, wielki oryginał był”[10].

Paryż i Harvard

Pan Sławomir miał wyjątkowe szczęście do loterii Orbisu i wkrótce po wycieczce do ZSRR wygrał następny wyjazd zagraniczny. Tym razem była to znacznie bardziej atrakcyjna wyprawa, pojechał bowiem do Wiednia i Wenecji. Pierwszy kontakt ze „zgniłym”, imperialistycznym Zachodem zrobił na nim jak najlepsze wrażenie.

„Zapał zmierzch – opowiadał po latach. – [...] Oddałem się czynności podziwiania niezwyklej poświaty, która rosła nieznacznie, ale stale – w miarę jak zbliżaliśmy się do Wiednia. To, co początkowo wziąłem za zjawisko nadnaturalne, okazało się poświatą pochodzącą od niezliczonej ilości lamp ulicznych, neonów, oświetlonych okien, restauracji, barów i kawiarni. Po raz pierwszy w życiu, mając lat 26, zobaczyłem prawdziwe miasto. Porównanie z ówczesnym Krakowem było nieuchronne”[11].

Jednak do prawdziwej ekstazy doprowadziła go dopiero Wenecja. Atmosfera miasta na lagunach przerosła wszelkie oczekiwania, a wspomnienia z tej pierwszej wizyty na zawsze pozostały w jego pamięci. Uznał, że znalazł się „w jedynym miejscu na świecie, osobnym, całkiem niezależnym od świata, nawet zachodniego”. Chodził po Wenecji w nieustającym uniesieniu i miał tutaj powracać jeszcze wielokrotnie. I jak na rasowego literata przystało, wykorzystał swoje odczucia w jednym z opowiadań (*Moniza Clavier*).

Shczęście do podróży nadal mu sprzyjało i niebawem został wytypowany przez ZLP na wyjazd do Paryża. Nad Sekwaną pojawił się w towarzystwie Wisławy Szymborskiej i Tadeusza Nowaka. Na miejscu dołączyli do Jana Józefa Szczepańskiego.

Nocowali w tanim hoteliku w ubogiej dzielnicy, a dni spędzali „na tradycyjnych paryskich szlakach, które każdy turysta musi przebyć”. Brakowało im pieniędzy na wizyty w teatrach i restauracjach, toteż głównie zwiedzali kościoły i muzea. Często bywali również w paryskich kinach, oglądając filmy niedostępne w kraju.

„W Polsce kino dzieliło świat ideologicznie na dwie połowy – wschodnią i zachodnią. W Paryżu ta połowa, która była dla nas niedostępna w Polsce, otworzyła się i korzystaliśmy z niej obficie. Głód kina był dotkliwy [...]. Z rozkoszą oglądałem filmy z całego świata, starannie pomijając filmy radzieckie i z »demoludów«. Bo i takie filmy można było tu obejrzeć”[12].

Nad Sekwaną Mrozek spędzał dużo czasu w towarzystwie spotkanych tam Zbyszka Cybulskiego i Bogumiła Kobieli. Aktorzy przebywali w Paryżu na stypendium, w kraju zdobyli już znaczną popularność jako twórcy trójmiejskiego teatryku Bim-Bom. Sławomir znał ich jeszcze z czasów, gdy studiowali w szkole aktorskiej w Krakowie. Teraz odnowili kontakt, co w przyszłości miało mieć poważne konsekwencje dla zawodowej kariery pisarza.

„Ubocznym skutkiem mojego pobytu w Paryżu – przyznawał pan Sławomir – [...] było wzmożone pijaństwo. [...] Byłem nietrzeźwy albo wręcz pijany bez przerwy. [...] Przez ten cały czas, gdy przebywałem we Francji, miałem poczucie niższości dotyczące Polski i mojego własnego losu. Wydawało mi się beznadziejne to, że na zawsze pozostanę już w Polsce i będę dzielił niewolniczą dolę. Piłem także dla dodania sobie animuszu, ponieważ czułem się skrępowany niemożnością swobodnego poruszania się, porozumiewania oraz załatwiania najprostszych spraw. Skończyło się na tym, że z jednej strony piłem z żalu, że wrócę do Polski, a z drugiej, że wracając, odzyskam zdolność działania, co powinno mnie powstrzymać od picia. Piłem więc z ogólnej rozterki”[13].

Polskie władze zachowywały się wobec Mrozka w bardzo niekonwencjonalny sposób. Trzy lata po pobycie w Paryżu wyrażono zgodę na jego udział w International Summer School organizowanej na Uniwersytecie Harvarda przez profesora Henry’ego Kissingera. Pobyt w USA

ostatecznie zmienił jego optykę postrzegania świata.

„Do tej pory od urodzenia mieszkałem w Polsce i brakowało mi wyobraźni, że można żyć gdzie indziej. Spędziłem, co prawda, jako turysta miesiąc we Francji i dwa tygodnie w Związku Radzieckim, przy czym okazało się, że Związek Radziecki – jako kraj komunistyczny – jest jeszcze gorszy od Polski, ale być turystą, a mieszkać w danym kraju to nie to samo. Z Ameryką było inaczej. Objawiła mi się jako kontynent nieograniczonej swobody. Co więcej, ta swoboda była zaraźliwa. Już po dwóch miesiącach pobytu, kiedy planowałem powrót do kraju, postanowiłem nie wracać najkrótszą drogą, lecz przez Francję i Włochy, a potem przez Austrię do Polski”[14].

Podczas pobytu za oceanem Mrozek zachowywał się tak, jak miał w zwyczaju. Nigdy nie lubił tłumnych spotkań towarzyskich, oficjalnych przemówień i toastów. Na rautach z reguły milczał, unikając rozmów z przypadkowymi ludźmi. Introwertyczne zachowania stały się jego znakiem rozpoznawczym.

„Do zabierania głosu zawsze odczuwałem wstręt – wspominał. – Z tego powodu cierpiałem później przez czterdzieści lat z okładem. [...] Dostawałem propozycje, żeby pojechać tu i ówdzie na jakiś zjazd, konferencję czy publiczną dysputę i nigdy nie miałem na to ochoty. Ale z drugiej strony chciałem wyjeżdżać, kiedy tylko się dało, wyjeżdżać na różne kontynenty, a przynajmniej chciałem się poruszać po Europie. Kończyło się tak, że przyjmowałem zaproszenie, a na miejscu nie mówiłem ani słowa. Z początku dziwiono się i oczekiwano, że coś powiem, a potem machano ręką. [...] Metoda ta działała pod jednym warunkiem: do żadnego kraju nie mogłem jechać więcej niż jeden raz. Ale to mi wystarczało”[15].

Na Harvardzie Mrozek nie uczestniczył nawet w obowiązkowych zajęciach przedpołudniowych, wolał długo spać i regenerować się po wieczornych dawkach alkoholu. Za to z zapałem brał udział w organizowanych przez gospodarzy wycieczkach autokarowych. Jak zwykle chciał jak najwięcej zobaczyć i zapamiętać.

Trójmiejski kabaret

W 1958 roku dostał zaproszenie od Kobieli i Cybulskiego do udziału w pracy nad drugim programem teatryku Bim-Bom. Kabaret z Trójmiasta zdobywał coraz większy rozgłos i współautorstwo kolejnej premiery było poważną nobilitacją. Czas spędzony na Wybrzeżu okazał się bardzo owocny, a Mrozek szczególnie dobrze wspominał pobyt w sopockim Grand Hotelu.

„Mój tryb życia był następujący. Budziłem się koło dwunastej w obszernym pokoju na drugim piętrze hotelu stojącego tuż nad morzem. Odsuwałem zasłonę, aby sprawdzić, jaka jest pogoda. Wtedy akurat panowała ostra zima i morze było zamrożone. Potem korzystałem z łazienki, której w Krakowie nie miałem. Następnie szedłem na śniadanie [...], już podczas tego śniadania zbierali się koledzy, znajomi i ludzie, których spotkałem przypadkowo ubiegłej nocy”[16].

Był to jedyny w jego karierze epizod pracy zespołowej. Nigdy za tym nie przepadał, ale tym razem uznał, że to jedyny możliwy sposób przygotowania dobrego programu kabaretowego. Współpraca z Kobielą, Cybulskim, Wowo Bielickim i Jackiem Fedorowiczem układała się wyjątkowo dobrze, toteż często zapominał o swojej niechęci do rozmów w większym gronie. Dobrze się czuł w otoczeniu młodych zapaleńców sztuki teatralnej.

„Przez cały czas przysiadali się do nas różni osobnicy. Opowiadali parę nieistotnych zdarzeń, parę anegdot i znikali. Od czasu do czasu jeden z nas miał pomysł, opowiadał go innym, a oni najczęściej go odrzucali albo w wyjątkowych wypadkach godzili się na niego. Podświadomie czy też świadomie goniliśmy za pomysłami nawet wtedy, kiedy byliśmy sami. Wtedy spieszyliśmy się, aby opowiedzieć je innym. Według moich doświadczeń tak powstaje program kabaretu”[17].

Premiera *Radości poważnej* była wielkim wydarzeniem, a na spektaklu pojawiła się intelektualna elita Wybrzeża. Mrozek zasiadł w jednym z pierwszych rzędów i szybko tego pożałował. Program okazał się ogromnym sukcesem, jednak nikt nie wywołał go na scenę, a cały aplauz zebrali koledzy. Nie „kłaniał się wśród braw, kwiatów i pięknych, a przychylnych mu kobiet”, więc w efekcie postanowił, że sam napisze sztukę, dzięki której zdobędzie popularność.

Pomysł szybko doczekał się realizacji. Mrozek wyjechał do Sobieszewa, gdzie w jednym z pensjonatów w ciągu kilku dni napisał *Policję*. Utwór ten miał mu zapewnić sławę w świecie teatralnym PRL.

Małżeństwo idealne

Jeszcze podczas pobytu w USA podjął inną ważną decyzję. Uznał, że nadszedł czas na zalegalizowanie związku z Marą i założenie rodziny. Nadal mieszkali w innych miastach, a mimo to już od dłuższego czasu regularnie się spotykali. Najczęściej to Sławomir jeździł do Katowic, bo w jego lokalu na Krupniczej nie było atmosfery intymności.

„Mój związek z Marią trwał już trzy lata i wymagał decyzji. Nie należę do osób, które chętnie się żenią. Szeroko pojęta wolność dotyczy także małżeństwa. Bliższy związek wydaje mi się jakościowo inny niż luźne związki”[18].

Tymczasem znajomość Sławomira z Marą wcale nie przebiegała bezkonfliktowo. Po dwóch latach nawet z sobą zerwali, ale dość szybko się pogodzili. Mrozek znów zaczął regularnie bywać w Katowicach, coraz częściej myślał jednak o przeprowadzce do stolicy. Planował, że Mara będzie mu tam towarzyszyła.

„Myślałem też o ostatecznym porzuceniu Krakowa i przeniesieniu się do Warszawy oraz o tym, że jeżeli oświadczę się Marii, to pozostanie w Krakowie będzie nonsensem – wspominał. – Z tego wynika, że Ameryka obudziła we mnie potrzebę zmian, a każda zmiana kojarzy się z nowym miejscem, do którego należy dojść”[19].

Plany małżeńskie zbiegły się z pierwszymi sukcesami Mrożka na scenach teatralnych. Prapremiera *Policji* w stołecznym Teatrze Dramatycznym święciła triumfy. Tego dnia Mrozek zrozumiał, że otwierają się przed nim drzwi do kariery i będzie mógł utrzymać rodzinę z twórczości teatralnej.

„Teatr Dramatyczny w Warszawie [...] nie widział człowieka tak szczęśliwego jak ja. Ludzie pokładali się ze śmiechu i co chwila bili brawo. W ciągu każdego antraktu rosło podniecenie i na zakończenie trzeciego aktu, kiedy sierzant powiedział ostatnie zdanie: »Niech żyje wolność!« – zapanowała cisza i potem nastąpił jednomyślny i długo nieustający huragan braw. Zostałem wywołany na scenę, a Świdorski – reżyser przedstawienia – wyprowadził mnie bocznym wyjściem, żeby uchronić mnie od tłumu nagłych wielbicieli, którzy jeszcze dwie godziny temu nie wiedzieli o moim istnieniu. Wszystko, o co mi chodziło, zostało spełnione”[20].

Maria i Sławomir pobrali się w listopadzie 1959 roku, jednak przeprowadzka do stolicy okazała się trudnym zadaniem. Warszawa była „miastem zamkniętym” i zameldowanie tam można było uzyskać tylko po spełnieniu szeregu warunków. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja lokalowa, w związku z czym przez kilka miesięcy Mrożkowie błakali się po mieszkaniach swoich znajomych. Wybawienie nadeszło, gdy Sławomir spotkał wpływowego krytyka, byłego ministra kultury i naczelnego „Polityki”, Stefana Żółkiewskiego. Ten użył swoich wpływów i niebawem małżonkowie otrzymali mieszkanie z puli premiera Cyrankiewicza.

Problemy lokalowe nie wpłynęły na osłabienie inwencji twórczej Mrożka. Nie tracił czasu, bo wiedział, że jego przeznaczeniem jest kariera dramaturga, i nie zamierzał tej szansy zmarnować. W ciągu trzech lat napisał kolejnych siedem dramatów, jego sztuki były grane z powodzeniem na krajowych scenach (ponad 50 inscenizacji), a ich groteskowy humor spowodował, że w obiegowym języku pojawiło się określenie „jak z Mrożka” będące synonimem absurdu.

Na łamach prasy ukazywały się pozytywne recenzje, mówiono, że „cała Polska zakochała się w Mrożku”. W rzeczywistości jednak nie wszystkim przypadło do gustu „szarganie świętości narodowych”. W tygodniku „Stolica” opublikowano serię artykułów atakujących dramaturga, a po jednym z przedstawień *Śmierci porucznika* miała miejsce demonstracja, grupa studentów

skandowała: „Hańba, hańba!”. Doszło do absurdalnej sytuacji (zupełnie jak z Mrożka), że w obronie pisarza wystąpili przedstawiciele władz.

„Nie jest wykluczone – pisał w raporcie porucznik SB Krzysztof Majchrowski – że studenci, którzy zmanifestowali na *Śmierci porucznika*, byli zainspirowani przez redaktorów »Stolicy«, względnie pod wpływem ich artykułów. O ile mi wiadomo, przedstawiciele warszawskiej instancji partyjnej prowadzili rozmowy z [...] redaktorami »Stolicy« w celu zaprzestania urabiania opinii i dalszego jątrzenia przeciwko Mrożkowi”[21].

Sukces Sławomira oznaczał, że Maria musiała zrezygnować ze swoich ambicji zawodowych i artystycznych. Mąż coraz bardziej koncentrował się na pracy twórczej, a ona doskonale rozumiała, że potrzebował wsparcia, odciążenia i spokoju.

„Była to kobieta wyjątkowo piękna – wspominała Romana Próchnicka – o ciemnych włosach, bardzo ładnej twarzy, ogromnych, szeroko rozstawionych ciemnych oczach i wspaniałym uśmiechu. Niesłychanie dobra i serdeczna, troszczyła się o Sławka, była jego sekretarką i opiekunką. Nie wiem, czy jeszcze wtedy malowała, nigdy nie widziałam jej obrazów. Sławek odnosił się do niej wspaniale, to było bardzo zgodne małżeństwo, choć raczej bez jakiegoś wielkiego gadania. Mara zajmowała się domem, tak że on nic nie musiał robić, i nie słyszałam, żeby choć raz się poskarżyła. W dodatku Sławek, który uciekał od ludzi, zwałił na nią wiele swoich obowiązków towarzyskich i zawodowych”[22].

Maria świadomie podporządkowała swoje życie karierze męża, nie była jednak typem uległej, posłusznej żony. Często miała własne zdanie i nie wahała się go wypowiadać. Wiedziała, że kariera Sławomira jest najważniejsza, ale na zaspokojenie czekały również potrzeby bytowe rodziny. W rozmowie telefonicznej z niemieckim tłumaczem utworów Sławomira Ludwigiem Zimmererem zauważyła przytomnie, że mąż wcale tak dużo nie pracuje, ale w zamian „chodzi i pęta się, bo tu coś załatwia, tam coś załatwia”[23]. Sytuacja poprawiła się, gdy to ona przejęła wszystkie jego obowiązki niezwiązane bezpośrednio z pisaniem. Mrożek zajął się wyłącznie tworzeniem, za resztę spraw odpowiadała jego małżonka. Dzięki temu mógł niemal seryjnie pisać kolejne dramaty.

Uważano ich za małżeństwo niemal doskonałe, ale zdziwienie wzbudzał fakt, że Maria praktycznie nie udzielała się towarzysko. Na wszystkie spotkania Mrożek chodził samotnie, a niektórzy z jego znajomych nie wiedzieli nawet, jak wygląda jego żona. Zainteresowanie wzbudzał również tryb życia pisarza, który uważano za co najmniej ekscentryczny.

„Stosunki między znajomymi – czytamy w notatce dla SB – potrafi sobie ustawić, tak jak jemu jest wygodnie, i dostosowuje ich do swoich kaprysów i dziwactw. Rozmowy potrafi prowadzić tylko na tematy jemu wygodne. Potrafi tak błyskawicznie myśleć, że rozmówcy nie pozwoli zadawać jemu pytań. Natomiast sam potrafi zadać ich dużo. Mówi w sposób bardzo sugestywny i wszyscy na ogół przyjmują jego teorie, gdyż umie przekonywać. W określonych godzinach nie każe się odwiedzać ani telefonować”[24].

Maria dostosowała się całkowicie do rytmu życia Sławomira, dlatego pisarz mógł stwierdzić, że zapewniała mu „spokój, bezpieczeństwo, jasność i wiele jeszcze innych spraw”. Czy jednak była z nim szczęśliwa? Tego zapewne nigdy się już nie dowiemy. Wiadomo natomiast, że Sławomir dopiero po latach docenił jej charakter.

„Była osobą o największych przymiotach – wspominał. – Jej jedyne przewinienie polegało na tym, że poznała mnie w czasie, gdy nie byłem jeszcze gotów na kogoś takiego jak ona. Nie zamierzam mówić więcej na ten temat. Moje uczucia i więźność tego, co wiem, stanowią moją prywatną własność i tak już pozostanie na zawsze”[25].

Finanse państwa Mrożków

Nie wiadomo, jak potoczyłaby się kariera Sławomira, gdyby nie niemiecki dziennikarz Ludwig Zimmerer. Ten mieszkający w Krakowie korespondent „Die Welt” był w bliskich kontaktach z aktorami Piwnicy pod Baranami (został później pierwszym mężem Joanny Olczak-Ronikier) i dzięki nim poznał zbiór opowiadań Mrożka *Słoń*.

„Uznał, że musi natychmiast przetłumaczyć te opowiadania na niemiecki – wspominała Joanna Olczak-Ronikier. – I że będzie próbował je wydać w zaprzyjaźnionym wydawnictwie. Teraz należało wciągnąć w ten plan autora. [...] Kiedy przedstawiłam mu Ludwiga, zgodził się na propozycję. Fakt, że przyszły tłumacz dopiero na jego prozie uczy się polskiego, wcale go nie przerażał”[26].

Zimmerer dobrze znał specjalizującego się w ambitnej literaturze niemieckiego wydawcę, Karla Heinza Henssela. Wydawał on zaledwie kilka tytułów rocznie, ale były to dzieła autorów o znaczących nazwiskach: Henry’ego Millera, Paula Éluarda, Emila Ciorana, Osipa Mandelsztama, Wielimira Chlebnikowa czy Konstandinosa Kawafisa. Chętnie też przyjął sugestię, by opublikować nieznanego na Zachodzie pisarza, którego Zimmerer uważał za „wschodzącą gwiazdę polskiej literatury”. zaproponował Mrożkowi nieźle warunki finansowe i umowę na 15 lat.

„Szansa publikowania na Zachodzie – kontynuowała Olczak-Ronikier – zarobki w dewizach wydawały się w tamtych latach cudem z bajki. W maju 1958 roku Mrozek podpisał umowę z Hensslem, udzielił mu pełnomocnictw do reprezentowania go nie tylko w Niemczech, ale także w innych krajach, zagwarantował Zimmererowi wyłączność na niemieckie tłumaczenia i nie zapadł na niemoc twórczą, co mogło się wydarzyć. Między rokiem 1957 a 1968 napisał osiemnaście sztuk, wśród nich sporo jednoaktówek, ale bardzo istotnych. Wszystkie, poza nielicznymi wyjątkami, zostały przetłumaczone przez Zimmerera. Wszystkie grane były z powodzeniem na niemieckojęzycznych scenach. Stamtąd wędrowały dalej w świat. U Henssela ukazały się najpierw *Słoń* (1960) i *Wesele w Atomicach* (1961), a między rokiem 1965 a 1967 trzy tomy dzieł zebranych”[27].

Mrozek szybko zyskał sławę w RFN, nagle stał się najpopularniejszym dramaturgiem z bloku wschodniego, nie mógł też narzekać na warunki finansowe. Niebawem na jego koncie w zachodniemieckim banku znalazła się kwota 22 tysięcy marek, suma niewyobrażalna dla przeciętnego Polaka (średnie miesięczne wynagrodzenie nie przekraczało wtedy 50 marek). Mrozek planował nawet sprowadzenie luksusowego samochodu sportowego marki Mercedes za kwotę 12 tysięcy marek, ale raczej po to, by odsprzedać go z zyskiem w kraju, bo choć lubił samochody, to w sprawach finansowych zachowywał rozsądek.

Skutkiem popularności Mrożka w Niemczech były przekłady jego utworów w krajach skandynawskich. Tamtejsze rozgłośnie radiowe prezentowały słuchowiska oparte na jego tekstach. Wprawdzie honoraria, jak na zachodnie warunki, nie były zbyt wysokie (średnio niewiele ponad 100 dolarów za emisję), to jednak w polskiej rzeczywistości stanowiły one znaczący zastrzyk gotówki.

Tymczasem pan Sławomir nie zamierzał ujawniać swoich dochodów przed polskimi władzami. Nie chciał płacić zbyt wysokich podatków ani być zmuszany do wymiany dewiz po bardzo niekorzystnym, oficjalnym kursie. Ponadto obawiał się, że informacje o jego zarobkach mogą wpłynąć na zatrzymanie mu paszportu. Dlatego też deklarował tylko niewielką część honorariów, natomiast większość pieniędzy przechowywał na kontach w zachodnich bankach. Środki na bieżące wydatki przekazywano mu w gotówce bez wiedzy polskich władz skarbowych.

Najważniejsze było jednak to, że Mrożek powoli uświadamiał sobie, iż może funkcjonować jako pisarz na zachodzie Europy i tam utrzymywać się ze swojej twórczości. A od tego było już niedaleko do decyzji o emigracji.

„Mój przypadek był pierwszy w Polsce – wspominał po latach – i długo taki pozostał. Jeśli chodzi o książkę, rzecz była jeszcze możliwa, choć w komunizmie – nielegalna. Ale gdy chodzi o teatr? Nie było dotąd w historii Polaka, który mieszkając na stałe w Polsce, napisałby sztukę i sztuka ta w ciągu roku miałaby szesnaście premier w Niemczech, a później w innych krajach”[28].

Chiavari

Maria i Sławomir nigdy nie byli w PRL prześladowani – nie wstrzymywano im paszportów, a Mrożkowi nie odmawiano inscenizacji jego dramatów. Nie mieli większych problemów finansowych, żyli na znacznie wyższym poziomie niż większość obywateli Polski Ludowej. Jednak zdecydowali się na emigrację, a sprawę ostatecznie przesądziła Maria. Powiedziała mężowi, że „woli na Zachodzie podłogi szorować niż w Polsce być panią pisarzową”.

Wiele osób może mieć jej to za złe, ale warto pamiętać, że Mrożkowie nigdy nie wyrzekli się polskości, a Sławomir do końca życia tworzył (z nielicznymi wyjątkami) wyłącznie w rodzimym języku. Gdyby w kraju panował inny ustrój, gdyby istniała możliwość nieskrępowanych podróży do zachodniej Europy i doglądania tam swoich interesów, to zapewne pozostaliby nad Wisłą. Ale w czasach PRL zawsze istniała groźba zatrzymania paszportu, procedury biurokratyczne trwały niezwykle długo, a ich wynik często zależał od humoru i dobrej woli urzędników. Mrożek doskonale zresztą wiedział, że łaska władzy ludowej bywa kapryśna, znał niejednego autora, który z dnia na dzień trafiał na indeks i przestawał funkcjonować w świecie literackim.

„Moim zamiarem było ustanowienie precedensu – tłumaczył wiele lat później – polski pisarz żyjący z własnych środków za granicą, poza kontrolą państwa polskiego. Dla zachodniego czytelnika podobna sytuacja wydaje się tak banalna jak wolne wybory, wolność słowa i zrzeszania się, rozdział władzy ustawodawczej i wykonawczej oraz granice, których nie wolno przekroczyć policji. Wszystko to przyjmuje jako rzecz naturalną i nie poświęca tym oczywistościom ani jednej myśli. Rządu Irlandii nie obchodzi, czy irlandzki pisarz woli mieszkać w Paryżu, czy w jakimkolwiek innym wybranym przez siebie miejscu, lecz w polskich warunkach [...] taki wypadek był niespotykany”[29].

Mrożkowie wystąpili o wydanie im paszportów, motywując wyjazd względami zawodowymi Sławomira, który dla dobra swojej pracy literackiej musiał dokładnie zapoznać się z kulturą Włoch. Dokumenty mieli ważne na rok, jednak wcale nie zamierzali wracać. Udali się do Chiavari w Ligurii, gdzie od lat przebywał przyjaciel Mrożka Bohdan Paczowski. Panowie poznali się jeszcze na studiach architektonicznych i od tamtego czasu pozostawali w bliskim kontakcie. Mrożek odwiedził zresztą Paczowskiego w drodze powrotnej z USA, a więc znał miasto, w którym wraz z żoną planował zamieszkać.

Maria i Bohdan Paczowscy pomogli Mrożkom urządzić się w Chiavari i znaleźli dla nich ich pierwsze włoskie mieszkanie.

„W jego [Mrożka] bezustannym wyścigu z czasem – wspominał Paczowski – i w ucieczce przed samym sobą od tego, co spełnione, ku temu, co miało być odnową, Chiavari było łagodną, niezobowiązującą bramą do nowego świata, poza Polską. Było miejscem nadmorskim u podnóża gór, przewianym orzeźwiająco, suchą tramontaną, ciepłym, wilgotnym

sirocco, gwałtownym, męczącym libeccio i miejscem położonym w środku łuku wybrzeża biegnącego z jednej strony do Rapallo, Santa Margherita i Portofino, a z drugiej po olśniewające Sestri Levante, z jego zatoczką Baia del Silenzio. Mógł tu spokojnie pracować i prowadzić szeroką korespondencję [...]”[30].

W Ligurii Mrozek nie zmienił trybu życia, jego głównym zajęciem nadal było tworzenie dramatów. Z żelazną konsekwencją poświęcał większość dnia na pisanie, resztę czasu zajmowała mu nauka kilku języków. Choć pisał wyłącznie po polsku, to wiedział, że ze względów zawodowych musi swobodnie nimi władać. Chiavari wyjątkowo przypadło mu do gustu: wspaniały klimat, piękna okolica, a do tego nietypowe dla Włoch usposobienie mieszkańców.

„Liguryjczycy byli z natury zamknięci, cisi, małomówni – kontynuował Paczowski – co stwarzało mu spokojne tło do pracy, i trudno było go sobie wyobrazić na dłużej w Rzymie czy w Neapolu. Któregoś jesiennego wieczoru, kiedy odprowadzałem go do domu i kiedy wieczorne powiewy, szorstki szelest palmowych liści i światło zmierzchu tchnęły łagodnością, powiedział, że jakkolwiek potoczyłaby się nasza przyszłość, to miejsce i ten czas pozostaną w nas na zawsze”[31].

Pierwsze miesiące życia na obczyźnie nie były jednak łatwe. Mroźkowie, wyrwani ze swojego naturalnego środowiska, przeżywali problemy typowe dla wszystkich emigrantów. Maria prowadziła wtedy obfitą korespondencję z siostrą i matką, a przegląd jej listów wiele może powiedzieć o życiu Mroźków w tamtym okresie.

„Sławek pisze, ja uczę się włoskiego – wspominała matce w lutym 1964 roku. – Dziękuję za wszystkie paczki żywnościowe. Niech mama dalej przesyła paczki pocztą lotniczą – wszystkie, bo to jednak prędko idzie. Poza tym tak jak mama robi, że otwiera niektóre listy i odpowiada, to dobrze. Niech mama otwiera wszystkie listy z ZAIKS-u i czyta, a co ciekawsze daje do wglądu Gabie [siostrze Marii – S.K]. Adresu naszego niech mama raczej nikomu nie daje i mówi, że jesteśmy w podróży. Czujemy się dobrze, choć Sławkowi czasami nawalają oczy i zęby wymagają reperacji”[32].

Mroźkowie dużo podróżowali, zwiedzali Włochy, a Sławomir w sprawach wydawniczych wyjeżdżał do Niemiec i Francji. Byli częstymi gośćmi na różnego rodzaju festiwalach teatralnych, starali się brać udział w bieżących wydarzeniach kulturalnych. Czasami było im jednak trudno uwierzyć, że mieszkają we Włoszech, a wszelkie problemy z PRL-owską codziennością pozostały daleko za nimi.

„Zaziębiłem się w Wenecji – pisał Sławomir do Jana Błońskiego. – Twierdzę, że dopóki jeden Polak do drugiego Polaka nie będzie mógł napisać, że zaziębił się w Wenecji, spokojnie i po prostu, dopóty nie będziemy mieli głów normalnych. Bo proszę, piszę ja do Ciebie, że zaziębiłem się w Wenecji, i od razu wzbiera we mnie zażenowanie, że przecież jeżeli tak jeden Polak pisze do drugiego, to zakrawa to co najmniej na hochsztaplerstwo, co drugi Polak, informowany, może pomyśleć o pierwszym, informującym? Że podtekst pod tym straszliwy i drań specjalnie używa tak prozaicznego czasownika zwrotnego (zaziębić się) w połączeniu z nazwą geograficzną taką (Wenecja), żeby wywołać wstrząs, od którego szlag ma trafić Polaka informowanego”[33].

To właśnie wówczas Mrozek nawiązał znajomość z Gombrowiczem. Po niefortunnym pobycie Witolda w Ligurii nie ponawiano już zaproszeń do Chiavari i raczej odwiedzano go w Vence. Spotkania odbywały się według ustalonego rytuału, co bardzo dziwiło partnerkę Gombrowicza.

„Mara prawie nigdy nie brała udziału w [tych] spotkaniach, Sławomir zawsze przychodził sam; wydawało mi się to bardzo dziwne. Pamiętam niekończące się dyskusje, w których uczestniczyli Maria [Paczowska], Bohdan, Sławomir i Witold. Ponieważ jednak rozmawiali po

polsku, zostawiałam ich samych i wychodziłam na spacer”[34].

Kilkuletni pobyt w Chiavari zaowocował nowymi utworami Mrożka, to właśnie wtedy powstało siedem nowych dramatów, z *Tangiem* na czele. Sławomir zaczął też prowadzić dziennik, który po latach miał ukazać się w wersji książkowej. Był to również okres wzmożonej aktywności epistolograficznej – Mroźek namiętnie korespondował z kilkorgiem znajomych, z których opinią bardzo się liczył. Szczególne miejsce zajmowała wymiana listów ze Stanisławem Lemem. Pisarze pozwalali sobie na wzajemne oceny swoich utworów (Lem nigdy nie zrozumiał *Tanga*), a przede wszystkim wystawiali cenzurki innym współczesnym polskim autorom. W opiniach tych byli nadspodziewanie zgodni, a szczególną niechęcią darzyli Ireneusza Iredyńskiego. Lem twierdził nawet, że Iredyński niegodny jest „rozmiarów negacji”, jaką poświęcał mu Mroźek, na co ten zauważył ironicznie, że w głębi duszy trochę mu zazdrości. Bo przecież „cóż to za rozkosz tak sobie pogwałcić, popalić, pobić”.

„Ciekawa jest hierarchia literacka, jaką budowali – komentował korespondencję Lema z Mroźkiem polonista Jerzy Jarzębowski. – Na samym dnie był Iredyński jako absolutnie negatywny wzorzec osobowy. Potem byli pisarze, których też źle traktowali, ale czasem ułaskawiali, jak Andrzej Kijowski. Do tego dochodzili autorzy światowi, na przykład Dürrenmatt czy Malcolm Lowry. Oni też obrywali. Ale było w końcu to wąskie grono autorytetów, a wśród nich przede wszystkim Witold Gombrowicz. On coś wiedział, czego oni nie wiedzieli. Był kimś, z kim można było podjąć dialog. Mroźek wyznał kiedyś zresztą, że Gombrowicz był dla niego koszmarem. Nie mógł się wyzwolić spod jego wpływu”[35].

Mroźków i Paczowskich odwiedzało wielu znajomych z emigracji i z kraju. W Chiavari bywali: Gustaw Herling-Grudziński, Jan Błoński, Jerzy Stempowski, Andrzej Kijowski, Stanisław Dygat, Joanna Olczak z Ludwigiem Zimmererem, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Jan i Teresa Lenicowie, Maria i Kazimierz Brandysowie, Adolf Rudnicki, Jerzy Hryniewiecki, Jerzy Pomianowski, Janusz Majewski, Stanisław Kasprzysiak. Introwertyczny Mroźek nie przepadał wprawdzie za tłumnymi spotkaniami, ale w towarzystwie ludzi na podobnym poziomie intelektualnym zmieniał się nie do poznania. To nie był ten sam człowiek, którego znali wszyscy. Po prostu pan Sławomir nienawidził przypadkowych rozmów bez większego znaczenia. Uważał je za stratę czasu, co dobrze podsumował krytyk literacki Tadeusz Nyczek:

„Istnieje legenda, że Mroźek zawsze w towarzystwie milczał, ale czasem myślę, że zrobił sobie z tego bardzo wygodną maskę. Chyba po prostu nie chciało mu się odzywać, kiedy czuł, że rozmowa nabiera charakteru czegoś, co Amerykanie nazwali *small talk*, czyli pieprzenie o niczym. Każdemu się wydawało, że Mroźek milczy, bo taką ma naturę, a jemu podświadomie wyłączała się wola mówienia, skoro nie było o czym. Ale kiedy chciał się naprawdę czegoś dowiedzieć, wchodził w kontakt bardzo normalnie”[36].

Mroźkowie spędzili w Chiavari blisko pięć lat, a w późniejszym okresie Sławomir utrzymywał, że pobyt w Ligurii źle wpłynął na jego twórczość. Pisarz nigdy nie lubił przebywać zbyt długo w jednym miejscu i chyba właśnie dlatego w jego relacji pojawiają się krytyczne opinie o tej włoskiej miejscowości.

„Życie moje w Chiavari – pisał po trzech latach pobytu – coraz wyraźniej przypomina mi życie pasażera na transatlantyku. Ta sama beztroska, ten sam zdradliwy bezmiar czasu, to samo, tym dokuczliwsze, mijanie. Złudna koncentracja, która nie jest właściwie koncentracją, bo koncentracja, jak wszystko, jest pojęciem dialektycznym, przeciwstawnym, a tu brakuje jej drugiego skrzydła. I powoli okazuje się, że nie ma czego koncentrować. I tak samo jak na transatlantyku jedzenie, posiłki są najważniejszymi wydarzeniami”[37].

Po latach uznał, że włoskie miasteczko było pomyłką, „w której tkwił o kilka lat za długo”, i że „to był najgorszy chyba okres w jego życiu”. Inna sprawa, że wówczas mocno

nadużywał alkoholu (głównie w samotności), co niewątpliwie wpłynęło na sposób, w jaki postrzegał otoczenie. Po każdym solidnym pijaństwie nie mógł bowiem pracować dwa dni, co miało fatalny wpływ na jego psychikę.

Maria godziła się na te alkoholowe wysoki, zapewne uważając je za sposób odreagowania twórczego stresu. Przyzwyczała się też do dziwnego trybu pracy męża, chociaż czasami interweniowała w jego dobrze pojętym interesie.

„[...] właśnie weszła [...] moja żona – zanotował Mrozek w *Dzienniku* – i zapytała, czy zwariowałem. Na pewno tak (bo jest czwarta w nocy) według wszystkich zwyczajnych kryteriów. Według mnie rzadko byłem tak mało wariatem jak w tej chwili. Oczywiście ona ma rację”[38].

Paryż

Status Mrozków wciąż pozostawał nieuregulowany. Byli obywatelami polskimi, posługiwali się paszportami, które co pewien czas traciły ważność. Sławomir prowadził subtelną grę z polskimi władzami, regularnie występował o przedłużenie ważności dokumentów, czasami zgłaszał ich zagubienie, deklarował datę powrotu do kraju, którą później wielokrotnie przekładał. Informował o kolejnych problemach osobistych i zdrowotnych, a cała ta szarpanina trwała blisko pięć lat. Pisarz postępował konsekwentnie, a polscy decydenci nie chcieli stawiać sprawy na ostrzu noża. Mrozek był przecież najpopularniejszym polskim dramaturgiem, a do tego cieszył się rosnącym uznaniem w Europie. Poza tym najwyraźniej nie dążył jeszcze do całkowitego zerwania z krajem, w związku z czym jemu i jego żonie kilka razy przedłużano ważność paszportów. Maria przyjechała nawet do kraju na pogrzeb swojej matki.

Po blisko pięciu latach pobytu w Ligurii Mrozkowie uznali, że nadszedł czas na Paryż. Wprawdzie miasto nad Sekwaną straciło już miano kulturalnej stolicy świata, jednak w Europie wciąż odgrywało pierwszoplanową rolę. To, co podobało się w Paryżu, natychmiast zyskiwało akceptację na kontynencie. A przecież właśnie od popularności w krajach Europy Zachodniej zależał byt Mrozków, którzy – poza wszystkim – mieli już dosyć leniwej atmosfery włoskiego miasteczka.

„Chiavari oddało nieocenione usługi, ale już więcej mi nic nie da – pisał Mrozek do redaktora naczelnego »Dialogu« Adama Tarna. – Czuję potrzebę innego doświadczenia i mimo wszystko Paryż wciąż jeszcze przedstawia najwięcej różnorodności na kontynencie, choćby prawem inercji”[39].

W Paryżu Mrozkowie wynajęli niewielkie mieszkanie na Montmartrze. Znajomych, którzy ich odwiedzali, uderzał wystrój „w całości »zrobiony« przez Marę: ściany, obrazy, przedmioty dekoracyjne”. Opowiadano, że w mieszkaniu wszystko „tchnęło ich wspólnym szczęściem”.

Z Polski docierały wieści o rozruchach studenckich, a później – o antysyjonistycznej kampanii. Przebywający w Paryżu Polacy wykazywali dużą nerwowość, a przodował w tym naczelny „Przekroju” Marian Eile.

„Bez przerwy, dość zresztą histerycznie rozprawiał na ten temat – wspominała Romana Próchnicka – co w pewnym momencie zaczęło nużyć Sławka, który nie lubił zbytniego gadulstwa. Pamiętam, jak żona Sławka, Mara, powiedziała mi: »Sławek ma już dosyć Eilego, bo on ciągle opowiada, jak bardzo boi się wrócić do kraju, i płacze«. [...]. Sam Sławek poprosił mnie potem: »Jak Eile będzie cię zachęcał, żebyście do nas przyszli, to mów, że nie możesz«”[40].

Mrozek dotychczas unikał większego zaangażowania w politykę, ze zdziwieniem

obserwował też studencką rewoltę w Paryżu. Po raz kolejny uświadomił sobie, że wychował się w zupełnie innej rzeczywistości i nie potrafił zrozumieć zachowania lewicującej młodzieży z Zachodu. Tutaj do rangi problemu podnoszono sprawy zupełnie nieistotne za żelazną kurtyną.

„Co miałem myśleć o męczeństwie Normana Mailera – pytał retorycznie – którego skargi na jakość śniadania, zaserwowanego mu w trakcie tak upragnionego zatrzymania na 48 godzin, szeroko nagłośniono? Oto dowody okrucieństwa aparatu represji – one były dobre dla was, ale nigdy nie mogły być dobre dla mnie”[41].

Wkrótce jednak nie mógł już pozostać obojętny, gdyż uznał, że inwazja państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację wymagała publicznego komentarza. Niewykluczone też, że doszedł wtedy do wniosku, iż nadeszła właściwa chwila na unormowanie swojej sytuacji. Wiedział już, że polskie władze nigdy nie zgodzą się na wydanie mu paszportu z prawem stałego pobytu na Zachodzie, i dlatego postanowił zerwać z PRL-em. Na łamach „Le Monde” i „Kultury” opublikował krótkie oświadczenie:

„Jestem pisarzem polskim, nie emigrantem, członkiem Związku Literatów Polskich. Wobec czynnego udziału Rządu PRL w zbrojnej agresji na Czeską Socjalistyczną Republikę Ludową i okupacji wojskowej tego kraju oświadczam, co następuje: Protestuję przeciwko tej akcji. Jestem solidarny ze wszystkimi Czechami i Słowakami, którzy się tej akcji sprzeciwiają. Szczególnie z moimi towarzyszami, pisarzami czeskimi i słowackimi, którzy są prześladowani i więzieni”[42].

Na reakcję polskich władz nie trzeba było długo czekać. Na łamach prasy pojawiły się artykuły uznające pisarza za renegata i zdrajcę, który skuszony „żydowskimi dolarami” opluwa rodzinny kraj. Do akcji przystąpiły nawet pisma katolickie.

„Niektórzy ludzie są zdziwieni – pisano na łamach »Wrocławskiego Tygodnika Katolików« – że w chórze oszczerców i renegatów znalazł się pisarz, któremu w Polsce czyniono tak wiele honorów. Jest to jednak naturalna konsekwencja. Zapał kosmopolity zwalczającego tradycje narodowe rodzimego kraju owocuje zdradą, gdy przychodzi godzina próby”[43].

Normalną koleją rzeczy wydano zakaz grania sztuk Mrożka, a jego książki wycofano ze sprzedaży. Dramaturg z dnia na dzień zniknął z polskiego życia kulturalnego, czego się zresztą spodziewał, bo dobrze znał zasady działania komunistycznego systemu represji.

„Mroźek ogłosił za granicą protest – zapisał w swoim *Dzienniku* Stefan Kisielewski. – [...] Będzie o to heca, odciąży to trochę nas, bo jemu za granicą nic nie zrobią. Jest tu dyrektor teatru z Łodzi, opowiadał, jakie hece robi mu cenzura z każdym słowem i jak wyrzucono aktora, który powiedział zdanie skreślone przez cenzurę. Teraz mówi, że mamy dwóch autorów »z głowy«: Mickiewicza i Mrożka”[44].

Tymczasem Mroźek postępował konsekwentnie – gdy polska ambasada odmówiła mu przedłużenia ważności paszportu i nakazała powrót do kraju w ciągu dwóch tygodni, nie zamierzał się temu podporządkować i wystąpił o azyl polityczny. Tym samym osiągnął swój cel, bo teraz mógł uchodzić za prześladowanego dysydenta. Wreszcie był obywatelem świata i miał nim pozostać do końca życia.

„Mieszkam w Paryżu – pisał w *Dzienniku*. – To oznacza co innego, niż być w Paryżu czy też jechać do Paryża. Paryż, w którym się mieszka, właściwie przestaje być Paryżem. Staje się bardziej rzeczywisty, jeżeli przyjąć, że słowa przesłaniają prawdę, mniej – jeżeli przyjąć, że jedyną prawdą są słowa”[45].

W tych latach Mroźkowie często podróżowali, zarówno w sprawach zawodowych, jak i turystycznie. Utwory Sławomira stawały się coraz bardziej popularne, kolejne inscenizacje święciły triumfy, a rozgłos spowodowany protestem przeciwko interwencji w Czechosłowacji też zrobił swoje. Mroźek był zapraszany na różnego rodzaju imprezy kulturalne i wspólnie z żoną

odwiedził Szwajcarię, RFN, Kanadę i USA. Choć jego kariera rozwijała się w dobrym kierunku, miewał jednak chwile depresji.

„[...] zacząłem pić i piłem przez trzy dni – przyznawał w *Dzienniku*. – Oto niektóre pewniki: jestem do pewnego stopnia alkoholikiem. Stałem się alkoholikiem. Stałem się nim tak, jak się zostaje alkoholikiem, nieznacznie, chyłkiem, nie mówiąc sobie bynajmniej, że się nim jest. Poznaję po symptomach: a) muszę wypić coraz więcej, b) tracę kontrolę nad moją głową, kiedy jestem pijany”[46].

Śmierć w Berlinie

Jesienią 1969 roku Mara nie była w najlepszej formie, gdyż od pewnego czasu skarżyła się na bóle głowy, które pojawiały się coraz częściej.

„Po wyjściu z kina poszliśmy na pocztę – wspominała Romana Próchnicka – bo miałam zatelefonować do Londynu, dokąd niebawem się wybierałam. Czekaliśmy na zamówioną rozmowę i Mara powiedziała w pewnym momencie: »Strasznie boli mnie głowa, muszę iść«. Miałam przy sobie jakąś pastylkę przeciwbólową i dałam jej. Kiedy się potem spotkałyśmy, powiedziała: »Wiesz, pomogło mi, co to była za pastylka?«. A to był amerykański tylenol”[47].

Stan Marii pogarszał się z dnia na dzień, wreszcie lekarze zdiagnozowali nowotwór mózgu. Nie dawali szans na skuteczną kurację, jednak Mrozek się nie poddawał. Otrzymał wiadomość, że w Berlinie Zachodnim prowadzi praktykę pewien profesor, który operuje podobne przypadki, i pięć dni po diagnozie przyleciał wraz żoną nad Sprewę. Mara trafiła do szpitala, gdzie rozpoczęto przygotowania do operacji. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

„Mara miała ręce pokłute i umęczone – pisał Mrozek do Piotra Rawicza – całe storturowane zastrzykami, jakimiś transfuzjami białego płynu ze specjalnego aparatu, opatrunkami i przede wszystkim chorobą. [...] Kiedy dotykałem jej ręki, to ciepło jednak, czy też jego resztką, było tak delikatne, tak czułe, że było inne niż zwyczajne. I właśnie nie mogę się opędzić od wrażenia, które już się we mnie utrwaliło, że było lepsze. [...] Ani ja nie chciałem tego wrażenia, ani go [nie] szukałem tym bardziej. Musi być w tym jakaś prawda większa od mojej osobowości. [...] Skąd ta piękność Mary umierającej, storturowanej i, według kanonów zdrowia, bardzo brzydkiej?”[48].

Maria konała w berlińskim szpitalu przez 13 dni. Lekarze byli bezradni i choć przygotowywali się do operacji, to doskonale wiedzieli, że nie było możliwości ratunku. Mrozek trwał przy żonie niemal przez cały czas jej agonii.

„[...] kiedy całkiem była już nieprzytomna, w jakichś strasznych już własnych odległościach – poznawała mnie, kiedy przychodziłem. Dawała o tym znać jakimś jednym słowem, imieniem, mającym znaczenie tylko dla nas, intymnym. Wymawiała je, bełkocząc, bo już nie umiała mówić. Pielęgniarki radziły, żebym się nie zbliżał, bo moja obecność nie pozwala jej umrzeć, utrudnia jej śmierć, obciąża ją jeszcze na tę stronę. Było to jej przychodzenie z powrotem podobne chyba do przychodzenia umarłych”[49].

Ostatni raz widział żonę na trzy godziny przed jej śmiercią. Później wyszedł ze szpitala, a gdy znów się pojawił, Mara już nie żyła.

„W kaplicy, gdzie stała jej trumna, przed samym pogrzebem pojawił się motyl i trzepotał w oknie, żeby wylecieć przez szybę. Była już połowa listopada i nigdzie poza tym nie widziałem motyli. Oczywiście, mogłem sobie powiedzieć, w kaplicy było cieplej niż gdzie indziej i coś dziwnego, że motyl, tylko motyl, tam się zabłąkał. Mogłem też powiedzieć: nie, to nie był tylko motyl. Jaka męka nie móc się zdecydować”[50].

Podobnie jak wielu innych mężczyzn w pełni docenił żonę dopiero wówczas, gdy

odeszła. Odczuł ogrom tej straty i wiedział, że nigdy kogoś podobnego już nie znajdzie. Bez względu bowiem na to, z kim w przyszłości się zwiąże, będzie poszukiwał wyłącznie kopii zmarłej żony.

„Można by powiedzieć, że jej wielką siłą – pisał kilka tygodni później – [...] była jej absolutna zdolność do miłości, o której tylko ja jeden wiem. Klęska wszystkich innych kobiet wobec niej chyba na tym polegała, że choć może są tak podobnie »zdolne«, to wątpię, żebym jeszcze miał trzynaście lat, takich samych lat mojego życia do dyspozycji, żeby się o tym dokładnie i tak samo przekonać. [...] To, co się nam czy innym zdarza od czasu do czasu i tylko w drodze wyjątkowej łaski, ona miała stale i w pełnej mocy, a to, że akurat ja byłem jej medium, nie ma większego znaczenia”[51].

Roma Ligocka

Kilka tygodni po śmierci żony postanowił usunąć jej ślady z ich paryskiego mieszkania. Miał nadzieję, że w ten sposób zmniejszy swój ból.

„Przedwczoraj nareszcie sprawiłem jej drugi pogrzeb: zniszczyłem układ przedmiotów na jej stole, taki, jaki zostawiła po sobie. Była jeszcze w tym tylko jej właściwym, wdzięcznym nieporządku, pełnym tak wdzięcznego porządku. Wszystkie jej rzeczy spakowane, posortowane (jak w Auschwitz). Tyle jej znowu ubyło. Czuję, jakbym popełnił mord rytualny. [...] Nie ma co ukrywać, płaczę dość często i nigdy nie wiem, kiedy mnie to napadnie”[53].

Dobrym rozwiązaniem okazała się też zmiana mieszkania. Mrozek przeprowadził się do siódmej dzielnicy, zajmując tam „najpiękniejszy i najbardziej komfortowy” lokal, jaki w życiu posiadał. W nowym mieszkaniu nic nie przypominało Mary, nic nie budziło bolesnych skojarzeń. Tutaj mógł bez wyrzutów sumienia spotykać się z innymi kobietami i nie miał wrażenia, że popełnia zdradę wobec zmarłej.

Śmierć żony sprawiła, że Mrozek nie pisał nowych dramatów przez niemal dwa lata. Prowadził rozległą korespondencję, zajmował się swoim *Dziennikiem*, wydał *Dwa listy i inne opowiadania*, natomiast jego nowa sztuka sceniczna ujrzała światło dzienne dopiero w 1971 roku. Niestety – *Szczęśliwe wydarzenie* okazało się chyba najslabszym dramatem w jego dorobku. Później nastąpiły kolejne dwa lata milczenia. Dopiero w 1973 roku dramaturg powrócił do dawnej formy i opublikował *Rzeźnię*, a następnie *Emigrantów*.

Nie pisał, chociaż czuł presję publiczności i środowiska teatralnego. Po śmierci Mary nie był w stanie normalnie pracować, a wiedział, że oczekiwania wobec niego były wysokie.

„Biada ci, jeżeli napiszesz coś, co odniesie sukces – przyznawał. – Będą ci to wypominali do końca życia i zmienisz się w konia, co musi biegać coraz szybciej”[52].

W życiu pana Sławomira zaczęły pojawiać się inne kobiety, czasami nawet kilka jednocześnie. Nie traktował ich jednak zbyt poważnie i nie zamierzał się wiązać. Właściwie nie wiadomo nawet, z kim wówczas romansował, bo w swoich zapiskach okazał się człowiekiem wyjątkowo dyskretnym.

„Zgadzam się z tezą – wyjaśniał – że tego rodzaju bliskość między mężczyzną a kobietą jest najważniejszą w świecie, ale powstrzymuję się od tej tematyki z uwagi na absolutnie prywatny charakter tych spraw oraz panującą w naszej literaturze niesprawiedliwość. Podczas gdy mężczyźni mówią o nich hałaśliwie, kobiety przeważnie milczą, choć niejedno miałyby do powiedzenia. Ta jednostronność zeznań budzi we mnie nieufność. Znając mężczyzn, znam także ich skłonność do samochwalstwa, która sprawia, że zwykłem czytać ich pamiętniki co najmniej z niedowierzaniem”[54].

Pan Sławomir oznaczał swoje partnerki wyłącznie inicjałami, podawał też niewiele

innych informacji. Jednak utrzymywanie równoczesnych romansów wymagało odpowiedniej logistyki, dlatego czasami wręcz rozpisywał swoje plany w *Dzienniku*, nie chcąc pogubić się w skomplikowanych układach damsko-męskich.

„Pocziwa lojalność wobec Y. Nie »uwieść« Y. Takż pocziwość wobec W. Nie »uwieść« U. Nie mówiąc o pocziwości wobec D. Nie »uwieść« E.”[55].

Czasami rzeczywiście było dość ciekawie, bo panie miały się w jego drzwiach i aż dziw, że nie dostrzegały swoich rywalek.

„Jestem w Stuttgarcie – notował Mrożek we wrześniu 1977 roku – ale jakby mnie nie było. [...] Z Y. jestem na rozstaniu, ale dwuznacznie, niby z R. blisko, ale jak najdalej, D. zaś albo przyjdzie, albo nie przyjdzie”[56].

Prowadził ze swoimi partnerkami bogatą korespondencję, co wykorzystała polska Służba Bezpieczeństwa. Kilka razy przeszukiwano jego paryskie mieszkanie, a przy okazji skopiowano listy od przyjaciółek. Mrożek nie mógł później zrozumieć, w jaki sposób niektóre z jego pań nagle dowiedziały się o swoich rywalkach...

Ogólnie jednak nie miał najlepszego zdania o płci pięknej. Uważał, że rzadko można spotkać naprawdę inteligentną kobietę, a połączenie walorów umysłu, urody i dobrego charakteru pozostawało wyłącznie w sferze marzeń. Kiedyś znalazł to wszystko w osobie Marii, a teraz wydawało się to nieosiągalne.

„Nigdy nie miałem objawów morderczo-erotycznych – tłumaczył – i mam nadzieję, że interesuje mnie to nie z powodów zboczenia. Owszem, biłem czy dusiłem (raczej podduszałem), ale nie z miłości, tylko doprowadzony do furii dokuczliwą głupotą partnerek. Dostyc mnie wymęczyły, mnie słabego i tak wrażliwego pazia, różne idiotki”[57].

W gronie jego ówczesnych partnerek erotycznych można zidentyfikować chyba tylko R. Była nią Roma Ligocka, plastyczka z Krakowa, kuzynka Romana Polańskiego. Od kilku lat wraz z synem i mężem, reżyserem Janem Biczycykiem, mieszkała w Bawarii. Biczycycki odnosił sukcesy w Niemczech, wykładał na uniwersytecie w Monachium, natomiast Roma źle czuła się ograniczona wyłącznie do roli żony i matki. Uciekała przed tym, zażywając coraz większe dawki leków antydepresyjnych, a gdy pewnego dnia w jej mieszkaniu pojawił się pisarz Mirek (tak Roma nazywała Sławomira w swojej autobiografii), przeżyła prawdziwe objawienie. Mrożka zaprosił do nich jej mąż, ale tego dnia akurat był nieobecny.

„Mirek wchodzi do środka. Zapala fajkę, otwiera butelkę wina. I opada na kanapę. Zaczynamy rozmawiać i nie jesteśmy w stanie przestać. Nadchodzi wieczór, a potem noc. Rozmawiamy i rozmawiamy – o Krakowie, o Polsce, o sobie.

Kiedy nastaje poranek, a sąsiadka włącza odkurzacz, jest już po nas...”[58].

Kolejne miesiące upłynęły im na wymianie korespondencji, telefonów i kwiatów. Biczycycki niczego nie podejrzewał i był w ciągłych rozjazdach, a Roma coraz bardziej traciła głowę. Mrożek był atrakcyjnym, samotnym mężczyzną w średnim wieku, niezwykle inteligentnym i zamożnym, cieszącym się coraz większą sławą. A do tego człowiek, który wydawał się ją rozumieć znacznie lepiej niż mąż.

„Na takie właśnie uczucie moje serce tylko czekało, a teraz mu się poddaje – przyznawała Ligocka. – To nie jest wyłącznie kwestia aury sukcesu, która otacza tego mężczyznę jak podniecający zapach. Jego pewność siebie obdarza mnie również poczuciem pewności. Ale przede wszystkim on stanowi dla mnie kawałek mojej ojczyzny. Jest tym, za czym tęskniłam przez długie lata w Niemczech i co teraz pojawiło się nagle w moim życiu”[59].

Romie wydawało się, że jest Sławomirowi potrzebna, poczuła się znów „godnym miłości człowiekiem”. Porzuciła tabletki, bo uczucie do niego w zupełności jej wystarczało. Zdecydowała się odejść od męża i przenieść do Stuttgartu. Stamtąd było nieco bliżej do Paryża

i do Mrożka.

Dostała bardzo dobrą pracę w telewizji w charakterze kostiumologa, zaczęła realizować się zawodowo. Czasami pracowała nad kilkoma filmami jednocześnie, m.in. nad *Powrotem*, którego scenarzystą i reżyserem był Mrozek.

„Rola, którą właśnie dla siebie odkryłam – wspominała Roma – nie jest zła. To rola niezależnej, pewnej siebie kobiety biznesu zarabiającej własne pieniądze, dobrze wykonującej swoją pracę, a do tego wychowującej dziecko. A więc żyję tak, jak »się żyje« w dzisiejszych czasach”[60].

Z Mrożkiem spotykała się dość rzadko, gdyż on przebywał głównie w Paryżu. Czasem przyjeżdżała do niego na weekend, a wtedy chodzili na romantyczne kolacje. Roma czuła się szczęśliwa. Ale szybko się zorientowała, że życie ze Sławomirem to wyzwanie.

„[...] doszłam jednak do wniosku, że nie jest łatwo być przyjaciółką Mirka. Sławny pisarz ma ważne myśli i dlatego nie wolno mu przeszkadzać. Zdarza się, że wstaje w nocy, siedzi i rozmyśla z fajką w ustach. [...]

Wolno mi robić i wkładać na siebie jedynie to, co mu się podoba. Mirek lubi, kiedy wyglądam jak nierzucająca się w oczy dama. Zresztą śmiać się wolno mi tylko z nim”[61].

Dużo z sobą rozmawiali, Roma jako pierwsza czytała jego utwory, a on dawał do zrozumienia, że liczy się z jej opinią. Jednak ich rozmowy dotyczyły głównie jego problemów, bo życie wewnętrzne pisarza „było wystarczająco interesujące dla nich obojga”. Zdawała sobie sprawę z jego egocentryzmu, ale świadomie się z nim godziła.

Ligocka chyba nigdy nie zauważyła, że była tylko jedną z kilku partnerek Mrożka. Wcale zresztą nie najważniejszą, bo w tamtym czasie pisarz przeżywał burzliwy związek z Amerykanką określaną w *Dzienniku* jako Y. Pani Roma chciała uwierzyć, że jest tą jedyną, i chyba jej się to udało. Dlatego szokiem był dla niej list, w którym Mrozek zerwał ich znajomość, tłumacząc to potrzebą samotności. Na domiar złego zbiegło się to ze śmiercią jej mieszkającej w Wiedniu matki.

„Jak on może beze mnie żyć? – pytała Ligocka samą siebie. – Kto będzie siedział wieczorem na poduszce u jego stóp i opowiadał mu o tym starym, cudownym mieście, które kiedyś było naszym miastem rodzinnym?

Jak ja mogę istnieć bez niego? Bez słodkiego zapachu jego fajki? Bez jego koszul w paski, które wyglądają w mojej szafie jak szkolne zeszyty w linie?”[62].

Roma nie byłaby jednak kobietą, gdyby nie szukała przyczyn rozpadu ich związku w ciemnych stronach męskiej psychiki. Nie przyszło jej do głowy, że partner mógł całą sprawę traktować jako niezobowiązującą przygodę. Uważała, że wystraszył się odpowiedzialności.

„Dlaczego Mirek mnie opuścił? To pytanie wiruje w mojej głowie jeszcze długo potem, jeszcze miesiące później. Oczywiście znam odpowiedź. On po prostu boi się konieczności zajęcia się kobietą i jej dwunastoletnim synem. Nie chce się wiązać, nie chce ponosić odpowiedzialności. Chce być sam, chce mieć święty spokój”[63].

Nigdy o nim nie zapomniała, chociaż starała się wyprzeć go ze swojej pamięci. Wpadła w głębokie uzależnienie od antydepresantów. Pytana o niego po latach w pierwszej chwili nie chciała w ogóle rozmawiać na ten temat. Potem jednak z westchnieniem stwierdziła:

„Mało wtedy nie umarłam. Cóż mogę powiedzieć? To człowiek, który kocha tylko i wyłącznie siebie. I w życiu nie widziałam tak wielkiej miłości”[64].

Femme fatale z Nowego Jorku

Pan Sławomir znacznie bardziej zaangażował się w związek z pewną mieszkanką Nowego Jorku, którą określał w swoim *Dzienniku* jako Y. Niewiele o niej wiadomo, właściwie tylko to, że pochodziła z żydowskiej rodziny, była mężatką, a Mroźek dobrze znał jej mieszkającego w Paryżu ojca. Prawdopodobnie uprawiała jakiś wolny zawód (dziennikarstwo?), gdyż często przebywała przez dłuższy czas w Europie. Poznali się podczas pobytu dramaturga w USA i szybko nawiązali burzliwy romans.

W notatkach Mroźka pojawiają się słowa, których wcześniej nigdy nie używał w stosunku do żadnej kobiety („Jakże miałbym wiedzieć, czy jest życie pozagrobowe, kiedy nawet nie wiem, czy Y. przybyła pierwszym, czy drugim samolotem z Nowego Jorku”). Uważał, że jest „najmniej zwykłą (czyli niezwykłą) kobietą, jaką spotkał”. Zauważał w niej też „jakość, w której rozpoznawał wiele cech własnych, swoich”. Miał już ponad 40 lat, ale chwilami zachowywał się jak nastolatek. Gdy Y. dłuższy czas nie dzwoniła, uspokajał sam siebie, że pewnie chciała się z nim skontaktować, ale on akurat był poza domem.

„Listy do Y. Kapitulacja – zanotował z goryczą w listopadzie 1975 roku. – Nie mogę żyć bez niej, ani z nią. W rezultacie żyję z nią i bez niej, zależy tylko od tego, czy ona jest, czy jej nie ma”[65].

Potrafił nawet wyznać jej miłość, wprowadzić tylko w liście i gdy był całkowicie „urzęnięty” – ale zawsze. Zdarzyło się, że napisał do niej list liczący 124 strony, zdawał sobie jednak sprawę, że ich związek jest wzajemnym przyciąganiem i odpychaniem, i z tego właśnie powodu zapewne nigdy nie będą razem.

„List Y, jak zwykle tu nic o tym, o TYM – pisał z rezygnacją w kwietniu 1982 roku. – Ale nie sposób choćby nie stwierdzić, samemu dla siebie, faktu, daty.

Król i królowa zamieszania. Ona z powodu nadmiaru i bogactwa, różnorodności. Ja – wolę sobie nie przypisywać niczego. Razem – królestwo zamętu. Dla symetrii i uzupełnienia powinienem być królem jasności, prostoty i porządku. Czy moja wina, że nie jestem?”[66].

Czasami spędzali z sobą więcej czasu. Y. przylatywała do Europy i wspólnie wyjeżdżali: na Korsykę, do Izraela, do Normandii. Po rozstaniach Mroźek usiłował dojść do siebie. Czasami miał wrażenie, że wyleczył się już z miłości („ta obsesja nie była warta zachodu”), aby następnego dnia uznać, że „te straszne i żalosne słowa świadczą, jak nisko upadł”.

Wydaje się, że Y. jako jedna z niewielu kobiet, z którymi był związany, potrafiła oprzeć się jego osobowości. Umiejętnie skracała dystans, gdy było to potrzebne, aby zaraz ponownie się oddalić. Doświadczona kochanka doskonale знаła mężczyzn i wiedziała, w jaki sposób wzbudzić odpowiednie reakcje.

Cały ten burzliwy związek ugruntował stosunek Mroźka do płci pięknej. Pisarz z coraz większą niechęcią wyrażał się o kobietach, czasami w jego wypowiedziach trudno nie zauważyć pokładów goryczy czy zwykłej męskiej złości.

„Są tacy, co nie uwodzą – pisał z irytacją. – Siedzą i czytają gazetę, a baby przepychają się do nich. Niestety, ja do nich nie należę. Nie jestem bynajmniej piękny, a będąc inny niż przeciętni, zrażam je odmiennością. Najchętniej zadają się one z ładnymi miernotami. Ach, jakże wtedy z nimi figlują. Nie odczuwają wtedy swojej niższości (umysłowej)”[67].

Po latach okazało się, że ośmioletni związek z Y. wywarł wpływ na wiele decyzji Mroźka. W 1981 roku przyjechał do Polski (miał już paszport francuski), gdzie – oficjalnie – chciał z bliska obejrzeć karnawał Solidarności. Na krajowych scenach odbywały się triumfalne premiery jego utworów (*Pieszko*, *Ambasador*), a on znowu stał się jednym z najbardziej

popularnych autorów. W rzeczywistości jednak cel wizyty pana Sławomira był zupełnie inny. Nad Wisłą przebywała akurat Y. wraz ze swoim znacznie młodszym partnerem. Mrozek chciał zepsuć im idyllę i odzyskać kochankę, ale niespecjalnie mu się to udało.

„Krótko mówiąc – pisał z goryczą – zostałem opierdolony za to, że on się obraził, dzięki czemu rozumiem, do jakiego stopnia tobie na nim zależy”[68].

Zrywali wielokrotnie, po czym znowu do siebie wracali – Mrozek nie potrafił uwolnić się z tego toksycznego związku. Wiedział, że z Y. nigdy nie będzie szczęśliwy, ale też nie wyobrażał sobie życia bez niej.

„Kiedy mnie zapytają – notował z melancholią – o czym myślałem w życiu, kiedy komputer na Sądzie Ostatecznym podsumuje moje wszystkie myśli, okaże się, że najwięcej i najbardziej o Y. To jest zniewolenie umysłu. Jak każda niewola, musi budzić bunt i czasami nienawiść”[69].

Właściwa kobieta

Związek z Y. wreszcie się zakończył i Mrozek dalej prowadził życie niezależnego, samotnego mężczyzny. Wiele podróżował po świecie, ale jego główną bazą pozostawał Paryż. Mieszkanie pisarza nie robiło na jego gościach najlepszego wrażenia.

„[...] mieszkał na ogromnym strychu przerobionym na mieszkanie – wspominał Tadeusz Nyczek. – Szczególnie mnie zaszokowało, że wszystkie ściany były wyłożone boazerią, co mi przypominało dosyć obciachową polską modę z lat siedemdziesiątych na takie boazerie w co drugim mieszczańskim mieszkaniu. Pośrodku stał tylko wielki stół i wokół parę krzeseł, poza tym było dziwnie pusto. Całość robiła dosyć deprymujące wrażenie”[70].

Wprawdzie minęły już czasy, gdy pan Sławomir nie potrafił ugotować makaronu, ale jego umiejętności kulinarne wciąż pozostawiały wiele do życzenia. W lodówce trzymał tylko „piwo, czekoladę, mleko i jajka”, a najważniejszym wyposażeniem kuchni był stoper. Obok niego leżała kartka, na której było zapisane, „ile minut należy jajka gotować, a ile smażyć”.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że poznał już kobietę, która była mu przeznaczona. W 1979 roku, jeszcze podczas trwania związku z Y., dostał zaproszenie do teatru Milan w Mexico City z okazji 150. przedstawienia *Emigrantów*. Na lotnisku przywitali go reżyser i scenograf, natomiast w hotelu czekała Susana Osorio, która miała się nim opiekować podczas jego pobytu w stolicy Meksyku.



„Sławek i Susana

byli bardzo dobraną parą. Troszczyli się o siebie wzajemnie, tworzyli związek naprawdę partnerski, z poszanowaniem odrębności, wspieraniem się we wszystkich działaniach, nawet jeżeli nie były one wspólne. W ich mieszkaniach Susana urządziła wszystko tak, by Mrożek mógł spokojnie pracować nawet wtedy, gdy przyjmowała gości, to znaczy bardzo często”.

Jerzy Aleksandrowicz

„[...] siadłam w hallu, żeby tam na nich poczekać – opowiadała Susana po latach. – Byłam bardzo znudzona i gapiłam się na facetów, żeby jakoś zabić czas. Nagle wszedł postawny, interesujący mężczyzna, spojrzał na mnie, a ja podjęłam z nim niemy flirt. Zaczęliśmy się do

siebie uśmiechać, patrzeć sobie w oczy... I dopiero po chwili zauważyłam reżysera i scenografa, którzy niosą jego walizki. Tak, to był pan Mrozek! Przerazona pomyślałam tylko: »O mój Boże« i natychmiast stałam się bardzo poważna, profesjonalna»[71].

Susana Osorio była młodsza od Mrozka o 22 lata i pochodziła z zamożnej, inteligenckiej rodziny. Studiowała archeologię, ale jej pasją stał się teatr, dla którego porzuciła naukę. Jednak zawód aktora nie interesował jej na dłuższą metę. Przez pewien czas była w teatrze człowiekiem od wszystkiego – zajmowała się światłem, dźwiękiem i kostiumami. Następnie awansowała na asystentkę reżysera, aż wreszcie sama zaczęła reżyserować przedstawienia. Były wśród nich także sztuki Mrozka.

„Miałam niespełna 20 lat, kiedy pierwszy raz wzięłam ślub – kontynuowała Susana – a zaczęłam się z tym mężczyzną spotykać już w wieku 18 lat. W sumie trwało to cztery lata. To bardzo miły facet. Zresztą tych złych staram się zapominać. Wolę mieć dobre wspomnienia»[72].

Mąż Susany był psychologiem, przez pewien czas studiował zresztą w Polsce. Szybko się okazało, że bardziej odpowiadają sobie jako przyjaciele niż małżonkowie, a gdy partner otrzymał stypendium w Niemczech, ich związek się rozpadł. Pozostali jednak w przyjaznych relacjach i zawsze mogli na siebie liczyć.

Na rok przed poznaniem Mrozka Susana po raz pierwszy odwiedziła Europę. Razem z przyjaciółką mieszkała przez kilka miesięcy w Paryżu, zwiedziła również Hiszpanię, Niemcy i Włochy. Dotarła nawet do Polski, co w tamtych czasach nie było takie łatwe.

W studenckim miasteczku pod Paryżem zaprzyjaźniła się z grupą Norwegów, którzy zaprosili ją do Oslo. Tak więc gdy po jej powrocie do Meksyku kraj ten nawiedziło katastrofalne trzęsienie ziemi, Susana spakowała się i pojechała do Norwegii. Tam osiadła na dłużej, utrzymując się z prowadzenia restauracji w Stavanger i Oslo.

„Moje dwie babki – tłumaczyła – uważały gotowanie za sztukę, były dumne z mistrzostwa, jakie w niej osiągnęły. Już w dzieciństwie wiele się od nich nauczyłam, a także od naszych indiańskich służących. Cieszy mnie ta wiedza, bo nie jest łatwo znaleźć wykształconą Meksykankę, która potrafi sama zrobić tortillę. A w Norwegii kuchnia meksykańska jest przeważnie bardzo norweska – oni do wszystkiego dodają mnóstwo śmietany. Pewnie dlatego miałam tam takie wzięcie. Tak minęło kilka lat»[73].

W tym czasie w jednym z teatrów w Oslo przygotowano inscenizację *Kontraktu* i Mrozek pojawił się w stolicy Norwegii. Ponowne spotkanie Sławomira i Susany zaowocowało wymianą korespondencji, po czym Meksykanka przyjechała do niego do Paryża.

„Początkowo nie chciałam się za bardzo angażować. Miałam świadomość, że w świecie teatru to osobistość. Wiedziałam, że jeśli się z nim zwiążę, sama zostanę »panią Mrozkową«. Nie chciałam. Byłam ambitna, chciałam robić swoje, rozwijać karierę. Będąc kochanką Mrozka, mogłam sobie otworzyć niejedne drzwi. Ale jest różnica, kiedy robi się to na drodze własnych osiągnięć. Dlatego trzymałam dystans. Nigdy nie sypiam z producentami, żeby dostać kontrakt. Taka już jestem – chodzę do łóżka tylko z mężczyznami, którzy mi się podobają»[74].

Okazało się jednak, że są dla siebie stworzeni. Wprawdzie Susana miała świadomość, że „małżeństwo to ciężka praca 24 godziny na dobę”, a do tego „bez możliwości urlopu”, to jednak uznała, że ma już dość samotnego życia. Wiedziała, iż Mrozek „jest najbardziej inteligentną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała”, a to miało dla niej ogromne znaczenie. Sławomir przejął zresztą inicjatywę i podczas jednego ze spotkań oświadczył się.

„Był zmieszany, zakłopotany – wspominała Susana – nie patrzył na mnie, tylko gdzieś w sufit i wcale mi się to nie spodobało. Zapytał więc, jak wyglądają oświadczyzny w Meksyku. Powiedziałam mu, że trzeba zaśpiewać piosenkę, a potem wysłać list do mojej mamy. I Sławomir zaczął śpiewać. Śpiewał i śpiewał. To trwało bardzo długo, bo znał dużo piosenek, a potem

wysłał list do mamy i oświadczyły zostały przyjęte”[75].

Chyba niejeden ze znajomych Mrożka osłupiałby, gdyby zobaczył go śpiewającego dla kobiety. Wprawdzie w gronie znajomych zdarzały mu się popisy wokalne, ale wokalista z reguły znajdował się wtedy pod wpływem alkoholu, a jego repertuar nie należał do najbardziej romantycznych. Pan Sławomir zwykł bowiem wykonywać pieśni pochodzące ze śpiewników ZMP...

Mrożek zrozumiał, że w końcu spotkał odpowiednią kobietę, i nie zamierzał z niej zrezygnować. I dziwił się samemu sobie, gdy zauważył, że ślub był dla niego tak bardzo ekscytującym przeżyciem.

„Nigdy nie przypuszczałem – pisał – że cały proces ożenku, łącznie z najbardziej »konwencjonalnymi« atrybutami (obrączki, fotograf, zaproszenie gości etc.), może mi sprawić tyle radości. »Konwencjonalne« – hańbiące niegdyś słowo, nie-dla-artystów. Nie dla ludzi nawet. Być człowiekiem żonatym, niegdyś ostateczna niewola i poniżenie. Mój Boże, ile, i to jak, się zmieniło”[76].

Susana i Sławomir pobrali się w Paryżu w październiku 1987 roku. Nie urządzili hucznego wesela, tylko uroczysty obiad, na który zaprosili 20 najbliższych przyjaciół.

„Nie miałam welonu ani białej sukni – opowiadała pani Mrożek. – Sławomir założył białą koszulę, niebieski krawat, ciemnogramatową marynarkę i szare spodnie. Miał też bardzo piękny kapelus. Przysięgę małżeńską złożyliśmy sobie w merostwie”[77].

Meksykański azyl

Sławomir nigdy nie żałował swojej decyzji, a Susana szybko stała się dla niego osobą niezastąpioną. Gdy wyjeżdżała, by załatwić swoje sprawy albo odwiedzić rodzinę, liczył dni do jej powrotu. Ten blisko 60-letni mężczyzna na nowo odkrywał uroki małżeństwa i – jako człowiek mało rozmowny – z pewnością doceniał to, że ze swoją żoną rozumieją się bez słów.

„Wiele razy im się przyglądałem – wspominał Jan Nowicki – i oni w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Miałem wrażenie, że [w restauracji] cały czas oglądają kartę i wybierają danie. Ale nie daj Bóg, żeby pomyśleć, że tam była wrogość. Przeciwnie, czuło się, że tym ludziom słowa są zbędne”[78].

Dwa lata po ślubie postanowili opuścić Paryż. Sławomir mieszkał nad Sekwaną już od 20 lat, a nigdy dotąd nie spędził tyle czasu w jednym miejscu. Obecnie, z powodów zawodowych, wiele razem podróżowali po świecie i przy takim trybie życia stały pobyt w Europie nie był już konieczny. W Polsce nadal rządzą komuniści, więc Mrożek nie brał pod uwagę możliwości powrotu do kraju. W tej sytuacji przystał na propozycję żony, by osiedlić się w Meksyku.

Nie chcąc jednak mieszkać w dużym mieście, kupili zrujnowaną hacjendę w okolicach miasteczka Santa Rita Tlahuapan, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od miasta Meksyk. Pomimo stosunkowo niedalekiej odległości od stolicy była to typowa meksykańska prowincja, na której wodociąg uchodził za wyrafinowaną ekstrawagancję. Mrożkowie zatrudnili więc niemal wszystkich fachowców z okolicy i rozpoczęli gruntowny remont swojej posiadłości.

Mrożek, który studiował kiedyś architekturę i niewątpliwie przejawiał zdolności plastyczne, osobiście zaprojektował wieżę, w której miała się mieścić jego pracownia. Zdecydował również, gdzie posadzić krzewy i drzewa, natomiast resztę wzięła na siebie Susana.

„Tutaj trzeba uważać na głowę – tłumaczył dramaturg w filmie Pawła Łozińskiego *Sławomir Mrożek przedstawia*. – Tak w ogóle w Meksyku przez pierwszy rok o mało nie zginąłem na skutek uderzania głową we framugi i dachy, które wszystkie były za niskie. To znaczy w dalszym ciągu są za niskie, ale się już nauczyłem”[79].

Trzeba przyznać, że Mroźkowi nie brakowało odwagi. W późnym wieku zdecydował się zerwać z całym dotychczasowym życiem i przeniósł się na inny kontynent, do innego kręgu kulturowego, w inny klimat. Ale czego się nie robi dla ukochanej kobiety? Nie bez powodu mówił znajomym, że wyjedzie „tam, gdzie Susana będzie chciała”. Pierwsze lata w Meksyku były zresztą wyjątkowo udane.

Sławomir pisał, a żona realizowała się jako właścicielka manufaktury produkującej konfitury. Biznes ten zaczął działać w dość prozaicznych okolicznościach. Pani Mrozek przygotowywała przetwory na własny użytek, a z czasem zaczęła nimi obdarowywać swoich znajomych. Ci przekazywali je dalej i nagle okazało się, że jest zapotrzebowanie na tego typu wyroby. Dopuściła więc do spółki dwójkę swoich podwładnych, interes rozwijał się w szybkim tempie. Zdobyła lokalne uznanie, dostarczała produkty do kilku sklepów, a największym powodzeniem cieszyły się konfitury jabłkowe z masłem, cukrem i wódką.

Pomimo zmian politycznych w Polsce Sławomir nie myślał o powrocie do kraju – zbyt dobrze czuł się w Meksyku u boku Susany. Ich ranczo nosiło nazwę La Epifania (Objawienie), co dość dobrze pasowało do sytuacji życiowej pisarza. Mrozek był szczęśliwy, bo miał to, co najbardziej cenił – niezbędny do pracy spokój i obecność bliskiej kobiety.

„Otwieram okiennicę – pisał w *Dzienniku powrotu* – tuż za jednym z okien wieży rozpościera się orne pole, teraz w poświęcie księżycowej. Za tym polem pasmo krzewów, za nim inne pole, kępy drzew, dalsze pasma krzewów, pól i zalesień, lasków i przylasków [...], a poza tym cisza. Wszystko zaś pod księżycem ogromnym, meksykańskim... Nie wiem, dlaczego księżyc w Meksyku wydaje się większy niż gdziekolwiek indziej”[80].

Meksykańskie piekło

Pierwszy poważny problem pojawił się wkrótce po osiedleniu się Mroźków w Meksyku. Po zakończeniu remontu pierwszego budynku hacjendy odbyła się huczna impreza, na którą zaproszono niemal całą okolicę. Następnego dnia Mrozek poczuł się źle i żona zawiozła go do szpitala w stolicy. Po drodze dramaturg co chwila tracił przytomność, uratowała go tylko natychmiastowa interwencja lekarzy z The British and the American Hospital.

„Byłem półprzytomny – wspominał Mrozek. – Rozebrałem się i obrzuciłem lekarza stekiem wyzwisk. Potem zacząłem ubierać się z powrotem, żeby wrócić do domu. Zatrzymano mnie siłą. Straciłem przytomność. Odzyskałem ją, kiedy byłem już po operacji. Zdiagnozowano u mnie aneuryzmę, czyli po polsku – tętniaka aorty. Mój stan był poważny, stawką było 1 do 9. Jeden na przeżycie operacji. Jej ślady, zabliźnione cięcie od szyi do pasa, będę nosił aż do śmierci. Ta blizna kryje rurę z teflonu, czyli sztuczną aortę”[81].

Pisarz przez rok dochodził do siebie, wtedy też powstała jego sztuka *Wdowy*. Wróciwszy do zdrowia, napisał *Miłość na Krymie*, „która starczyłaby za trzy sztuki naraz”. Dostał za nią „prestizową nagrodę w Paryżu”, z czym wiązała się „gwarancja wystawienia jej przez Francuski Teatr Narodowy”.

Tymczasem w życie państwa Mroźków wkroczyła polityka. W grudniu 1996 roku na meksykańskiej giełdzie nastąpił krach, w wyniku którego upadło wiele firm, a bezrobocie gwałtownie wzrosło. W kraju ponownie wybuchła rebelia zapatystów, szerzył się bandytyzm. Powszechne były porwania dla okupu, napady rabunkowe i zabójstwa, a skorumpowane siły porządkowe zachowywały bezczynność. Niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać również hacjendzie Mroźków, którzy nie mogli ufać nawet swoim pracownikom. Dla okolicznej ludności polski pisarz z dnia na dzień stał się *gringo* – obcym, który kupił kawałek meksykańskiej ziemi.

Właśnie w tym czasie Mrożka odwiedził krakowski teatrolog Józef Opalski.

„Wrócił przerażony – wspominał scenograf Kazimierz Wiśniak. – Z jego opowieści utrwalił mi się obraz jak wyjęty z filmu o Dzikim Zachodzie: Mrozek rano wciąga gumowe buty z cholewami, na głowę wkłada kapelusz, do ręki chwytą karabin i tak uzbrojony robi obchód posiadłości, by oszacować szkody wyrządzone nocą przez mieszkańców wioski. Wycinali mu drzewa. Okoliczna biedota stawała się zagrożeniem i niestraszny był jej widok Mrożka ze strzelbą”[82].

Buntowali się nawet specjalnie zatrudnieni ochroniarze, w związku z czym Susana i Sławomir na zmianę dyżurowali na wieży z bronią w rękę. Na dodatek panią Mrozek oszukali pośrednicy, nie mogła też liczyć na lojalność współpracowników. Meksykański raj zamienił się w koszmar.

„W obronie Sławomira gotowa byłam zabić – mówiła Susana. – W moim kraju to nie jest niezwykła postawa. Każda meksykańska kobieta staje w obronie swojej rodziny, swojego domu. Pani Mrozek – czyli ja – nie byłaby w tym względzie wyjątkiem. Jest tak, ponieważ między Meksykanami a Europejczykami istnieje kulturowo uwarunkowana różnica w traktowaniu życia i śmierci. Sławomir to akceptował. Mam zresztą nadzieję, że w mojej obronie też nie zawahałaby się zabić”[83].

Mrozek poddał się jako pierwszy – pewnego dnia uznał, że muszą opuścić hacjendę. zaproponował żonie dwa nowe miejsca do życia: Paryż lub Kraków. Susana bez wahania wybrała dawną stolicę Polski.

Pod Wawelem

Na tę decyzję pewien wpływ miał zapewne Mrozek Festival zorganizowany w Krakowie w 1990 roku. Susana wraz z mężem uczestniczyła w tym wydarzeniu i zrobiło ono na niej bardzo dobre wrażenie. Sławomira wyróżniano bowiem na wszelkie możliwe sposoby, choć czasem trochę z przymrużeniem oka. Z jednej strony został honorowym obywatelem miasta, a z drugiej – przejechał ulicami Krakowa na drewnianym koniu ciągniętym przez traktor, przed którym maszerowały dziewczęta z kwiatami układającymi się w jego nazwisko. Na krakowskich scenach utwory Mrożka wystawiały 22 zespoły teatralne (nie licząc grup amatorskich grających wprost na ulicach), wydano też festiwalową jednodniówkę o dźwięcznej nazwie „Wsteczny Postępowiec”.

W rodzinnej wsi Mrożka – Borzęcinie – z rozmachem zorganizowano festyn. Kobiety w strojach ludowych otoczyły Sławomira zaraz po jego przybyciu, po czym usadowiły go na ogromnym tronie. Wtedy uroczystie nadano mu tytuł „naczelnego generała pisarza”...

Niektórzy twierdzą, że do Borzęcina pojechał dobrze ucharakteryzowany dubler, gdyż Mrozek miał już serdecznie dosyć tej całej pompy...

„Owszem, dawał ze sobą robić różne dziwne rzeczy – opowiadał historyk literatury Jerzy Jarzębski – spotykał się z Władzą, Uczonymi, Studentami, Dziećmi i Jamnikami, siadał na żądanie to na tronie, to na drewnianym koniu ciągniętym po mieście na wyniosłej platformie, wykonywał serie ukłonów z różnych scen po każdym nowym spektaklu swojej sztuki, wytrzymał nawet półtora z czterech dni obrad sesji naukowej na własny temat (tu już cierpiał straszliwie) – ale w trakcie tych wszystkich uroczystości zdawał się na pół tylko obecny, uprzejmie zdystansowany, leciutko kpiący – także z własnej roli”[84].

Co innego jednak przyjechać na kilka dni, a co innego osiąść na stałe. Pierwsze tygodnie pobytu w Krakowie były dla Mrożków przeżyciem dość nieprzyjemnym. Sławomir zdążył już zapomnieć, jak naprawdę żyje się w mieście, w którym rozpoczął literacką karierę. Samolot

wylądował pod Krakowem w ponury, wrześnieowy dzień.

„Drogę do miasta odbyliśmy w deszczu – wspominał. – Jaki ten Kraków niewielki! Nigdy wcześniej się taki nie wydawał, a przecież bywaliśmy tu już wiele razy. Już Wola Justowska, hotel Cracovia i zaraz potem stanęliśmy przy Starym Teatrze.

Ostatnie ciężkie walizy wniesione zostały na górę. Wszyscy, którzy je wnosili, mówili po polsku, tak samo jak wszyscy nieznani spotkani na ulicy. To budziło we mnie najgłębsze zdumienie. I wreszcie usiedliśmy obok siebie. Sami. Po dwóch dniach spędzonych w samolocie.

Patrzyliśmy na dwa okna po przeciwnej stronie ulicy. Byłem tak otępieły, że nawet uparta myśl, która pobrzmiwała w mojej głowie od momentu wylądowania: »Co ja właściwie tu robię?« – umilkła»[85].

Przebywając przez wiele lat za granicą, zdążył już zapomnieć o urokach „polskiego piekielka”. Teraz ze zdumieniem dostrzegał, że wielu ludzi w tym kraju bez końca narzeka i złorzeczy, przejawiając jednocześnie bezinteresowną zawiść wobec bliźnich, którzy odnieśli sukces. Z niechęcią obserwował szerzący się klerykalizm, nigdy zresztą nie lubił polskiej wersji katolicyzmu. Ale szczególną odrazę wzbudzała w nim scena polityczna, kompletnie nie rozumiał kłótni i sporów partyjnych.

„Konstytucja, owszem, ładna – pisał w jednym z felietonów. – Tylko dlaczego ani razu nie użyto słowa »kurwa«? Nie ma go w całym projekcie napisanym poprawną polszczyzną i nawet pozwalającym sobie na pewne wzniosłości we wstępie. I to ma być konstytucja dla wszystkich, a nie jakaś elitarna?”. [...] Więc w imieniu ludu umęczonego kulturą wysoką proszę o minimum: żeby w projekcie konstytucji umieścić choć raz słowo »kurwa«. Żeby przybliżyć i uprzystępnąć. Przecież to ma być konstytucja dla mas, nie?”[86].

Nie znosił także przymusu politycznej poprawności, uważając ją za niezgodną z naturą człowieka. Doskonale wiedział, że wszelkie próby wprowadzania jej nad Wisłą skazane są na niepowodzenie, a starania te uważał za przejaw głębokiej hipokryzji.

„Mam wtedy ochotę zostać rasistą, antysemitą i pogromcą Cyganów rumuńskich, skinem, punkiem, spalić Białowieżę i lasy tropikalne, uchwalić specjalny podatek od ubóstwa, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata, pomyśleć coś brzydkiego o Matce Teresie i księżnej Dianie, zrewidować mój stosunek do dyktatur, polubić faszyzm, a nawet zostać męską szowinistyczną świnią”[87].

Gdy Mrozek na nowo odkrywał uroki rodzinnego kraju, Susana przeżywała frustrację spowodowaną polskim klimatem. Przyjechali do Krakowa we wrześniu, niebawem nastąpiła słotna jesień, a potem zima. Wybierając się kiedyś do Norwegii, wiedziała, czego może się tam spodziewać, natomiast warunki klimatyczne pod Wawelem zupełnie ją zaskoczyły. Na domiar złego ich pierwsze krakowskie mieszkanie, chociaż dość obszerne, było jednak ciemne i ponure.

„Miało ponad 100 metrów – opowiadała Susana – i położone było pięć minut drogi od Rynku, ale niestety najczęściej panował w nim półmrok. Bardzo brakowało mi światła i słońca. Wybraliśmy się ze Sławomirem do specjalnego sklepu ogrodniczego i tam znalazłam lampę stosowaną podczas hodowania roślin. Zawiesiłam ją wysoko, w rogu pokoju, zaprogramowałam tak, by świeciła od 8 rano do 7 wieczorem i przez cały ten czas panował w moim mieszkaniu słoneczny nastrój. Mogłam hodować nawet bugenwille, krzewy pochodzące z tropików, które w Polsce udają się tylko w szklarniach”[88].

Sytuacja poprawiła się jeszcze bardziej, gdy zmienili mieszkanie. Kupili dwa przylegające do siebie lokale, dzięki czemu każde z nich mogło prowadzić własny tryb życia, nie przeszkadzając partnerowi. Było to bardzo ważne, gdyż małżonkowie funkcjonowali według różnego rytmu dnia, mieli odmienne potrzeby, które wzajemnie starali się uszanować.

„Mogę paplać całymi dniami – mówiła Susana – jestem energiczna i towarzyska.

Sławomir, gdy mówi, to mówi. Rozmawiamy godzinę, dwie, a potem on idzie do swojego pokoju, pracuje. I ja to szanuję. Czasami milczymy razem, ale to jest milczenie przyjemne, podkreślające bliskość. Ale przecież nie zawsze milczymy. Bywa w znakomitym humorze, ale popada też w nastrój zgoła refleksyjny, poważny. Rozumiem, że pisząc, staje się po części taki jak jego bohaterowie. W jakimś sensie identyfikuje się z nimi, utożsamia. Postrzega świat poprzez nich. Akceptuję to, bo taki jest mężczyzna mojego życia”[89].

Meksykanka w Krakowie

Susana nigdy nie chciała być wyłącznie „panią pisarzową”, toteż w Krakowie szybko znalazła zajęcie, które niemal całkowicie ją pochłonęło. Ponownie zaczęła realizować się kulinarnie, tym razem jednak zdecydowanie na większą skalę. Zaczęło się od zamieszczanych na łamach magazynu „Kuchnia” artykułów, które z czasem weszły do jej książki *Meksyk od kuchni*. Publikacja ta spotkała się z bardzo życzliwym przyjęciem i na efekty nie trzeba było długo czekać.

„Po premierze książki skontaktował się ze mną właściciel krakowskiej restauracji »Taco Mexicano«, czy nie chciałabym z nim współpracować. Chciałam. Chciałam robić cokolwiek! By nie siedzieć tylko w domu, odcięta od świata, popadając w przygnębienie. Lubię pracę w restauracji, bo kuchnia jest jak teatr. Masz publiczność, którą musisz zadowolić. I masz poczucie pracy w zespole, podoba mi się także adrenalina. Gdy przestępujesz próg kuchni, przestaje się liczyć, czy na zewnątrz pada deszcz, czy świeci słońce. To sztuczne życie – jak w teatrze. To wartość”[90].

Niebawem została współwłaścicielką tego lokalu, następnie prowadziła restauracje Casa Susana i Wentzl oraz kawiarniocukiernię Słodki Wentzl. Osiągnęła sukces. Nie powiodło jej się jedynie z restauracją Szabla i Szklanka, która oferowała kuchnię węgierską. Konkurencja była jednak skuteczniejsza...

„Mąż ma swoje książki – mówiła w jednym z wywiadów – ja prowadzę restaurację. Sądzę, że kobiece ambicje bardzo się liczą. Nie mam feministycznych poglądów. Nie jestem jednak przyzwyczajona, by być tylko żoną. Mam bowiem swój zawód. Zawsze miałam swoją pracę, teatr. Żadna druga osoba nie jest w stanie dać ci tego, czego sama nie osiągniesz. Nawet jeśli mężczyzna mówi ci, że jesteś cudowna, to nie daje ci tego rodzaju satysfakcji, której dostarcza własne dzieło, praca i jej rezultat”[91].

Pani Mrozek była osobą ambitną i samodzielną, nigdy jednak nie zapomniała, że najważniejszą sprawą jest twórczość męża. Pomimo swojej niezależności dbała o niego i starała się, aby jego praca w żadnym wypadku nie doznawała uszczerbku.

„Sławek i Susana byli bardzo dobraną parą – wspominał krakowski lekarz Jerzy Aleksandrowicz. – Troszczyli się o siebie wzajemnie, tworzyli związek naprawdę partnerski, z poszanowaniem odrębności, wspieraniem się we wszystkich działaniach, nawet jeżeli nie były one wspólne. W ich mieszkaniach Susana urządziła wszystko tak, by Mrozek mógł spokojnie pracować nawet wtedy, gdy przyjmowała gości, to znaczy bardzo często”[92].

W niektórych imprezach udział brał także Mrozek. Pod Wawelem długo wspominało przyjęcie zorganizowane po ich przeprowadzce do nowego mieszkania. Podobno bawiło się tam „pół artystycznego Krakowa”, a goście byli zachwyceni fantastyczną zupą rybną.

Czasami Susana i Sławomir wspólnie gościli wybrane osoby, a zaproszenie do nich było niezwykle wysoko cenione w krakowskim świątku artystycznym. Ponieważ Mrozek nigdy nie uchodził za człowieka specjalnie towarzyskiego, spotkanie z nim w jego własnym domu

stanowiło więc szczególną atrakcję. Kuchnia Susany była dodatkowym magnesem, gdyż pani domu lubiła eksperymenty kulinarne i chętnie sprawdzała efekty na gościach. Nikt jednak nie narzekał, gdyż Susana była prawdziwą mistrzynią w tej dziedzinie...

Splendid isolation

Na temat pobytu Mrożka w Krakowie opowiadano wiele anegdot, przy czym znaczna ich część dotyczyła jego małomówności. Jedną z bardziej znanych historyjek jest ta o spotkaniu z pewnym anonimowym maturzystą na Plantach. Siedzący na ławce Sławomir zainteresował się odzianym w garnitur i najwyraźniej bardzo niezadowolonym z życia młodym człowiekiem. Domyślając się, że chłopak właśnie wyszedł z egzaminu maturalnego z języka polskiego, zapytał nieśmiało:

- Było *Tango*?
- Tak – potwierdził ponuro chłopak.
- Przepraszam – wyszeptał Mrozek.

Pan Sławomir nigdy nie lubił dużo mówić, jednak w późniejszych latach życia osiągnął prawdziwe szczyty małomówności. Do znajomych odzywał się mało lub wcale, a gdy pojawiał się na publicznych imprezach, wypowiadał jedno albo dwa zdania i milczał przez resztę spotkania.

„Przychodzę kiedyś do Guliwera [restauracja w Krakowie – S.K.] – wspominał Bronisław Maj – Mrozek, samotnie czekający na obiad, władczy, acz miłym gestem zaprasza mnie do swojego stolika. Zaskoczony – Mrozek przecież nie tolerował przy sobie nikogo – siadam. W milczeniu [...] zjadamy, w milczeniu się rozstajemy. [...] Z każdym kolejnym obiadem dodawaliśmy coś nowego, wyrzucaliśmy elementy zbędne, doskonaliliśmy dramaturgię, szlifowaliśmy nasze role. [...] Absolutna asceza: czasem tylko ledwie zauważalny ruch dłoni czy niewidzialne dla oka ludzkiego drgnienie brwi. Niekiedy włączała się trzecia osoba dramatu: ówczesny właściciel Guliwera – Paweł Szczęśniak. Stawał nad nami, groźnie milcząc, z nieopisanym zdumieniem i odrazą przyjmował do wiadomości nasz wybór z menu (pokazywaliśmy palcem), z furią wydierał nam karty z rąk i jak nabrzmiała gniewem lawina odtaczał się – mówimy o człowieku dwustukilogramowym – za bar. Po chwili przysyłał nam czerwone wino w cudnie rżniętej kryształowej karafie – »od firmy«; to też był niezbywalny element spektaklu”[93].

Zaproszenie Mrożka do siebie wiązało się z pewnymi niedogodnościami. Jeżeli je przyjął, to zjawiał się „nieprzyzwoicie punktualnie”, dokładnie wtedy, gdy zegar wybił właściwą godzinę. Poza tym był obecny w dość specyficzny sposób – prawie w ogóle się nie odzywał, a na pytania odpowiadał monosylabami. Czasami jednak kończył spotkanie jednozdaniową puentą, która była więcej warta niż całe godziny gadulstwa.

„Kiedyś Mrozek [...] przyszedł nas odwiedzić – opowiadała Romana Próchnicka. – Wiedząc, że bardzo lubi kremówki, kupiłam ich całą masę. Sławek zjadł jedną, a wszystko, co powiedział w czasie tego dwu- czy trzygodzinnego spotkania, to było: »Kiedyś kremówki były większe«”[94].

Najczęściej stawał gdzieś w kącie, popijając alkohol, który sam nalewał sobie z butelki, i uparcie milczał. Po czym wychodził, nie żegnając się z nikim.

Zdarzyło się jednak, że Wisława Szymborska tak zaaranżowała spotkanie, iż maska z jego twarzy na chwilę opadła. Gdy pojawił się u poetki, nic nie zapowiadało, że wieczór przebiegnie w jakiś odbiegający od schematu sposób.

„Jak to u Wisławy – relacjonował Bronisław Maj – maleńkie grono, a wśród biesiadników Mrozek z Susaną. Mrozek demonstracyjnie, nie zwracając uwagi na nikogo, nie odzywając się słowem, siada na końcu stołu, stawia przed sobą butelkę wina, z której dolewa tylko sobie, osobny – samotnie popija i celebryje tę osobność i samotne popijanie. Krótka mówiąc: tak zwany cały Mrozek. Gra zresztą nie do końca udana, bo nikt się nie gorszy, nikt go nie usiłuje zza muru wyciągnąć, nikt mu nawet flaszy z rąk nie wydziera, towarzystwo pogrążone w wesołym opilstwie udaje, że nic nie widzi. I tak gramy – on swoje, my swoje”[95].

W pewnym momencie Maj, za namową Szymborskiej, zaimprovizował monolog pani Loli – legendarnej szatniarki Domu Literatów na Krupniczej. W mistrzowski sposób imitując jej głos, wypowiadał się krytycznie o twórczości Norwida, Reymonta i Mrozka, ze szczególnym uwzględnieniem tego ostatniego. Wówczas Sławomir nie mógł się już opanować i pękł.

„Długo się trzymał: krztusił się, symulował atak dusznicy, padaczki, krył się za flaszą – aż nie wytrzymał: śmiał się, chichotał, jak nie Mrozek! Potem, żeby zachować twarz, wylał zza stołu, stanął przede mną i, naturalnie bez słowa, nisko się pokłonił, czapką do ziemi, po polsku”[96].

Czasami wychodził z ram przyjętej przez siebie konwencji i był nieco bardziej towarzyski, czego doświadczył reżyser Bartosz Szydłowski, który wraz z żoną zaprosił Mrozków na kolację złożoną z homarów. Gospodarze przyrządzali te skorupiaki po raz pierwszy, w związku z czym spotkanie omal nie zakończyło się katastrofą.

„W naszej kuchni rozgrywały się sceny jak z Woody’ego Allena... No, ale w końcu udało się te homary przygotować, zrobiliśmy sałatkę, wszystko było bardzo wytworne, bo znajdowaliśmy się w pracowni mojej żony Małgosi, gdzie jest pięć metrów wysokości, stół na środku i dookoła pusto, tylko pod ścianą jakiś stary kredens. [...] Niestety, kolacja przygotowywana ze szczególną atencją zwykle kończy się porażką, więc grzanki były przypalone. Biedny pan Sławomir chrupał je jednak dzielnie. Ale kiedy na stół wjechały homary, nie mógł się już powstrzymać od śmiechu. Okazało się zresztą, że nie ma jak tego jeść, bo nie było żadnych szczypiec. Pobiegłem więc do sąsiada rzeźbiarza i wziąłem zwyczajne kombinerki, pan Sławomir stanął na wysokości zadania i zaczął demonstrować, jak to należy robić. Oczywiście była kupa śmiechu. Żeby nas pocieszyć i usprawiedliwić, pan Sławomir opowiedział nam wtedy anegdotę ze swojej młodości. Kiedy dostał pierwszą wypłatę w »Przekroju«, poszedł do Wierzyńki i zamówił raka. Jak dostał tego raka, posiedział pięć, dziesięć minut, zapłacił, wziął go do kieszeni i poszedł. W domu się z nim rozprawił młotkiem i obcęgami”[97].

Na co dzień jednak zachowywał się w sposób dla siebie typowy. Pewnego razu, biorąc udział w jakiejś uroczystej premierze swojego dramatu, ze znużeniem słuchał pochwał wygłaszanych przez dyrektora teatru Macieja Englerta. W pewnej chwili spojrzął na swojego rozmówcę i zapytał zaciekawiony: „Przepraszam, a kim pan jest?”

Nie zmienił również poglądów na temat niezbyt inteligentnych kobiet. Wprawdzie już ich nie bił ani nie dusił, ale wciąż potrafił być wobec nich nieprzyjemny. Gdy kiedyś na pewnym raucie otoczył go wianuszek urodziwych pań zadających mu infantylne pytania, to nie odpowiedziawszy na żadne z nich, rzekł tylko „do widzenia”, odwrócił się i wyszedł.

Szczerze też nie znosił dziennikarzy, a szczególnie ich nieprzemysłanych i powtarzających się do znużenia pytań. Pewną żurnalistkę doprowadził niemal do hysterii, gdy podczas wywiadu odpowiadał wyłącznie „tak” lub „nie”, a kiedy zapytała o jego meksykańskie rancho, bez słowa wyjął plik kilkudziesięciu zdjęć i prezentował je po kolei, nie powiedziawszy nawet jednego słowa komentarza. Zdarzało się też, że tracił kontrolę nad sobą i potrafił być bardziej nieprzyjemny niż zwykle.

„Słynna była afera z dziennikarką z Berlina – kontynuował Szydłowski – która

przyjechała przy okazji urodzin Mrożka i uparła się na wywiad, na który on nie za bardzo miał ochotę. Zadała jednak pierwsze pytanie, niewiarygodnie banalne: »Co pan czuje, gdy siada pan każdego ranka nad białą kartką papieru?«. A on na to: »Niech mnie pani w dupę pocałuje«. I wyszedł. Tak skończył się wywiad»[98].

Otoczenie nie zawsze potrafiło zrozumieć, że Mroźek różnił się od większości polskich pisarzy. Nie zamierzał komentować bieżących wydarzeń, przestał też oceniać innych autorów. Pragnął żyć, tak jak lubił, i nie tolerował ingerencji w swoje sprawy.

„Nie chciał wpisywać się w tę narrację polskich wieszczów – tłumaczył Szydłowski – którzy muszą zabrać głos w każdej kwestii tylko po to, żeby ich cytowano. Miał alergię na inteligenckie środowisko opiniotwórcze, które uzurpuje sobie prawo do sądzenia i narzucania swojego zdania. Na własne życzenie wypisał się więc z tak zwanego salonu krakowskiego. Ale Kraków tego nie lubi. W Polsce jak nie jesteś z nami, to musisz być przeciwko nam, zaczęto więc deprecjonować go jako twórcę. Były na przykład idiotyczne głosy w środowisku teatralnym, że się przeżył. A dlaczego? Najczęściej dlatego, że nie odpowiedział komuś »dzień dobry« na ulicy. Jakiś ważny krytyk czy interpretator nie poczuł się obdarowany proporcjonalnie do samopoczucia»[99].

Baltazar

W maju 2002 roku Mroźek doznał wylewu krwi do mózgu, którego skutkiem była afazja – utrata umiejętności posługiwania się mową. Sprawa wyglądała na beznadziejną, lekarze nie potrafili określić, kiedy stan chorego ulegnie poprawie i czy pisarz kiedykolwiek powróci do zdrowia.

„Poszedłem do szpitala na Skawińskiej – wspominał Jerzy Aleksandrowicz – i zastałem tam taką sytuację: Mroźek leżał nieruchomo, nie było z nim żadnego kontaktu, o tym, że żyje, świadczyło tylko to, że oddychał i czasem zmieniał się wyraz jego twarzy. Przy łóżku siedziała przerażona, przygnębiona żona, która zadała mi pytanie: »Co będzie? Czy jest szansa, że z tego wyjdzie? Bo nie chcą ze mną rozmawiać o rehabilitacji...«»[100].

Lekarze byli nastawieni sceptycznie, pacjent miał już 72 lata, a wylew był rozległy. Woleli nie wypowiadać się na temat leczenia i szans Mrożka na powrót do sprawności fizycznej i umysłowej.

„Ale pacjent żył, chociaż nie przejawiał żadnych funkcji psychicznych – kontynuował Aleksandrowicz. – Więc poradziłem Susanie, żeby dostarczała mu wszelkich możliwych bodźców. By go dotykała, mówiła do niego, nawet jeżeli nie widać żadnej reakcji świadczącej o tym, że cokolwiek do niego dociera»[101].

Susana praktycznie nie opuszczała szpitala, przynosiła mężowi pisma ilustrowane, cały czas mówiła do niego, dbała, żeby wokół łóżka nieustannie coś się działo. Po dziesięciu dniach chory zaczął reagować, nie potrafił jednak wydobyć z siebie słowa. Widać było, że jest z tego powodu zdenerwowany, co dobrze wróżyło procesowi rehabilitacji. Pisarz najwyraźniej nie zamierzał się poddawać.

„Pierwsze słowa, jakie wyartykułował, były po francusku – opowiadał Aleksandrowicz. – Może dlatego, że w tym języku rozmawialiśmy przy nim z Susaną? Ale momentami wydawało mi się, że to przychodziło mu łatwiej niż przypomnienie sobie polskich słów. W końcu to był ich główny wspólny język. Zaczęło się więc intensywne dostarczanie mu francuskich gazet i książek, »rozmowy« o tym, co przeczytał, wzmacnianie przejawów rozumienia tekstu i podtrzymywanie w chwilach zniechęcenia. Tydzień po tygodniu funkcjonowanie psychiki było coraz sprawniejsze, a rehabilitacje ruchowa i neuropsychiczna – coraz intensywniejsze. Podejmował te

wysiłki z zaciekleścią, będącą według mnie głównym czynnikiem, który sprawił, że po kilku miesiącach odzyskał sprawność psychiczną”[102].

Nie wszystko przebiegało jednak gładko. Jak wielu innych chorych w podobnej sytuacji Mrozek miał problemy z kojarzeniem faktów. Nie potrafił odczytać aktualnej godziny na zegarku, oglądał mapy, ale nie pamiętał zarysów kontynentów, stracił umiejętność nie tylko pisania, ale nawet stawiania pojedynczych liter. Miał jednak szczęście, bo trafił pod opiekę znakomitego fachowca, logopedy Beaty Mikołajko, która miał się nim zajmować przez następne pięć lat. Dzięki tej współpracy niemal całkiem powrócił do dawnej formy.

„Wzajemne relacje państwa Mrozków były niezwykle – wspominała pani Mikołajko. – Pan Sławomir bardzo kochał Susanę i jej ufał. Susana – mądra i wrażliwa żona – natychmiast zrozumiała moje sugestie odnośnie do jej istotnej roli w prowadzonej terapii. Na moją prośbę państwo Mrozkowie przyjęli więc zasadę rozmawiania wyłącznie w jednym języku. Wybrali język angielski. Nie mogli wybrać polskiego, ponieważ Susana nie posługiwała się nim wystarczająco biegle. Do tej pory oboje prowadzili wielojęzyczne dialogi, ale afazja to uniemożliwiła. Każdy dodatkowy język wprowadzał istotne utrudnienia, a my musieliśmy rozpocząć terapię od odbudowania struktury języka ojczystego. Na stopniowy powrót do pozostałych języków, którymi wcześniej posługiwał się pan Sławomir, przyszła pora dopiero po kilkunastu miesiącach pracy”[103].

Mrozek nie wyobrażał sobie życia bez tworzenia, toteż jego nadrzędnym celem stał się powrót do zawodu. Poza pisaniem niczego nie potrafił robić, nie miał nawet żadnego hobby. Pozbawiony możliwości pracy twórczej nie umiałby funkcjonować w otaczającym go świecie.

Skutki choroby przezwyciężał przez wiele miesięcy. I nawet gdy już chodził bez opieki po Krakowie, to wciąż nie potrafił sprawdzić, która jest godzina.

„Umówiliśmy się u mnie w domu na trzecią po południu – opowiadał Jerzy Stuhr. – Jest wpół do trzeciej, otwieram bramę, bo wracałem z miasta, a na półpiętrze, na okiennym parapecie siedzi Mrozek. Na mój widok wstaje i mówi: »Dzień dobry. Ja tu już pół godziny na pana czekam. Co się z panem dzieje?«. Obląłem się zimnym potem i bąkam: »Przecież umówiliśmy się na trzecią...«. »No właśnie, siedzę tu już od pół godziny« – odpowiada. Pokazuję zegarek, tłumaczę, że jest wpół do trzeciej. Czuję panikę, jakaś groza wisi w powietrzu. A on spokojnie: »A to możliwe, ponieważ ja nie umiem czytać zegarka i nie wiem, która godzina«. »A jak się pan gdzieś umawia, to co pan robi?«. »Wychodzę na chybił trafił i idę. Mniej więcej się orientuję, czy jest przed południem, po południu, czy wieczór. Ale zegarka nie rozumiem«”[104].

Beata Mikołajko zasugerowała Mrozkowi, by napisał książkę wspomnieniową, co miało usprawnić jego pamięć. Z ochotą przystał na tę propozycję i chyba nad żadnym swoim utworem nie pracował z podobną wytrwałością.

„W trakcie pisania moja pamięć stopniowo powracała – przyznawał. – W rezultacie, we wrześniu 2005 roku, gdy kończyłem książkę, byłem w stanie przypomnieć sobie znacznie więcej wydarzeń, a także potrafiłem je zapisać”[105].

Wspólnie z Mikołajko analizował każdą stronę tekstu, razem poprawiali błędy składniowe i stylistyczne. Początkowo oboje traktowali to wyłącznie jako element terapii, później jednak Mrozek postanowił książkę wydać. Uznał, że stanowi ona kontynuację i dopełnienie *Dziennika powrotu*, w praktyce jednak oznaczało to konieczność ponownej pracy nad każdą stroną tekstu. Ćwiczenie terapeutyczne a nowa pozycja wydawnicza kogoś o renomie Mrozka – to jednak dwie różne sprawy.

„Byłam przeciwna komentarzowi, w którym Mrozek wyjaśnia, że *Baltazar* powstał jako ćwiczenie – twierdziła Anna Zaremba-Michalska, prezes Wydawnictwa Literackiego. – Ta autobiografia jest na tyle dobra, autentyczna, szczerza, że broni się sama. Powrót do pisania

Mrozek uważał za swój obowiązek. On ma głęboką świadomość tego, że jest pisarzem. Był i jest bardzo obowiązkowy. Chciał dać swe ostatnie słowo, wówczas stał się nim *Baltazar*”[106].

Pisarz postawił jednak na swoim i książka ukazała się ze stosownym wyjaśnieniem autora. Mrozek uznał, że będzie to symbolem jego zwycięskiej walki z chorobą i czytelnym sygnałem, iż można przezwyciężyć własne ograniczenia. W ten sposób dał nadzieję innym pacjentom i zainspirował terapeutów. Stał się żywym dowodem na to, że z afazją można wygrać.

Nicea

Lekarze stanowczo doradzali mu zmianę klimatu, w związku z czym w 2008 roku Mrozek ponownie wyjechał za granicę. Susana pragnęła bardziej przyjaznej aury, dlatego zdecydowali się na Lazurowe Wybrzeże. Osiedli w Nicei, gdzie prowadzili wygodne życie zamożnych ludzi.

„[Ich mieszkanie] było śliczne i bardzo duże – opowiadała Marta Lipińska. – O wystrój dbała Susana, która ma świetny gust. Byli otoczeni ładnymi sprzętami. Mieli trochę obrazów, ale bez przesady. Mnóstwo książek – a i tak nie wszystkie, które posiadali, bo część zdeponowali w Szwajcarii, żeby nie przenosić ich przy ewentualnych przeprowadzkach. Wyglądało na to, że są w dobrej kondycji finansowej”[107].

Sławomir czasami odwiedzał Polskę, najczęściej przy okazji odbierania różnego rodzaju nagród i odznaczeń (dostał nawet kościelny order *Ecce Homo*). Najważniejszy okazał się jednak honorowy doktorat Uniwersytetu Śląskiego wręczony mu w 2012 roku. Wyraźnie wzruszony Mrozek pojawił się na uroczystości w towarzystwie Susany, a większą część swojego krótkiego wystąpienia poświęcił pierwszej żonie, która przecież studiowała i mieszkała w Katowicach. Oglądając zapis z tego wydarzenia, można wyczuć ciepło i czułość, z jaką pisarz wspomina nieżyjącą od ponad 40 lat partnerkę. Najwyraźniej bólu po tej stracie nie złagodziło szczęście domowe, jakie stało się jego udziałem za sprawą Susany.

W Nicei napisał też swój ostatni dramat – *Karnawał, czyli pierwsza żona Adama*. I oficjalnie ogłosił, że tym utworem kończy swoją aktywność literacką.

W ostatnich latach życia, na Lazurowym Wybrzeżu, zachowywał się zupełnie inaczej niż w Krakowie. Wprawdzie milczenie nadal pozostało jego ulubioną formą rozmowy, to jednak z relacji ludzi, którzy się wówczas z nim spotykali, wyłania się inny obraz pana Sławomira. Stał się życzliwy, starał się nie obrażać innych, zniknęło gdzieś jego złośliwe poczucie humoru. Cieszył się życiem, zachowując się jak człowiek, który chce pozostawić po sobie jak najlepsze wspomnienia. Gdy pojawił się u niego Maciej Englert z żoną Martą Lipińską, to już nie pytał, kim są, tylko zadbał, aby pobyt w Nicei pozostał dla nich niezapomnianym przeżyciem. Przy okazji reżyser wziął na siebie odpowiedzialną rolę kierowcy państwa Mrozków, ponieważ Sławomir nie prowadził już samochodu, natomiast meksykańskie prawo jazdy Susany nie było honorowane we Francji. I chociaż Englert zupełnie nie znał okolicy, a Mrozek nie zawsze pamiętał nazwy miejscowości, nie przeszkadzało im to w odbywaniu wspólnych wypraw. W efekcie zdarzały się sytuacje... „jak z Mroźka”.

„Sławek postanowił pokazać mi pewne szczególne miejsce na Cap Ferrat – relacjonował Englert – ale okazało się, że nazwa uleciała mu z pamięci, a mapy nie wzięliśmy – bo po co. Skoro znał drogę, to uznał, że spokojnie trafimy. Następne kilka godzin krążyliśmy po górzystym cyplu, drapiąc się pod górę, żeby za chwilę zjechać jakąś drogą niechybnie kończącą się w morzu. Pomoc tubylców z racji niemożności nazwania celu nie wchodziła w grę. »Ale ja mam afazję« stało się kluczowym zdaniem tej wyprawy, powtarzanym tak często, że zaczynało,

szczęśliwie, nas obu śmieszyć. Co prawda nie trafiliśmy do celu, ale za to zwiedziliśmy wszelkie mariny pełne luksusowych jachtów i niewyobrażalnie wręcz bogate posiadłości, więc wracaliśmy w dobrych humorach, pozbawieni lęków. Moich przed nieznanym miastem, Sławka przed afazją. Do willi Rothschildów, bo to ona okazała się naszym »dalekim« celem, normalnie jedzie się piętnaście minut»[108].

Duże wrażenie robiły na gościach wzajemne relacje między gospodarzami. Państwo Mrożkowie traktowali się z nieukrywaną czułością, a chociaż od dnia ich ślubu minęło już ponad 20 lat, to nadal sprawiali wrażenie zakochanych.

„Sławek i Susana jako para – opowiadała Marta Lipińska – stanowili zjawisko do opisanego przez zdolniejszych ode mnie. To był nadzwyczajny związek. Czułość Susany, jej dbałość o zdrowie Sławka wydawały mi się imponujące. Takie rzeczy widzi się, kiedy ktoś nie zapomina o pastylkach dla tego drugiego albo zapyta po polsku: »Sławomir, a co ty będziesz jadł?«. Do tej pory mam w uszach to »Sławomir«. Pamiętam, jak patrzyła na niego, jak czasem doradzała mu, jakie dania może jeść, a jakie mu odradza, jak ustawiała kwiat orchidei w jego łazience, żeby mu było miło. Jako kobieta dostrzegałam te drobiazgi składające się na życie codzienne. Widziałam drugą kobietę i jej dbałość o swojego mężczyznę. Sławek nie był wylewny, ale dostrzegałam jego dyskretne gesty czułości. Czasem objęcie Susany ramieniem na ulicy, spojrzenie na nią, które wszystko mówiło. Niewielu ludzi ma okazję, żeby zobaczyć czułość u wielkich ludzi»[109].

W Prowansji pisarzowi zdarzały się też zachowania, o jakie nikt wcześniej go nie posądzał. Sędziwy autor okazywał się niekiedy człowiekiem niezwykle szarmanckim, traktującym pleć piękną jak dżentelmen w starym stylu. Nie było już mowy o nagłym porzucaniu pań bez słowa, obcesowych wypowiedziach albo o wulgaryzmach.

„Oprowadzał mnie po swoich trasach – opowiadała dziennikarka Justyna Sobolewska. – Nie mogłam znaleźć hotelu i nie było taksówek, więc skończyło się tak, że Mrozek przez cały dzień ciągnął moją walizkę – nie pozwalał jej sobie odebrać. Pod wieczór miałam wyrzuty sumienia, że wykończyłam go tą walizką, obawiałam się telefonu od żony. Skończyło się dobrze, Mrozek przeżył walizkę»[110].

Biologii nie można jednak oszukać i pisarz z dnia na dzień stawał się coraz słabszy. W czerwcu wziął jeszcze udział w premierze *Karnawału* w Teatrze Polskim w Warszawie i była to jego ostatnia wizyta w kraju. Susana z niepokojem obserwowała męża, nie wyobrażała sobie życia bez niego. Gdy na Nowy Rok 2013 przyjechała do niej z Meksyku przyjaciółka Amparo Cejudo, pani Mrozek nie ukrywała przed nią swojego niepokoju. Powtarzała przerażona: „Amparito, czuję, że wkrótce mnie opuści”.

Przeczuca jej nie zawiodły – Sławomir Mrozek zmarł kilka miesięcy później, 15 sierpnia 2013 roku.

Pochowany został w Krakowie, w Panteonie Narodowym przy kościele św. Apostołów Piotra i Pawła. Był to pierwszy pogrzeb w tej nekropolii, która – będąc kontynuacją idei Krypty Zasłużonych na Skałce i Krypty Wieszców Narodowych na Wawelu – ma stać się miejscem wiecznego spoczynku najwybitniejszych polskich twórców.

Pozostawił po sobie bogaty dorobek dramaturgiczny i prozatorski, ale też udowodnił, że poza pisaniem potrafił coś jeszcze – umiał się szczęśliwie żenić.

„Znałam jego pierwszą żonę Marę Obrembiankę, ale przelotnie – wspominała krakowska znajoma Sławomira, Anna Ciećkiewicz-Grodzicka. – Była rzeczywiście ładna i wiem, że mieli świetne relacje. To było zresztą nadzwyczajne w przypadku Sławka. Znam ludzi, którzy ożenili się tylko raz, ale tak fatalnie, że choć już są starzy, to nadal mają jakieś problemy z tym związkiem. Sławek zaś ożenił się dwa razy i dwa razy bardzo dobrze»[111].

PRZYPISY DO ROZDZ. II

- 1 Za: *St-53. Twórcy, postawy, ślady*, Katowice 2003, s. 4–5.
- 2 S. Mrożek, *Baltazar*, Warszawa 2006, s. 188.
- 3 *Ibidem*, s. 189.
- 4 *Ibidem*, s. 191.
- 5 IPN BU 4470/IV13724/IV.
- 6 S. Mrożek, *op. cit.*, s. 142.
- 7 *Ibidem*, s. 165.
- 8 Za: M.I. Niemczyńska, *Mrożek. Striptiz neurotyka*, Warszawa 2013, s. 63–65.
- 9 Za: *ibidem*, s. 66.
- 10 *Ibidem*, s. 72–73.
- 11 S. Mrożek, *op. cit.*, s. 192–193.
- 12 *Ibidem*, s. 201–202.
- 13 *Ibidem*, s. 204.
- 14 *Ibidem*, s. 224.
- 15 *Ibidem*, s. 219.
- 16 *Ibidem*, s. 210.
- 17 *Ibidem*, s. 211.
- 18 *Ibidem*, s. 224–225.
- 19 *Ibidem*, s. 225.
- 20 *Ibidem*, s. 215.
- 21 IPN BU 4470/IV13724/IV.
- 22 *Mrożek w odstępach. 39 opowieści z różnych miejsc i czasów*, e-book, Kraków 2014.
- 23 IPN BU 4470/IV13724/IV.
- 24 *Ibidem*.
- 25 S. Mrożek, *Mój życiorys*, merlin.pl/HTML/mrozek_zyciorys.html.
- 26 *Mrożek w odstępach...*
- 27 *Ibidem*.
- 28 S. Mrożek, *Baltazar*, s. 227–228.
- 29 S. Mrożek, *Mój życiorys*.
- 30 *Mrożek w odstępach...*
- 31 *Ibidem*.
- 32 IPN BU 4470/IV13724/IV.
- 33 J. Błoński, S. Mrożek, *Listy 1963–1996*, Kraków 2004, s. 333.
- 34 *Mrożek w odstępach...*
- 35 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 120.
- 36 *Mrożek w odstępach...*
- 37 S. Mrożek, *Dziennik 1962–1969*, t. 1, Kraków 2010, s. 389.
- 38 *Ibidem*, s. 655.
- 39 *Mrożek – Tarn. Listy 1963–1975*, Kraków 2009, s. 234.
- 40 *Mrożek w odstępach...*
- 41 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 150.
- 42 Za: *ibidem*, s. 152.
- 43 Za: *ibidem*, s. 153.

- 44 S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 68.
- 45 S. Mrożek, *Dziennik 1962–1969*, s. 510.
- 46 *Ibidem*, s. 655.
- 47 *Mrożek w odśłonach...*
- 48 S. Mrożek, *Dziennik 1962–1969*, s. 681–682.
- 49 *Ibidem*, s. 696–697.
- 50 *Ibidem*, s. 685.
- 51 *Ibidem*, s. 684.
- 52 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 158.
- 53 *Ibidem*, s. 700.
- 54 S. Mrożek, *Baltazar*, s. 10.
- 55 S. Mrożek, *Dziennik 1970–1979*, t. 2, Kraków 2012, s. 297.
- 56 *Ibidem*.
- 57 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 173.
- 58 R. Ligocka, *Dziewczynka w czerwonym płaszczyku*, Kraków 2010, s. 410.
- 59 *Ibidem*, s. 411.
- 60 *Ibidem*, s. 416.
- 61 *Ibidem*, s. 417.
- 62 *Ibidem*, s. 422.
- 63 *Ibidem*, s. 423.
- 64 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 172.
- 65 S. Mrożek, *Dziennik 1970–1979*, s. 406.
- 66 S. Mrożek, *Dziennik 1980–1989*, t. 3, Kraków 2013, s. 256.
- 67 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 172.
- 68 Za: *ibidem*, s. 175.
- 69 S. Mrożek, *Dziennik 1980–1989*, s. 74–75.
- 70 *Mrożek w odśłonach...*
- 71 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 194.
- 72 Za: *ibidem*, s. 191.
- 73 Za: *ibidem*, s. 192.
- 74 Za: *ibidem*, s. 195.
- 75 Za: M. Lisińska-Koziół, *Sławomir kupił mi słońce*,
tygodnikprzeglad.pl/slawomir-kupil-mi-slonce.
- 76 S. Mrożek, *Dziennik 1980–1989*, s. 695.
- 77 Za: M. Lisińska-Koziół, *op. cit.*
- 78 *Mrożek w odśłonach...*
- 79 Za: *Sławomir Mrożek przedstawia*, TVP 1 SA, 1997.
- 80 S. Mrożek, *Dziennik powrotu*, Warszawa 2000, s. 34.
- 81 S. Mrożek, *Baltazar*, s. 12–13.
- 82 *Mrożek w odśłonach...*
- 83 Za: M. Lisińska-Koziół, *op. cit.*
- 84 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 206.
- 85 S. Mrożek, *Baltazar*, s. 16.
- 86 S. Mrożek, *Taniec rytualny*, „Gazeta Wyborcza”, 02.05.1997.
- 87 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 237.
- 88 Za: M. Lisińska-Koziół, *op. cit.*
- 89 Za: *ibidem*.

- 90 Za: M.I. Niemczyńska, *op. cit.*, s. 198.
- 91 Za: E. Sosnowska, *W domu Susany*, restaurator.com.pl/?item=artykul&artykul=386.
- 92 *Mrożek w odstonach...*
- 93 *Ibidem.*
- 94 *Ibidem.*
- 95 *Ibidem.*
- 96 *Ibidem.*
- 97 *Ibidem.*
- 98 *Ibidem.*
- 99 *Ibidem.*
- 100 *Ibidem.*
- 101 *Ibidem.*
- 102 *Ibidem.*
- 103 *Ibidem.*
- 104 *Ibidem.*
- 105 S. Mrożek, *Baltazar*, s. 9.
- 106 Za: M.I. Niemczyńska, *Milczenie Mrożka*,
wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8415135,Milczenie_Mrozka.html.
- 107 *Mrożek w odstonach...*
- 108 *Ibidem.*
- 109 *Ibidem.*
- 110 *Ibidem.*
- 111 *Ibidem.*

Uzuciowe problemy Czesława Miłosza





*Czesław Miłosz
poświęcił Janinie, swojej pierwszej żonie, jeden z najbardziej poruszających wierszy:*

*„Kochałem ją,
nie wiedząc, kim była naprawdę.
Zadawałem jej ból,
goniąc za moją uludą.
Zdradzałem ją z kobietami,
jej jednej wierny.*

*Zazналиśmy wiele szczęścia
i wiele nieszczęścia.
Rozłuki, cudownych ocalań.
A tutaj ten popiół.
I morze bijące o brzegi,
kiedy idę pustą aleją.
I morze bijące o brzegi.
I uniwersalność doświadczenia”.*

Również Czesław Miłosz był dwukrotnie żonaty. Jego pierwsze małżeństwo, chociaż przetrwało wiele lat i przyniosło dwóch synów, nie uchodziło za specjalnie udane. Szczęśliwy był natomiast drugi związek, lecz niestety – znacznie młodsza żona zmarła niespodziewanie na dwa lata przed śmiercią poety.

Pani Cękalska

Janina Dłuska pochodziła z ubogiej rodziny mieszkającej w podwarszawskim Wołominie. Była osobą o zdecydowanym charakterze i nie zamierzała dzielić biedy swoich rodziców. Znalazła zatrudnienie w dziale kadr Polskiego Radia, jednocześnie studiowała prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Nie wyczerpywało to jej aktywności życiowej – młoda, ambitna i energiczna kobieta obracała się również wśród młodych filmowców pozostających w opozycji do oficjalnej, skomercjalizowanej kinematografii.

Zainteresowania Janiny znalazły odzwierciedlenie w jej życiu osobistym – poznała początkującego reżysera Eugeniusza Cękalskiego i w 1934 roku wyszła za niego za mąż. Cękalski był już wcześniej żonaty, a w czasach II Rzeczypospolitej nie istniały rozwody cywilne, toteż wraz z Janiną zmienił wyznanie i poślubił ją w cerkwi prawosławnej.

Mąż Janiny uchodził za jednego z najzdolniejszych polskich dokumentalistów. Należał do współzałożycieli Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start”, a jego film *Szkoda twoich łez, dziewczyno* był pierwszym polskim obrazem dźwiękowym. Za kolejny, *Trzy etiudy Chopina*, został nagrodzony na festiwalu w Wenecji w 1937 roku, zadebiutował też jako twórca filmów fabularnych. Był reżyserem i scenarzystą *Strachów* z udziałem Eugeniusza Bodo, Józefa Węgrzyna i Jadwigi Andrzejewskiej – filmu, który spotkał się z dużym uznaniem krytyki i publiczności.

Państwa Cękalskich łączyły więc wspólne zainteresowania – razem działali w Spółdzielni Autorów Filmowych, Janina towarzyszyła też mężowi podczas jego stypendium w Londynie. W ramach działalności w SAF organizowali pokazy filmu eksperymentalnego w stołecznym kinie Splendid, wydawali też pismo poświęcone tej tematyce.

Małżeństwo nie należało jednak do specjalnie udanych, więc Janina zaczęła interesować się innymi mężczyznami. Na przełomie roku 1937 i 1938 w biurówcu Polskiego Radia poznała przybyłego niedawno z Wilna początkującego poetę Czesława Miłosza.

„[...] była osobą rozumną – wspominał ją Miłosz – ale popełniła błąd, wiążąc się ze mną. Mój tom wierszy *Trzy zimy* wyrobił mi sławę w kołach poetów, jednak jego mediumiczność nasuwała pytanie, czym jego autor płacił za doskonałość swoich wierszy. W istocie byłem człowiekiem krótkotrwałych pasji, przywidzeń i urojeń, żadnym materiałem na męża i ojca”[1].

Janina zakochała się jednak w Czesławie, chociaż on początkowo traktował ich znajomość wyłącznie jako związek duchowy. Wpływ na to miały jego wcześniejsze przeżycia erotyczne, niewykluczone też, że nie chciał się wiązać z mężatką.

„[...] po przeniesieniu się do Warszawy – zwierzał się wiele lat później – narobiłem sobie urojeń, że nienawidzę kobiet, że seks jest diabelski, bo przez niego zostałem zraniony, że realia życia i tzw. konieczność matematyczna świata przezeń przemawia, jednym słowem niezły komplet mizoginizmu. Tudzież coś, co napełnia mnie śmiechem pustym teraz, po latach – mianowicie w wieku lat 26 wyobraziłem sobie, że zmniejsza się moja seksualna potencja. Moje

zakochanie się w Jance było szukaniem »miłości czystej«, braterstwa dusz etc., a upór w tej miłości i gotowość narażania w jej imię na szwank swojej skóry, wcale nie wyklucza podstawowego błędu”[2].

Najwyraźniej Cękalski nie był typem wyrozumiałego małżonka, a nieporozumienia z Janiną nie osłabiły jego męskiej ambicji. Miłosz obawiał się agresji z jego strony, zapewne niebezpiecznie. Jednak znajomość z Janką angażowała go do tego stopnia, że nawet poświęcił dla niej pewne szanse na rozwój kariery zawodowej.

„[...] w Radio dostał ciekawą pracę – pisała Wanda Telakowska do Jarosława Iwaszkiewicza – a jedynie wewnętrzne rozterki na temat literatury trochę go wyczerpują. Proponowano mu wyjazd do Szwajcarii [...], odmówił – Kotarbiński twierdzi, że to przez ową kobietę, w której teraz się kocha, nie chciał rozstawać się z Warszawą. Obawy na temat jego stanu psychicznego nie wydają mi się uzasadnione, ale niewątpliwie z tym, co on mówi, trudno się jest pogodzić. [...] Zresztą był uroczy, piękny, miły, pieśczośliwy jak kotek – tylko może trochę nazbyt »nieobecny«. Czyżby to owa jego Wierzchosława [Janina – S.K.] – tak go odrywała od nas wszystkich? Poczekajmy – w jego wieku miłość może być jak szkarlatyna – groźna, ale krótkotrwała – nie przechodząca w stany chroniczne”[3].

Szkarlatyna jednak nie przeszła, a Janina miała zostać żoną Miłosza i matką jego dwóch synów...

Żagary

Czesław pochodził ze starego litewskiego rodu, który uległ całkowitej polonizacji. W rodzinie od pokoleń mówiono po polsku, co nie przeszkodziło niektórym członkom rodziny przyjąć litewskie obywatelstwo po zakończeniu I wojny światowej. Rodzice poety opowiedzieli się jednak za Polską, opuścili tereny włączone do Litwy i osiedli w Wilnie. Nie mieli zresztą wyboru, bo ojciec Czesława Aleksander Miłosz działał wcześniej w Polskiej Organizacji Wojskowej, w związku z czym władze w Kownie uznały go za *persona non grata*. Poeta dorastał na terenie mieszanym etnicznie i do końca życia czuł się Litwinem, chociaż w jego przypadku słowo „Litwin” oznaczało obywatela dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej Warszawa i Kowno nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, co wiązało się z dramatem wielu rozdzielonych rodzin. W tej sytuacji na granicy doskonale rozwinął się przemyt ludzi. Proceder ten był oficjalnie surowo wzbroniony, a mimo to rozkwitał, bo służby obu państw dyskretnie przymykały nań oczy. Nie mogło być inaczej, skoro pogranicznicy również pochodzili z tych okolic i znali problem z autopsji. Zatrzymanie ludzi nielegalnie przekraczających granicę z reguły kończyło się aresztem i wydaleniem, a czasami tylko kilkugodzinnym pobytem w chlewie przylegającym do pobliskiej chaty.

„Stopniowo granica robiła się coraz trudniejsza do przejścia – wspominał Miłosz. – Wtedy pojawiły się inne sposoby. Moja matka, tak jak cały jej klan, była obywatelką litewską. Nie przeszkadzało to jej używać także drugiego paszportu – polskiego. Ostatecznie papierki wymyślają urzędnicy, żeby zatruwać ludziom życie i nie należy do ich przepisów stosować się zbyt dokładnie. Na paszport polski uzyskiwało się wizę wjazdową do Łotwy. Tam wystarczyło zmienić paszport, żeby wjechać do Litwy. To genialne, choć proste odkrycie stosowane było w praktyce przez wielu”[4].

Czesław ukończył gimnazjum w Wilnie, tam też rozpoczął studia na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Początkowo wybrał polonistykę, jednak szybko doszedł do wniosku, że jest to wydział dla „panien chcących wyjść za mąż albo początkujących poetów”. Sam wprawdzie miał

już pewne ambicje literackie, ale po dwóch tygodniach przeniósł się na bardziej męski kierunek, czyli na prawo.

Studiował na uczelni z bogatą tradycją i wielkimi aspiracjami. O rozwoju uniwersytetu zadecydowała polityka władz centralnych, które wiedziały, że nic tak nie wzmocni polskości Wilna jak szkoła wyższa o doskonałej renomie. Nad Wilią tradycje akademickie nadal były żywe, doskonale pamiętano tutaj czasy świetności uczelni zlikwidowanej przez Rosjan w 1832 roku. Była to przecież placówka na europejskim poziomie, a wśród jej absolwentów znaleźli się najwybitniejsi przedstawiciele polskiej kultury (Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Ignacy Domeyko, Juliusz Słowacki, Józef Ignacy Kraszewski).

Decyzję o odtworzeniu uniwersytetu podjęto już w 1919 roku, a szkoła na dobre zaczęła funkcjonować po wojnie polsko-bolszewickiej. Braki kadrowe uzupełniono, zapraszając do współpracy młodych naukowców, którym oferowano niespotykane gdzie indziej tempo kariery zawodowej. Niebawem zresztą uniwersytet doczekał się własnych wychowanków na profesorskich stanowiskach.

Na uczelni działało wiele organizacji studenckich o bardzo zróżnicowanym profilu. Silne wpływy miała endecja, prężnie funkcjonowały stowarzyszenia młodzieży żydowskiej. Miłosz, który prezentował w tamtym czasie lewicowe przekonania, związał się z grupą studentów o podobnych poglądach. Należeli do niej początkujący literaci: Teodor Bujnicki, Jerzy Zagórski, Kazimierz Hałaburda, Stefan Jędrychowski, Jerzy Putrament, Henryk Dembiński. Niebawem grupa ta nawiązała współpracę z wileńskim „Słowem”, którego redaktor naczelny Stanisław Cat-Mackiewicz zgodził się na utworzenie przy swojej gazecie dodatku literackiego o nazwie „Żagary”. Wkrótce nazwę tę przyjęła również cała grupa poetycka.

Gdy ukazywał się pierwszy numer pisma, Miłosz miał już za sobą debiut poetycki. Były nim wiersze opublikowane na łamach uniwersyteckiego pisma „Alma Mater Vilnensis”. Wraz z kolegami był uczestnikiem wśród literackich organizowanych w zabudowaniach dawnego klasztoru bazylianów. Pierwszy swój tomik poetycki wydał w 1933 roku, a następny – trzy lata później. Szybko uznano go za najwybitniejszego poetę grupy, nie znalazło to jednak przełożenia na nakłady tomików, które wydrukowano w liczbie 300 sztuk na tytuł. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, gdyż poezja należała do najbardziej elitarnych rozrywek. Pierwszy zbiór poetycki Putramenta znalazł pięciu nabywców, a następny – zaledwie dwóch. Tak więc w porównaniu z kolegą Miłosz mógł się uważać za bardzo popularnego autora.

Poeta i kobiety

Czesław bardzo wczesnie zaczął zwracać uwagę na płec piękną i już jako kilkuletni chłopiec był zafascynowany urodą jednej ze swoich ciotek. Inicjację seksualną przeżył w wieku 15 lub 16 lat, w czasie wakacji spędzanych w Krasnogrudzie w pobliżu Sejn. Poznał tam urodziwą mężatkę Irenę, która, wypoczywając samotnie, najwyraźniej nudziła się na letnisku. Irena spędzała z nim dużo czasu, a wieczorami uczyła go tańczyć tango. Miłosz zupełnie stracił dla niej głowę, niebawem jednak do Krasnogrudy przyjechali trzej warszawscy maturzyści, a jeden z nich zdobył względy pani Ireny. Czesław stracił resztę złudzeń, gdy zobaczył, jak wczesnym rankiem jego rywal wymyka się z jej pokoju przez okno.

Przeżył wtedy poważny wstrząs, myślał nawet o samobójstwie. Względnie szybko doszedł jednak do siebie i jeszcze podczas tych samych wakacji poznał tajniki miłości fizycznej. Czy stało się to za sprawą Ireny, czy innej partnerki – tego zapewne nigdy już się nie dowiemy.

Koledzy nie uważali Miłosza za specjalnie przystojnego i żartowali nawet, że wygląda,

jakby był „przebrany za goryla”. Mówiono, że ma zbyt owalną głowę, a do zrobienia jego podobizny miało wystarczać „duże jajko z rodzynką zamiast nosa”. Koleżanki były jednak innego zdania i uważały jego wygląd za intrygujący, co w połączeniu z niewątpliwym talentem poetyckim Czesława tworzyło bardzo niepokojącą mieszankę.

„Mimo iż na terenie Wilna w tym czasie przebywał K.I. Gałczyński, którego poprzedzała już sława warszawska, nie on nas fascynował, lecz Czesław Miłosz, który bardzo szybko wysunął się na pierwsze miejsce – wspominała słuchaczka miejscowego Studium Teatralnego Jadwiga Badowska. – Wierzyliśmy w jego talent. Był przy tym pełen uroku, bardzo romantyczny, no i ogromnie przystojny, co było nie bez znaczenia, jeśli chodzi o młode wielbicielki”[5].

Wspomnienia poety dotyczące tego okresu sugerują czysto instrumentalne traktowanie miłości. Na brak powodzenia nie narzekał, jednak wyraźnie unikał uczuciowego zaangażowania. Sprawy erotyki traktował w kategoriach zaspokajania popędu i nie zamierzał do tego dorabiać ideologii.

„[...] moje doświadczenia seksualne nie są znowu tak bardzo bogate – zwierzał się w liście do Jarosława Iwaszkiewicza – szczególnie że nigdy nie są czymś stanowiącym rdzeń moich przeżyć, a jeżeli tak, to bardzo rzadko i krótko. Chciałbym wyeliminować je zupełnie, a traktować to wszystko jedynie jako element higieny. Okropnie męczy mnie komplikowanie tych spraw, to znaczy »zakochanie się«, »uwznioślenie« i inne w tym rodzaju historie, w które od czasu do czasu, mimo mojej woli, wpadam. Wtedy wietrzę w tym fałsz, kłamanie. Jestem cynik, ale, jej Bohu, najlepiej bym się czuł, gdyby zawsze post factum umyć się i stać się na nowo na pewien czas anachoretą i ascetą. Pornografię lubię, ale nie dlatego, że daje jakiś dreszczyk – erotomanem nigdy nie będę”[6].

Prawdopodobnie miewał jednak problemy ze znalezieniem partnerek do uprawiania tych „elementów higienicznych”, bo wiele wskazuje na to, że czasami korzystał z usług wileńskich profesjonalistek. Wprawdzie nigdzie wprost o tym nie wspominał, ale w jednym z listów wykazał tak dobrą znajomość tematu, że trudno sądzić, by wiedzę tę zaczerpnął z relacji innych osób.

„[...] w nadrzecznej dzielnicy prostytutka Helcia, która jest bardzo tania i dlatego dostępna robotnikom i nam, studentom, prowadzi klienta do swego pokoju przez pokój, gdzie je kolację rodzina jej gospodarzy”[7].

Zdarzały mu się również czysto platoniczne związki, takie jak ten ze studentką polonistyki Klementyną Sołonowicz, która później została pisarką i dziennikarką, a w 1945 roku urodziła Daniela Olbrychskiego.

Według biografów platoniczną znajomością miała być też „nieskazitelnie, kryształowo czysta” Tola. Poznał ją podczas wakacji, gdy uczył się do jesiennej sesji poprawkowej. Popisywał się przed nią swoją sprawnością fizyczną, przepływając na drugi brzeg zimnego jeziora, przez co nabawił się anginy i szmerów w sercu. Czy jednak uczucie to z całą pewnością było wyłącznie platoniczne? Wspomnienia poety wskazują na coś zupełnie innego.

„[...] czyż mogłem myśleć, że rozstanie z Tolą może przyprawić o takie parszywe nastroje? Przygnębienie. Żywsze niż zwykle poczucie bezsensu wszystkiego. I myśl, że znowu nie ona – była tą, która by rozpełtała miękkość barw. Ale jej zapach, jej zapach dręczy mnie ciągle. Tolu, zdaje mi się, że wtedy, kiedy przestają rachować i odmierzać każdy krok, kiedy jestem kapryśnym dzieckiem – wtedy jestem – zakochany. I jednak coś w tym rodzaju było. [...] i zapach twoich piersi, Tolinka – wszystko to razem okropnie męczy”[8].

Nie wiemy też do końca, co łączyło Miłosza z Niką Kłosowską – starszą od niego o dwa lata mężatką, mającą dość burzliwą przeszłość. Pod naciskiem rodziny wyszła za mąż w wieku 17 lat, urodziła dwójkę dzieci, po czym „zbiesiła się” i przeniosła do Wilna. Rozpoczęła studia

w Szkole Nauk Politycznych i szybko zaaklimatyzowała się w środowisku miejscowej młodzieży akademickiej.

„Upřednio krążąc pomiędzy pieluszkami i kuchnią – wspominała po latach – najmłodszym pokoleniem i pokoleniem mojej matki i mego męża, który był dużo starszy ode mnie, tkwiłam w tej domowości, typowa *kura domestica*, czytając, co wpadło w rękę, i starając się myśleć jak najmniej. Nagle zaczęłam patrzeć naokoło i widzieć, co się dzieje w kraju i za granicą, miałam czego słuchać i o czym dyskutować, co czytać, czego się uczyć”[9].

Zaprzyjaźniła się z grupą poetów spod znaku Żagarów, zawsze zresztą „otaczała się mężczyznami” i z tego powodu kobiety „chętnie brały ją na języki”. Jej znajomości „miały pewien podtekst erotyczny”, chociaż „fascynacja intelektualna i erotyczna występowały w różnych dozach”, tak że po latach „trudno dojść do ładu”.

„Lubiła się bawić, tańczyć, lubiła pracować – wspominał Miłosz. – Była dobrze zorganizowana [...], przypuszczam, że jej przyjaźnie udawały się jej lepiej niż jej małżeństwa. Sądzę, że musiała być osobą trudną, nie tylko dla swego pierwszego męża, ale i jego następców”[10].

Nie przeszkadzało to jednak w ich przyjaźni. Nika odbyła praktykę w polskiej ambasadzie w Moskwie, po czym wróciła do Wilna i właśnie wtedy nawiązała bliższą znajomość z Czesławem. Razem brali udział w różnego rodzaju imprezach towarzyskich, zdarzało się też, że u niego nocowała. Po latach poeta twierdził, że nie pamięta, czy zostawała „w celach erotycznych”, czy też nie.

„[...] przypomniawo mi się (...) – pisała do niego pół wieku później – jak kiedyś po jakiejś popijawie poszłam spać do Ciebie – i zaspaliśmy, a Twoja gospodyni powiedziała z wyrzutem: »Panie Czesławie, młoda panienka, jakże to można?«. Młoda to byłam, ale co insze to nie. Ty wtedy byłeś taki piękny – na torsie miałeś malutki trójkącik jasnych włosów. Pomyślałam sobie, »znak poety z Bożej łaski«. Ale wstydziłam się i nic nie powiedziałam”[11].

Skończyło się tym, że gospodyni wypowiedziała Miłoszowi mieszkanie z powodu jego niemoralności.

Jerozolima Północy

„Urodziłem się w samym środku Litwy – pisał Miłosz po latach – i miałbym większe prawo napisać »Litwo, ojczyzno moja« niż mój wielki patron Adam Mickiewicz. [...] Jednakże moja rodzina już w szesnastym wieku mówiła po polsku. Do szkół chodziłem polskich. Kiedy w roku 1940 otrzymałem w Wilnie litewski dowód osobisty, w rubryce »narodowość« stało »Lenkas« (Polak). Jako poeta polski musiałem wybierać pomiędzy opcjami ofiarowanymi przez kulturę polską i wcześniej wybrałem niechęć do polskiego nacjonalizmu”[12].

Poglądy Miłosza na sprawy narodowościowe ukształtowały się ostatecznie podczas lat studenckich. Nigdy nie zapominał, że pochodzi z wieloetnicznej Litwy, gdzie kościoły sąsiadowały z cerkwiami i synagogami. W ówczesnym Wilnie najmniej było Litwinów, dominowali tu Polacy i Żydzi, a pewien procent ludności stanowili również Białorusini.

„Chłopi w długich kozuchach – pisał o tych ostatnich Miłosz – przywożący płody rolne na rynek odzywali się mową, którą najczęściej niełatwo byłoby zaklasyfikować do polskiego czy białoruskiego. Ku rozpaczy ich bardziej świadomych braci nie rozumieli (oczywiście z wyjątkiem ostro od Słowian odgraniczonych Litwinów), co znaczy narodowość i zapytani o nią odpowiadali zwykle: »prawosławny« albo »katolik«”[13].

Wilno było jednak głównie stolicą Izraelitów z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i nie bez powodu nazywano je Jerozolimą Północy. Znajdował się tutaj silny

ośrodek kultury żydowskiej, a po latach uczniowie miejscowych szkół mieli przyczynić się „do odrodzenia języka Biblii w Izraelu”. Wileńscy Żydzi wywierali też duży wpływ na literaturę jidysz i to właśnie wileński dialekt został uznany za literacką odmianę tego języka.

Inna sprawa, że miejscowi starozakonni zdecydowanie różnili się od Żydów warszawskich, lwowskich czy łódzkich. Nad Wilią właściwie nie było Polaków semickiego pochodzenia, miejscowi Izraelici w ogóle się nie asymilowali, a na co dzień posługiwali się językiem rosyjskim. Unikali również polskich pałcówek edukacyjnych – w państwowych szkołach uczyły się dzieci Karaimów, Tatarów i Rosjan, Żydzi zaś woleli własne szkolnictwo.

„Wspólnoty katolicka i żydowska – opisywał Miłosz – żyły w tych samych murach (niektóre dzielnice były prawie wyłącznie żydowskie), ale jakby na dwóch odrębnych planetach. Kontakt ograniczał się do codziennych interesów, ale w rodzinie przestrzegano innych obyczajów, czytano inne dzienniki, porozumiewano się innymi słowami – ogromna większość Żydów w jidysz, emancypowana mniejszość po rosyjsku, nieliczna tylko mniejszość po polsku”[14].

Młodzież żydowska omijała wprawdzie polskie szkoły, jednak po zdaniu matury najczęściej studiowała na Uniwersytecie Stefana Batorego. Studenci pochodzenia żydowskiego stanowili tam mniej więcej jedną trzecią słuchaczy. I podobnie jak na innych polskich uczelniach stało się to powodem konfliktów ze środowiskami pravicowymi.

Gdy Miłosz był na drugim roku prawa, Wilno stało się miejscem zamieszek narodowościowych na niespotykaną dotychczas skalę. Ich przyczyną była sprawa tzw. trupów żydowskich. Chodziło o ciała dostarczane do miejscowego prosektorium i przeznaczone do badań anatomicznych. Podobnych praktyk zakazywała religia mojżeszowa, co nie przeszkadzało żydowskim studentom uczestniczyć w takich zajęciach. Uczyli się jednak na zwłokach zmarłych chrześcijan.

„Polscy narodowcy byli tym oburzeni – pisał na łamach »Przeglądu Wschodniego« Aleksander Srebrakowski – i zwracali uwagę, że istniała w tym względzie ewidentna nierówność, którą należało zlikwidować poprzez specjalne dostarczanie do prosektorium także zwłok żydowskich. Temu ostatniemu sprzeciwiała się natomiast gmina żydowska. Pierwsze spory wokół tej sprawy miały miejsce już w początkach działalności USB”[15].

9 listopada 1931 roku w okolicach uczelnianego prosektorium doszło do pierwszych bójek pomiędzy studentami obydwu narodowości. Władze uczelni zareagowały błyskawicznie, grożąc zamknięciem uniwersytetu i zarządzeniem nowej rekrutacji. W specjalnym oświadczeniu rektor stwierdził, że „nie dopuści do wtrącania się młodzieży w sprawy należące wyłącznie do kompetencji władz uniwersyteckich”, a cała sytuacja jest „niezgodna ani z etyką chrześcijańską, ani z chwalebными tradycjami” uczelni. Nie na wiele to jednak pomogło i następnego dnia ponownie doszło do starć. Zamieszki przeniosły się na ulice i tym razem połała się krew.

„Według relacji studenta II roku medycyny Józefa Switka – kontynuował Srebrakowski – do tragedii doszło w momencie, kiedy na ulicy Nowogródzkiej, prostopadłej do niej ulicy Słowackiego i równoległej ulicy Szeptyckiego, dochodziło do pojedynczych starć między demonstrantami. Stanisław Waclawski dostał kamieniem w lewą skroń, w momencie kiedy wychylił się zza płotu na rogu ulic Słowackiego i Szeptyckiego. Zaraz po tym, jak ugodzony Waclawski padł, nadjechała policja, która rozpedziła zebranych tam Żydów. Na wezwanie o pomoc Switek zgłosił się do przygotowania prowizorycznego opatrunku. W międzyczasie ktoś wezwał dorożkę, do której wsadzono rannego i ruszono w kierunku stacji pogotowia ratunkowego. Po przebyciu niewielkiego odcinka drogi (około 400 metrów) na rogu ulic Zawalnej i Trockiej dorożka została zaatakowana przez tłum Żydów (kilkadziesiąt osób). Posypały się kamienie, z których jeden ponownie ugodził Waclawskiego, tym razem w prawą

skroń. Eskortujący ofiarę razem z Józefem Switkiem student medycyny Leokadiusz Wyszomirski wyjął wtedy rewolwer i oddał w powietrze kilka strzałów, które spowodowały, że tłum odstąpił i dorożka mogła swobodnie ruszyć dalej na pogotowie. Po udzieleniu podstawowej pomocy na stacji pogotowia ratunkowego rannego przewieziono do szpitala, gdzie po godzinie zmarł”[16].

Decyzją rektora uniwersytet został zamknięty, jednak na ulicach wciąż trwały bijatyki. Niszczono mienie żydowskie, obrzucono kamieniami redakcję konserwatywnego „Słowa”, a policja zachowywała się niezdecydowanie. Oprócz Waclawskiego rany odniosło jeszcze 37 osób, natomiast 60 uczestników zamieszek trafiło do aresztu.

Emocje wreszcie opadły i trzy dni później we względnie spokojnej atmosferze odbył się pogrzeb Waclawskiego. Jedynym zgrzytem była niespodziewana interwencja policji, która rozpedziła powracających do domów żałobników. W efekcie przeprowadzonego śledztwa na dwa lata więzienia skazano mężczyznę, któremu udowodniono udział w napadzie na dorożkę przewożącą rannego do szpitala.

Zajścia w Wilnie nie były zresztą wyjątkiem – w Warszawie wyrzucano z wózków żydowskie niemowlęta, do rozpedzenia demonstrantów policja musiała używać samochodu pancernego (!), a rektor Uniwersytetu Warszawskiego zawiesił zajęcia. W efekcie w następnych latach większość uczelni zastosowała zasadę *numerus clausus* i odtąd na poszczególne kierunki przyjmowano nie więcej niż 10 procent Żydów (tyle liczyła mniejszość żydowska w Polsce). Kolejnym krokiem było wprowadzenie gett ławkowych – studenci żydowscy mogli zajmować miejsca tylko w ściśle wyznaczonej części sali wykładowej.

Jarosław Iwaszkiewicz

Miłosz osiągnął lokalną popularność, jednak jego droga na szczyt byłaby znacznie dłuższa, gdyby nie Jarosław Iwaszkiewicz. To właśnie skamandryta wprowadził go na literackie salony, a stosunki łączące obu panów do dzisiaj wzbudzają żarliwe spory wśród historyków literatury.

Czesław był zafascynowany poezją Iwaszkiewicza, cenił go najwyżej z wszystkich literatów spod znaku Skamandra. Wiedział przy tym, że jest to twórczość trudna w odbiorze i dostępna nielicznym, dlatego nie zdziwiło go to, że na wileńskim wieczorze Tuwima zabrakło krzeseł, natomiast na spotkanie z Iwaszkiewiczem przyszło zaledwie kilka osób. Pozostawał jednak pod ogromnym wpływem wierszy pana Jarosława, a ich osobista znajomość rozpoczęła się, gdy 19-letni Czesław napisał do swojego idola entuzjastyczny list.

„Uwielbiam Pana. Każdy wiersz Pana jest dla mnie objawieniem. Dlatego zwracam się do Pana z prośbą o ocenę moich utworów. Nic nie wiem. Czy są to rzeczy dobre, czy tylko dowodzą pewnej kultury literackiej – nie wiem.

Przyjaciele moi mówią, że to dobre wiersze. Ale skąd mogę wiedzieć, czy nie kierują się tylko względami grzeczności”[17].

Iwaszkiewicz odpowiedział niemal natychmiast, zapraszając Miłosza do Stawiska. Przesłał mu też pieniądze na podróż, Czesława nie było bowiem stać na opłacenie biletów kolejowych. Ostatecznie pojawił się u skamandryty w styczniu 1931 roku, a jego wizyta miała się stać początkiem ich przyjaźni.

Iwaszkiewicz pozytywnie ocenił literackie próby młodszego kolegi, a kilka miesięcy później odwiedził go w Wilnie. Regularnie wymieniali listy, które Miłosz uważał wówczas za „najważniejszy sens życia”. Pisał do Iwaszkiewicza w sposób mocno egzaltowany, poruszał

tematy, które można uznać za co najmniej zastanawiające. Szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę homoseksualizm adresata.

„Wiesz, jesteś mi drogi i dlatego przez te wszystkie dni przeklinałem siebie – zawsze muszę zostać samotny, wiem o tym – to śmieszne – ciągle szukam przyjaźni i z chwilą kiedy wiem, że mógłbym znaleźć przyjaciela, czuję, że wina będzie po mojej stronie, że będzie mój chłód, senność, sceptycyzm, gorycz i to straszne skamienienie”[18].

Następne listy były jeszcze bardziej interesujące, Miłosz przyznawał w nich, że ciągle myśli o Iwaszkiewiczu i „wyobraża go sobie w biurze, w domu, na ulicy, w kolejce”. Korespondencję od Jarosława nazywał „najlepszym podarunkiem”, gdyż po każdym jego liście „odzyskiwał spokój na długo”. Miewał też sny o przyjacielu, które trudno jednoznacznie zinterpretować.

„Jeden był szczególnie fantastyczny – pisał w marcu 1931 roku – brałeś w nim udział Ty, raz »sam w sobie«, a drugi raz pewne twoje elementy wchodziły w całokształt postaci kobiety. Sen ten, pełen potworności, od których skóra cierpnie, miał nadzwyczajne przedstawienia – całowała mnie i pieściła owa istota – ukobiecony Ty – a inny znów fragment snu to: miałem stosunek z mężczyzną, który był umęczoną dziewczyną, z którą rzeczywiście spędziłem kilka nocy. Pierwsze było rozkoszne, drugie – ohydne”[19].

Gdy Miłosz ponownie pojawił się w stolicy, Iwaszkiewicz zabierał go z sobą na spotkania literackie. Traktowano go tam jak kochanka Jarosława, co uważał za upokarzające. Przy tej okazji poznał innych artystów o homoseksualnych upodobaniach: Szymanowskiego, Czechowicza, Andrzejewskiego, a także przyjaciela tego ostatniego, chemika Bolesława Bochwica.

„[...] *milieu* [środowisko] porozumiewało się sobie tylko wiadomymi sposobami – wspominał Miłosz – w Śródmieściu za główne punkty oparcia wybrałszy pisuar na placu Napoleona [obecny plac Powstańców Warszawy – S.K.] i łaźnie miejskie – do łaźni chodziłem czasem z B[ochwicem] i dostarczał mi niezłego przedstawienia przez sam sposób zawierania znajomości z różnymi chłopcami”[20].

Czy Iwaszkiewicza i Miłosza połączył romans? Skamandryta promował Czesława, wspomagał go również finansowo, przy czym nie do końca wiadomo, czy robił to w formie pożyczek, czy darowizn. Na pewno pisarz sfinansował kajakową wyprawę Miłosza i jego dwóch przyjaciół do Paryża. Po latach, gdy panowie zerwali z sobą kontakty, skamandryta gorzko wspominał ten okres w swoim *Dzienniku*:

„Na szczęście zachowały się jego listy – z nich wiadomo będzie, co znaczy jego pierwszy przyjazd na Stawisko [...] w jesieni 1930 roku (»Uwielbiam Pana!«), czyje pieniądze utonęły w Renie na wycieczce, kto pomagał Jędrzychowskiemu, dlaczego konsul w Strassburgu był taki uprzejmy (po mojej depeszy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych) – pod czyim czuwającym okiem odbyła się ta cała wyprawa, co znaczyły dwa tygodnie spędzone przez Czesia w Brukseli u mnie, z weekendem w Zout, mój przyjazd do Wilna w maju 1936 itd., itd.”[21].

Maria Iwaszkiewicz zaprzeczała jednak, że jej ojciec miał romans z Miłoszem. Czesław też nigdy tego nie potwierdził – utrzymywał, że w jego życiu nigdy nie było żadnych doświadczeń homoseksualnych. Owszem, znał wielu pederastów, ale nie interesowała go ta forma aktywności erotycznej.

„Nie należę do tej sekty, miałem natomiast wśród moich przyjaciół homoseksualistów, którzy oczywiście twierdzili, że jestem ich, tylko »nie uświadomiony«. I fakt, że jakoś się nie uświadomiłem, w niczym nie przeszkadzał naszym szczerym rozmowom”[22].

Czy jednak było to prawdą? Zaprzecza temu fragment *Dzienników* Iwaszkiewicza, w którym pisarz wspominał wizytę w Wilnie wiosną 1936 roku. Przyjechał wówczas na wieczór

autorski, pływał z Miłoszem i Putramentem żaglówką po Jeziorze Trockim, głównie jednak poświęcał czas Czesławowi.

„Każda epoka ma swój styl – wspominał z nostalgią 20 lat później – nawet w drobiazgach i w innej epoce nie można pewnych rzeczy realizować. Mogłem w maju 1936 roku chędożyć Czesia Miłosza w mickiewiczowskiej celi Konrada u bazylianów w Wilnie. Była cudowna noc z księżycem i słowikami. Rzecz nie do pomyślenia w 1824 roku ani w 1954. Gdzie teraz Mickiewicz? Gdzie Miłosz, a gdzie Iwaszkiewicz?”[23].

Nie bez powodu mawiano w przedwojennej Warszawie, że droga do kariery dla młodego literata prowadzi przez łóżko Nałkowskiej lub Iwaszkiewicza. Warunkami były jednak uroda i talent, a przecież tych przymiotów Miłoszewi nie brakowało.

Jadwiga Waszkiewicz

Bez względu na to, czy Czesław ostatecznie uległ Iwaszkiewiczowi, czy też nie, ważniejszą sprawą wydaje się jego kilkuletni romans ze studentką prawa Jadwigą Waszkiewiczówną. Po latach nazwał ten związek „prawdziwą i tragiczną miłością chłopięcego wieku” i do końca życia miał wyrzuty sumienia z powodu swojego postępowania.

Jadwiga była od niego o rok starsza i pochodziła z zamożnej rodziny. Jej ojciec, znany lekarz, wybudował w mieście okazałą kamienicę, a poza tym był właścicielem 60-hektarowego folwarku Barcie w pobliżu podwileńskich Zielonych Jezior. Miłosz romansował z Jadwigą od drugiego roku studiów, a dziewczyna odwiedzała go nocami w jego pokoju w akademiku.

„Czwarte piętro domu akademickiego – wspominał po latach – pamiętam jako szczęście [...]. Dotychczas nie pojmuję, jak to było możliwe bez udziału jakiejś siły nadprzyrodzonej, która może albo sprawić, że stajemy się niewidzialni i przechodzimy strzeżone bramy, albo zesłać sen na strażników. W każdym razie ta, której imienia nie mam zamiaru wymawiać, dostawała się do mego pokoju i celebrowaliśmy tam w tym maleńkim *cubiculum* [sypialni] radosne obrzędy dawanej i otrzymywanej rozkoszy”[24].

Czesław regularnie bywał w Barciach, zachowały się nawet jego wspólne zdjęcia z Jadwigą. Jednak gdy po trzech latach dziewczyna zaszła w ciążę, nie potrafił zachować się w dojrzały sposób.

„[...] jak patrzę wstecz – pisał do Jadwigi blisko pół wieku później – to swego życia zupełnie nie rozumiem. [...] Lato w Barciach, 1934. I ciągłe pytania, dlaczego tak a tak postąpiłem. Czy tak być musiało? Czy znowu tu działałem mediumicznie, bez dostatecznych racji? I tak dalej. A Ty jesteś dzielna i dziś porozumienie pomiędzy mężczyzną i kobietą widzę inaczej niż takie, do jakiego w młodości nie byłem niestety zdolny”[25].

Trudno w tej całej historii ustalić fakty i chronologię wydarzeń, pewne światło na całą sprawę rzuca jednak autobiograficzna powieść późniejszego męża Jadwigi, Sergiusza Piaseckiego. W książce *Człowiek przemieniony w wilka* sportretował on Waszkiewiczównę pod imieniem Heleny, natomiast Miłosz występuje tam jako poeta o wdzięcznym przydomku Narcyz.

„Otoczył ją aurą uwielbienia, pisał dla niej wiersze, czułe listy. Zapewniał ją o swej miłości »do śmierci«. Osiągnął to, że stała się jego kochanką... w jej pojęciu, zgodnie z jego zapewnieniami, żoną. Wtedy żądał od niej wyrafinowanych pieszczot. Helena nie miała »temperamentu«, ale znosiła jego wymagania, bo była od niego zależna”[26].

Piasecki nie znosił Miłosza, a na niechęć z powodów politycznych nałożyły się jeszcze porachunki osobiste. Przedstawiony przez niego obraz końca związku Jadwigi z Czesławem jest bardzo niekorzystny dla późniejszego noblisty, jednak podstawowe fakty zgadzają się z rzeczywistymi wydarzeniami.

„Po jakimś czasie Helena zaszła w ciążę. Narcyz był wtedy w Wilnie. Zawiadomiła go. Poprosiła, żeby dotrzymał słowa i jak najprędzej ją poślubił. Narcyz nie odpowiedział na kilka listów. A gdy zażądała spotkania i wyznaczyła jego termin, wyjechał do Warszawy. Helena udała się do Wilna i zdobyła jego adres warszawski. Pojechała tam. Z trudem zdołała uzyskać spotkanie z nim na dworcu kolejowym. Błagała go, żeby jej dopomógł wywikłać się z tragicznej sytuacji. Narcyz jej to przyrzekł i zapewnił o swej miłości. Gdy zaś Helena powróciła do Wilna, przysłał okrutny list, w którym napisał, że nie zamierza marnować sobie przyszłości związkiem z nią; że nie wie, kto jest sprawcą jej ciąży, bo ona w Wilnie flirtowała nawet z jego kolegami. Dodał, że wyjeżdża na długo za granicę”[27].

Miłosz rzeczywiście wyjechał wtedy na wspomnianą już wyprawę kajakową, która miała zaprowadzić go do Francji. Piasecki napisał, że ukochana Narcyza dokonała aborcji (był to zabieg wówczas nielegalny), co nieomal zakończyło się jej śmiercią. W rzeczywistości Jadwiga Waszkiewiczówna urodziła dziecko, które natychmiast zostało oddane do adopcji. Wskazuje na to relacja Marii Nurowskiej, która po latach przypadkowo poznała kulisy całej sprawy.

„[...] w latach 90. jechałam pociągiem z kobietą, która była córką przyjaciółki Jadwigi, chyba jedynej, jaką miała. Opowiedziała mi o romansie [...] Miłosza i o tym, jak pozostawił swoją kochankę w ciąży. Według jej wersji, urodziła się z tego związku córka, którą ojciec Jadwigi, aby uniknąć skandalu, oddał do adopcji. Jadwiga nie pogodziła się z tym do końca życia”[28].

Fakt, że dziecko przyszło na świat, zdaje się potwierdzać również późniejsza korespondencja Czesława z Jadwigą, gdzie poeta kilka razy stwierdza, że nie może sobie wybaczyć fatalnych postępów wobec Jadwigi i Anielki. W otoczeniu Miłosza raczej nie było osoby o tym imieniu, zapewne więc chodzi o oddaną do adopcji dziewczynkę.

Czesław przestraszył się odpowiedzialności związanej z małżeństwem i ojcostwem. Miał 23 lata, nie chciał się wiązać, dlatego pozostawił dziewczynę w ciąży i uciekł. Później tłumaczył, że musiał wybierać między małżeństwem a literaturą. Wydaje się, że pod pewnymi względami nie dorównywał klasą swojej kochance. Ta bowiem po latach wybaczyła mu i nawet próbowała usprawiedliwić jego ówczesne zachowanie.

„[...] nawet największy skrupulant – pisała do noblisty w 1982 roku – nie mógł Ci nic zarzucić w stosunku do mnie z punktu widzenia formalnego, co innego sprawa uczuć i wierności im i sobie. [...] Po Twoim powrocie z Paryża wg mnie Ty wybrałeś właściwą drogę – chyba tak, skoro doprowadziła Cię tam, gdzie jesteś obecnie”[29].

Zauważyła również, że „nigdy nie był zły”, a właściwie tylko bardzo „dziecinny”. Trzeba przyznać, że poeta trafił na bardzo wyrozumiałą kobietę, która potrafiła zapomnieć, jak bardzo ją kiedyś skrzywdził.

Późniejsze lata również nie przyniosły Jadwidze zbyt wiele dobrego. Znalazła pracę w Łucku, gdzie osiadła na dwa lata, po wybuchu wojny powróciła jednak do Wilna. To właśnie wtedy związała się z pisarzem i członkiem AK Sergiuszem Piaseckim i urodziła mu syna. Wkrótce po wojnie Piasecki, poszukiwany przez Urząd Bezpieczeństwa, wyjechał na Zachód, gdzie miał pozostać już do końca życia. Jadwiga wraz z dzieckiem i rodzicami osiedliła się w Giżycku i z trudem wiązała koniec z końcem. Po literackiej Nagrodzie Nobla dla Miłosza nawiązała z nim korespondencję, planowali nawet spotkanie na terenie Jugosławii. Przeszła jednak zawał serca i plany trzeba było odłożyć. Nigdy więcej nie zobaczyła już swojego wiarołomnego kochanka, chociaż listy wymieniali do końca jej życia. Zmarła w kwietniu 1989 roku.

Co prawda Czesław twierdził, że „w ciągu wielu, wielu lat nie było dnia, żeby o niej nie myślał”, to w rzeczywistości bardzo szybko się pocieszył. Kilka miesięcy po porzuceniu

ciężarnej kochanki przeżył gorący romans z aktorką Teatru Miejskiego w Wilnie Ireną Górską. Urodziwa, jasnowłosa artystka szybko zwróciła uwagę na początkującego poetę, który wydał się jej ucieleśnieniem męskiego ideału. Uważała go za inteligentnego i przystojnego, zatem stało się to, co musiało się stać.

„[...] wtedy to właśnie – wspominała Górską – zawiązała się pomiędzy mną i Czesławem ogromna przyjaźń, która przerodziła się w młode, radosne, szczeniące, zielone, a jednocześnie głębokie przeżycie. Pamiętać go będę zawsze jako zgrabnego, bystrego chłopca o wesołych oczach i zadartym figlarnie nosku, chodzącego w pumpach, mówiącego miękko z wileńska, uroczego, utalentowanego – już wtedy świetnego – poetę”[30].

Kochali się w gorące noce nad Wilią, ona na znak miłości zaczęła nosić czerwoną kokardę we włosach. Jednak ich romans nie miał przed sobą przyszłości, bo niebawem Irena dostała angaż w Teatrze Dramatycznym we Lwowie i opuściła Wilno. Następnie trafiła do Warszawy, gdzie występowała na scenie Teatru Buffo. Wyszła za mąż za aktora Dobiesława Damięckiego i miała z nim dwóch synów, również aktorów – Macieja i Damiana. Zawsze też dobrze wspominała Miłosza, najwyraźniej mając więcej szczęścia niż Jadwiga Waszkiewicz...

Nietypowy trójkąt

Miłosz od lat zastanawiał się nad przeprowadzką do Warszawy, a pierwszą próbę podjął wkrótce po pamiętnych rozruchach antyżydowskich w Wilnie. Zabrał dokumenty z dziekanatu wileńskiej uczelni i złożył je na Uniwersytecie Warszawskim. Został przyjęty, jednak przygoda ze studiami w stolicy nie trwała zbyt długo. Nie zdał wszystkich wymaganych egzaminów i musiał powrócić do Wilna.

„W mojej biografii są oczywiście momenty, które są hańbą – wspominał. – Ten rok w Warszawie należy dla mnie do haniebnych. Oblanie egzaminów wydawało mi się tak straszną tragedią i tak strasznym poniżeniem, że nigdy o tym nie wspominałem w swoich książkach, chociaż nie jest to hańba, z której nie można się podźwignąć przez całe życie [...]. Teraz mogę mówić spokojnie o tym roku warszawskim. Po prostu byłem udręczony, zupełnie bez pieniędzy, niesłychanie ubogi”[31].

Nauka zdecydowanie łatwiej przychodziła mu w Wilnie, gdzie w lipcu 1934 roku uzyskał tytuł magistra. Nie myślał jednak o pracy w zawodzie, bo prawo właściwie nigdy go nie interesowało. Większą szansą wydawała się współpraca z wileńską rozgłośnią Polskiego Radia. Już wcześniej miał z nią okazjonalny kontakt, a teraz dostał tam etat sekretarza kierownika programowego u Tadeusza Byrskiego. Razem z nim do pracy przyjęto też innego absolwenta wileńskiego uniwersytetu, Leona Beynara, bardziej znanego jako Paweł Jasienica.

Miłosz zarabiał w rozgłośni całkiem przyzwoite pieniądze i po raz pierwszy zaczął odkładać część dochodów. Pojawił się tylko jeden problem: jego zajęcie nie miało nic wspólnego z literaturą. Czesław był urzędnikiem pracującym w określonych godzinach i wykonywał zadania niewymagające inwencji twórczej.

Inna sprawa, że czasami wypełniał nietypowe polecenia i do takich właśnie należała wizyta na ulicy Młynowej w domu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Ten jak zwykle brał honoraria z góry, ale nie miał zwyczaju punktualnego wywiązywania się ze zobowiązań. Miłosz pojawił się u niego w garniturze i pod krawatem (ostatecznie był przecież przedstawicielem państwowej instytucji) i zastał Gałczyńskiego na rauszu, leżącego nago na kanapie i zajętego lekturą Horacego. Rozmowa poetów musiała mieć intrygujący przebieg, gdyż następnego dnia

Konstanty przesłał do Byrskiego krótką informację:

„Szanowny Panie Tadeuszu, niestety zamówionej przez Polskie Radio i zapłaconej konferansjerki napisać nie mogę, gdyż leżę obłożnie chory, co stwierdził przysłany przez Pana do mojego mieszkania urzędnik Miłosz”[32].

Pensja Miłosza rzeczywiście musiała być godziwa, gdyż stać go było na kilkutygodniową wyprawę do Włoch, gdzie „dopełniał edukację artysty i Europejczyka”, wędrując po tamtejszych zabytkach i muzeach. Wiedział już wtedy, że zostanie służbowo przeniesiony do Warszawy, ponieważ działalność Byrskiego nie podobała się wileńskim władzom lokalnym – obaj panowie mieli więc otrzymać etaty w stolicy.

Tak więc w lipcu 1937 roku Miłosz pojawił się w Warszawie, gdzie kontynuował karierę urzędnika państwowego. Początkowo prowadził korespondencję telegraficzną Polskiego Radia, następnie trafił do Biura Planowania Programów. Spędzał niezliczone godziny na nudnych naradach, których jedynym urozmaiceniem były wypadki do pobliskiego sklepu, gdzie kupował coś do jedzenia i na stojąco popijał to wódką.

„Szybkość mojej kariery okazała się zawrotna – wspominał. – Była wprost proporcjonalna do nudy i sarkazmu, jaki zacząłem ujawniać, kiedy minęło pierwsze onieśmienie. Kombinacja pracowitości i bezczelności jest chyba najlepszym taktycznym chwytem dla kogoś, kto ma arywistyczne chęci, ale nie obliczałem posunięć, zależało mi tylko na tym, jak zepchnąć jeszcze jeden dzień. Ze zdziwieniem zauważyłem po roku, że zarabiam dużo, coraz więcej”[33].

Początkowo mieszkał u zaprzyjaźnionych Haliny i Bolesława Micińskich, którzy przebywali wówczas na stypendium we Francji. Odwiedzał stołeczne knajpy, popijając ulubioną wódeczkę, pomimo jednak bliskiej znajomości z Iwaszkiewiczem omijał Małą Ziemiańską. Nie bywał również w Zodiaku, gdzie brylował Gombrowicz, nie nawiązał też bliższych kontaktów z Grydzewskim i jego „Wiadomościami Literackimi”. Był już wtedy zdeklarowanym indywidualistą, nie chciał występować pod jednym szyldem z innymi. Zapewne wpływ na to miała znajomość z Janiną, która z dużą niechęcią odnosiła się do uznanych sław literackich, co oczywiście nie przysparzało jej sympatii. W efekcie niektórzy znajomi przekręcali jej nazwisko, nazywając ją „panią Cyjankalską”.

Tymczasem Miłosz potrzebował właśnie kogoś takiego. Partnerka była wprawdzie osobą dość chłodną, ale potrafiła go skutecznie okiełznać. Trzeźwa i krytyczna, hamowała upodobanie poety do „artystycznego trybu życia”, a o jej apodyktycznym zachowaniu opowiadano różne historie. Jednocześnie z jej zdaniem liczył się osobnik tak bardzo zrozumiwały jak Jerzy Andrzejewski, który miał przecież znakomity gust literacki.

Wpływ Janki na Czesława stał się jeszcze bardziej wyraźny, gdy wspólnie zamieszkali na warszawskich Dynasach. Być może Cękalski pogodził się z sytuacją, choć trudno z całą pewnością stwierdzić, jak wyglądały relacje między uczestnikami tego miłosnego trójkąta. Zastanawiające, że partnerki Miłosza nie znał Iwaszkiewicz, który przecież pozostawał z Czesławem w bliskich kontaktach. Skamandryta nie tylko nigdy nie widział jej na oczy, ale w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. Co więcej, w chwili wybuchu wojny Miłosz przebywał na Dynasach, natomiast Janina była w Wołominie... z Cękalskim. Poza tym wspomnienia przyjaciół Cękalskiego jednoznacznie wskazują na to, że nic nie wiedzieli o rozpadzie jego małżeństwa...

Ciekawe światło na trójkąt Janina-Cękalski-Miłosz rzucają wspomnienia reżysera Stanisława Wohla. Był on blisko zaprzyjaźniony z mężem Janiny i wyraźnie stwierdził, że do września 1939 roku Cękalscy mieszkali razem na Dynasach. W pierwszych dniach wojny ruszyli wspólnie do Lublina, po czym rozstali się niedaleko Warszawy. Eugeniusz poszedł dalej, a Janina miała się schronić u rodziców w Wołominie i następnie powrócić do stolicy.

„Zadzwoniłem do Cękalskiego – wspominał Wohl – [...] telefon odebrał Czesław Miłosz i powiedział: »Gienek z Janką [...] poszli do Lublina«. Ta wiadomość zrobiła na mnie ogromne wrażenie, pójść na piechotę do Lublina – to nie byle co”[34].

Wydaje się, że stosunki panujące w tym trójkącie były o wiele bardziej skomplikowane, niż podają to biografowie Miłosza. Niewykluczone, że Czesław wcale nie mieszkał z Janiną, ale raczej u niej pomieszkiwał, korzystając z nieobecności męża. Filmowiec z powodów zawodowych wiele czasu spędzał w rozjazdach, co poeta skrupulatnie wykorzystywał. Zresztą Wohl wyraźnie stwierdził, że o rozpadzie małżeństwa zdecydowała nie wojna, lecz przede wszystkim Miłosz, który „zabrał żonę Cękalskiemu”.

Ponownie razem

Po wybuchy wojny poetę ewakuowano razem z innymi pracownikami Polskiego Radia, natomiast Janina nie zdążyła wrócić na czas do stolicy. Podobno liczyła na to, że Czesław nie wyjedzie bez niej z Warszawy... Każdy dzień wojny przynosił nowe, dramatyczne wydarzenia i trudno było cokolwiek planować.

Kilkanaście dni wojny jednak wystarczyło, by zaczął za nią tęsknić. Toteż gdy we Lwowie spotkał znajomego, Jana Tarnowskiego, który dysponował własnym samochodem z zapasem paliwa, postanowił wracać z nim do Warszawy. Planowali jechać wzdłuż wschodniej granicy kraju, a następnie przebijać się przez Polesie. Zanim jednak wyruszyli w drogę, wkroczyła Armia Czerwona i sprawa stała się nieaktualna. Należało natychmiast opuścić kraj, aby nie wpaść w ręce bolszewików.

Obaj udali się do Rumunii, by tam, w Bukareszcie, zatrzymać się u przyjaciół Tarnowskiego. Na warunki bytowe nie mogli narzekać – ordynans pana domu, wysokiego oficera armii rumuńskiej, przynosił Miłoszowi nawet śniadania do łóżka.

Poeta nawiązał kontakt listowny z Janiną i zaproponował jej spotkanie w Wilnie. Miasto zostało bowiem zaanektowane przez Litwinów i dawało możliwość legalnego wyjazdu do Szwecji. Ze Sztokholmu mieli udać się do Francji i tam doczekać końca wojny.

Czesławowi udało się zdobyć w Bukareszcie litewski paszport, urodził się bowiem w Szetejniach, które przez cały okres międzywojenny pozostawały pod administracją litewską. Poza tym miał stały wileński meldunek, a na dodatek był kuzynem niedawno zmarłego Oskara Miłosza – litewskiego poety i dyplomaty, którego pamięć otaczano w Kownie wielką czcią.

Bez większych problemów otrzymał też wizę sowiecką, Kreml zachowywał bowiem pozory przyjaznych stosunków z rządem Litwy. W efekcie przez Kiszyniów, Kijów i Dyneburg bez komplikacji dotarł do Wilna.

Tam powoli organizował wyjazd do Sztokholmu, musiał jednak zarabiać na życie, więc podjął pracę dziennikarza. Publikował w polskiej „Gazecie Codziennej” oraz w litewskiej „Naujoji Romuva”. W redakcji tego drugiego pisma przez pewien czas nawet mieszkał.

„[...] naprawdę bliżsi mi byli »krajowcy« – tłumaczył pół wieku później – niż prawowiernie patriotyczni Polacy, a jako krewny Oskara Miłosza, który chciał Wilna dla Litwy, nie mogłem hodować w sobie wrogości do »okupacji litewskiej«”[35].

Nie zwracał uwagi na antypolskie działania władz litewskich. Niespecjalnie zainteresował się lituanizacją Uniwersytetu im. Stefana Batorego czy wprowadzeniem języka litewskiego do szkół i urzędów. Bardziej zajmowała go konsumpcja alkoholu na koszt bogatego warszawskiego Żyda Feliksa Ferbera, który uciekł z Warszawy w obawie przed Niemcami, a nad Wilejką zasłynął jako hojny sponsor literatów.

„Pijaństwo zaczynało się zwykle koło jedenastej rano. [...] Poeci [...] byli zbyt wytrawnymi pijakami, żeby popadać w nieprzytomność. Sączyli wódkę z wielkich szklanek, stale dolewając do pełna i prowadząc przez cały dzień nieustający palawer [paplaninę – S.K.] aż do późnych godzin nocnych. Następnego ranka trzeba było zabić kaca i wszystko odbywało się tak samo. W ten sposób czas, bezsensowny i beznadziejny, rozwijał się inaczej niż w nieprzesłoniętej rzeczywistości, alkohol go transformował”[36].

Tymczasem Janka nie zdecydowała się na próbę przekroczenia zielonej granicy, niebawem zresztą ograniczono loty do Sztokholmu, a w czerwcu 1940 roku Litwę zajęli Sowieci. W tej sytuacji poeta uznał, że nadeszła pora na opuszczenie Wilna, i wyruszył do Warszawy. Po kilku tygodniach dramatycznej podróży przez Prusy Wschodnie i Generalną Gubernię dotarł do stolicy. Na przełomie lipca i sierpnia, po dziesięciu miesiącach rozstania, kochankowie znów się połączyli.

Okupacja, alkohol i bigamia

Jako że Cękański znalazł się na Zachodzie, Miłosz bez przeszkód wprowadził się na Dynasy. Niestety partnerzy długo tam nie pomieszkali, bo w związku z rozszerzaniem osadnictwa niemieckiego w stolicy zostali eksmitowani i przez pewien czas wynajmowali pokój w mieszkaniu Antoniego Bohdziewiczza u zbiegu Kredytowej i Mazowieckiej. Gospodarz był człowiekiem skrupulatnym finansowo, więc regularnie przypominał im o zaległych opłatach, ale jego ogromną zaletą było to, że pracował jako barman w kawiarni U Aktorek.

„Antoni – wspominał Andrzejewski – rozlewając na swoim posterunku przez cały dzień trunki, od czasu do czasu skąpił kilku kropelek drogich koniaków i kiedy myśmy z Czesławem przychodzili, to tych poskąpień sporo się uzbierało i myśmy nie gorzej niż waluciarze siedzieli za barem i piliśmy te drogie zlewki, to było naprawdę fajne, i chyba nie muszę wyjaśniać dlaczego”[37].

W połowie 1941 roku Miłoszowi udało się zdobyć przydział na trzypokojowe mieszkanie komunalne w alei Niepodległości, w którym zamieszkał razem z Janką i jej rodzicami. Czesław wraz ze Stanisławem Dygatem pracował przy wydobywaniu z gruzów zbiorów zbombardowanego Instytutu Francuskiego, następnie przeniósł się na posadę woźnego do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Praca była słabo płatna, ale za to jak najbardziej legalna, a dodatkowo dzięki niej poeta mógł zapoznać się z ogromną liczbą mało dostępnych książek, co bardzo sobie chwalił. Otrzymywał też zapomogi finansowe od Państwa Podziemnego, których dysponentem był Jarosław Iwaszkiewicz. Dobrze radziła sobie Janina, która początkowo pracowała w barze Pod Kogutkiem i handlowała alkoholem oraz papierosami. Sporo zarabiała również na skupowaniu złota dla jednego z warszawskich jubilerów.

Poważny zastrzyk finansowy przyniosła poecie działalność konspiracyjnych wydawców skupujących rękopisy z myślą o wydawaniu ich po wojnie. Wśród nich był Stanisław Ryńca, dzielący niegdyś z Czesławem pokój w wileńskim akademiku. Dawny student prawa doskonale odnalazł się w gospodarczym podziemiu, pod przykrywką legalnej działalności prowadził operacje finansowe na ogromną skalę, a część zysków inwestował w umowy z autorami. Wyplacane przez niego zaliczki odpowiadały kilkumiesięcznym zarobkom (kwoty rzędu 5–10 tysięcy złotych, średnia pensja wynosiła około tysiąca złotych), co stanowiło poważny zastrzyk finansowy dla autorów. Czesław sprzedawał swoje utwory, pośredniczył też w kontaktach z innymi pisarzami.

Udzielał się również w podziemnym życiu literackim – już w 1940 roku pod pseudonimem Jan Syruć wydał tomik poetycki, przygotował też antologię *Pieśń niepodległa*. Dla

młodych warszawskich poetów był już autorytetem, doceniano jego ogromny talent. Regularnie uczestniczył w spotkaniach literackich, często odwiedzał Stawisko Iwaszkiewiczów. Przyznawał też, że był to w jego życiu okres najbardziej intensywnego pijaństwa.

„Prawdziwe picie zaczynało się w Warszawie za okupacji, z Jerzym Andrzejewskim i Janką – opowiadał po latach. – U niego stopniowo przeszło w alkoholizm i nabył marskości wątroby, co skończyło się śmiercią. Dość nędzny triumf dożyć mego wieku z czystą wątrobą, choć [to] nie moja zasługa, tylko genów. Piłem dużo, ale starannie oddzielając czas pracy od czasu rozluźnień”[38].

Przyznawał jednak, że alkohol robił z niego „błazna” – będąc pod jego wpływem, zdarzało mu się nawet prowokować Niemców. Kiedyś na dużym rauszu wędrował ulicami Warszawy, „śpiewając na całe gardło *Międzynarodówkę* po rosyjsku”, a napotkany gestapowiec nie zareagował. Najwyraźniej opatrność czasami czuwa nad pijakami...

Stały kompan od kieliszka Jerzy Andrzejewski widział w Miłoszu głównie kolegę po piórze, natomiast zdecydowanie lubił Jankę[39]. Wszyscy troje regularnie nadużywali trunków, co nie było zresztą żadnym ewenementem ani w ówczesnym środowisku literackim, ani poza nim. W tamtych latach pijaństwo stanowiło dość popularny sposób zmagania się z okupacyjną beznadzieją. Każda okazja była dobra, a już wszelkiego rodzaju święta stanowiły idealny pretekst do picia dużych ilości bimbrow. Tego ostatniego nie pijano zresztą z kieliszków, tylko ze szklanek.

„Naprzód pili, stojąc wokół dużego stołu – relacjonowała Zofia Nałkowska w grudniu 1943 roku – i spożywając przedświąteczną »rybkę«, później leżeli w poprzek tapczanów, leniwie gawędząc. Mężczyzna z kobietą lub kobieta z dwoma mężczyznami [...], był [...] Miłosz, był Andrzejewski, [...] i zwłaszcza Breza”[40].

Był to dopiero początek świątecznego pijaństwa, bo „literacki śledzik” trwał zwykle kilka dni. Spotykano się w różnych konfiguracjach towarzyskich, a alkohol odgrywał podczas tych spotkań dominującą rolę.

„Wstaję późno – notowała Maria Dąbrowska w drugi dzień Bożego Narodzenia. – O 12-tej z Kowalskimi do Wandeczki. Tam podstępnie mocna wódka – Andrzejewski upija się z punktu pierwszym kieliszkiem i całkiem nieprzytomny coś mówi, śpiewa – pierwszy raz go widziałam w tym stanie – wracam z p. Jerzym – Anna (jeszcze całkiem trzeźwa) wymknęła się wcześniej do Miłoszów – gdzie jeszcze pili. Na kolację wszyscy się schodzimy i zjadamy flaki [...]. Mamy na święta wielką radość – od wczoraj od południa światło jest bez przerwy. Nie wiem, czy to mnie tak wytrąciło z równowagi – czy z innych przyczyn – całą noc dzisiaj nie spałam – zasnęłam dopiero o 6-tej rano, a zbudziłam się o 8-ej”[41].

Szczególnie celebrowano wszelkiego rodzaju rocznice. Spotykano się wówczas w większym gronie, a atmosfera przypominała bal na Titanicu. Miłosz upijał się zawsze na wesoło, na swoich imieninach tańczył, recytując własne wiersze, stoczył też gombrowiczowski pojedynek na miny ze Stefanem Kisielewskim. Jednak biesiadnicy najlepiej zapamiętali jego rywalizację z Andrzejewskim.

„[...] klęczeli obok siebie – opisywał Jan Kott. – [...] Walili głową o podłogę, potem na: raz, dwa, trzy! podnosili głowy i stroili miny. Miny prywatne i publiczne, miny niewinne i obsceniczne, miny generalskie i cywilne, miny dziewicy i pederasty, i wielkie miny historyczne: mina Becka, mina Hitlera, mina Stalina. Były jeszcze Ojca i Króla. I może ostatnia z min Czesława – mina Pana Boga, po której Jerzy padł plackiem”[42].

Z perspektywy czasu Czesław wstydził się tych zabaw, przyznawał jednak ze smutkiem, że „zbyt wiele pokoleń jego przodków piło, żeby był wolny od pociągu do kieliszka”. Zresztą sekundowała mu w tym Janka, a to nie rokowało najlepiej na przyszłość.

Jednym z powodów skłonności alkoholowych pani Cękalskiej mogły być jej

nieuregulowane do końca sprawy osobiste. Legalny mąż przebywał na zachodzie Europy, nic nie można było zrobić w sprawie rozwiązania małżeństwa. Wprawdzie w oficjalnych biogramach poety znajdujemy informację, że do rozwodu doszło w sierpniu 1943 roku, a w styczniu roku następnego Janina i Czesław pobrali się, nie jest to jednak prawdą. Chociaż w Generalnym Gubernatorstwie wprowadzono niemieckie ustawodawstwo umożliwiające rozwody i śluby cywilne, to nieobecność Cękalskiego w kraju uniemożliwiła przeprowadzenie takiego postępowania. Nie wiadomo zresztą, czy wówczas wyraziłby na to zgodę.

Zawsze pozostawała jednak kwestia zmiany wyznania, ewentualnie zgłoszenia śmierci małżonka, jednak w świetle obowiązujących wówczas przepisów oznaczałoby to bigamię Janiny. Czy rzeczywiście do tego doszło?

„Przecież kiedy żyli razem – mówił Anthony Miłosz, syn Janiny i Czesława – wszystko było bombardowane, ludzie mordowani. Kto i kiedy formalnie zawarł ślub, w jakim momencie, kogo to obchodziło? Wtedy zwijali ludzi do obozów albo się uciekało. Więc nie wiem, czy to, że zawarli ślub w Warszawie i potem zginęły dokumenty, czy wzięli ślub we Francji, jest istotne”[43].

W rzeczywistości Janina i Czesław pobrali się dopiero w styczniu 1956 roku. Nigdy nie było żadnego rozwodu, nie zawarli też cywilnego małżeństwa w okupowanej Warszawie. Jeszcze w połowie 1944 roku Janina podpisywała się nazwiskiem „Cękalska”, a dwa lata później Miłosz wprowadził w błąd byłego rywala, gdy spotkał go w Nowym Jorku.

„[...] Jest to sentymentalny facet – pisał o Cękalskim do Andrzejewskiego – właśnie chce się żenić i ma trudności z dokumentami rozwodowymi. Czy mogę podać Ciebie na świadka, że rozwód Janki został przeprowadzony, o ile Ci wiadomo, czego nie można stwierdzić wobec spalenia dokumentów”[44].

Warszawa została zrównana z ziemią podczas powstania i takie oświadczenia były wówczas na porządku dziennym. Cękalski uwierzył (albo chciał uwierzyć), w efekcie sam został bigamistą, gdyż poślubił scenarzystkę Krystynę Swinarską. Jego pierwsza żona i jej partner nie popełnili tego błędu, zawierając ślub katolicki we Francji cztery lata po śmierci Cękalskiego.

„[...] ponieważ przez dłuższy czas żyliśmy ze sobą na kocią łapę – tłumaczył poeta – czułem się bardziej związany obowiązkiem wobec niej niż formalnym ślubem. Ktoś może zapytać, kiedy zawarliśmy ślub. No, tamten prawosławny ślub nie bardzo się dla księży katolickich liczył, ale tyle tylko powiem, że najpierw mieliśmy legalne papiery, które były fikcją, a ślub katolicki zawarliśmy nieprędko”[45].

Andrzej Franaszek, który dotarł do aktu paryskiego ślubu, stwierdził, że znalazła się tam informacja o przedstawieniu „zaświadczenia o ślubie cywilnym z magistratu warszawskiego z datą 1 stycznia 1944 roku”. Zapewne był to wspomniany przez poetę fikcyjny dokument, a ksiądz udzielający ślubu swoim rodakom emigrantom nie miał żadnych powodów, by go kwestionować, tym bardziej że poprzedni małżonek Janiny już nie żył...

Koniec starego świata

„Tego dnia, 1 sierpnia – wspominał Miłosz wybuch Powstania Warszawskiego – szliśmy z Janką na poobiednią herbatę i rozmowę do Tygrysów [znajomych – S.K.], z którymi chciałem omówić niesłychanie ważne sprawy, mianowicie mój nowy przekład angielskiego wiersza. Nie należy nigdy być zbyt pewnym, wychodząc na spacer, że wróci się do domu, nie tylko dlatego, że nam może się coś zdarzyć, również dlatego, że dom może przestać istnieć. Spacer miał trwać bardzo długo.

Dziesięć minut beztronski i pogodnego nieba. Potem niespodzianie wszystko uległo

pęknięciu i zmieniłem kąt widzenia, ponieważ poruszałem się na czworakach. [...] Karabiny maszynowe były w cokolwiek, co się poruszało. Niedaleko mieszkała pewna znajoma rodzina, ale kiedy nie można iść ani biec, przebycie każdych stu metrów jest całą podróżą”[46].

Do celu dotarli dopiero nad ranem, a tam, wraz z mieszkańcami kamienicy i przygodnymi uciekinierami, schronili się w piwnicy. W kryjówece nie mogli narzekać na brak żywności, więc nocą Janka sprowadziła tam również swoich rodziców. Spędzili tak kilkanaście dni.

„Wygrzebałem na półkach naszego gospodarza – kontynuował poeta – tom studiów socjologicznych o Polsce przedwojennej, *Młode pokolenie chłopów*, i zapuściłem się w przykre obrachunki z przeszłością, również moją przeszłością, padając od czasu do czasu plackiem, kiedy kule rysowały na tynku podłużne wzory. Niezwykle poniżająca była jakby studnia w piwnicy, do włączania hydrantu. Zasadniczo zmieściłoby się w niej dwóch ludzi, ale mieściło się w niej nas jedenastu – wszyscy mężczyźni w domu. Działo się to wtedy, kiedy rozlegał się blisko grzechot wielkich czołgów SS. Kobiety zapuszczały nad nami żelazną płytę i wewnątrz natychmiast zaczynało się dusić, bardzo teatralnie, bo w świetle żarówki widziałem usta ryb wyrzuconych na piasek i więdzące na lodydze szyi głowy. [...] Zresztą nie doceniałem całkiem realnego niebezpieczeństwa. Jeden z nas został pewnego dnia zagarnięty przez SS i zginął, biegnąc z podniesionymi rękami przed czołgiem w gromadzie takich samych jak on nieszczęśników, użytych jako osłona przy ataku na barykady powstańców”[47].

Janka i Czesław mieli jednak szczęście – udało im się wydostać ze stolicy i po dramatycznych przygodach trafili do dworu Anny i Jerzego Turowiczów w Goszycach pod Krakowem. W powstaniu stracili praktycznie wszystko, co dotychczas posiadali.

Dwór Turowiczów stał się azylem dla uciekinierów z płonącej stolicy i momentami przebywało tam nawet kilkadziesiąt osób. Dużo czasu spędzano na dyskusjach światopoglądowych i politycznych, wojna dobiegała końca i nie wiadomo było, jaki los czeka Polskę.

„Z goszyckich opowiadań jedno szczególnie utkwiło mi w pamięci – wspominał ksiądz Adam Boniecki. – We dworze zjawił się znajomy pani domu, partyzant Jan Józef Szczepański. Pani Anna pamiętała jego spór z Miłoszem, który z wielkim przekonaniem tłumaczył Jasiowi, że walczyć nie zamierza, bo musi wojnę przeżyć: jego zadaniem jest pisanie, a nie walka, jego ewentualna śmierć na nic się nie przyda, natomiast jego pisanie jest dla Polski ważne. Zaskakująca jak na tamte czasy pewność własnej misji młodego poety [...]”[48].

Z Turowiczem połączyła Miłosza dozgonna przyjaźń, natomiast w latach 50. poeta obraził się na Szczepańskiego, który napisał opowiadanie *Koniec legendy* i sportretował w nim Miłosza z czasu ich pobytu w Goszycach. Dostało się również Jance nazywanej wiecznie „nachmurzoną rusalką” i zachowującej się tak, jakby musiała się zniżać do poziomu otoczenia. Według Szczepańskiego „byłaby może fascynująca, gdyby nie spiczasty nos intrygantki”.

W połowie stycznia do Goszyc dotarła Armia Czerwona, a jej żołnierze zachowywali się jak we wrogim kraju. Czesław miał już za sobą pewne doświadczenia z bolszewikami, nie był zatem specjalnie zaskoczony, natomiast dla Janki stanowiło to zupełnie nowe przeżycie, które na zawsze określiło jej stosunek do komunistów.

„Mama dostawała uczulenia na sam dźwięk języka rosyjskiego – wspominał Anthony Miłosz. – Pytałem ją: »Co było gorsze – Niemcy czy wojsko radzieckie?«. A ona odpowiadała: »Synu, myśmy przeżyli cztery lata okupacji. Jak się skończyła okupacja, to z wyjątkiem Warszawy miasta jako tako stały, wszystko jako tako funkcjonowało, a jak przyszło wojsko radzieckie, to w jednym momencie wszystko zniszczyli i zjedli«”[49].

W zmienionej sytuacji dalszy pobyt w Goszycach nie miał już sensu i uciekinierzy postanowili opuścić dwór Turowiczów. Tuż przed wyjazdem miało miejsce wydarzenie, które

wszystkim utkwilo w pamieci.

„Nim rozjechaliśmy się – wspominała Danuta Wolska, późniejsza żona Szczepańskiego – w poszukiwaniu pracy czy innego punktu zaczepienia, niespodziewanie Janka Miłoszowa zaprosiła do swojego pokoju całą goszycką młodzież. Był już straszny bałagan i siedzieliśmy na walizkach. [...] I w tych »czasach ostatecznych« powiedziała: »Rozstajemy się, ale żeby wam było miło, gdy Czesław dostanie Nobla, wypijmy bruderszaft«. To był bruderszaft zbiorowy. Co zabawne, bez alkoholu, choć we dworze było wtedy mnóstwo wódki, bo pod koniec okupacji Niemcy za wszystko nią płacili. Była jednak skrzętnie ukryta przed Rosjanami. Gdyby dobrali się do tych zasobów, dopiero by było...»[50].

Kraków

Miłoszowie trafili do słynnego „domu czterdziestu wieszczów” na Krupniczej w Krakowie i zamieszkali tam w jednym lokalu z Zofią i Tadeuszem Brezami. Niedługo później uśmiechnęło się do nich szczęście – Czesław spotkał Adama Ważyka, dawnego awangardowego poetę, a obecnie wszechwładnego oficera politycznego. Ten bez problemów załatwił Miłoszom i Brezom przydział na poniemieckie mieszkanie w pobliżu Rynku. Cztery pokoje w zupełności wystarczały obu rodzinom, a nowy ustrój wydawał się gwarantować lojalnym pisarzom dobre dochody. Janka mogła nienawidzić komunistów, ale życie zmuszało przecież do kompromisów...

„Zaraz po wyzwoleniu – wspominał satyryk Tadeusz Kwiatkowski – wpisał się na listę członków Związku [Literatów Polskich] Czesław Miłosz. [...] Jakiż to był przystojny mężczyzna, obdarzony w dodatku niskim, seksownym głosem. Kobiety szalały za nim. Przypominał nieco niedźwiadka: wysoki, barczysty, z uśmiechem, który zjednywał mu od razu sympatię”[51].

Czesław zdecydowanie odróżniał się od innych twórców przebywających wówczas pod Wawelem. Gdy w Teatrze Starym zorganizowano pierwszy wieczór poetycki, zrobił na słuchaczach wrażenie „gniewnego cherubina”, który jako jedyny potrafił odpowiednio deklamować swoje wiersze.

„Nazwiska występujących autorów nie mówiły mi nic – wspominała Wisława Szymborska. – Byłam jako tako odczytana w prozie, natomiast moja znajomość poezji równała się zeru. Ale słuchałam i patrzyłam. Nie wszystkim się to czytanie udawało, jedni recytowali z nieznośnym patosem, innym załamywały się głosy i kartki drżały w rękach. W pewnym momencie zapowiedziano kogoś o nazwisku Miłosz. Czytał swoje wiersze bez tremy i bez deklamatorskiej przesady. Tak jakby tylko głośno myślał i nas do tego myślenia zapraszał. »No tak – powiedziałam sobie – to jest prawdziwa poezja i prawdziwy poeta«”[52].

Miłosz nie zamierzał ograniczać się do pisania oraz deklamowania wierszy i już wkrótce wszedł w skład redakcji „Twórczości”, współpracował z „Przekrojem” i „Dziennikiem Polskim”. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie pochłoniętego literaturą, więc gdy Szymborska zobaczyła go ponownie, poczuła się nieco rozczarowana.

„[...] mój podziw został narażony na ciężką próbę. Z jakiejś okazji po raz pierwszy w życiu znalazłam się w prawdziwej restauracji. Rozejrzałam się, i co widzę – opodał, w towarzystwie, siedzi Czesław Miłosz i zajada kotlet schabowy z kapustą. To był cios. Wiedziałam wprawdzie, że także poeci czasami coś jedzą, ale żeby wybierali w tym celu dania tak trywialne?”[53].

USA

Czesław miał już ugruntowaną pozycję, natomiast jego partnerka konsekwentnie pozostawała w cieniu. Niezlomnie wierzyła w jego talent i zawsze była pierwszym odbiorcą jego utworów, jednak nigdy nie zamierzała zostać „panią poetową”. Nie chciała, aby Miłosz w ogóle o niej wspominał, wolała anonimowość. Nigdy zresztą nie przepadała za środowiskiem literackim i zachowywała dystans wobec kolegów męża.

„Była najzupełniej prostolinijna, czysta – wspominał poeta. – [...] Janka nie była podobna do tych żon pisarzy, które celebrytują [...]. Na to była zbyt ironiczna, a mnie ta jej ironia wychodziła na dobre. [...] Ceniła moje pisanie, i aż zarzucałem jej, że jestem jedynym piszącym, którego aprobuję”[54].

Miłosz energicznie pracował nad odrodzeniem polskiego życia literackiego, ale jednocześnie, pod wpływem Janiny, starał się o wyjazd na placówkę zagraniczną. Partnerka przerażona widmem „czerwonego potopu” pragnęła opuścić kraj rządony przez komunistów. Miłoszowie nie mieli jednak sprecyzowanych planów. Na początek zamierzali wydostać się na Zachód, a dopiero potem mieli podjąć bardziej konkretne decyzje w kwestii swojej przyszłości.

Wyjazd na placówkę nie okazał się celem trudnym do osiągnięcia. Czesław cieszył się przed wojną opinią twórcy komunizującego, a jego dawni koledzy z Żagarów, którzy przywędrowali do kraju z armią Berlinga, zajmowali teraz eksponowane stanowiska. Jędrzychowski i Sztachelski byli urzędującymi ministrami, a Putrament szykował się do objęcia stanowiska konsula pełnomocnego w Szwajcarii i chciał, aby dawny kolega został jego podwładnym. Ostatecznie w MSZ podjęto jednak decyzję o skierowaniu Czesława do USA.

Miłoszowie dotarli do Nowego Jorku pod koniec stycznia 1946 roku. Początkowo Czesław objął obowiązki attaché kulturalnego w miejscowym konsulacie, lecz niedługo później przeniesiono go do Waszyngtonu, gdzie został sekretarzem polskiej ambasady. Janka również nie zamierzała próżnować i podjęła pracę urzędniczką w oddziale Polskiej Agencji Prasowej.

Przełożeni byli z poety zadowoleni. W raportach kierowanych do Warszawy podkreślali jego „wyjątkową i błyskotliwą inteligencję”, a także wysoki „poziom etyczny”.

„[...] jest pracownikiem wybitnie na miejscu i prawdziwym znawcą zagadnień kulturalnych. Nie jest typem urzędnika i w pracy zawodowej wymaga kontroli, inaczej łatwo wyłamuje się z trybu pracy. Duża zdolność kontaktów i przemawiania. W pracy politycznej musi być jeszcze kontrolowany ze względu na poetycką łatwość odbiegania od konkretów – wyrabia się jednak z każdym dniem”[55].

W odpowiedzi na te pochwały z centrali płynęły zalecenia, aby nie przemęczać Miłosza pracą i pozwalać mu tworzyć. Można więc powiedzieć, że doskonale się maskował i udawał, przy czym wydaje się, że nie do końca był zachwycony wolnym światem. Stany Zjednoczone rozczarowały go pod względem jakości tutejszego życia kulturalnego. Wysoko cenił amerykańską prozę, znacznie niżej poezję, a twórczość teatralną uznał za wyjątkowo słabą. Najbardziej jednak raziła go powszechna pogoń za pieniądzem – uważał, że w amerykańskim dążeniu do sukcesu jest coś nieludzkiego. Nie mógł też dojść do porozumienia z miejscową Polonią – nie potrafił zrozumieć, dlaczego jest uważany za zdrajcę i komunistę.

W krajowej prasie zamieszczał reportaże opisujące Amerykę, a jednocześnie – jak na lojalnego urzędnika przystało – pisał rzetelne raporty ze spotkań z miejscowymi luminarzami kultury. Nie ukrywał w nich poglądów swoich rozmówców, nie ubarwiał relacji, a przełożeni wysoko cenili jego szczerość. Niebawem jednak musiał podjąć decyzję o przyszłości rodziny, gdyż pod koniec marca 1947 roku Janina urodziła syna, a to całkowicie zmieniło sytuację

Miłoszów.

Przymusowa separacja

Janina, w odróżnieniu od swojego partnera, całkiem dobrze czuła się w Stanach Zjednoczonych. Cieszyła się, że mieszka w normalnym kraju, gdzie przestrzega się swobód obywatelskich, a komunistów chcących siłą obalić ustrój uważa się za przestępców. Nie miała wielkich wymagań, chciała spokojnie wychowywać dziecko, zapewnić mu jak najlepsze wykształcenie, a sama znaleźć czas na kino, książki czy wakacyjny wypoczynek.

Miłosz cały czas jednak się wahał, zdanie zaczął zmieniać dopiero po urlopie spędzonym w kraju. Nad Wisłę udał się samotnie, bo Janka nie miała na to najmniejszej ochoty, a poza tym podróż byłaby zbyt uciążliwa dla małego Antoniego.

Wizyta w Polsce wstrząsnęła poetą. Był to czas wprowadzania socrealizmu w sztuce, a wśród wielu potępionych literatów znalazł się Gałczyński.

„Byłem w Polsce na zjazdach przedstawicieli różnych dziedzin sztuki – wspominał przysły noblista – gdzie po raz pierwszy omawiano teorię socjalistycznego realizmu. Stosunek sali do mówców wygłaszających przepisowe referaty był zdecydowanie wrogi. Wszyscy uważali socjalistyczny realizm za urzędowo narzucaną teorię prowadzącą do opłakanych wyników, jak dowodził tego przykład sztuki rosyjskiej. Próby wywołania dyskusji nie udawały się. Sala milczała. Zwykle znajdował się jeden odważny, który przypuszczał atak pełen hamowanego sarkazmu przy milczącym, ale wyraźnym poparciu całej sali. Odpowiedź referentów miażdżyła atakującego znacznie lepiej przeprowadzoną argumentacją i aby wypadła jeszcze mocniej, zawierała całkiem dokładne pogroźki pod adresem kariery i przyszłości niesfornego osobnika”[56].

Miłosz spotykał się i rozmawiał z przyjaciółmi. Zauważył, że pisarze lojalni wobec reżimu (Andrzejewski, Nałkowska, Iwaszkiewicz) nie mogli narzekać na warunki życia. Po powrocie do USA ponownie wszedł w rolę polskiego poety na placówce i posłusznie wysyłał do krajowych czasopism reportaże i wiersze. Jednego z nich (*Na małą Murzynkę grającą Chopina*) po latach nie pozwalał jednak przedrukowywać. Uznał bowiem, że jest to utwór socrealistyczny, stanowiący widoczny dowód na to, że on sam uległ presji.

W czerwcu 1950 roku wybuchł konflikt w Korei. Janka spodziewała się właśnie drugiego dziecka, a władze doszły do wniosku, że Miłosz „jest człowiekiem całkowicie ideologicznie obcym”. Pamiętano jego stosunek do socrealizmu, znaleźli się usłużni donosiciele informujący o prywatnych wypowiedziach poety. Postanowiono przenieść go do Paryża, a następnie odwołać do kraju. Taka procedura miała zapobiec prośbie o azyl w Stanach Zjednoczonych.

„Miłosz dostał od Putramenta list zapowiadający przeniesienie go do Paryża i zareagował bardzo negatywnie – pisał w raporcie ambasador Józef Ciniewicz. – Można spodziewać się, że odmówi przeniesienia nawet do Paryża, gdyż znajduje się pod wpływem wczesnej ciąży żony i jej nastrojów wojennych. Sugeruję więc jeszcze jedną alternatywę, wezwać go do Warszawy w celu omówienia jego przyszłości i zatrzymania go. Wtedy oczywiście ryzykujemy podniesiony tutaj przez żonę wrzask”[57].

W pierwszych dniach października Miłosz znalazł się nad Sekwaną, gdzie objął stanowisko pierwszego sekretarza ambasady ds. kulturalnych. Janina pozostała za oceanem, bo ciąża uniemożliwiła jej podróż do Europy, a poza tym po prostu obawiała się opuszczać Stany Zjednoczone. Otrzymywała zapomogę z polskiej ambasady, a władze traktowały ten zasiłek jako element nacisku na jej partnera.

W grudniu poetę wezwano do kraju, gdzie dowiedział się, że na Zachód już nie wróci.

Chociaż od wielu miesięcy spodziewał się podobnej decyzji, była jednak dla niego dużym wstrząsem.

„[...] tracił równowagę psychiczną – wspominała żona ówczesnego ministra spraw zagranicznych Natalia Modzelewska – poddawał się depresji, która nabierała coraz ostrzejszego charakteru. Spotykałam się z nim codziennie, bo codziennie telefonował do mnie, a już z głosu słyszać było, że jest bliski kryzysu nerwowego”[58].

Modzelewska wstawiła się u męża, ten interweniował u Bieruta, w efekcie Miłosz dostał zgodę na wyjazd do Paryża. Chociaż znajomi uważali, że nie miał jeszcze sprecyzowanych zamiarów, on w rzeczywistości podjął już decyzję.

„[...] zdecydowałem, że tam już nie wrócę – tłumaczył – mimo że mam tam masę pieniędzy z honorariów autorskich i całkowicie zabezpieczony byt i mimo że ta decyzja jest czymś w rodzaju końca literackiej kariery. Po prostu tej atmosfery totalitarnej do kwadratu i tego strachu wszystkich przed wszystkimi nie mogę znieść [...]. Cokolwiek się powie o świecie kapitalistycznym, możliwe są w nim zmiany i powstawanie nowych form, a masy nie są tak bezbronne jak tam”[59].

22 stycznia 1951 roku na świat przyszedł drugi syn Janiny i Czesława, Peter. Poród był bardzo ciężki, ponownie konieczne okazało się cesarskie cięcie. Miłosz dostał telegram, w którym wzywano, by pilnie przyjechał za ocean, „jeżeli chce żonę zastać jeszcze przy życiu”. Polskie władze odmówiły mu jednak zgody na wyjazd i wtedy przestał się wahać. Skontaktował się z Jerzym Giedroyciem, spakował swoje rzeczy i kilkanaście dni później opuścił ambasadę. Udał się do Maisons-Laffitte i niezwłocznie wystąpił o azyl polityczny.

Nie oznaczało to jednak połączenia z rodziną, Amerykanie odmówili bowiem Miłoszowi wizy, motywując to jego pracą dla polskiej dyplomacji. Uznany został za „kryptokomunistę” i nie mógł wjechać do USA. Natomiast wyczerpana Janka nie miała możliwości podróży do Francji z dwójką małych dzieci. Zobaczyli się dopiero po ponad dwu latach, a przez ten czas Janina musiała radzić sobie sama. Na domiar złego jej partner nie zawsze zachowywał się wobec niej lojalnie.

Zniewolony umysł

„[Pierwszy] kontakt z Miłoszem został nawiązany przez Czapskiego podczas jego podróży do Stanów Zjednoczonych – wspominał Jerzy Giedroyc. – Powiedzieliśmy wtedy Miłoszowi, że jak będzie miał jakieś kłopoty, to może na nas liczyć”[60].

Czesław skorzystał z pomocy, nie zamierzał jednak utożsamiać się z polską emigracją. Swoje poglądy przedstawił niebawem na łamach „Kultury”, wypowiadał się również w „Głosie Ameryki” i francuskim radiu. Pomimo zerwania z PRL-em zadziwił otoczenie dość łagodnym stosunkiem do stalinizmu, wykazywał też poważne braki w wiedzy politycznej. Nic nie wiedział o stalinowskich zbrodniach w Polsce, kwestionował istnienie sowieckich łagrów, upierał się, że „marksizm wyprowadził Polskę z zaścianka”.

„[...] dla Miłosza przez cały czas byliśmy dobrymi faszystami – potwierdzał Giedroyc. – [...] Pierwsze nasze z nim dyskusje dotyczyły artykułu *Nie!*, który przekreślał rolę i znaczenie emigracji jako takiej. Mój stosunek do niego wynikał z przekonania, że jest on wielkim poetą – zawsze byłem pod wrażeniem jego tomu *Ocalenie* – co sprawia, że jest naszym obowiązkiem zajęcie się nim, nie zważając na jego złośliwości i na wypowiedzi określające drukowanie na emigracji jako składanie skarbów do dziupli; ostatecznie ta dziupla okazała się całkiem skuteczna, i to nie tylko dla niego”[61].

Miłosz znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, bo emigracja uważała go za komunistę,

natomiast władze PRL za zdrajcę i sługusa imperialistów. Obie strony były natomiast zgodne co do tego, że jest znakomitym poetą – nie był to jednak zbyt duży kapitał początkowy dla człowieka zaczynającego życie za żelazną kurtyną.

Ucieczka Miłosza wstrząsnęła politycznym establishmentem PRL. Był to skandal na wielką skalę, który nie mógł pozostać bez odpowiedniej reakcji. Na specjalnej naradzie z udziałem czołowych polityków i literatów odbył się „sąd nad zdrajcą”, a niedawni przyjaciele prześcigali się w jego potępianiu.

„Człowiek ten – mówił Jan Kott – nie wspomina o tym, że w czasie okupacji wziął paszport litewski, aby uchronić się od dzielenia losu i doli narodu polskiego (...), kłamał wiele lat, pracując w naszej służbie zagranicznej, kłamał, przyjeżdżając tutaj, kłamał na naszym plenum literackim, kłamał w stosunku do swoich zwierzchników i okłamał nas do końca. Wydaje mi się, że ów przykład zdrady, ów przykład tchórzostwa, lęku przed wzięciem odpowiedzialności, przed trudną, ale jakżeż szlachetną drogą pisarza w kraju, ten przykład wymaga od nas chwili rozważenia. Nie dlatego, abyśmy mieli żałować poety, który od nas odszedł. My zdrajców nie żalujemy i żałować nie będziemy nigdy”[62].

Szczególnie surowo potępiał Miłosza Antoni Słonimski, który niedawno sam powrócił z Londynu i teraz manifestował lojalność wobec nowych władców kraju. Opuszczając Wielką Brytanię, postawił wszystko na jedną kartę, dlatego też piętnował młodszego kolegę, który wybrał podróż w odwrotną stronę.

„[...] słowa, które dobiegają nas z zagranicy, judzą przeciwko planowej pracy, która ogarnia coraz szersze masy ludu polskiego, godzą w budowę naszych fabryk, uniwersytetów i szpitali, wzywają do wojny z własnym narodem. Słowa te są wrogiem robotnika i chłopca, architekta i murarza, którzy odbudowują stolicę, inżyniera, który opracowuje plany nowych fabryk, pracownika partyjnego, który walczy z ciemnotą wiejską. Sprzymierzają się one z wszelką destrukcją, z nienawiścią, rozgrzeszają skrytobójców”[63].

W gronie surowych sędziów znalazł się nawet Jarosław Iwaszkiewicz, zabiegający wówczas u komunistów o ocalenie rodzinnego Stawiska. Poza tym w ręce pana Jarosława wpadł egzemplarz zachodniemieckiego miesięcznika „Der Monat”, w którym zdjęcie Miłosza przypadkowo sąsiadowało z fotografią generała Andrieja Własowa.

„[...] pisarstwo jest zawsze walką. Walka ze środowiskiem jest ciężka, ale jeszcze cięższa jest walka z samym sobą. Znaleźliśmy się w takiej sytuacji, gdzie wyboru nie ma. Nie ma ucieczki do wieży z kości słoniowej. Nie ma zamknięcia się w ciszy gabinetu. Musimy wybierać albo, albo. I niech nam przestrożą będzie przykład Czesława Miłosza, który pragnąc zachować swoją wieżę z kości słoniowej, po przekroczeniu granicy natychmiast znalazł się w neohitlerowskim piśmie na jednej stronie z Własowem”[64].

Tymczasem Miłosz nie opływał w dostatki. Przebywał w siedzibie „Kultury”, „spał na połowym łóżku” w bibliotece, ale nie poddawał się. Choć głosy dochodzące z kraju wprowadzały go w ponury nastrój, nadal robił to, co potrafił najlepiej. Dużo wówczas pisał, w czym wielką zasługą Giedroycia i jego najbliższych współpracowników – Zofii i Zygmunta Hertzów. To właśnie oni ratowali go w chwilach depresji, pocieszali, potrafili sprawić, że zapominał o problemach. Natomiast on nazywał ich „świadkami, pomocnikami, akuszerami, uczestnikami, podżegaczami, żywicielami, nawoływaczami, przekręcicielami, odkręcicielami, lekarzami, poskromicielami dzikich zwierząt”[65].

Miłosz był współlokatorem dość kłopotliwym. Depresja nie przeszkadzała mu w wysuwaniu swojej osoby na plan pierwszy – zawsze najbardziej liczyły się jego uczucia i jego twórczość.

„O drugiej w nocy – wspominała Zofia Hertz – kiedy spaliśmy z Zygmuntem głębokim

snem, nagle ktoś zapukał do pokoju. Obudziłam się, pytam, kto tam. On się odzywa: »To ja, Czesław«. »Czego ty chcesz o tej porze?«. »Napisałem wiersz i chcę wam go przeczytać«. I usłyszeliśmy wtedy po raz pierwszy *W praojcach swoich pogrzebani*. Takim był Miłosz lokatorem”[66].

Bez duchowego wsparcia ze strony Hertzów zapewne nigdy nie powstałby znakomity *Zniewolony umysł*, a Miłosz mógł podzielić los jednego z bohaterów tego dzieła – Tadeusza Borowskiego. Publikując tę książkę, udowodnił, że jest nie tylko znakomitym poetą, ale również świetnym eseistą. I nawet ci czytelnicy, którzy osobiście nie lubili Miłosza, uznawali ten utwór za dzieło wyjątkowe.

Pariski romans

Miłosz powoli dochodził do siebie, w czym niewątpliwie pomógł mu romans z Jeanne Hersch. Filozofka ze Szwajcarii szybko straciła dla niego głowę, a i on poczuł z nią silną więź.

„Nie mogę egzystować bez Jeanne – zwierzał się Stanisławowi Vincenzowi – z tej prostej przyczyny, że potrzebuję jej jako *garde-malade* [pielęgniarki – S.K.], albo jak dziecko, które boi się w ciemnym pokoju. Teraz byłem sam przez kilka dni załedwie, a jestem już w stanie bardzo złym. Jak takie rzeczy można normalnym ludziom wytłumaczyć? Czy nie jest to fantastyczne i nieprawdopodobne? Tak jednak jest. Nie mogę być sam. Wewnątrz mnie zaczynają się odprawiać takie sprawy, nad którymi nie mam zupełnie kontroli”[67].

To nie była tylko seksualna przygoda samotnego mężczyzny, to było coś o wiele bardziej poważnego. Pani filozof stała się dla niego partnerką intelektualną, z którą prowadził niekończące się dyskusje światopoglądowe i literackie. Zaczęła też odgrywać rolę jego muzy i to właśnie ona zainspirowała go do napisania powieści *Zdobycie władzy*, która miała wzmocnić jego pozycję w literackim świecie zachodniej Europy. Choć właściwie nie znała języka polskiego, rozpoczęła przekład książki na francuski. Miłosz pisał, a ona na bieżąco starała się tłumaczyć tekst.

„To było szalone przedsięwzięcie – przyznawała Jeanne. – Robiliśmy tak: w miarę jak pisał kolejny rozdział, czytał mi go na głos, bo wtedy lepiej rozumiałam, a ja tłumaczyłam zdanie po zdaniu, pytając go od czasu do czasu o sens jakiegoś mi nieznanego słowa. W ten sposób przygotowaliśmy francuską wersję”[68].

Miłosz wyprowadził się z siedziby „Kultury” i zamieszkał z Jeanne w jednym z paryskich hoteli. Wspólnie wyjechali na południe Francji, gdzie Miłoszowi lepiej szła praca nad książką. Wkrótce też Jeanne nakłoniła go do czegoś, co miało zaważyć na całej jego przyszłości.

„Dowiedzieliśmy się w trakcie pracy, że Europejska Fundacja Kulturalna ma zamiar przyznać nagrodę za powieść. Wtedy mu powiedziałam: »Trzeba przedstawić książkę do nagrody, zobaczysz, że ją dostaniesz«. Mówiłam mu też, naturalnie żartem: »Zobaczysz, któregoś dnia dostaniesz Nobla«. Ale w nagrodę Europejskiej Fundacji Kulturalnej trochę wierzyłam, bo książka była bardzo piękna, bardzo bogata i ta opowieść o rozgrywającej się aktualnie tragedii była wypełniona poetycką substancją”[69].

Po zakończeniu pracy nad powieścią przez kilka dni przebywali na wybrzeżu Prowansji, a po powrocie do Paryża Czesław dowiedział się, że wspólnie z niemieckim pisarzem Wernerem Warsińskim zdobył główną nagrodę. Oznaczało to poważny zastrzyk finansowy, a także dalsze przekłady i wydania.

Czas pisania powieści był najlepszym okresem ich związku, a Miłosz poważnie zastanawiał się nad porzuceniem Janki i dzieci. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu to, że młodszego syna nigdy nawet nie widział na oczy.

[...] urządzenie sobie życia z rodziną na kontynencie europejskim – pisał do Vincenza – jest [...] nerwowo niemożliwe. [...] Mogę egzystować tylko z *garde-malade*, a obecność Janki i dzieci podnosi mój strach do kwadratu. Mam takie fizyczne uczucie sytkości i przejściowości, że nic nie mogę na to poradzić”[70].

Gdy Miłosz planował nowe życie u boku szwajcarskiej partnerki, Janka w USA starała się, aby Anthony nie zapomniał, jak wygląda jego ojciec – chłopiec miał dopiero cztery lata i nie widział go już od miesięcy, a w tym wieku wspomnienia błyskawicznie zacierają się w pamięci.

„Dziś wydostałam twoje duże fotografie – pisała Janka do Czesława – bo [Antek] powiedział, że zapomniał, jak wyglądasz. To jest zupełnie *heartbreaking* [bolesne – S.K.] dla mnie. O, tak, to nasz tatuś – zawołał. Ponieważ zaczął padać deszcz, musiałam go zapewnić, że jesteś w domu tak jak my i nie zmokniesz”[71].

Na szczęście dla rodziny coś jednak zaczęło się psuć w związku Czesława z panią filozof. Być może Szwajcarka była zbyt zaborcza albo poecie brakowało jednak chłodnego praktycyzmu Janki. Wspólny wyjazd z Jeanne do Genewy po odbiór nagrody zamienił się w piekło i wtedy Miłosz zaczął rozważać możliwość sprowadzenia rodziny do Francji.

„Robiła takie awantury – skarżył się Vincenzowi – że Genewę uznałem za »spaloną« i to zadecydowało o przenoszeniu się do Paryża. Ja, człowiek skromny, intelektu, chcę, ale czego chce Jeanne, to nie wiem, a jeżeli chce, żebym swoją rodzinę rozbijał, to nic z tego nie wyjdzie. Właściwie to że zgrozę jej się przyglądałem, jakby ją diabeł opętał i zaćmił, pomieszał wszystko w głowie. Chce ratować moją duszę i mój geniusz i to dziwnie się jakoś przypadkiem zbiega z jej interesem”[72].

Kochanka nie zamierzała się jednak poddawać, a kochanek wykazywał duże niezdecydowanie. Rozstawali się i schodzili, niezależnie od siebie szukali porady u Vincenza. Miłosz właściwie zadecydował już o ściągnięciu rodziny, ale nie spieszył się z tym specjalnie. Kluczył, robił uniki, nie potrafił wprost powiedzieć Jeanne, że zamierza zakończyć romans. Przy okazji pozował też na ofiarę kobiecych humorów i namiętności.

„Chce on – pisał z rezygnacją Vincenz do Józefa Czapskiego – żeby żałować go po matczynemu, a teraz, gdy rozpętał zrozumiałe uczucia przeciw Jance, zyskał konika, że Jeanne jest przepełniona nienawiścią i burzy mu małżeństwo, przeto w ostatnim liście zerwał z nią gwałtownie, jak to czynią słabeusze i dupaki. To posłanie do diabła ostatecznie nawet taktycznie może mieć lepsze wyniki niż dotychczasowe błaganie i żebranie, więc może Jeanne tym razem wyjątkowo mnie posłucha, w skrytej, marzycielskiej nadziei, że taka taktyka zwróci jej Czesia (nie daj Boże!)”[73].

Janka wiedziała o wszystkim, ale zajęta codzienną walką o byt, starała się panować nad sobą. Pobierała skromne zasiłki od organizacji charytatywnych (o azyl w USA wystąpiła kilka dni po Miłoszu), mieszkała z dziećmi w domu znajomych. Chociaż przywykła już do Ameryki, to dla dobra synów zgodziła się na przyjazd do Francji. Romans partnera chciała puścić w niepamięć, jednak gdy w listach do niej Czesław użalał się nad losem porzuconej Jeanne i nad własnym poświęceniem, potrafiła odpowiedzieć mu z godnością.

„Kocham Cię [...]. Czesław, liczę na to, że stworzymy pełny i wartościowy dom dla dzieci, że nie będzie żadnych bocznych spraw ani tragedii. Jeżeli mój przyjazd jest dla niej tragedią – to tę winę musisz wziąć na siebie. Dla mnie żadne sytuacje w rodzaju Dygatów czy podobnych – nie są do przyjęcia”[74].

Poeta ugiął się i zaaprobował warunki żony. Oficjalnym potwierdzeniem ich pogodzenia stał się wspomniany ślub kościelny, który usankcjonował ich wieloletni związek. Natomiast Jeanne usiłowała się pocieszyć, tłumacząc na francuski *Dolinę Issy*. Pani filozof ze Szwajcarii naprawdę kochała swojego niestałego w uczuciach kochanka...

Drogi i rozdroża życia rodzinnego

Miłosz doskonale wiedział, że przyjazd Janki z synami będzie oznaczał poważne zmiany w jego życiu. Dlatego wynajął duże mieszkanie w Bons nad Jeziorem Genewskim, uważając, że na prowincji proces aklimatyzacji w nowym kraju przebiegnie łagodniej, a on będzie mógł poświęcić więcej czasu najbliższemu. Szybko jednak zrozumiał, że żona sama nie podoła wszystkim obowiązkom.

„[...] niepokoi mnie szereg rzeczy – skarżył się Vincenzowi – choćby to, że [Janka] jest zaabsorbowana bez reszty dziećmi i chronicznie zmęczona, niezbyt poradna w gospodarstwie i że właściwie ja, tak mało mając danych, muszę być odpowiedzialny za to, żeby było papu i kaku, ostrość swoich reakcji na świat ograniczając do czterech ścian swego pokoju, bo świat, do którego ona należy w tej chwili, jest pokojem dziecinnym albo światem roślin, w sensie istnienia bardziej wegetatywnego niż moje”[75].

Na zimę przenieśli się do Brie-Comte-Robert pod Paryżem, a Miłosz zastanawiał się nad zakupem domu w pobliżu stolicy. Jego dochody były wprawdzie bardzo nieregularne, ale potrafił liczyć i wiedział, że lepiej spłacać pożyczkę na dom niż tracić pieniądze na jego wynajmowanie. Plany te udało się zrealizować w połowie 1957 roku dzięki zamożnym amerykańskim wielbicielom talentu Miłosza – Muriel i Josephowi Buttingerom. Wyasygnowali oni kwotę 21 tysięcy dolarów (równowartość około 160 tysięcy dolarów dzisiejszych) i Miłoszowie nabyli dom w Montgeron pod Paryżem.

Nie wszystko jednak przebiegało bezproblemowo. Dzieci miały kłopoty z adaptacją w nowym środowisku, bo ówczesna Francja bardzo różniła od wieloetnicznych Stanów Zjednoczonych. Chłopcy nie znali języka, rówieśnicy traktowali ich jak obcych.

„Największe problemy były językowo- -kulturowe – potwierdzał Anthony Miłosz. – Bo znaleźć się w obcym kraju, gdzie nie rozumie się ani słowa, to jest dla dziecka problem. Miałem sześć lat, a francuski był dla mnie już trzecim językiem, i to było dość trudne. Jestem oczywiście wdzięczny Francji za to, że udzieliła nam kącika, i czuję głęboką więź z tym krajem, ale wtedy Francuzi nie byli dla obcych zbyt gościnni. [...] W tamtych czasach ludzie nie poruszali się swobodnie po świecie. Ktoś, kto nie był czystym Francuzem, był inny. W szkole mówili tam na mnie »Amerykanin«, używali takiego niemilego określenia »Ricaïn«, ale równie dobrze mogli mówić Polak czy Marsjanin”[76].

Problem stanowiły również stosunki rodzinne. Miłosz pracował w domu, potrzebował spokoju i ciszy, a przy dwójce małych dzieci bardzo trudno było to osiągnąć. Ponieważ musiał zapewnić bliskim utrzymanie, wymagał od nich podporządkowania się pewnym rygorom.

„Był więc obecny, ale zajęty – kontynuował Anthony. – Zamykał drzwi, siedział i palił – gauloise’y głównie, jego gabinet był zawsze zadymiony. Cisza obowiązywała w tych godzinach. Jak koledzy przychodzili i hałasowaliśmy, to tłumaczono nam, że nie można”[77].

Usiłował jednak pogodzić obowiązki zawodowe z rodzicielskimi i zapewne właśnie wtedy opracował swój oryginalny rozkład dnia, któremu pozostał wierny przez wiele lat. Funkcjonował na własnych, indywidualnych zasadach, odmiennie niż większość ludzi.

„Miał stały rytm dnia – potwierdzał historyk literatury Aleksander Fiut. – Kładł się spać dosyć wcześnie, budził się około trzeciej nad ranem i czytał do szóstej, po czym jeszcze chwilę drzemał, następnie wstawał, jadł śniadanie i szedł na spacer, a po powrocie pracował. To były jego najświętsze godziny przedpołudniowe”[78].

Dzięki temu popołudnia mógł poświęcić synom. Dużo im czytał, zawsze po polsku. Sięgał po lektury z własnego dzieciństwa, książki przygodowe, recytował Mickiewicza. Gdy

Anthony rozpoczął naukę we francuskiej szkole, ściągnął do domu *Elementarz* Falskiego. Pomimo swoich licznych zajęć Czesław starał się być stale obecny w życiu synów i po zakończeniu pracy zawsze był do dyspozycji rodziny.

Gdy sytuacja finansowa pozwalała, Miłoszowie wspólnie wyjeżdżali. Zwiedzali Francję, bywali we Włoszech, najczęściej jednak krążyli po okolicy. Bardzo odpowiadało to Jance, która zachwycała się otoczeniem Montgeron, uważając je za „miejsce, z którym niczego nie można porównać, miejsce, w którym jesteś na wspaniałej wsi i w pobliżu cywilizacji jednocześnie”.

Na co dzień jednak nie zawsze było tak wspaniale, bo prowadzenie domu i wychowywanie dzieci całkowicie absorbowowało Janinę. Stale przemęczona i zdenerwowana, często miała poczucie, że marnuje życie. Właściwie nigdy nie miała czasu na lekturę czy film, a mąż jeszcze wymagał od niej, aby pełniła rolę jego asystentki. Przepisywała na maszynie jego utwory, musiała też znaleźć czas na dyskusje o jego twórczości. Powoli narastała w niej frustracja, coraz bardziej nienawidziła świata literackiego i marzyła o zwykłym, normalnym życiu.

„[...] zawód literata – przyznawał poeta – począwszy od naszych lat francuskich, coraz bardziej wchodził w konflikt z jej miłością do dzieci, mimo że na długo stanowił źródło utrzymania naszej rodziny. (...) I Janka, kochając mnie, wolałaby jednak, żebym był zwyczajnym człowiekiem, piekarzem na przykład”[79].

Sprawy nie ułatwiały częste nieobecności Czesława, który samotnie podróżował w sprawach zawodowych. Zapraszany był na różnego rodzaju seminaria, wykłady czy konferencje, wygłaszał prelekcje, prowadził wakacyjne zajęcia ze studentami. Uczestniczył w zjazdach literackich, bywał na rautach i przyjęciach. Wprawdzie należało to do jego obowiązków, ale powiększało frustrację partnerki. Mąż prowadził aktywne życie towarzyskie, natomiast ona została zdegradowana wyłącznie do „swoich zakupów i gotowań”.

Miłosz jednak nie miał wyboru – musiał zarabiać na dom i przyjmować najrozmaitsze zlecenia. Nie mógł marzyć o utrzymaniu rodziny wyłącznie z pracy literackiej, czasy nie sprzyjały poetom.

„Niestety sytuacja piszących stale się pogarsza – przyznawał Jerzy Giedroyc w liście do Józefa Mackiewicza. – Widzę po Miłoszu, jak się szarpie, i nie wiem, jak by dał sobie radę, gdyby nie pogadanki w BBC”[80].

I rzeczywiście – budżet domowy Miłoszów ratowały audycje radiowe, wykłady i odczyty Czesława, który pisywał też wewnętrzne recenzje dla wydawnictw i zajmował się przekładami. Regularnie publikował na łamach „Kultury”, niestety honoraria z tego tytułu były bardziej niż skromne. Słabo rozchodziły się też polskojęzyczne edycje jego książek – *Dolina Issy* w ciągu roku sprzedała się w nakładzie zaledwie 600 sztuk. Nieco lepiej było ze *Zniewolonym umysłem* czy *Zdobyciem władzy*, ale tantiemy zapewne nie wystarczyłyby autorowi na zakup papierosów, które wypalił podczas ich pisania...

Amerykański sen

W 1959 roku Czesław otrzymał propozycję poprowadzenia serii wykładów na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Ofertę odrzucił, uważając, że nie będzie mógł jej pogodzić z przyjętymi wcześniej zobowiązaniami. Gdy jednak rok później Amerykanie ponownie się odezwali, potraktował ich propozycję z całą powagą.

„[...] jest taka moda wśród francuskich intelektualistów – pisał do Aleksandra Wata – zarabiać wykładami na amerykańskich uniwersytetach i chyba nie trzeba tego unikać, warto spróbować, przy tym mam nadzieję, że będąc tam, uda mi się ułożyć jakieś *modus vivendi*, żeby co pewien czas zasilać kabzę wykładami tam”[81].

Miłoszowie nie chcieli się rozstawać i dlatego ustalili, że cała rodzina przeniesie się za ocean. Być może brali też pod uwagę taką możliwość, iż nie powrócą już do Europy. Wprawdzie Czesław nadal nie pozbył się uprzedzeń do USA, jednak wiedział, że jego możliwości na Starym Kontynencie są już na wyczerpaniu. A władze Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley oferowały naprawdę znakomite warunki.

Pojawiły się jednak pewne problemy z wizą dla poety, gdyż władze imigracyjne nie zapomniały o zastrzeżeniach sprzed kilku lat. Wprawdzie nie były to już czasy senatora McCarthy’ego i „polowań na czarownice”, ale Miłosz wciąż traktowany był jako „krytokomunista”. Naciski uczelni zrobiły jednak swoje, zapewne wzięto też pod uwagę pozycję literacką poety w Europie.

Pierwsze dni w Kalifornii upłynęły pod znakiem rozczarowania. Miłoszowie spodziewali się, że Berkeley będzie urokliwym miastem na wybrzeżu Pacyfiku, tymczasem trafili do jednego z najbrzydszych miejsc, jakie w życiu widzieli.

„[...] Berkeley wyobrażałem sobie fałszywie – przyznawał – kiedy przyjąłem w 1960 roku zaproszenie na lektorat. Myślałem, że leży nad zatoką – gdzieś tam, beton na wysypiskach śmieci, ład zabierany morzu dla zysku, mokre pustkowia, obok dzielnice fabryk i składów, dalej dzielnica murzyńskiego getta i dopiero wyżej miasto białych. Myślałem, że plaże i pływanie – gdzieś tam, ni krzty piasku, a woda za brudna i za zimna, bo te brzegi Pacyfiku opływa zimny prąd”[82].

Poeta doszedł jednak do wniosku, że znalazł się tam „żeby znosić, a nie żeby lubić”, i przystąpił do pracy. Prowadził wykłady na wydziale slawistyki i szybko polubił nowe obowiązki. Wprawdzie czasami twierdził, że „czuje się jak krowa, która wstąpiła do baletu”, ale była to tylko kokieteria. Odkrył w sobie powołanie do pracy ze studentami, zresztą zawsze lubił skupiać na sobie uwagę, a wykłady mu to gwarantowały. Dbał o ich atrakcyjność i nie narzekał na brak zainteresowania.

„Chciał się podobać i mieć świadomość, że się podoba – wspominał slawista z Yale Aleksander Schenker. – Ta żyłka aktorska pomagała mu także na zajęciach uniwersyteckich, na których, jak się sam przyznawał, lubił błaznować. Śmiał się pierwszy ze swoich powiedzonek i komentarzy, rozluźniając w ten sposób atmosferę na sali. O powodzeniu tej metody świadczyła popularność jego wykładów na Berkeley”[83].

Czesław nie ograniczał się wyłącznie do literatury, prowadził zajęcia interdyscyplinarne łączące najróżniejsze dziedziny. Czasami temat wykładu był tylko pretekstem do historycznych wędrówek, potrafił opowiadać o rzeczach tak odległych od polskiej literatury jak arianizm czy manicheizm.

Miłosz nie był typowym naukowcem. Na studentach duże wrażenie robiło to, że sam był aktorem i świadkiem wielu wydarzeń. Z bliska obserwował fakty, o których pisano

w podręcznikach, i często wyrażał odmienne opinie niż ich autorzy. Tłumaczył również wiele spraw ze swojego punktu widzenia, mówił, jak sam je odczuwał i rozumiał.

„Każdy kurs zaczynał się lekcją historii – wspominała jedna z jego studentek. – Podczas zajęć ze współczesnej polskiej literatury powiedział: »Będziemy się często zajmować historią, której Amerykanie zazwyczaj zupełnie nie rozumieją«. Moja notatka na marginesie pokazuje, jak bardzo miał rację, napisałam bowiem: »Kupić dobrą mapę Europy!«”[84].

Jego kariera w Berkeley rozwijała się błyskawicznie – po dwóch miesiącach dostał ofertę pracy na pełen etat, a niebawem otrzymał stanowisko *professor of slavic languages*. Wiązało się to ze stabilizacją finansową rodziny, która siłą rzeczy zapuszczała korzenie w Ameryce. Nic więc dziwnego, że gdy Czesław dostał zieloną kartę, to sprzedał dom we Francji i kupił posiadłość w Kalifornii. Miłośzowie mogli zacząć uważać się za pełnoprawnych członków amerykańskiego społeczeństwa.

Pomimo odnoszonych sukcesów profesor Miłosz nie chciał, żeby jego synowie byli wychowywani podobnie jak ich rówieśnicy. Kategorycznie wymagał, by w domu mówiono wyłącznie po polsku, nie dążył do pełnej asymilacji z otoczeniem. Nie pozbył się dystansu do amerykańskiego stylu życia i uważał, że jego naśladowanie jest najlepszym sposobem na wtopienie się w miejscową przeciętność. Zawsze zresztą podkreślał wyższość europejskiej edukacji, sugerując, że na Starym Kontynencie jego kariera uniwersytecka nie byłaby możliwa. Ostatecznie z zawodu był prawnikiem, a z polonistyki zdezerterował po kilkunastu dniach.

„Z biegiem czasu – wspominała synowa poety Joanna Rayska-Miłosz – chłopcy przesiąkali coraz bardziej kulturą Ameryki, jej obyczajami i modami. Janka, świadoma konsekwencji emigracji, pragnęła dla swych synów, jak wszystkie matki, życia bez kompleksów. Wspierała ich w dążeniach do integracji z nowym społeczeństwem. Dla Czesława odejście synów do innej kultury było bardzo trudne do zaakceptowania. Kiedy Janka, wbrew jego woli, kupiła telewizor, żeby chłopcy mieli to, co inne dzieci, uznał tę decyzję za nieoljalność. [...] Ewidentnie nie chciał »Ameryki« we własnym domu”[85].

Nie dotyczyło to jednak przydomowego garażu. Ameryka była i jest krajem właścicieli samochodów i tę amerykańską prawdę poeta przyjął za swoją. Najwyraźniej uległ nawet fascynacji techniką motoryzacyjną, bo auta zmieniał dość często. Przyznawał, że czasami jedynym sposobem na pozbycie się stresu była szybka jazda samochodem, a jego volvo „ciągnęło jak smok”.

Z czasem zaczął akceptować amerykańską rzeczywistość i doceniać życie w tym kraju. W Europie nie osiągnąłby takiej pozycji, nie prowadziłby tak wygodnego życia. Zapewne dużo do myślenia dała mu wizyta u Gombrowiczów w Vence, gdzie dostrzegł, że jego starszy kolega jest bardzo zadowolony ze swojego statusu materialnego, który on oceniał jako bardzo skromny.

„On miał mieszane uczucia co do wszystkiego – opowiadał Anthony Miłosz. – We Francji obcokrajowiec musiał się ciągle meldować, był na czarnej liście, a w Ameryce był wtedy luz. Na początku ojciec był pełen europejskich przesądów wobec tzw. kapitalistycznej Ameryki, nie doceniał w pełni innych jej aspektów, które matka od razu wychwyciła. Jemu to zajęło trochę więcej czasu, ale doszedł do tego, gdy już tam osiedlił się na stałe”[86].

Niewierność

Janka wiązała z życiem w Berkeley duże nadzieje. Dzieci dorastały, a ona marzyła, że wreszcie przestaną ją przytłaczać domowe obowiązki. Chciała żyć tak jak dawniej i mieć trochę czasu wyłącznie dla siebie. Jej korespondencja wyraźnie pokazuje, jak bardzo w ostatnich latach czuła się stłamszona.

„[...] wyzwolę się od spraw domowych – pisała do Jerzego Andrzejewskiego – już mnie więcej nie nabiorą na żadne takie historyjki [...], będę się obracać po świecie w stanie takim, w jakim ty obracasz się zawsze [...], mianowicie wolnym. Pranko w pralni, jedzonko w kafejce”[87].

Miłosz najwyraźniej nie rozumiał problemów żony, którą w listach do znajomych nazywał „kłopotnikiem”. Ironicznie twierdził, że partnerka „nosi brzemień trosk o kotlecik, o buty dla dzieci, o odkurzanie, o kuchnię”. Z niedomówień Czesława można się zresztą domyślać, że z powodu jej frustracji nieraz wybuchały pomiędzy małżonkami awantury, bo przemęczona Janka nie potrafiła już zapanować nad sobą. Tym bardziej że musiała dbać nawet o bardziej męskie sprawy, takie jak okresowa wymiana oleju w silniku samochodu czy podładowanie akumulatora, o czym mąż poeta w ogóle nie raczył pamiętać.

Jance nie udało się jednak zrealizować swoich marzeń. Co prawda kupiła kamerę i zapisała się na letni kurs dla operatorów, ale stan zdrowia uniemożliwił jej zajmowanie się filmem. Prześladowały ją częste migreny, miała nawracające stany depresyjne, czuła się wyeksploatowana i permanentnie przemęczona.

Tymczasem jej mąż zdawał się przeżywać drugą młodość, gdyż kontakt ze studentami znakomicie działał na jego samopoczucie. Zawsze miał pozytywny stosunek do alkoholu i płci pięknej, a w Berkeley lubił łączyć te upodobania. Z tego powodu podczas imprez organizowanych w kampusie zdarzały mu się mało odpowiedzialne zachowania.

„Chodziłem na te party z moją żoną Janką – wspominał – przy czym [one] mnie tak nudziły [...] takie drobne ploteczki, drobne gadania [...], że upijałem się natychmiast [...] i stawałem się agresywny wobec studentek, co powodowało sankcje mojej żony i ograniczenie chodzenia na te *cocktail party*”[88].

Miłosz podobał się studentkom, a przy tym miał też duże potrzeby seksualne. W liście do jednego z przyjaciół chwalił się poziomem testosteronu, którego podobno miał dwa razy więcej niż przeciętny mężczyzna w jego wieku. Uważał, że to usprawiedliwia jego podboje erotyczne. I choć przed kolegami literatami uskarżał się na wyrzuty sumienia, to ogólny ton jego korespondencji bardziej przypominał przechwałki mężczyzny wchodzącego w smugę cienia.

„[...] z tą Eriką to mnie zafrapowałaś – zazdrościł Miłoszowi Zygmunt Hertz. – Moja dobra rada (starej świni) oczywiście, prześpij się z nią, ale w sposób dyskretny, nie należy mieć dzwonnka przyczepionego do materaca, nie musisz się tym chwalić, mimo że to bardzo przyjemne, nie angażuj się uczuciowo, bo to bzdury. Człowieku Boży – jeszcze dziesięć lat i te sprawy będą w szkatułce wspomnień”[89].

Miłosz był doświadczonym mężczyzną i doskonale wiedział, w jaki sposób wyrzeć na studentkach odpowiednie wrażenie. Pozował na samotnego psychicznie, co w połączenie z intelektem, literacką sławą i demonstracyjnie podkreślaną różnicą wieku przynosiło pożądane efekty.

„[...] chociaż jesteś jak moja córka, w wieku moich synów – pisał do Lillian Vallee – to właściwie mogłabyś być moją wnuczką, gdyby »moje dawne kochanie spełniło się było«, a zarazem jest ta więź inna, emocjonalnego współbrzmienia. Jednak moi synowie po polsku nie

czytają i mój świat jest im mało dostępny. Mnie ciągnie do młodości i chyba szukam radości zastępczej, przez jakąś uczuciową identyfikację z Tobą”[90].

Czesław na ogół był dyskretny w sprawach erotycznych, ale swoim zachowaniem gorszył czasem własnych synów. Anthony czuł się zażenowany, gdy na imprezach towarzyskich w ich domu pijany ojciec chodził na czworakach i szczekał jak pies. Jednakże studentki z Berkeley miały inne zdanie i wysoko ceniły tę jego swobodę. Poza tym niejedna z nich miała chyba ambicję odegrania roli muzy poety. Miłosz nie był niezdobytą twierdzą, tym bardziej że wśród jego wielbicielek nie brakowało pięknych dziewcząt. Przyznawał, że miejscowe studentki „do rozpacy doprowadzają go niekiedy swoją urodą, a i nierzadko inteligencją”.

Uniwersytecką aktywność erotyczną Miłosza w pełni popierał również inny z jego przyjaciół, Konstanty Jeleński. Radził mu nawet, by w pełni korzystał z możliwości, jakie daje mu jego stanowisko, gdyż to może pozytywnie wpłynąć na wenę twórczą. Z tego też powodu całkowicie go rozgrzeszał, gdy Czesław – mniej lub bardziej szczerze – zwierzał mu się ze swoich wyrzutów sumienia.

„Zbyt łatwo ulegasz nakazom moralnym [...]. Masz przed sobą dziesięć lat przynajmniej, w ciągu których możesz kochać życie, dziewczyny, przecież kampus jest dla Ciebie terenem naturalnym”[91].

„Ewa”

Przyjaciele nie docenili jednak Miłosza, przepowiadając mu zaledwie 10 lat aktywności seksualnej. Poeta rzeczywiście musiał mieć bardzo wysoki poziom testosteronu, bo jako mężczyzna funkcjonował jeszcze dużo dłużej. Jesienią 1979 roku w Berkeley pojawiła się dwukrotnie młodsza od niego polska dziennikarka, która miała przeprowadzić z nim serię wywiadów. Poeta ich udzielił, przy czym osoba rozmówczyni tak bardzo przypadła mu do gustu, że niebawem zaproponował jej pracę w charakterze asystentki. Bliskie kontakty przerodziły się w romans albo raczej w gorące uczucie, które miało wielki wpływ na twórczość poety. Miłosz otrzymał impuls, jakiego wówczas potrzebował.

Partnerka Czesława nie zgodziła się na ujawnienie swoich personaliów, w związku z czym Andrzej Franaszek w biografii Miłosza swojego autorstwa nazywa ją „Ewą”, choć wielbiele twórczości poety zapewne bez problemu zidentyfikują jej osobę. Mimo to uszanujmy życzenie „Ewy” i poprzestańmy na tym pseudonimie.

Czesław i Ewa wiele razem podróżowali, a europejscy przyjaciele nie poznawali poety, który pod wpływem kochanki zdecydowanie odmłodził. Ewa również zrobiła na nich bardzo pozytywne wrażenie. Jeleński namawiał nawet Miłosza na rozwód, twierdząc, że przy młodszej partnerce wzniesie się na wyżyny swojego talentu. Zapewne miał rację, gdyż wydany w 1984 roku tom *Nieobjęta ziemia* świadczył o znakomitej poetyckiej formie Czesława, a dodatkowo okazał się najbardziej zmysłowym zbiorem wierszy w całej jego karierze. Żadna z partnerek poety nigdy nie doczekała się podobnego hołdu.

Miłosz nie ukrywał, że zbiór powstał „całkowicie pod znakiem Ewy” i był dowodem oczarowania nową partnerką. Dzięki niej nastąpiło bowiem „u niego jakieś otwarcie na wymiar osobisty ludzkich spraw”, przez co na wiele rzeczy patrzył już zupełnie inaczej.

Romans nie miał jednak przyszłości. Ewa nie zamierzała być tylko kochanką, a Czesław okazał się „absolutnie niezdolny do opuszczenia żony”. W tym czasie Janka poważnie już niedomagala i lekarze nie dawali jej szans na wyzdrowienie. Poeta nie wyobrażał sobie, że po tylu latach porzuci schorowaną żonę, nawet jeżeli „fizycznie i mentalnie miała 95 lat”. Choć w porównaniu z żoną czuł się młodzieńcem, to chciał bez wstrętu patrzeć na swoje odbicie

w lustrze. Zapewne liczył się też ze zdaniem synów. Kochał Ewę, ale nie potrafił posunąć się zbyt daleko.

„Ten związek trwał trzy lata i był bardzo szczęśliwy – pisał do Jadwigi Waszkiewicz. – W maju skończył się, zostawiając mnie w stanie osłupienia [...]. Oczywiście nigdy nie myślałem, że w wieku od siedemdziesięciu do siedemdziesięciu trzech [lat] będę Romeo, jako że moi koledzy szkolni są stare dziady. Ale teraz bardzo mi trudno, bo ta »pycha ciała« była jakby tamą chroniącą od przyborów nihilistycznej fali. [...] Genetycznie zostałem wspaniale obdarowany olbrzymią witalnością [...]. Otóż o ile związek, o którym mówię, był rozkwitem witalności, o tyle samotność skazuje mnie na przeglądanie się w lustrze psychicznych chorób osób mi bliskich, co nie jest zdrowe”[92].

Nie wiedział wówczas, że miała go czekać jeszcze jedna miłość i jeszcze jedno małżeństwo. Nie mógł również podejrzewać, że zna już swoją przyszłą żonę, bo Carol Thigpen była przyjaciółką Ewy...



*„Carol niesłuchanie odmłodziła Miłosza,
natchnęła go nową energią. Przyjechał do Rzymu i powiedział mi szeptem: »Myśmy miesiąc
temu z Karoliną wzięli ślub kościelny«. Bardzo się tym cieszył, powiedział to z dumą
i zadowoleniem. Ona była mu szalenie oddana. Myślę, że stanowili świetnie dobraną parę. Oboje
cieszyli się sobą nawzajem. W Carol były ciepło i spokój, których Miłosz bardzo potrzebował.
Widywałam, jak spacerowali, bardzo miło było na nich patrzeć. Bardzo się kochali”.*
Elżbieta Jogalla

Tymczasem Ewa odeszła od Miłosza, choć nie przekreśliło to jej fascynacji jego twórczością. Dobrze wykorzystwała czas spędzony z poetą – wydała książkę o nim, opracowywała i redagowała zbiory jego wierszy. Zajmowała się również tłumaczeniami utworów swojego byłego partnera na język angielski. I zawsze zachowywała wzorową dyskrecję na temat ich związku.

Ekspiacja

Romans z Ewą przypadł na najbardziej tragiczny okres w życiu Czesława. Co prawda dostał wtedy literacką Nagrodę Nobla, która była ukoronowaniem całej jego kariery, to jednak prześladowały go rodzinne tragedie. Zaczęło się od choroby psychicznej młodszego syna, który skuszony ogromnymi zarobkami pojechał na Alaskę do pracy przy budowie rurociągu. Nie było to jednak dla niego odpowiednie miejsce – zabójczy klimat i towarzystwo, w jakim się tam obracał, wywarły fatalny wpływ na psychikę młodego człowieka. Peter był zbyt delikatny i wrażliwy jak na obyczaje panujące za kręgiem polarnym i niestety powrócił do domu z objawami psychozy maniakalno-depresyjnej. Właściwie nigdy nie odzyskał już zdrowia – fazy depresji przeplatały się z okresami euforii, a chory potrafił być niebezpieczny dla siebie i otoczenia.

„[...] choroba Petera nie jest nowa – zwierzał się poeta Jerzemu Giedroyciowi – datuje się co najmniej od 1977 roku, kiedy przyjechał z Alaski pomieszany. Na tamtej budowie rurociągu przez dwa i pół roku nic tylko lód i straszliwe picie co dzień. [...] Posyłałem go dwa razy do kliniki we Francji, a poza tym go utrzymywałem, bo nie mógł pracować [...]. Tym razem atak szaleństwa ostrzejszy niż kiedykolwiek i pytanie, czy wróci faza depresyjna, czy już tak zostanie. Groził sąsiadom i policja znalazła u niego pięć sztuk broni, w tym automatyczną plus dwa rewolwery”[93].

Peter układał sobie listę wrogów, okazywał nienawiść do otoczenia, strzelał z okien do swoich rzekomych przeciwników. Trafił do więzienia, przebywał też w zakładach psychiatrycznych. Jednocześnie w chwilach lepszego kontaktu z rzeczywistością chciał się leczyć, próbował nawet studiować. Z czasem jego stan uległ pewnej poprawie i niekiedy towarzyszył nawet ojcu w jego podróżach.

Problemy psychiczne Petera zbiegły się w czasie z chorobą Janki. Żona poety od dawna uskarżała się na bóle w nogach, ostatecznie lekarze zdiagnozowali u niej nowotwór kręgosłupa. Wprawdzie operacja się powiodła, ale Janka nigdy nie odzyskała już dawnej sprawności. Większość czasu spędzała w łóżku, poruszała się z trudem za pomocą lasek lub balkonika. Leczenie i rehabilitacja były bardzo kosztowne, więc Miłosz, który w tamtym czasie był już na emeryturze, ponownie podjął pracę na uniwersytecie.

Janka zachowała jednak trzeźwość umysłu i wciąż potrafiła zadziwiać swoim praktycznym stosunkiem do świata literackiego. Gdy w ich domu pojawiła się publicystka Renata Gorczyńska, aby przeprowadzić wywiad z poetą, była trochę zaskoczona postawą jego żony.

„W trakcie pierwszej sesji przeprowadziliśmy jedyną rozmowę nagraną u niego w domu, o *Dolinie Issy*. Janina Miłoszowa jako jej słuchaczka trochę mnie zdetonowała, bo co pewien czas wtrącała ironiczne uwagi. Była przeciwna tym wywiadam, jej zdaniem było to puszenie się, popisywanie pawim ogonem. [...] Zorientowałam się, że nie była typową literacką żoną, która bezwarunkowo czci geniusz męża. Myślę, że cechował ją trzeźwy osąd, w każdym razie przez wiele lat była pierwszą czytelniczką jego dzieł i – w nieunikniony sposób – ich krytykiem, a niekiedy cenzorem. Bez wątplenia wysoko ceniła twórczość męża, w końcu przed wielu laty przepowiedziała mu Nagrodę Nobla, ale zarazem wyraźnie formułowała swoje opinie”[94].

Gdy Czesław przebywał w domu, zamieniał się w troskliwego opiekuna chorej żony. Często nawet gotował, chociaż nigdy wcześniej tego nie robił. Preferował zresztą proste potrawy, takie jak „kluski z mlekiem, makiem i miodem”. Do stałych elementów jadłospisu należały też „befsztyk z grilla, sałata i kartofle z koperkiem”[95].

Co prawda zatrudnił opiekunkę, mimo to sam musiał przejąć wiele obowiązków żony. Sprawdzał się we wszystkim, chociaż niespecjalnie mu to odpowiadało. Dlatego też chętnie służbowo wyjeżdżał (często z Ewą), a okazji do tych wyjazdów nie brakowało, bo po otrzymaniu Nagrody Nobla niemal hurtowo zbierał na całym świecie wszelkiego rodzaju wyróżnienia, z doktoratami honoris causa włącznie. W czerwcu 1980 roku odwiedził też Polskę, tym razem towarzyszyli mu synowie. Dwutygodniowa wizyta była jego pierwszym pobytom nad Wisłą od 30 lat. Władze PRL nie okazały specjalnego zachwytu, ale nie mogły odmówić. Miłosz był laureatem Nagrody Nobla, poza tym posiadał już obywatelstwo amerykańskie. Ponadto zapraszał go Katolicki Uniwersytet Lubelski w celu wręczenia doktoratu honorowego, więc niewypuszczenie poety do kraju wywołałoby skandal na międzynarodową skalę.

Jednak kiedy wracał do domu, na nowo podejmował obowiązki przy chorej żonie. Cieszył się, gdy Janka czuła się lepiej, wpadał w przygnębienie, gdy cierpiała. Wiedział, że żona nigdy nie wyzdrowieje i nie potrafił tego zaakceptować.

„Codziennie widok niezawinionego cierpienia – pisał kilka lat później – straszliwego nieszczęścia, ponizającej nędzy ciała. Z obrazem jej dawnej, pięknej i roześmianej musiałem oglądać żalostny ludzki szczątek, jego bezbronność, bierność, zależność od rąk, które go podnoszą, wysadzają, kąpią. Rozdzierające, niemożliwe do zniesienia, a zamazuje się i znieczula rutyną. [...] Umysł, który jest świadomy swego obsuwania się w ciemność, zapomnianych dat, nazwisk, wydarzeń, wysoka inteligencja, którą stać jeszcze na to, żeby służyć paranoicznym lękom i niepokoju o los dzieci”[96].

Janina Miłosz odeszła 17 kwietnia 1986 roku i została pochowana na miejscowym Sunset View Cemetery. Po pogrzebie małżonek poświęcił zmarłej jeden ze swoich najbardziej poruszających wierszy:

Kochałem ją, nie wiedząc, kim była naprawdę.
Zadawałem jej ból, goniąc za moją ułudą.
Zdradzałem ją z kobietami, jej jednej wierny.

Zazналиśmy wiele szczęścia i wiele nieszczęścia.
Rozłąki, cudownych ocalań. A tutaj ten popiół.
I morze bijące o brzegi, kiedy idę pustą aleją.
I morze bijące o brzegi. I uniwersalność doświadczenia.

Następczyni

Na pierwszy rzut oka Czesława Miłosza i Carol Thigpen niemal nic nie mogło łączyć, a wszystko dzieliło. Ona nie miała żadnych związków z Polską, była protestantką i pochodziła z zamożnej rodziny z białego Południa (jej dziadek posiadał jeszcze niewolników). Specjalizowała się w historii edukacji i nigdy nie czytała utworów Miłosza. W chwili ich poznania pełniła funkcję dziekana do spraw studenckich na uniwersytecie w Atlancie.

Różnica wieku wynosiła 33 lata, a więc tylko o rok więcej niż w przypadku Ewy, i pewnie dlatego poeta nie zwracał na to większej uwagi. Carol zresztą również. Poznali się jeszcze w czasach związku Czesława z jej przyjaciółką, Ewą. Thigpen zaprosiła wtedy Miłosza na wieczór autorski na swojej uczelni. Nie wiemy, kiedy zaczął się ich romans, gdyż oboje byli bardzo dyskretni. Zapewne stało się to po zakończeniu związku poety z Ewą, ale niewykluczone, że dopiero po śmierci Janki.

Z czasem Carol zaczęła odkrywać coraz więcej rzeczy łączących ją z Czesławem. Najbardziej owocna okazała się ich wspólna wyprawa na Litwę, gdzie odwiedzili rodzinne strony poety.

„Dla mnie – wspominała Carol – rzeczą szokującą było uświadomienie sobie, jak podobne były światy naszego dzieciństwa... spichlerze ze zbożem, konie, pola z pługami i wozami, dom, w którym mogłeś sobie wyobrazić wszystkich zamieszkujących go niegdyś ludzi”[97].

Duży wpływ na ich wzajemne stosunki miało to, że Miłosz był niezwykle otwarty na różnego rodzaju nowinki. Co prawda pochodził z innej epoki, ale dość sprawnie posługiwał się komputerem, czytał książki Małgorzaty Musierowicz i kolejne tomy Harry’ego Pottera, lubił filmy Larsa von Triera. Dobrze znane było jego upodobanie do polskiego zespołu folkowego Carrantuohill, a w Berkeley zadbał o dostępność polskich kanałów telewizyjnych. Były mu one potrzebne, gdyż z dużą przyjemnością oglądał serial *Złotopolscy*.

„Energiczna, promienna, tryskająca optymizmem, zawsze chętna do rozmowy” partnerka okazała się dla niego ratunkiem przed depresją. Była inna niż kobiety, które znał dotychczas, nie wyłączając zmarłej żony. W odróżnieniu od Janki chętnie nawiązywała nowe znajomości i nie była typem człowieka traktującego swój dom jak twierdzę.

Przed ślubem byli z sobą przez kilka lat, dużo wówczas podróżowali po świecie. Carol przekonała się, że Czesław „jest dość łatwy we współżyciu”, a ta jej opinia zaskakiwała znajomych poety. Wydaje się jednak, że tak było naprawdę i że to właśnie ona odmieniła życie Miłosza i jego samego. Elżbieta Jogała, radca prasowy ambasady polskiej w Rzymie, zapamiętała spotkanie z jesieni 1992 roku, gdy Czesław i Carol odwiedzili Wieczne Miasto.

„Niesłychanie go odmłodziła, natchnęła nową energią. Pamiętam, jak przyjechał do Rzymu i powiedział mi szeptem: »Myśmy miesiąc temu z Karoliną wzięli ślub kościelny«. Bardzo się tym cieszył, powiedział to z dumą i zadowoleniem. Ona była mu szalenie oddana. Myślę, że stanowili świetnie dobraną parę. Oboje cieszyli się sobą nawzajem. W Carol były ciepło i spokój, których Miłosz bardzo potrzebował. Widywałam w Rzymie, jak spacerowali sobie, bardzo miło było na nich patrzeć. Bardzo się kochali”[98].

Na trzy lata przed ślubem po raz pierwszy odwiedzili Kraków. Amerykanka była przerażona, gdyż miasto wydało jej się brudne i czarne, a wszystkie budynki wyglądały tak samo. Niebawem zaczęła podejrzewać, że partner będzie chciał powrócić do ojczyzny. W Polsce zawalił się komunizm, a Miłosz niemal z dnia na dzień stał się jednym z oficjalnych symboli kraju. Kochała go jednak i nie wyobrażała sobie bez niego życia.

„Czesław jest osobą, z którą czuję się dobrze – wyjaśniała – osobą, która, kiedy wracam do domu i opisuję, co widziałam na popołudniowym spacerze, rozumie, co czuję. Każdego ranka cieszę się, witając z nim nowy dzień nad filiżanką kawy; ta chwila daje ciepło i wnosi porządek do mojego dnia”[99].

Wkrótce po ślubie Miłoszowie zaczęli regularnie odwiedzać Kraków i spędzali w nim kilka miesięcy w roku. Poeta otrzymał honorowe obywatelstwo miasta oraz mieszkanie w kamienicy przy ulicy Bogusławskiego, które po kilku latach wykupił na własność.

Carol pozytywnie zaskoczyła męża i przyjaciół, gdyż doskonale odnalazła się pod Wawelem. Jej energia życiowa i humor były wręcz niespożyte, szybko też została zaakceptowana przez miejscowe środowisko.

„Słoneczne letnie popołudnie – wspominał krytyk Tomasz Fiałkowski – idziemy z przyjaciółmi przez Rynek, nagle od strony Szewskiej ktoś woła za nami po angielsku: »Uwaga! Z drogi! Jestem niebezpieczna!«. Odwracamy się: to roześmiana Carol na rowerze, z wiklinowym koszem na zakupy przymocowanym za siodełkiem. Tych rowerów było zresztą kilka, zanim się nauczyła, że nawet wchodząc na chwilę do sklepu, nie wolno zapominać o kłódce. »Teraz już mam łańcuch – mówiła [...]. – I od dwóch lat ten sam rower. Wszystko jest OK«”[100].

Radością życia potrafiła zarażać innych i nie przeszkadzała jej w tym bariera językowa, szybko zresztą nauczyła się podstawowych polskich zwrotów. Nigdy nie pokazała po sobie, że czuje się w Krakowie samotna, uważała, że skoro jej mąż tu przebywał, to ona także będzie pod Wawelem szczęśliwa. Gdy ze względów zdrowotnych powrót Miłosza do Berkeley okazał się niemożliwy, Carol z całą energią przystąpiła do urządzania ich stałego pobytu w Krakowie.

„To dzięki tej energii – kontynuował Fiałkowski – krakowskie mieszkanie Miłoszów zmieniło się z tymczasowej przystani w prawdziwy dom urządzone z miłością, pełen starannie pielęgnowanych kwiatów, nawet z ogródkiem na podwórzu; ogródek podlewano z okna kuchni, węzem ze specjalnie dobraną końcówką. Najpierw były przecież tylko dwa pokoje: duża sypialniopracownia i niewielka klitka, w której z pewnym trudem mieściła się czwórka gości i która służyła równocześnie Carol za gabinet... Któregoś dnia, chyba jesienią 1999 roku, gdy przyszedłem na Bogusławskiego z numerem »Tygodnika« czy korektą, Carol teatralnym gestem odsunęła zasłonę wiszącą na ścianie korytarza. Ukazało się przejście, jeszcze nawet nieujęte we framugę przyszłych drzwi, a za nim – wyremontowany już salon nowej części mieszkania”[101].

Była entuzjastyczną czytelniczką dzieł męża, chociaż czasami potrafiła okazać swój krytycyzm. Tłumaczyła jego utwory na angielski, przygotowywała antologie, pilnowała umów wydawniczych, spierała się z grafikami o okładki. A przede wszystkim była oddaną żoną, kucharką, gospodynią i pielęgniarzką. Poeta nie mógł sobie wyobrazić lepszej towarzyszkii w ostatnich latach swojego życia.

Niestety los okazał się przewrotny, bo Carol nagle zapadła na zdrowiu, a lekarze w Krakowie nie mogli dojść przyczyny jej problemów. Wobec tego wysłano ją do San Francisco i dopiero tam zdiagnozowano zaawansowaną chorobę nowotworową.

Miłosz dostał wiadomość, że jeżeli chce się pożegnać z żoną, to powinien się spieszyć. Lekarze odradzali mu jednak tak długą podróż, obawiając się, że jego organizm może tego nie przetrzymać. Czesław wahał się, a ostatecznie przeważyła opinia poety Marka Skwarnickiego.

„[...] jeśli pan nie poleci – stwierdził – a ona umrze, to będzie pan tego żałował do śmierci. Miłosz polecał i w ostatniej chwili był przy łóżku Carol, kiedy umierała. [...] Powiedział po powrocie, że ostatnie słowa Carol brzmiały: »Nie martw się, Czesław. Miłość tam nas połączy«”[102].

Śmierć drugiej małżonki była jednocześnie wyrokiem na Miłosza. Odejście Carol

pozbawiło go wszystkich sił żywotnych. Dotychczas w walce ze starością wspomagał poetę optymizm żony – teraz go zabrakło. Odeszli już wszyscy przyjaciele z czasów młodości, a ostatni z nich, Jerzy Turowicz, zmarł w 1999 roku. Nie żyli też emigracyjni znajomi pana Czesława: Hertz, Czapski, Jeleński, a dwa lata przed Carol odszedł Jerzy Giedroyc. Miłosz przeżył ich wszystkich, ale śmierć żony była zerwaniem ostatnich więzów łączących go z tym światem. Wprawdzie utrzymywał kontakt z synami, cieszył się z narodzin prawnuka i z jego wizyty w Krakowie, ale to był jednak inny świat. Potomkowie żyli w Ameryce, a on pozostawał pod Wawelem. I nie było przy nim ukochanej Carol.

Czesław Miłosz zmarł niemal dokładnie w dwa lata po śmierci swej drugiej żony, 14 sierpnia 2004 roku.



PRZYPISY DO ROZDZ. III

- 1 Za: A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2012, s. 273.
- 2 Za: *ibidem*, s. 274.
- 3 Za: M. Bojanowska, *Słowo o listach*,
podkowianskimagazyn.pl/nr49/telakowska_listy.htm.
- 4 C. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Warszawa 1998, s. 83–84.
- 5 J. Badowska, *Wilno i Miłosz*, „Poezja” 5/6/1981.
- 6 Za: *Wiersze to wielkie świństwo*,
wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,10514223,Wiersze_to_wielkie_swinstwo.html.
- 7 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 109.
- 8 Za: *ibidem*.
- 9 Za: C. Miłosz, *Nika*, „Kwartalnik Literacki”, 2/2002.
- 10 *Ibidem*.
- 11 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 176.
- 12 C. Miłosz, *Aby duchy umarłych zostały nas w spokoju*,
zwoje-scrolls.com/zwoje25/text08p.htm.
- 13 C. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Kraków 2001, s. 70.
- 14 *Ibidem*, s. 105.
- 15 Za: *Protesty studenckie w Wilnie. Śmierć S. Waławskiego (1931)*,
nick.salon24.pl/465820,protesty-studenckie-w-wilnie-smierc-s-walawskiego-1931.
- 16 Za: *ibidem*.
- 17 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 164.
- 18 Za: *ibidem*, s. 167.
- 19 Za: *ibidem*.
- 20 Za: *ibidem*.
- 21 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1955–1963*, t. 2, Warszawa 2010, s. 422.
- 22 C. Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, Kraków 2006, s. 279.
- 23 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, t. 1, Warszawa 2007, s. 450.
- 24 C. Miłosz, *Abecadło Miłosza*, Kraków 1997, s. 17.
- 25 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 182.
- 26 S. Piasecki, *Człowiek przemieniony w wilka*, Londyn 1964, s. 287.
- 27 *Ibidem*, s. 287–288.
- 28 Za: *Trójkąt namiętności. Z pisarką Marią Nurowską rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*, „W Sieci” 29/2013.
- 29 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 184.
- 30 I. Górka-Damięcka, *Wygrałam życie. Pamiętnik aktorki*, Warszawa 1997, s. 65.
- 31 Za: R. Górczyńska, *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, Kraków 2002, s. 22–23.
- 32 Za: T. Byrski, *Teatr-radio. Wspomnienia*, Warszawa 1978, s. 178.
- 33 C. Miłosz, *Rodzinna...*, Kraków 2001, s. 247.
- 34 Za: J. Lemann, *Eugeniusz Cękański*, Łódź 1996, s. 95.
- 35 C. Miłosz, *Rok myśliwego*, Kraków 2001, s. 299.

- 36 C. Miłosz, *Rodzinna...*, Kraków 2001, s. 260–261.
- 37 J. Andrzejewski, *Gra z cieniem*, Warszawa 1987, s. 123.
- 38 Za: C. Miłosz, *Abecadło...*, s. 23.
- 39 A. Franaszek, *op. cit.*, s. 808.
- 40 Z. Nałkowska, *Dzienniki 1939–1944*, t. 5, Warszawa 1996, s. 506.
- 41 M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965. T. 5, 1942–1947*, Warszawa 2009, s. 79.
- 42 J. Kott, *Przyczynek do biografii. Zawał serca*, Kraków 1995, s. 102.
- 43 Za: D. Subbotko, *Tony, syn Miłozsa*,
wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,9868973,Tony__syn_Milosza.html.
- 44 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 521.
- 45 Za: *ibidem*, s. 521.
- 46 C. Miłosz, *Rodzinna...*, Warszawa 1998, s. 311.
- 47 *Ibidem*, s. 312.
- 48 Za: A. Romaniuk, *Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu*, e-book, Warszawa
2013.
- 49 Za: D. Subbotko, *op. cit.*
- 50 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 51 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 373.
- 52 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 53 Za: *ibidem*.
- 54 C. Miłosz, *Rok myśliwego*, Kraków 1991, s. 84.
- 55 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 410.
- 56 C. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Warszawa 1996, s. 27.
- 57 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 446.
- 58 Za: *ibidem*, s. 451.
- 59 Za: *ibidem*, s. 455–456.
- 60 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 61 Za: *ibidem*.
- 62 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 469.
- 63 Za: K. Masłoń, *Rzymski profil Słonimskiego*, „Historia Do Rzeczy” 7/2015.
- 64 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 469.
- 65 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 66 Za: *ibidem*.
- 67 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 505.
- 68 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 69 Za: *ibidem*.
- 70 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 512.
- 71 Za: D. Subbotko, *op. cit.*
- 72 Za: A. Franaszek, *op. cit.*
- 73 Za: *ibidem*, s. 513.
- 74 Za: *ibidem*, s. 520.
- 75 Za: *ibidem*, s. 523.
- 76 Za: D. Subbotko, *op. cit.*
- 77 Za: *ibidem*.
- 78 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 79 C. Miłosz, *Rok myśliwego*, Kraków 1991, s. 300.
- 80 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 533.

- 81 Za: A. Wat, *Korespondencja*, cz. 2, Warszawa 2005, s. 215.
- 82 C. Miłosz, *Abecadło...*, s. 64.
- 83 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 84 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 591.
- 85 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 86 Za: *ibidem.*
- 87 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 585.
- 88 Za: *Czarodziejska góra. Amerykański portret Czesława Miłosza*, TVP 2000.
- 89 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 616.
- 90 Za: *ibidem*, s. 616-617.
- 91 Za: *ibidem*, s. 616.
- 92 Za: A. Franaszek, *op. cit.*, s. 706.
- 93 Za: *ibidem*, s. 672.
- 94 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 95 Za: D. Subbotko, *op. cit.*
- 96 C. Miłosz, *Rok myśliwego*, Kraków 1991, s. 53.
- 97 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*
- 98 Za: *ibidem.*
- 99 Za: *ibidem.*
- 100 T. Fiałkowski, *Wdzięczność*,
<http://www.tygodnik.com.pl/numer/277335/fialkowski.html>.
- 101 *Ibidem.*
- 102 Za: A. Romaniuk, *op. cit.*

Anna Iwaszkiewiczowa





„Jakaż Anna była piękna wtedy,
*kiedyśmy się zaręczali – owa czystość linii podbródka, rysów i zadziwiający koloryt
jasnopopielatych włosów i ciemnych oczu. Nieporównana świeżość cery, rumieniec delikatny
i zajmujący cały policzek. Nie używała szminki ani pomadki. Żadna fotografia nie oddaje tej
urody, bo była to twarz o marmurowych rysach – ale nigdy zimna, zawsze niezmiernie ożywiona.
Kochałem także tę jej powierzchowność, pochlebiała mi, cieszyła mnie”.*
Jarosław Iwaszkiewicz

Życie u boku geniusza często bywa trudnym doświadczeniem, od każdej reguły są jednak wyjątki. Bardzo udany związek stworzyli Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, których małżeństwo przetrwało 57 lat, aż do śmierci Anny, i nie zaszkodził mu nawet homoseksualizm Jarosława. Anna zawsze była dla męża najlepszą przyjaciółką i partnerką życiową.

Córka Stanisława Wilhelma

Na życiu Anny odcisnęło swoje piętno nieudane małżeństwo rodziców. Była jedynym dzieckiem Stanisława Wilhelma Lilpopa i Jadwigi Stankiewicz, których związek rozpadł się niebawem po jej urodzeniu. Matka Anny opuściła męża i zamieszkała z popularnym pianistą, Józefem Śliwińskim. Była to wielka i wzajemna miłość, czyli coś, czego Jadwiga nie doświadczyła w małżeństwie. Uczucie było tak silne, że zdecydowała się porzucić dziecko, wiedząc, że Lilpopowie nie pozwolą jej widywać dziewczynki.

„Hania w ciągu kilkudziesięciu lat zobaczyła matkę tylko raz – pisała prawnuczka Anny, Ludwika Włodek. – Gdy miała osiem lat, w operze rzuciła się ku niej szlochająca, elegancko ubrana pani. Jak głosi rodzinna opowieść, ojciec stanowczo wy dostał dziewczynkę z objęć kobiety i syknął zimno: »Proszę pani, to nie jest miejsce na takie sceny«”[1].

Zachowała się korespondencja Jadwigi z Lilpopami – listy, w których prosiła rodzinę byłego męża o umożliwienie spotkania z córką. Stanisław Wilhelm stanowczo odmawiał, wydaje się jednak, że Anna musiała czasami widywać matkę, gdyż dobrze znała jej wygląd. Nawet po wielu latach, gdy była już mężatką, potrafiła rozpoznać ją na ulicy.

„Dziwnym zbiegiem okoliczności – zanotowała w *Dzienniku* w marcu 1926 roku – na rogu placu Trzech Krzyży spotkałam moją matkę, tę dziwną kobietę, której stosunku do mnie nigdy nie mogłam zrozumieć. Nie widziała mnie zresztą i tak minęłyśmy się w ciemności, dalekie sobie jak zawsze”[2].

O Jadwidze w rodzinie Lilpopów w ogóle nie mówiono, toteż dziewczynka miała prawo podejrzewać, że matka w ogóle zapomniała o jej istnieniu. Odrzucenie wywarło ogromny wpływ na jej osobowość. Można nawet powiedzieć, że nigdy się z tego nie otrząsnęła, tym bardziej że stosunki w jej domu rodzinnym trudno uznać za normalne.

Ojciec nie ożenił się ponownie, być może nieudana próba zraziła go do instytucji małżeństwa. Dziewczynką zajmowała się jego siostra, Aniela Pilawitzowa, która mieszkała wraz z członkami swojej rodziny w mieszkaniu brata. Była to osoba o bardzo trudnym charakterze, na co wpływ miał jej osobisty dramat, jakim była utrata kilkunastoletniej córki. Wprawdzie miała jeszcze dwóch synów, ale wydaje się, że po śmierci dziecka Pilawitzowa podporządkowała swoje życie bratu, który stał się najważniejszą dla niej osobą.

Aniela, podobnie jak jej brat, w kontaktach rodzinnych była osobą oschłą i wymagającą. Żadne z nich nie potrafiło okazywać uczuć i oboje uważali, że właściwe wychowanie dziecka wyklucza wszelkie objawy serdeczności. Anna wychowywała się w dostatku, jednakże nie można powiedzieć, aby zaznała zbyt wiele ciepła rodzinnego.

Stanisław Wilhelm pochodził z zamożnej rodziny stołecznych przemysłowców od kilku pokoleń osiadłej nad Wisłą. Najważniejszą inwestycją rodu była spółka Lilpop, Rau i Loewenstein – największy zakład przemysłowy stolicy. Firmą zarządzali starsi bracia Stanisława Wilhelma, ale on też nie mógł narzekać na swój los. Po śmierci ojca otrzymał

w spadku 320 tysięcy rubli srebrem, majątek ziemski w Brwinowie oraz pakiety akcji rodzinnych przedsiębiorstw.

Taki podział majątku musiał mu chyba odpowiadać, bo nie czuł powołania, aby zostać przemysłowcem. Bardziej pociągały go podróże, łowiectwo i fotografika. Z afrykańskiego safari przywiózł nie tylko bogatą kolekcję myśliwskich trofeów, ale też ogromny zbiór zdjęć etnograficznych. Wspomnienia z podróży publikował na łamach prasy, ale pod pseudonimem, nie był zainteresowany osobistą popularnością.

Prezentował bardzo użytkowe podejście do spraw finansowych, pieniądze uważał wyłącznie za środek, a nie za cel sam w sobie. Nie był jednak człowiekiem rozrzutnym, chociaż uważał, że jako członek rodu Lilpopów powinien odpowiednio się prezentować. Lubił eleganckie, dobre ubrania, ale nie zwracał uwagi na codzienny jadłospis.

Życie zawodowe umiał połączyć z pasją, prowadząc interesy znakomicie prosperującej Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, która zajmowała się produkcją akcesoriów łowieckich i handlem nimi. Lilpop polował z Radziwiłłami i Krasieńskimi, jednak potrafił być również szczodrym kolegą dla uboższych pasjonatów myślistwa.

Moskwa

Anna przyszła na świat w grudniu 1897 roku i pierwsze kilkanaście lat życia spędziła w Warszawie. Nie chodziła do żadnej szkoły, odbierała domową edukację. Duży wpływ wywarł na nią mąż ciotki Pilawitzowej, Henryk, który polecał jej właściwe lektury i dbał o rozwój intelektualny dziewczynki.

Domowe wychowanie można uznać za przejaw ograniczonych horyzontów umysłowych Lilpopów. Ta niezwykle zasłużona dla dziejów Warszawy rodzina (wywodzili się z niej również znani lekarze i architekci) pod wieloma względami przejawiała konserwatywne upodobania. Na przełomie XIX i XX wieku dziewczęta z dobrych domów oddawano na pensje, uważając, że właściwa żeńska szkoła (świecka lub klasztorna) przyczyni się do ich rozwoju i ułatwi im kontakty towarzyskie. W prywatnych szkołach uczyły się nie tylko córki zamożnych mieszczan, ale również panny z arystokratycznych domów. Nic zatem dziwnego, że Iwaszkiewicz uważał po latach, iż Annie wyrządzono wielką krzywdę, gdyż „kobieta z takim umysłem i z takimi zdolnościami nie ma nawet matury”.

Zmiany przyniosła dopiero I wojna światowa, a właściwie niemiecka ofensywa z lipca 1915 roku. Rosjanie opuścili ziemie Królestwa Polskiego, ewakuując jednocześnie najważniejsze zakłady przemysłowe i blisko milion Polaków: urzędników, wykwalifikowanych fachowców, kolejarzy. W ślad za wywozonymi do Rosji firmami wyjechali ich właściciele, a w tym gronie znalazł się też Stanisław Lilpop z rodziną. Początkowo zatrzymali się w Mińsku, następnie przenieśli się do Kijowa, aby ostatecznie osiąść w Moskwie.

Dawna stolica carów przypadła Annie do gustu, jako że moskiewskie życie artystyczne stało na znacznie wyższym poziomie niż warszawskie. Miasto uchodziło za kolebkę rosyjskiego futuryzmu, u stóp Kremla nie zwracano uwagi na toczącą się wojnę i namiętnie dyskutowano o sztuce. Moc wrażeń dostarczały również tamtejsze muzea i koncerty, dzięki czemu 18-letnia Anna czuła, że wreszcie żyje pełnią życia. Przyznawała się do tego po latach w swoim *Dzienniku*:

„W Moskwie zaczyna się w tej cudownej i najszcześniejszej dla mnie epoce życia okres poznawania sztuki coraz głębiej, coraz prawdziwiej. Otwierają się bramy piękna i ukazują treść – zrozumienie istoty sztuki. Jest nią Bóg, poprzez Boga widzę każde piękno, jest Jego odbiciem, Jego dziełem”[3].

Utrzymywała kontakty z polską kolonią reprezentowaną tam przez znakomite nazwiska: Arnolda Szyfmana, Bolesława Limanowskiego, Juliusza Osterwę, Stefana Jaracza. Zainteresowała się polską poezją romantyczną, dopiero w Moskwie zaczęła rozkoszować się dziełami Słowackiego i Mickiewicza. Bywała w teatrze Konstantego Stanisławskiego, co było niezapomnianym przeżyciem nawet dla doświadczonych aktorów.

„[...] »Studio« Stanisławskiego na przedstawieniu *Świerszcza za kominem* Dickensa – wspominała Jadwiga Jaraczowa. – Sala była pogrążona w ciemnościach, jeden z aktorów siedział na widowni, słychać było bulgotanie wody i cieniutki, piękny śpiew świerszczyka. Tym zaczynała się sztuka, a przedstawienie było czymś tak niekłamaniem pięknym, a równocześnie wzruszającym, że nie mogłam powstrzymać się od łez. Gdy na sali zapaliło się światło, wstydziłam się wzruszenia i starałam się je ukryć. Spojrzałam ukradkiem w bok, gdzie siedzieli Jaracz i Osterwa, a o krzesło dalej Brydziński. Ich twarze też były zalane łzami”[4].

Największym odkryciem okresu moskiewskiego była jednak muzyka Aleksandra Skriabina, kompozytora uznawanego przez jednych za geniusza, a przez innych za szarlatana. Skriabin uważał się za mesjasza muzyki, którą traktował niemal jak religię. W jego twórczości było wiele mistycyzmu, dążył do fuzji muzyki, tańca, światła, kolorów, zapachów. Pociągało to niezwykle Annę, zawsze mającą skłonności do mistycznych uniesień. Uznała Skriabina za narzędzie Boga, a percepcja jego muzyki miała jej zapewniać oczyszczenie duchowe umożliwiające obcowanie ze światem nadprzyrodzonym. Szczególną estymą darzyła *Poemat ekstazy* powstały na kilka lat przed jej przybyciem do Moskwy.

„Objawienie ostateczne przeżyte pod wpływem *Ekstazy* na wiosnę 1917 roku. Potem silniej jeszcze, zawsze podczas słuchania *Ekstazy*, latem tegoż roku. Objawienie, którego domagało się serce, jest już nie do utracenia. Ten sam zachwyt, tę samą *Ekstazę* przeżywać można zawsze. Najmniejsza pobudka wystarcza, bo we wszystkim, tak w *Ekstazie* Skriabina, jak potem, już po prostu tylko w blasku słonecznym, widzi się Boga i to niewypowiedziane, jedyne na świecie, jedyne istotne uczucie zachwytu, radości boskiej odczuwa się całą istotą niewypowiedzianie potężnie, bezbrzeżnie”[5].

Na zawsze już miała łączyć sztukę z wiarą, widząc w ludzkim talencie wpływ Boga. Nie ograniczała się wyłącznie do muzyki, tak samo traktowała plastykę czy literaturę. A po powrocie do Polski stała się jedną z najgorliwszych propagatorek twórczości Skriabina.

Krzysztof Radziwiłł

Pobył w Moskwie był nie tylko okresem zachwytu nad sztuką, bo Anna poznała tam człowieka, z którym postanowiła związać swój los. Krzysztof Mikołaj Radziwiłł był młodszy od niej o rok, ukończył elitarne rosyjskie liceum, pisał wiersze i wydał nawet tomik poetycki.

Zbliżało ich także podobieństwo losów, jako że rodzina Krzysztofa również nie należała do szczęśliwych. Jego matka, Róża z Potockich, cierpiała na bliżej nieznaną, przewlekłą chorobę dermatologiczną, zmuszając ją do ciągłego pobytu w sanatoriach. Z czasem doszła do tego jeszcze depresja, której okresy przeplatały się z napadami hysterii.

Młodzi spędzali ze sobą dużo czasu, ale więź intelektualna nie mogła zastąpić różnicy pochodzenia. Co prawda Krzysztof nie pochodził z żadnej z linii ordynackich Radziwiłłów, jednak jego ojciec nosił tytuł książy, więc córka przemysłowca nie była dla niego odpowiednią partią. Pieniądze Lilpopów nie odgrywały większej roli, gdyż rodzice Krzysztofa Mikołaja byli ludźmi bardzo zamożnymi.

Radziwiłłowie z niechęcią przyjęli uczucie swojego syna do Anny i postanowili opuścić Moskwę. Uznali, że rozstanie będzie najlepszym lekarstwem na miłość, uczucia nie można

przecież podtrzymywać na odległość. Do wyjazdu z Moskwy skłaniała ich również sytuacja polityczna – w Rosji wybuchła rewolucja, obalono dynastię Romanowów i należało zadbać o własne bezpieczeństwo. Radziwiłłom udało się uzyskać odpowiednie dokumenty konieczne do wyjazdu i przez kraje skandynawskie oraz Niemcy dotarli do Polski. Tam Krzysztof wstąpił do powstającego właśnie wojska polskiego, aby w jego szeregach walczyć o niepodległość ojczyzny.

Nadzieje jego rodziców okazały się jednak płonne, bo do kraju powrócili także Lilpopowie i młodzi niebawem ponownie się spotkali. Zaręczyli się w parku Łazienkowskim, stawiając swoje rodziny przed faktem dokonanym.

Opór Radziwiłłów wydaje się zrozumiały, tym bardziej że za Anną ciągnął się skandal wywołany przed laty przez jej matkę. Bardziej złożone były natomiast przyczyny niechęci Stanisława Wilhelma. Dumny przemysłowiec nie chciał, aby jego córka weszła do rodziny, której członkowie nigdy nie uznają jej za równą sobie. Dla starej arystokracji Lilpopowie byli tylko potomkami zegarmistrza z Grazu, czyli wzbogaconymi mieszczanami, bez tytułów i koneksji. Stanisław Wilhelm inaczej wymarzył sobie przyszłość jedynaczki, ale czekał na rozwój wypadków.

Nie tracił natomiast czasu ojciec Krzysztofa, który zadbał o to, by syn otrzymał polecenie wyjazdu z misją dyplomatyczną. Młody Radziwiłł wszedł w skład polskiej delegacji udającej się do admirała Kołczaka na Syberię. Rozkaz był rozkazem i Krzysztof musiał się podporządkować. Oznaczało to, że zniknie z Warszawy na wiele miesięcy, gdyż ze względu na wojnę domową w Rosji najkrótsza droga do Irkucka prowadziła przez Marsylię i Władywostok. Stary książę miał nadzieję, że upływający czas będzie jego sprzymierzeńcem.

Nie dożył powrotu syna, jednak odniósł pośmiertne zwycięstwo. Krzysztof uznał, że mógł przeciwstawić się ojcu za jego życia, ale wola zmarłego jest dla niego święta. Posłusznie zerwał zaręczyny, co zostało przyjęte z uczuciem ulgi przez obie rodziny.

Gdy jednak przypadkowo spotkał Annę w teatrze, ponownie coś między nimi zaiskrzyło. Znów zaczęli się spotykać, rozmawiać o małżeństwie. W tej sytuacji księżna Radziwiłłowa poddała się, uznając, że z uczuciem nie można walczyć. A może nie chciała, by syn kiedykolwiek w życiu zastanawiał się, czy nie stracił szansy na jedyną prawdziwą miłość? Być może doszła też do wniosku, że pomimo różnicy pochodzenia Anna będzie dobrą towarzyszką życia dla jej syna. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż opinie ludzi znających Lilpopównę potwierdzają jej zalety.

„Myślę – wspominał pianista Roman Jasiński – że (pomijając już posag jedynej córki zamożnego ojca) była ona, dla swoich własnych zalet, jedną z najciekawszych i najładniejszych panien w Warszawie tamtych lat. Mnie się wtedy podobała spontaniczność i żarliwość, z jaką odnosiła się do sztuki [...] Była córką kapitalisty, lecz mało znałem młodych kobiet, które tak całkowicie ignorowały świat pieniędzy i bogactwa, jak właśnie Hania Lilpopówna”[6].

Doszło do ponownych zaręczyn i ustalono datę ślubu, który miał być cichą i skromną uroczystością rodzinną. Tyle że wówczas wydarzyło się coś, co odmieniło całe życie Anny. Przez Jasińskiego poznała poetę, członka kabaretu literackiego Pod Picadorem, Jarosława Iwaszkiewicza.

„Pamiętam każdy szczegół tego wielkiego momentu – wspominał Jarosław wiele lat później. – Chwila, kiedy Hania weszła [...] została mi na zawsze w pamięci. Olśniewająca uroda, w gruncie rzeczy banalna, ale z tym tryskającym życiem wewnętrznym, blaskiem niedużych ciemnych oczu i chmurą popielato blond włosów, która już weszła tak w moje życie, że potem już nic jej nie widziałem. A jeszcze potem, kiedy była zniekształcona, »zamazana« chorobą, widziałem przez to zniekształcenie dawną, piękną Hanię”[7].

Już po pierwszych rozmowach Anna zrozumiała, że dotychczas żyła „złudzeniem,

a raczej sentymentem, nie miłością do Krzysia”. Dopiero teraz uświadomiła sobie, co znaczy prawdziwe uczucie, wiedziała, że spotkała właściwego człowieka i nie chciała tej szansy zaprzepaścić.

Była to obustronna miłość od pierwszego wejrzenia, co w realnym życiu nie zdarza się zbyt często. Wzajemny magnetyzm, coś nieuchwytnego i metafizycznego, coś, czego nie można wyrazić słowami. Nie bez powodu datę pierwszego spotkania (1 lutego) oboje uważali za swoje prywatne święto.

„[...] sprawę mojego małżeństwa z panną H.L. aż do zapowiedzi w kościele – wspominał Krzysztof Radziwiłł – [...] Małżeństwo moje [...] nie doszło do skutku, bo w końcu nie ja, ale ona narzeczeństwo nasze z całkiem zrozumiałych powodów zerwała, z czego wbrew temu, co zwykle uchodzi za tak zwany honor męski, jestem dumny, bo w ten sposób wobec wyolbrzymionych wtedy przez nas różnic społecznych, nie ja byłem tym krzywdzicielem, ale raczej ona wzgardziła księciem”[8].

Krzysztof Radziwiłł zajął się polityką, został nawet senatorem. Po wojnie nawiązał współpracę z komunistami, pełnił funkcję szefa protokołu dyplomatycznego, wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego i był posłem na Sejm Ustawodawczy PRL. Przyniosło mu to mało pochlebny przydomek „czerwonego księcia”.

Po zerwaniu zaręczyn z Lilpopówną szybko się pocieszył. Rok później poślubił Zofię z Popielów i doczekał się z nią pięciorga dzieci. Najmłodszym z nich była córka o imieniu Anna – historyk i pedagog, wiceminister oświaty w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Z byłą narzeczoną spotkał się dopiero po 23 latach, już po zakończeniu II wojny światowej. Przedstawił jej swoje córki, oboje uznali to spotkanie za bardzo udane. Najwyraźniej utwierdzili się w przekonaniu, że przed laty podjęli właściwe decyzje.

Jarosław z Kresów dalekich

Skład kabaretu literackiego Pod Picadorem to była prawdziwa literacka ekstraklasa. Do nazwisk znanych już stołecznym czytelnikom (Lechoń, Słonimski, Tuwim) dołączyło dwóch poetów z Kresów – pochodzący z dalekiej Kijowszczyzny Jarosław Iwaszkiewicz i urodzony w Drohobyczu Kazimierz Wierzyński.

Iwaszkiewicz powszechnie uznawano za najmniej uzdolnionego w tej ekipie. Nie miał poczucia humoru Lechonia i Słonimskiego, talentem nie dorównywał Tuwimowi i Wierzyńskiemu, pił też znacznie mniej od swoich kolegów.

„[...] Iwaszkiewicz wydawał mi się nie dość dostrojony do tego grona – wspominał karykaturzysta Zbigniew Czermański. – Próbując żartów, bywał drwiący, a nie dowcipny, a przy tym spóźniał się zawsze z reakcją. Dopiero na krótko przed wojną zaczął wykrzykiwać w porę: »Ach, to świetne«”[9].

Złośliwi uważali, że jego obecność w ekipie skamandrytów była koniecznością, gdyż w tak ekskluzywnym towarzystwie powinien być chociaż jeden Polak z dziada pradziada. Tuwim i Słonimski pochodzili z rodzin żydowskich, Lechoń był potomkiem Tatarów, a Wierzyński jeszcze do niedawna używał nazwiska Wirstlein.

Iwaszkiewicz przyszedł na świat w Kalniku leżącym w połowie drogi z Winnicy do Humania. Jego ojciec brał udział w powstaniu styczniowym, a w późniejszych latach zarządzał miejscową cukrownią. Zmarł, kiedy przyszły pisarz miał zaledwie osiem lat.

Jarosław dorastał w otoczeniu kobiet, był blisko związany z matką i trzema starszymi

siostrami. Duży wpływ na jego rozwój miały kontakty z zamożnymi kuzynami, rodziną Szymanowskich. Często bywał w ich majątku, Tymoszwówce, a szczególne więzy połączyły go ze starszym o 12 lat Karolem, z którym miał się przyjaźnić do końca jego życia.

Szymanowscy byli rodziną wyjątkowo utalentowaną artystycznie. Ojciec Karola grał na fortepianie i wiolonczeli, a starszy brat, Feliks, komponował. Jedną z siostr została plastyczką, kolejną znaną śpiewaczką, a najmłodsza pisarką i poetką. Wizyty w domu kuzynów odegrały ogromną rolę w edukacji Jarosława, to właśnie tam po raz pierwszy zetknął się z wieloma ważnymi dziełami literackimi i muzycznymi.

„W owych czasach – wspominał – lato w Tymoszwówce było jednym pasmem wizyt, zabaw i rozrywek najrozmaitszego rodzaju. Nastrój domu da się zrozumieć jedynie wówczas, kiedy się wżyjemy w artystyczny świat ostatnich lat sprzed pierwszej wojny. Nastroje artystyczne, zamknięte w pieśniach Brahmsa i Mahlera, estetyzm niemieckiej literatury ówczesnej, potężna indywidualność Wagnera, brutalność Straussa – wszystko to stanowiło przeżycia tych ludzi, którzy – niby to zamknięci na wsi – współżyli i współoddychali z twórczością europejską. Ale jednocześnie, jak obok międzynarodowych artystów w rodzaju Rubinsteina czy arystokratów w rodzaju Dawydowych czy Druckich-Sokolnickich, spotykało się w Tymoszwówce staroświeckie rezydentki, jak obok misterii Wagnera słuchało się majowego nabożeństwa, odprawianego przez babunię Misiunię – tak żyły tam obok międzynarodowych potęg artystycznych utwory Wyspiańskiego i Żeromskiego. Był to czas, kiedy Karol nosił się z zamiarem pisania muzyki do *Kłątwy*, czas ukazania się *Urody życia*, której zalety Karol pierwszy mi odsłonił”[10].

W Tymoszwówce Iwaszkiewicz nasiąkał typową kresową obyczajowością. Szymanowscy prowadzili dom otwarty, ciągle przebywali u nich jacyś goście i rezydenci. Gospodarze należeli do awangardy intelektualnej okolicy – mawiano, że gdyby nie oni, to w pobliskim Elizawetgradzie nie byłoby żadnego życia umysłowego. A było to przecież miasto liczące blisko 70 tysięcy mieszkańców.

Nie wszyscy członkowie rodziny cieszyli się jednakową popularnością. Otoczenie niepokoiło zachowanie Karola, którego już wówczas uważano za skandalistę.

„O Karolu mówiono zdecydowanie jako o człowieku »zepsutym« – wspominał Iwaszkiewicz – i poczęto przestrzegać młode panny i młodych ludzi, aby nie przebywali w jego towarzystwie. Moja matka [i] wujenka Karolowa Taube widziały dobrze jego destrukcyjny wpływ na młodzież i bardzo się tym wpływem gorszyły i martwiły. Przejmowały się każdym drobiazgiem i oko ich surowo było zwrócone na Katota [Karola – S.K.] podczas wszystkich zebrań rodzinnych, gdzie przecie tych kuzynów i te kuzynki liczyło się na tuziny”[11].

Jarosław uczył się w gimnazjum w Elizawetgradzie, a następnie wraz z rodziną przeniósł się do Kijowa. W tamtych czasach miasto nad Dnieprem było ważnym ośrodkiem polonijnym – Polacy stanowili około 10 procent mieszkańców Kijowa, a zarazem połowę miejscowej inteligencji.

„Na ulicach – wspominał Szczęsny Potocki – [...] polski język słyhać co chwila; we wszystkich magazynach, sklepach, hotelach, restauracjach mówią po polsku i po większej części czysto; księgarnie polskie są tu ogromne; [...] firm polskich mnóstwo, w tym warszawskich dużo; polskie biura techniczne, zwłaszcza składy maszyn spotyka się na każdym kroku”[12].

Jarosław uczęszczał do jednego z kijowskich gimnazjów, szybko zaaklimatyzował się w nowym środowisku. Nawiązał wówczas wiele przyjaźni, które można zinterpretować jako homoseksualne. Wraz z Mikołajem Niedźwieckim zaczął pisać operę opartą na tekstach Oscara Wilde’a, pozostawał w dość zażyłych stosunkach z Kostią Masliewem. Po latach przyznawał, że był to pierwszy przypadek, gdy dostrzegł związek pomiędzy przyjaźnią a pociąganiem

seksualnym.

„Był to prześlizchny chłopiec o wiele ode mnie młodszy; wybrałem go spośród najmłodszych, wiedziony nowym dla mnie i niespodziewanym instynktem. Pociągała mnie jego piękna twarz, nieprawdopodobny wdzięk, uśmiech wiosenny. [...] Po raz pierwszy skonstatowałem wtedy rewelacyjny dla mnie związek pomiędzy twórczością a erotyzmem. Pierwszą książką, jaką kupiłem sobie na własność jako zaczątek mojej biblioteki, była *Uczta* Platona. Poprzez lekturę tej książki i poprzez czarowną postać Masziejewa odkryły mi się perspektywy sublimacji instynktu, z którym nie wiedziałem, co począć... Stosunek nasz nie wyszedł nigdy poza radość wspólnych spacerów, chodzenia do teatru, składania sobie dość oficjalnych wizyt... ale Kostia przeszedł przez moją młodość jak jasny promień, bukiet bzu majowy. I pamięć – do dziś dnia, choć kontakt nasz był tak wąty, myśl o miłości, choć jej nie było, zapowiedź czegoś, co się nie ziszcilo...”[13].

W prowadzonym wówczas *Dzienniku* po raz pierwszy użył słowa „miłość”. Jednak obiektem tego uczucia był nie Masziejew, ale młodszy od Jarosława o rok Czesław Peszyński. Zrównoważony, urodziwy chłopiec, syn lekarza cieszącego się uznaniem wśród kijowskich Polaków.

Obie rodziny znały się dobrze, a matka i siostry Jarosława lubiły Czesława. Chłopcy wspólnie spacerowali nad Dnieprem, recytowali poezję. Iwaskiewicz był przekonany o swoim uczuciu do przyjaciela.

„W poniedziałek, to jest pozawczoraj, byłem u najukochańszego – zanotował w styczniu 1911 roku – miły on stale i ciągle; tak go kocham, że boję się, czy nie jestem homoseksualistą. Nadzwyczaj on miły i może mnie lubi, tylko że on taki mój biegun. [...] Łajałem go, że nie przychodzi [...]. Jestem o niego zazdrosny [...]”[14].

Fascynacje szkolnymi kolegami nie przysłaniały spraw ważniejszych. Jarosław zapowiadał się na dobrego pianistę i obok edukacji w gimnazjum podjął również naukę w prywatnej szkole muzycznej. Komponował już nawet swoje pierwsze utwory, jednak rodzina domagała się, by zdobył jakiś „przyzwoity” zawód, wobec czego po maturze został studentem prawa na Uniwersytecie Świętego Włodzimierza w Kijowie. Kilkanaście lat wcześniej ten sam wydział ukończył Bolesław Leśmian.

Odnaleźć samego siebie

Jarosław nigdy nie ukrywał roli, jaką odegrał w jego życiu Karol Szymanowski. Pod wpływem starszego kuzyna kształtowały się upodobania artystyczne Jarosława, miał on też swój udział w tym, że Iwaskiewicz zaakceptował swoją seksualność. Wprawdzie już podczas nauki w Kijowie chłopak dostrzegł u siebie skłonność do partnerów tej samej płci, ale podobały mu się także dziewczęta. Przeżył wówczas fascynację urodziwą i elegancką nauczycielką języka francuskiego, Lidią Łapiną, o której względy rywalizował ze swoim przyjacielem, Stefanem Knabe. Łapina ostatecznie wybrała Knabego – dla znacznie młodszego gimnazjalisty porzuciła narzeczonego i, nie przejmując się, jaki wywoła to skandal, poślubiła chłopca. Małżeństwo jednak rozpadło się już po dwóch latach. Wcześniej jednak Iwaskiewicz poznał smak odrzucenia przez kobiety. Zaowocowało to wierszem *Lilith*, który jako jego pierwszy utwór poetycki został opublikowany na łamach prasy.

Fascynacja Lidią Łapiną nie była zresztą wyjątkiem, bo duże znaczenie dla Jarosława miała również znajomość z Zofią Kurkiewiczówną. Poznał ją w Byszewie koło Łodzi, gdzie spędzał wakacje w majątku wuja swojego szkolnego kolegi, Józefa Świerczyńskiego. Przyszłemu pisarzowi na zawsze pozostało w pamięci ich pierwsze spotkanie:

„Poprzedziła ją sława urody, nie bardzo mi się jednak podobała, była w niebieskiej sukni i coś mówiła. Uderzył mnie wtedy jej głos, który i dzisiaj brzmi jeszcze mi w uszach, i ta bardzo staranna polska, warszawska wymowa [...]”[15].

Jarosław nie musiał długo czekać na rywala, bo Zofię zaczął adorować również Józef Świerczyński, a ich rywalizacja o względy dziewczyny miała bardzo specyficzny charakter. Biograf Iwaszkiewicza, Radosław Romaniuk, podejrzewał, że Świerczyński był pierwszym kochankiem Iwaszkiewicza. Zapewne to właśnie o Świerczyńskim pisał on w swoim *Dzienniku* wiele lat później:

„To zadziwiające, jak do dziś dnia prześladowuje mnie wspomnienie tego ciała sprzed sześćdziesięciu przeszło lat, jak czuję nie tylko jego dotknięcie i jego kształt, że tak powiem, jego smak, ale czuję tak dotykalnie (w dziedzinie pojęć) jego istotę [...]. Całe duchowe mięso tego ciała tkwi przy mnie i nie mogę się od niego oddalić. [...] I to najdziwniejsze, że nie była to miłość – tyle razy kochałem różnych ludzi, ale właśnie tego człowieka nie kochałem, miałem tylko nabożeństwo do tego tak pięknego ciała”[16].

Ten dziwny emocjonalno-erotyczny trójkąt miał funkcjonować przez kilka najbliższych lat. Jarosław korespondował z mieszkającą w Warszawie Zofią i nawet ją tam odwiedził, ale dziewczyna traktowała go wyłącznie jako powiernika swoich problemów ze Świerczyńskim. Z tym samym Świerczyńskim, z którym w Kijowie Iwaszkiewicz nadal utrzymywał intymne kontakty.

„[...] Kiedy się odchodzi na bardzo daleki dystans od pewnej epoki życia – notował Iwaszkiewicz w *Dzienniku* w 1975 roku – cała ta epoka przybiera sobie innego patrona, niż się dotąd wydawało. Tak na przykład cała młodość w Kijowie nie ma za patronów ani Cesia, ani Jury, ale tylko Józia Świerczyńskiego, który w tamtym czasie, zdawało się, nie odgrywał tak wielkiej roli w moim życiu. Zresztą co się tyczy Józka, to trzeba by było kiedyś napisać większy kawałek o nim. Pod względem psychologicznym i pod względem spraw seksualnych może by to było interesujące, bo tak zupełnie do niczego niepodobne i bez precedensów”[17].

Nie wiadomo, jak potoczyłoby się intymne życie Iwaszkiewicza, gdyby Zofia wybrała jego, a nie Świerczyńskiego. Panna Kurkiewiczówna była osobą konsekwentną i kilka lat później, już w wolnej Polsce, poślubiła właśnie Józia. Po latach Jarosław miał w literackiej formie przetworzyć atmosferę Byszewa w *Pannach z Wilka*. Jednak jak przystało na zawodowego pisarza, nadał temu utworowi taki kształt, że trudno w nim oddzielić fakty od artystycznej kreacji.

Koniec starego świata

Ostatnie lato przed rewolucją Jarosław spędził jako korepetytor w polskich dworach na Ukrainie. W przyszłości miał unieśmiertelnić ten odchodzący świat w swojej prozie, tworząc piękny wizerunek dawnych polskich Kresów.

Był to ważny dla niego okres, bo wędrówki po Ukrainie wywarły wielki wpływ na jego sferę uczuciową.

„W budzących się wtedy odczuwaniach młodzieńczej cielesności, w nieznanym świecie, jaki się odkrywał chłopcu w zaciszu wiejskim, kiedy objawiały mu się dalekie horyzonty miłości, dalekie możliwości, do których sięgają przeżycia ciała – gama dotyków na nagim ciele... zostawiała pamiętne smaki”[18].

Wiele wydarzeń zapamiętał na całe życie, choćby jak tę wieczorną scenę, której był świadkiem w Piatyhorach:

„[...] z przeciwnej strony [...] szedł chłopiec w płóciennym ubraniu. I zaraz poczułem, że

to jest ważne spotkanie, że krzyżuje się ze mną ktoś, kto ważną rolę odegra w moim życiu. Wychodziła ku mnie najważniejsza z przygód życia, przygoda nie przeżyta, ale wyimaginowana, a przez to nie skazana na śmierć, tylko na wieczne życie. Chłopiec w płóciennym ubraniu... stał się bohaterem moich lirycznych przeżyć – począł żyć bytem samoistnym, odradzając się po kolei w moich książkach”[19].

W lutym 1917 roku obalono dynastię Romanowów, kilka miesięcy później nastąpił bolszewicki przewrót. Rosja zapłonęła ogniem, a bolszewicy krwawo wprowadzali swoje porządki. Na Ukrainie zbuntowane chłopstwo niszczyło polskie dwory, mordując ich właścicieli.

„Ze wszystkich stron nadchodziły wieści: Tymoszwówka Szymanowskich, Ryżawka Iwańskich, Hajworon Rzewuskich padały pod niszczycielską ręką. Fortepian Szymanowskiego spoczął w stawie, portret Balzaka u Rzewuskich spalono, kolekcję obrazów Iwańskiego wywieziono do małego muzeum w Humaniu, a dom cioci Masi zrównano z ziemią, ogród wycięto i całe miejsce, gdzie leżały Czernysze, zaorano. Obszarnicy uciekali ze swoich siedzib. Ale niektóre z nich ostawały się jeszcze przez długie tygodnie i sterczały jak wraki w burzliwym morzu”[20].

W połowie 1918 roku Iwaszkiewicz spotkał się w Elizawetgradzie z Karolem Szymanowskim. Kompozytor zapoznał się z próbami literackimi kuzyna i wyraził o nich bardzo pozytywną opinię. Od tej pory zaczął traktować Jarosława jak równego sobie, zaproponował mu nawet napisanie libretta do dramatu muzycznego.

„Po raz pierwszy spotkałem się tutaj z Karolem jak równy z równym, mieszkaliśmy w jednym pokoju i całymi nocami gadaliśmy na tematy nas obchodzące. Bez końca opowiadał o Sycylii. Na ową epokę przypada również moment, kiedy mnie zaznajamiał z pierwszymi rozdziałami swojej powieści, do której podówczas przywiązywał dużą wagę”[21].

Do współpracy faktycznie miało dojść, ale już w odrodzonej Polsce. Jej efektem była opera *Król Roger*, której prapremiera odbyła się w czerwcu 1926 roku.

Pod Picadorem

Iwaszkiewicz przeniósł się do Warszawy w październiku 1918 roku. Zamieszkał u przyjaciół, mając nadzieję, że w stolicy znajdzie możliwość publikacji swoich utworów. Następnie zamierzał ściągnąć nad Wisłę matkę i siostry, które nadal przebywały w Kijowie.

„Chude, wielkie, brzydkie i nieporadne chłopczysko – wspominał swoje początki w stolicy – jakie w tym dniu weszło na ulice Warszawy, miało w sobie tyle nieśmiałości, a jednocześnie tak było kanciaste, że od razu potrafiło sobie zrazić wszystkich, z którymi się zaczęło stykać. [...] Orzeszkowa nazwałaby mnie w tej epoce »dzikim« – i rzeczywiście byłem trochę dziki, gorzej – nawet dziwaczny i do dziwactw swoich przywiązany”[22].

Miał jednak szczęście i trafił na właściwych ludzi. Poznał Mieczysława Grydzewskiego, redagującego studencki miesięcznik „Pro Arte et Studio”. Opublikowano tam kilka jego wierszy z cyklu *Oktostychy*, a potem wydarzenia nabrały tempa. Przez Grydzewskiego nawiązał kontakt z Janem Lechoniem, Julianem Tuwimem i Antonim Słonimskim. A gdy do tego towarzystwa dołączył Kazimierz Wierzyński, powstał pierwszy, żelazny skład kabaretu literackiego Pod Picadorem.

Były to bardzo intensywne miesiące. Po ponad 120 latach zaborów niepodległość Polski stała się faktem i młodzi twórcy mogli poświęcić się poezji, zamiast wcielać się w rolę duchowych przewodników wiodących naród na barykady. Czas wieszczów głoszących

konieczność kolejnego powstania minął, pikadorczycy mogli wreszcie „zrzucić płaszcz Konrada”.

Pomysł kawiarni literackiej przywiózł z Moskwy inny poeta, Tadeusz Raabe (Kruk). Przyjaźnił się ze Słonimskim, ale dopiero gdy dołączyli do nich Tuwim i Lechoń, idea zyskała szansę na realizację.

„Byłoby fałszem – tłumaczył Słonimski – gdybym chciał twierdzić, że naszym celem było wznowienie świetnej tradycji »Zielonego Balonika«. Nie mieliśmy i nie bardzo gdzie mogliśmy drukować nasze wiersze. Działo to się w burzliwych czasach, które wypychały najspokojniejszych ludzi na ulice. Picador więc miał charakter najzupełniej ulicznej trybuny. Nie było tam żadnych intymności, żadnego oddzielania się od tłumu filistrów. Do Jamy Michalikowej dostać się mogli tylko wybrani i to z szykanami i trudnościami. Do Picadora mógł wejść każdy z ulicy za skromną opłatą pięciu marek. Nie sprzedawano tam wódki ani mięsa – była to mała cukierenka, gdzie trzeźwi poeci czytali swoje wiersze przed zupełnie przypadkową publicznością”[23].

Nie byłoby jednak sukcesu bez odrobiny szczęścia i przypadku, młodym poetom udało się znaleźć dobre miejsce na swój lokal – w samym centrum stolicy i za przystępną cenę.

„Dzięki wszędobyłskiemu Leszkowi [Lechoniowi – S.K.] sprawy posunęły się szybko naprzód – relacjonował Tadeusz Raabe. – Wywęszył on bowiem, że ówczesny król episjerów [dorobkiewiczów – S.K.] warszawskich, właściciel kawiarni *Udziałowej*, p. Życki (którego jako producenta kefiru Tuwim przemianował wkrótce na Kefirzyckiego), posiada źle prosperującą, zawsze pustawą mleczarenkę przy Nowym Świecie, niedaleko Świętokrzyskiej.

Więc do dzieła. Odwiedzamy pana Życkiego i ubijamy interes. Umowa zostaje błyskawicznie zawarta pod wysuniętym przez nas hasłem: pańskie kawy – nasze wejścia”[24].

Lokal przystosowano do potrzeb sceny poetyckiej, zadbali o to dwaj zaprzyjaźnieni malarze futuryści – Kamil Witkowski i Aleksander Świdwiński. Zamknęli się tam na kilka nocy w towarzystwie akcesoriów malarskich i dużych dawek alkoholu, a skutki ich działalności były imponujące.

„Głównym tematem dekoracyjnym – wspominał Słonimski – był portret imaginacyjny mecenasa Kuśmidrowicza. Kuśmidrowicz był uosobieniem kołtuństwa. Głowę i tors Kuśmidrowicza wymalował Witkowski na suficie kawiarni, brzuch spływał po ścianie, nogi ciągnęły się przez całą długość podłogi, jedna ręka przez ścianę boczną sięgała okna i palce jej wymalowane już były na zewnątrz, na fasadzie domu”[25].

Ważna okazała się odpowiednia reklama, a twórcy kabaretu doskonale wiedzieli, że bez atmosfery sensacji nie uda się przyciągnąć publiczności. W całym mieście zawisły afisze wzorowane na odezwach bolszewików. Zapowiadały „dyktaturę poetariatu”, prowokowały hasłem „Młodzi artyści Warszawy, łączcie się” i nawoływały do bojkotu uznanych instytucji kulturalnych: Filharmonii Warszawskiej, Teatru Rozmaitości oraz Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Premierowy wieczór odbył się 29 listopada 1918 roku. Było to niespełna trzy tygodnie po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga i przejęciu przez niego władzy. Polityka polityką, ale spotkanie było niezwykle udane i następnego dnia mówili o nim wszyscy w mieście. Twórczość młodych poetów zrobiła ogromne wrażenie, ale palmę pierwszeństwa dzierżył wówczas 19-letni Jan Lechoń.

„Kiedy drżący i blady skończył czytać *Mochnickiego* – wspominał Tuwim – zerwała się pierwsza w Polsce burza oklasków na cześć poezji. Poczuli ludzie, że się tu bania z poezją rozbiła, i że pójda z niej »dymy po całej literaturze«!”[26].

Podczas premierowego wieczoru ogłoszono statut lokalu, podano również ceny usług.

Prywatna rozmowa z poetą kosztowała 50 marek polskich (za 5 minut, z prawem podania ręki), autograf 150, ale dedykacja już 500. Ogłoszono, że kobiety dysponujące minimum 75 tysiącami posagu mogą składać artystom poważne propozycje matrymonialne. Przy okazji zakazano wprowadzania psów, lżenia i bicia recytujących, głośnego odgadywania rymów.

To był dopiero początek, bo kabaret stworzył niezwykłą modę na poezję, każdy nowy wiersz opublikowany na łamach prasy wywoływał w kawiarniach gorące dyskusje, a nakłady tomików przekraczały sześć tysięcy egzemplarzy. Czegoś podobnego nigdy wcześniej ani później w naszym kraju nie było.

Skandal i poezja

Iwaszkiewicz nigdy nie ukrywał, że celem jego przeprowadzki do Warszawy była kariera literacka. Szybko to osiągnął, przekonał się jednak, że z poezji nie można się utrzymać. Stał się popularnym twórcą, publikował na łamach prasy, wydał swój pierwszy tomik *Okostochy*, ale to było zbyt mało, aby zapewnić mu utrzymanie. Nie miał mieszkania ani stałych dochodów, wobec czego powrócił do pracy gubernera. Na szczęście miał ze sobą listy polecające z czasów ukraińskich, co znacznie ułatwiło sytuację. Początkowo był nauczycielem domowym u Potockich, następnie zajmował się edukacją czterech synów księstwa Woronieckich. Dzięki temu miał gdzie mieszkać, a wynagrodzenie zapewniało mu minimum egzystencji.

„Wieczorem wychodzę sobie do kawiarni Pod Pikadorem – pisał w tym czasie do matki – w której zbierają się różni ludkowie i za opłatą 5 marek za wejście słuchają różnych bzdur, które im młodzi poeci czytają, między innymi poetami wasz subtelny Jarosław Iwaszkiewicz, który zaczyna być bardzo ceniony – aczkolwiek zapewne kariery nie zrobi, bo nie umie się zastosować do wymagań hołotki zwanej publicznością. Nastrój Pikadora bardzo miły i rzeczywiście grupuje się tam dużo młodych i ciekawych ludzi”[27].

Zdarzały mu się jednak chwile zwątpienia, żałował wówczas, że nie jest zwykłym urzędnikiem zatrudnionym na państwowej posadzie. Szukał innych rozwiązań, był przez pewien czas przedstawicielem poznańskiego czasopisma „Zdrój”, pracował jako sekretarz w Zachęcie. Ale nigdy nie wyżył się marzeń, że opublikuje jedną znakomitą książkę, która przyniesie mu sławę i pieniądze.

Jednak na to musiał jeszcze długo poczekać – *Lata w Nohant* nie było nawet w planach, a on sam zdobywał raczej dwuznaczny rozgłos. W mieście komentowano jego bliską przyjaźń z pochodzącym z Krakowa poetą Mieczysławem Rytardem, głośno było też o jego zaangażowaniu w inne związki. Jarosław raczej nie miał szczęścia i często fatalnie rozpoznawał swoich potencjalnych partnerów.

„Parę razy do niego zaszedłem – skarżył się po latach malarz Józef Czapski – tak sobie z nim gadałem, a widziałem, że nic go nie interesuje to, o czym rozmawiamy. Więc pytam go, o co chodzi. Wtedy podszedł do mnie i pocałował mnie w usta. Pamiętam jeszcze z obrzydzeniem te ogromne, śliskie usta. »Bo nasz stosunek jest erotyczny«... Ja wtedy byłem jeszcze tak strasznie naiwny, że nawet nie wiedziałem, o co chodzi. Przeraziłem się”[28].

Na domiar złego Iwaszkiewicz w tym samym czasie napisał powieść poetycką *Zenobia Palmura*, którą opublikowano w pierwszych dwóch numerach pisma „Skamander”. Utwór uznano niemal za pornografię, sprawa trafiła do sądu, a redaktor odpowiedzialny pisma, Władysław Zawistowski, został skazany na trzy tygodnie więzienia! Dziennikarz miał jednak szczęście, bo wojna polsko-bolszewicka wchodziła w decydującą fazę i wszyscy mieli ważniejsze sprawy na głowie. Gdy jednak powieść ukazała się w wersji książkowej, skandal wybuchł na nowo, a Iwaszkiewicz długo musiał się tłumaczyć. Ale po latach cieszył się z tego

i z dumą opowiadał, że był pierwszym polskim autorem, który opublikował w literaturze pięknej takie słowa jak „chędożyć” i „kurwa”.

Na razie jednak wcale nie był szczęśliwy – stracił pracę korepetytora i mieszkanie, przez pewien czas utrzymywał się z prowadzenia rubryki kulturalnej w „Kurierze Polskim”. I właśnie wtedy zetknął się z kobietą, która całkowicie zmieniła jego życie. Przez pianistę Romana Jasińskiego poznał Annę Lilpop, córkę znanego warszawskiego przemysłowca.

Narzeczeni

Po poznaniu Anny całe życie Jarosława uległo zmianie. Sprawy, które dotychczas uważał za najważniejsze, przestały mieć znaczenie. Przewartościowaniu uległ otaczający go świat, liczyła się tylko panna Lilpop, spotkania z nią, wspólne spacerunki i rozmowy.

„Wszystko, czym jest i było moje życie – zwierzał się Romanowi Jasińskiemu – wszystkie szczęścia i nieszczęścia, wszystko, co posiadałem moralnie i materialnie, zależało od twojego telefonu, wzywającego mnie do »panny Lilpop« na słuchanie, jak grasz Czajkowskiego. [...] Zadziwia mnie ten casus, że tak całe życie jednego człowieka może zależeć od jednego gestu innego człowieka, gestu zupełnie przypadkowego. Czyż to nie najlepsza powieść?”[29].

Spotykali się coraz częściej, wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Annie nie przeszkadzały plotki o homoseksualizmie Jarosława, a dla niego nie miał znaczenia dawny skandal rodzinny. Niebawem też stało się to, co musiało się stać.

„Wreszcie sobota rano – wspominała Anna – te kwiaty i liściki Jarosława, potem bezsenna noc i ranek, ranek wielkanocny, cudowny dzień Zmartwychwstania, który stał się dniem szczęścia. Pamiętam, z jakim spokojem rano wstałam, poszłam na mszę, a stamtąd na spotkanie w Agrykoli. Czułam, wiedziałam już podświadomie, że wszystko jest rozstrzygnięte, tak jak jeszcze nigdy w życiu nie czułam, ten wielki spokój, który daje pewność, że idziemy drogą swojego przeznaczenia. Wychodziliśmy tak radośni, jak gdyby wszystko było już łatwe przed nami, jak gdyby nie zaczynało się dopiero zwalczanie wszystkiego, wszystkich dookoła nas”[30].

Na tym spacerze wyznali sobie miłość. Anna miała na sobie poziomkowy sweterek, który Jarosław przechowywał ponoć do końca życia w pudełku w kształcie serca. Znalazła go tam jego córka, już po śmierci ojca.

Wyznania stanowiły dopiero początek wspólnej drogi, przepaść społeczna pomiędzy nimi była znacznie większa od tej, która dzieliła dziewczynę od Krzysztofa Radziwiłła. Jarosław był ubogim przybyszem z Kresów, niczego nie posiadał, a dodatkowo otaczała go atmosfera skandalu. Ciotka Pilawitzowa uważała go za nuworysza i łowcę posagów, nie inaczej sądziła reszta rodziny Lilpopów. Na swój sposób zadowolony był natomiast ojciec Anny. Jego jedynaczkę nie groził już arystokratyczny związek, próba wejścia do sfery, gdzie byłaby uważana za kogoś gorszego. W zamian córka sama planowała mezalians, a to było już zupełnie coś innego. To nie Lilpopowie pchali się na salony Radziwiłłów, w najgorszym wypadku mogli przyjąć do swojego grona ubożego poetę.

Nie oznacza to wcale, że Stanisław Wilhelm był całkowicie szczęśliwy. Zapewne wolałby, aby córka wybrała kogoś z rodziny stołecznych przemysłowców lub zamożnej inteligencji, ale widział, że Anna jest zakochana, i nie potrafił stanąć na drodze tej miłości.

„Ten nastrój z ostatniego tygodnia przed niedoszłym ślubem z Krzysiem – notowała Anna – który stał się właściwie tylko tygodniem naszej miłości, naszych zaręczyn. Te wrażenia na pewno do śmierci pamiętać będę. Ta straszliwa, rozpaczliwa udręka, kiedy wreszcie przestałam się okłamywać, zrozumiałam, że moja pierwsza, dziewczęca miłość do Krzysia zniknęła już

niepowrotnie, że to, co teraz mnie z nim łączy, jest tylko przyzwyczajeniem i rozculeniem jego miłością, a że to, co wmawiałam sobie, zaniepokojona swoim stanem, że jest chwilowym zawróceniem głowy, to właśnie pochłania mnie już całą, bo jest dopiero pierwszą po dwuletnich, ze wstrętem wspomnianych doświadczeniach, pierwszą, kobiecą już, wielką i pełną miłością!”[31].

Inicjatywę przejęła Anna, Iwaszkiewicz wyjechał na kilka tygodni na Huculszczyznę. Zatrzymał się u Stanisława Vincenza w Słobodzie Rungurskiej i tam dotarł do niego telegram od narzeczonej. Lilpop zgodził się na ich małżeństwo.

Dziwną lekturą są narzeczeńskie listy Iwaszkiewiczów. Nie ma w nich namiętności, nie padają tam miłosne wyznania, trudno nawet doszukać się czegoś więcej niż wymiany myśli i poglądów. Tak jakby wszystko już sobie wcześniej powiedzieli i teraz nic więcej nie było już potrzebne. Była to więc duchowa, zawsze potrafili ze sobą rozmawiać i mieli sobie wiele do powiedzenia.

Skamandryci nie ukrywali zaskoczenia tymi zaręczynami. Dobrze znając skłonności kolegi, uważali, że małżeństwo z Lilpopówną jest sposobem na zapewnienie sobie wygodnego życia. Nie rozumiał kuzyna również Karol Szymanowski, który, mając już za sobą przegraną walkę z własną osobowością, był zdania, że Iwaszkiewicz postępuje wbrew swojej naturze.

Ale Jarosław naprawdę się zakochał. Anna była dla niego eteryczna, piękna i całkowicie odmienna od kobiet, które znał dotychczas. Wyróżniała się na tle warszawskiego środowiska, pisarz twierdził nawet, że wtedy „można ją było wziąć za anioła”.

„Jakaż była piękna wtedy, kiedyśmy się zaręczali – owa czystość linii podbródka, rysów [...] i zadziwiający koloryt jasnopopielatych włosów i ciemnych oczu. Nieporównana świeżość cery, rumieniec delikatny i zajmujący cały policzek. Nie używała szminki ani pomadki do urodzenia Marysi. Trochę z tego przeszło do rysunku Kramsztyka, ale poza tym żadna fotografia nie oddaje tej urody, bo była to twarz o marmurowych rysach – ale nigdy zimna, zawsze niezmiernie ożywiona. [...] Kochałem także tę jej powierzchowność, pochlebiała mi, cieszyła mnie”[32].

Okres narzeczeństwa był dla Jarosława trudną próbą. Chociaż do Warszawy przybył kompletnie bez pieniędzy, to jednak był przyzwyczajony do kresowej gościnności. Natomiast w domu „milionerów” oszczędzano na każdym kroku. Było to dla niego niezrozumiałe, bo choć interesy spółki myśliwskiej ucierpiały podczas wojny, to Lilpop nadal był bardzo bogatym człowiekiem. Nie zwracał jednak uwagi na podobne drobiazgi jak codzienny jadłospis, a jego siostra wprowadziła skrajne oszczędności. Jeżeli potraktować poważnie wynurzenia Jarosława, to faktycznie musiało to wyglądać zaskakująco.

„Już mnie jako narzeczonego uderzyło to [...] że podczas codziennych moich wizyt dostawałem tylko filiżankę czystej herbaty, do której raczej w charakterze dekoracji występował talerzyk suchych ciasteczek. Kiedy zbliżała się sakramentalna godzina kolacji – o ile nie wychodziłem gdzieś z narzeczoną – musiałem opuszczać jej mieszkanie. W głowie mi się to nie mieściło. Bardzo rzadko oficjalnie zatrzymywano mnie na kolacji, traktując ten ewenement jako coś nadzwyczajnego. Kolacja zaś, na której mnie zatrzymywano, składała się zazwyczaj z kwaśnego mleka z kartoflami i jakiejś pozostałości z obiadu. Zapraszając mnie na nią, niczego nie zmieniano w utartym codziennym menu. Dlaczego więc nie mogłem zostać na takiej kolacji co dzień? Nie rozumiałem”[33].

O większości spraw domowych decydowała ciotka Pilawitzowa, traktująca każdego gościa jak osobistego wroga. Nienawidziła ludzi odwiedzających Lilpopów, bo uważała, że ich głównym zajęciem jest czatowanie na majątek domowników. Zaliczała do niego posiłki i napoje, które miały decydować o kondycji finansowej domu.

Iwaszkiewicz nie cierpiał Pilawitzowej, ale z pewną sympatią wyrażał się o przyszłym teściu. Pozytywnie też wspominał drugą ciotkę Anny, Marię Miaskowską. Cenił w niej przywiązanie do polskości i szerokie horyzonty umysłowe, chociaż podkreślał, że niewiele miała do powiedzenia w sprawach prowadzenia domu. Nie potrafił natomiast zupełnie zrozumieć starego Pilawitza ani dziwnych układów panujących między nim a obiema ciotkami Anny.

„[...] był to, pomimo młodego jeszcze stosunkowo wieku, zdziwaczały staruszek, któremu się wydawało, że na skutek sklerozy zidiociał. Wstydził się więc wychodzić do ludzi, bał się kompromitacji i całymi godzinami siedział w ciemnym pokoju na kanapce. Chociaż kiedy ożywał się i rozgadał, wykazywał całą swą sympatyczną, dowcipną umysłowość i dużą inteligencję. [...] Plotka powiadała, że ciotka Miaskowska była kochanką wuja Pilawitza, ale ja temu nie wierzę. Niemniej przeto obie ciotki zachowywały się tak, jakby były dwiema żonami starego Pilawitza”[34].

Niechętny stosunek Iwaszkiewicza nie ograniczał się wyłącznie do członków rodziny. Z dużym niesmakiem obserwował także zachowanie innych domowników, a szczególnie kucharki, której nienawidził z całego serca.

„[...] indywiduum niezyczliwe, podejrzliwe, łakome i chytne, przy pozorach życzliwości. Umiała ona zaskarbić łaski u Pilawitzowej, a to dla utrzymania się na powierzchni naszego domu było najważniejsze”[35].

Ślub Anny i Jarosława odbył się we wrześniu 1922 roku w kościele w Brwinowie. Tuż przed uroczystością Jarosław razem z matką oczekiwał na pannę młodą i gości na miejscowej stacji kolejowej.

„Pociąg zajeżdża, z pierwszego wagonu wysiada tylko Grydzewski, z olbrzymim bukietem białych róż. Miał mi dostarczyć te róże, ale powiada, że więcej nikogo nie ma. Serce mi bije, struchlałem. Jak to, więc i mnie zrobiła taki kawał? Ale to tylko żart. Z ostatniego wagonu wysiada moja narzeczona, w szarym kostiumie, za nią mój przyszły teść w białym, letnim krawaciku i cała banda. Lechoń kiwa z daleką ręką, Tuwim prowadzi pod rękę Stefcie, która wygląda prześlicznie. Tolek Słonimski, trochę wzruszony, trochę cynicznie uśmiechnięty ściska mnie serdecznie, Kazio Wierzyński woła swoje nieśmiertelne »serwus!«, Horzyca kroczy zadumany, głaszcze rękami swoje baczki, Breiter drepcze i dziwi się »Jarosławie! Doprawdy?«. Przyjaciółka mojej żony nachyla się do ucha i pyta: »Któż to są ci wszyscy tacy jacyś dziwni?«. Rzeczywiście wyglądają dziwnie, jeszcze nie obrośli w pierze i nie są tymi panami z »Ziemiańskiej« czy »Zodiaku«. Trochę są obdrapani, ale za to pewni siebie i swojej sławy, która aczkolwiek kroczy już ulicami Warszawy, ale jeszcze do Brwinowa nie dotarła. Śmieją się głośno i popychają, trochę jak sztubacy. Jest i nasz świadek ślubu, Karol Szymanowski; dystyngowany jak zawsze, trochę pochylony, trochę kulejący, z wiecznym papierosem w ustach. Ściska mnie serdecznie i powiada ściszym głosem: »Czy to ty naprawdę się żenisz? Mój Boże, czy to możliwe, Jarosiu?«. [...] Gdy odchodzę od ołtarza, wpadam w objęcia moich przyjaciół. Pokazuję im obrączkę na palcu i powiadam: »Klamka zapadła! A na to Lechoń, jak zawsze apodyktycznie: »No, ale to ślub na sześć tygodni«”[36].

Niemile dobrego początku

Podobno nie ma nic gorszego dla młodej pary niż początek wspólnego życia pod dachem rodziców. Ten błąd popełnili też Iwaszkiewiczowie, bo choć Jarosław zamierzał wynająć pokój w pensjonacie, to bez problemów przystał na propozycję teścia, aby małżonkowie zajęli dotychczasowy pokój Anny. Najwyraźniej pisarz nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jego żona była uzależniona od atmosfery domu Lilpopów. Anna, która imponowała skamandrytom i prezentowała oryginalne i nowatorskie poglądy na sztukę, w domu zachowywała się jak pensjonarka posłusznie wypełniająca polecenia ciotek.

„Hania przyzwyczaiła się machinalnie do zdawania ciotce sprawy ze wszystkich swoich działań i przeżyć – narzekał Jarosław. – Gdyśmy wrócili z naszej podróży poślubnej do Zakopanego, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, usłyszałem przez drzwi, jak Hania w drugim pokoju opowiadała ciotkom ze wszystkimi szczegółami dzieje naszej pierwszej nocy miłosnej [...]”[37].

Noc poślubna musiała zresztą Jarosława nieco rozczarować, gdyż nawet wiele lat później miał o nią do żony pretensje. Zapewne spodziewał się szału zmysłów, ale nic takiego nie miało miejsca. Anna zwlekła z konsumpcją związku, a później traktowała seks jak małżeński obowiązek.

„[Noc poślubna] wypadła dzięki najrozmaitszym wyrachowaniom mojej żony w dobry tydzień po naszym ślubie i tygodniowym pobycie w Zakopanem. Nawiasem mówiąc nasz stosunek małżeński zawsze bardziej podobny był do zabiegu higienicznego niż do miłosnej manifestacji naszych zawsze głębokich uczuć, a to dzięki tysięcznym zabiegom i przygotowaniom mojej żony »przed« i »po«, co potrafiło odebrać cały urok miłosnemu aktowi”[38].

Był to jednak związek niepodobny do innych i wątek erotyczny nigdy nie odgrywał w nim większej roli. Można zresztą odnieść wrażenie, że obojgu bardziej chodziło o potomstwo, a pod tym względem wszystko odbyło się we właściwy sposób. Pierwsza córka, Maria, przyszła na świat półtora roku po ślubie, a następna, Teresa, cztery lata później.

Z upływem czasu pogarszały się wzajemne relacje Iwaszkiewicza z Lilpopami. Pisarz nie bardzo mógł zrozumieć, co dzieje się w mieszkaniu przy ulicy Górnej.

„Wszystko w tym domu było skierowane pod kątem widzenia i wyłącznie dla mojego teścia. On był królem i panem, wszystko inne było mu podporządkowane. Z rana Jan [Iokaj – S.K.] przyrządzał mu łazienkę do kąpieli, teść golił się, siedząc w wannie, i nikt nie miał prawa wejść do łazienki przed nim. Wywoływało to burze. Rzeczy mojego teścia były nietykalne, pamiętam raz, był ktoś palący u nas, a my oboje nie paliliśmy, nie było więc w naszym pokoju popielniczki. Moja żona przyniosła więc z gabinetu ojca popielniczkę. Zrobiła się potworna chryja, taka awantura, że ściany się trzęsły”[39].

Na swój sposób Iwaszkiewicz jednak lubił teścia i zdecydowanie gorsze zdanie miał o pozostałych członkach klanu. Nawet po latach nie pozostawiał na nich suchej nitki i chociaż trudno w to uwierzyć, to lubił ich mniej niż ciotkę Pilawitzową.

„Dalsza jej rodzina była nawet jak na stosunki mieszczańsko-warszawskie wyjątkowo antypatyczna. Nie zbliżyłem się do niej nigdy. Jediną jasną postacią wśród tej rodziny był kuzyn mojej żony, dr Wacław Lilpop, do dziś dnia z rozczeniem wspomniany przez pacjentów i kolegów lekarzy, a zwłaszcza przez personel szpitalny. Nie lubiłem go nigdy. [...] Każdy mieszcuch może być sympatyczny i wartościowy, dopóki nie wypłynie jakaś sprawa pieniężna...”[40].

Wacław Lilpop był jednym z najbardziej zasłużonych stołecznych urologów, ordynatorem w Szpitalu Przemienienia Pańskiego, prezesem i współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Iwaszkiewicz napisał o nim takie słowa dopiero kilka lat po śmierci lekarza. Najwyraźniej nie uważał, że o zmarłych członkach rodziny mówi się dobrze albo wcale.

Wydaje się, że z całego klanu lubił tylko Daniela Lilpopa. Ten, w odróżnieniu od swoich kuzynów, nie został przemysłowcem, ziemianinem, architektem czy lekarzem, tylko skończył studia leśne. Podobno nie błyszczał inteligencją, a pan Jarosław nazywał swojego ulubieńca „głupkowanym leśniczym”, wprawdzie „pocziwą duszą”, ale „durnowatą”.

W *Dziennikach* Anny nie ma żadnych informacji na temat burz domowych. Wspomina o wspólnych wyjazdach, wizytach w muzeach, o poznawaniu nowych utworów literackich, słuchaniu muzyki. Można odnieść wrażenie, że relacje, które tak irytowały Jarosława, były dla niej sprawą najzupełniej naturalną. Przyzwyczała się do rygorów panujących w ich domu i nie widziała w nich nic złego. Zdawała sobie też sprawę, że niebawem sytuacja ulegnie zmianie, gdyż ojciec podarował im w prezencie ślubnym część swojego majątku w Podkowie Leśnej. Iwaszkiewiczowie planowali zbudować w nim dom, na razie jednak spędzali tam letnie miesiące. Ich siedzibą był dawny domek myśliwski Lilpopa, budowla zrujnowana i bez wygód, ale nie zwracali na to większej uwagi.

„Ten dziwny, naprawdę tak dziwny romans – notowała Anna – jest ciągle pełen czegoś nieprzewidzianego, pełen niepokoju i ciągłych skoków od chwil czasem bolesnych nawet do tych niezrównanych z niczym chwil upojenia, zespolenia kompletnego, do głębi dusz, do tych cudownych okresów cichego a intensywnego szczęścia i kochania. I to jest tak bardzo nasze, tak nikt nie domyśla się tego [...]. Czasami to wszystko, co ludzie o nas mówią i myślą, bawi mnie, cieszy nawet. Zazdrośnie chowam skarb swojej miłości, naszego »tajemnego życia«”[41].

Mężowskie tajemnice

Analizując korespondencję Iwaszkiewiczów z pierwszych lat małżeństwa, można odnieść wrażenie, że Jarosław bardzo się starał oddalić od siebie oskarżenia o skłonności homoseksualne. Wielokrotnie tłumaczył się żonie ze swoich spotkań w męskim gronie, twierdząc, że właśnie z tego powodu powstają plotki. A on tylko spędzał czas z przyjaciółmi, bez żadnych podtekstów erotycznych czy uczuciowych.

„Wyobraź sobie – wyjaśniał – parę dni temu byłem na kolacji w »Astorii« z Olkiem L[andauem], miałem tę nieostrożność, przyleciał Leszek [Lechoń – S.K.], udawał, że nas nie widzi, ale naturalnie poleciał z pyskiem, poza tym Olek był raz w »Ziemiańskiej« i masz teraz, miasto »huczy« po prostu od plotek. Wiesz, wiem, że to ani ciebie, ani mnie nie obchodzi, ale chłopca mi żal, choć on ma w dupie cały świat; wczoraj już miał parę telefonów od przyjaciół, czy to prawda, że on żyje z Iwaszkiewiczem?”[42].

Pomimo małżeństwa i permanentnych braków finansowych Iwaszkiewicz lubił odwiedzać modne lokale. Kawiarnia była dla niego naturalnym środowiskiem, miejscem wymiany myśli i poglądów. Anna natomiast nigdy nie przepadała za tą formą spędzania czasu, preferowała koncerty i spektakle teatralne. Nie lubiła też znajomych męża z innych sfer niż artystyczne, nie była zachwycona, gdy kiedyś przysiedli się do nich Józef Beck i Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Niewykluczone, że w tym okresie Iwaszkiewicz przejawiał szczerą chęć zerwania z homoseksualizmem, być może uważał, że małżeństwo stanowi ważną cezurę w jego życiu

intymnym. Wśród przedstawicieli ówczesnej elity artystycznej Warszawy nie był pod tym względem wyjątkiem. Przez wiele lat nie akceptował swojej odmienności Lechoń, co doprowadziło go nawet do nieudanej próby samobójczej.

Anna zresztą kompletnie nie rozumiała Lechonia, uważając, że poeta snobuje się na homoseksualistę, gdyż to odpowiada obiegowym opiniom na temat bohemy artystycznej.

„Najśmieszniejszym jest już to pozowanie na tego rodzaju »przyjaźń«, jak stale robi to Leszek. Przecież ten człowiek obnosi się wiecznie z jakimś chłopakiem (który, mam wrażenie, często nudzi go śmiertelnie, co było z Wackiem), jedynie po to, aby mówiono, że to jego kochanek. Chce koniecznie uchodzić za bardziej chorego nerwowo i zdegradowanego, niż jest rzeczywiście”[43].

Nie potrafiła też zrozumieć Karola Szymanowskiego. Wysoko ceniła go jako kompozytora, ale przerażał ją „ten erotyzm Karola »na obie strony«”. Najwyraźniej uważała go za mężczyznę biseksualnego, nie zdając sobie sprawy, że Szymanowski już dawno pogodził się ze swoimi skłonnościami.

Szczególnych kłopotów przysparzały Jarosławowi sytuacje, gdy widziano go na mieście w towarzystwie jawnych zwolenników pederastii. Annę tego rodzaju wydarzenia niepokoiły, ale mąż wytrwale tłumaczył się ze swoich spotkań.

„Byliśmy znowu z nim [Lechoniem] i z Grydzem na kolacji. [...] Franek nas widział – a Tazio Marconi nie rozstawał się z nami cały dzień – w *Ziemiańskiej* my byliśmy i on (naturalnie osobno) – na kolacji też. Niestety, on się podobno oddaje mężczyznom!!! To potworne. Wiesz, to, że ostatecznie w naszych czasach prawie każdy młody człowiek uprawia, czy godzi się na miłość grecką, staje się dla mnie koszmarem. Lękam się, że zwariuję na tym punkcie”[44].

Warto pamiętać, że były to czasy, kiedy w wielu krajach pederastia była karalna, dlatego większość homoseksualistów starała się zachować pozory. Raziło to ludzi tolerancyjnych, zniesmaczona była nawet wyzwolona Irena Krzywicka.

„Co właściwie kobiety myślą o pederastach, tak szczerze bez snobowania się nowoczesnością? Wydaje mi się, że mniej więcej tyle: są, to trudno, nie karze się ich ani nie tępi – tym lepiej, ale mimo to, tak jak jest, dłużej być nie może. Co drugi ładny chłopiec (jeżeli nie każdy) patrzy przygasłym wzrokiem na kobiety i ściska pod stołem rękę przyjaciela. [...] Poznałam kiedyś pięknego pana (oni zawsze są ładni) i powiedziałam mu stanowczo: »Panie, jeśli się okaże, że pan też, to napiszę, co o tym myślę«. Okazało się. Cóż więc może mnie powstrzymać. Chyba to, że oni w końcu się żenią i są podobno lepszymi od innych mężami”[45].

Niuta

W 1922 roku, zapewne jeszcze przed ślubem z Jarosławem, Anna poznała aktorkę Marię Morską. Gwiazda legendarnego kabaretu Pod Picadorem to chyba jedyna kobieta, którą skamandryci uznawali za równą sobie. O dwa lata starsza od Anny, była wówczas żoną matematyka, Bronisława Knastera. Irena Krzywicka twierdziła, że Knaster „kochał głęboko tylko ją jedną, ale nie żądał w zamian tak zwanej wierności”[46]. Inni znajomi potwierdzali ten stan rzeczy, dodając, że Maria była fascynującą osobowością, ale mąż zbyt wiele szczęścia z nią nie zaznał.

Morska od lat była związana z Antonim Słonimskim, uchodziła za jego mużę i mentorkę literacką. Niuta (jak ją nazywali przyjaciele) miała ogromny wpływ na skamandrytę, to właśnie

ona podsunęła mu wiele pomysłów na publikacje zamieszczane na łamach „Wiadomości Literackich”.

„[...] była kobietą nie tylko miłą – wspominała Krzywicka – ale niezwykle dobrą, ogromnie inteligentną i czytana. To ona stanowiła źródło wiedzy dla nieco niedouczonego (ale obdarzonego nieomylnym smakiem i intuicją) Antoniego. To z rozmów z nią rodziły się owe niezapomniane »Kroniki Tygodniowe«, od których czytelnicy zawsze zaczynali, biorąc do ręki nowy numer »Wiadomości«. Miała wielkie poczucie humoru, rozmowy z nią były zabawne i rozumne. Była typem egerii, kobiety zapładniającej duchowo i intelektualnie. Lubiła działać literacko *per procura*”[47].

Z ogromnego wpływu Niuty na Słonimskiego zdawało sobie sprawę ich najbliższe otoczenie. Tajemnicą poliszynela było to, że Morska godzinami referowała telefonicznie Antoniemu różne zagadnienia, a on przelewał jej poglądy na papier. Gdy pewnego dnia ktoś zdziwił się, że Słonimski nie wypowiedział się jeszcze publicznie na pewien gorący temat, Mieczysław Grydzewski (szef „Wiadomości”) zauważył ironicznie, że Niuta zapewne ma uszkodzony telefon. Ale docinki Grydzewskiego były wyjątkiem – Morską i Słonimskiego łączyło tak głębokie uczucie, że nawet złośliwy i bezkompromisowy Lechoń nie pozwalał sobie na żadne kąśliwe uwagi.

Pierwsze spotkanie z Marią nie wywarło na Annie większego wrażenia, chociaż już wówczas zwróciła uwagę na jej niezwykle oczy. Sytuacja zmieniła się, gdy przypadkowo natknęły się na siebie trzy lata później we francuskim Beaulieu. Jarosław przebywał wówczas w Paryżu, gdzie z ramienia „Wiadomości Literackich” miał relacjonować polskie osiągnięcia na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa, natomiast Anna udała się w celach wypoczynkowych nad Morze Śródziemne.

„[...] kiedy po wyjeździe Jarosława do Paryża czułam się coraz bardziej smutna i w dodatku nie mogłam już znieść atmosfery, nastroju tego ohydneho targowiska riwierowego, spotkałam w sklepiku tabacznym przypadkiem tę dziwną, czarowną, niezapomnianą kobietę. [...] Przez jedną chwilę zobaczyłam jej oczy i już wiedziałam – tak, to te same wielkie niebieskie oczy, o których mówiłam dawniej, że mężką zawsze mnie tym samym dziwnym wyrazem zdziwienia i od razu przypominały mi się słowa: »Oczy twe są ogromne, czyste i żarliwe, jak dwie wieże podniebne strzelistych kościołów«”[48].

Niuta przebywała nad Morzem Śródziemnym razem z siostrą, a obu paniom towarzyszyli mężowie. Kontakt z krajem zapewniała Morskiej prenumerata „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”, a miejsce jej pobytu znał tylko Grydzewski. Anna podejrzewała, że coś złego zaszło pomiędzy nią i Słonimskim, bo Morska chętnie wypytywała o wspólnych warszawskich znajomych, ale unikała rozmowy o Antonim. Było to zresztą dla Anny bez znaczenia, gdyż od pierwszej chwili znalazła się całkowicie pod urokiem rozmówczyni.

„Zaprosiła mnie do siebie na następny dzień, była to niedziela. Pamiętam ten nasz pierwszy spacer na skałach Cap Ferrat. Tak cudownie tam i dziko zupełnie, nie przypuszczałam nawet, że tak blisko od ohydneho Monte Carlo, od Nicei, mogą znajdować się tak zaczarowane miejsca. Siedzieliśmy długo przy latarni morskiej. Słońce grzało, morze iskrzyło się”[49].

W listach do męża (Iwaszkiewiczowie pisali do siebie niemal codziennie) Anna opisała spotkanie z Niutą. Bagatelizowała jednak całą sprawę, aczkolwiek przyznała, że Morska wywarła na niej duże wrażenie.

„Ona jest rzeczywiście fascynującą kobietą, rozumiem, że można za nią szaleć, czy Ty pamiętasz jej ręce? I te oczy, które mogą męczyć ciągle tym samym wyrazem, ale których nie można zapomnieć [...]. Jej osobowość jest szalenie ciekawa, wyrafinowana, zarazem pełna dziwnych skoków, ona w ogóle cała jest tak niesamowita, jak jej oczy”[50].

W rzeczywistości sprawy zaszły znacznie dalej, niż przedstawiała to mężowi. Całkowicie uległa czarowi Niuty, przez następne dni widywały się codziennie. Anna znalazła się pod przemożnym wpływem jej osobowości, co potwierdzają zapisy w jej *Dzienniku*.

„Te parę dni, kiedy żyłam w jakimś niepojętym oczarowaniu przez tę kobietę, zatarło we mnie myśl o Tolku [Słonimskim – S.K.] i jego roli w jej życiu. Ona tylko w ogóle stała się dla mnie jakąś niewypowiedzianą uroczą i tajemniczą istotą, od której myśli nie byłam w stanie oderwać”[51].

W połowie kwietnia Anna miała wyjechać do Paryża, aby spotkać się z mężem. W liście do Jarosława twierdziła, że z tego powodu „szaleje ze szczęścia”, natomiast w *Dzienniku* opisała poruszającą scenę pożegnania z Niutą.

„I wreszcie nasze ostatnie spotkanie w alei palmowej na drodze do Saint Jean. Lał deszcz, właściwie rozsądek wskazywał mi, że nie ma sensu iść, nic przecież nie mogło być z naszego spaceru, jednak coś silniejszego ponad to ciągnęło mnie; doszłam już prawie do końca alei, kiedy nagle z daleka zobaczyłam ją idącą. Pamiętam, że pierwsze wrażenie, zanim odróżniłam wyraźnie jej twarz, było wrażenie czegoś bardzo niebieskiego; kiedy podeszła bliżej, zauważyłam, że miała na kapeluszu szafirową wstążkę, jednak to, co widziałam z daleka, to nie była ta wstążka, wiem na pewno, to były jej oczy, te dziwne oczy, które chociaż tak bardzo są błyszczące, tak promienne i migotliwe, bardziej jednak przypominają kwiaty niż gwiazdy, dwa cudownie niebieskie kwiaty...”[52].

Pomiędzy miłością a przyjaźnią

Informacje o spotkaniu Anny z Morską szybko dotarły do Warszawy, toteż gdy pani Iwaszkiewiczowa wróciła z Francji, złożył jej wizytę Antoni Słonimski. Wypytywał o Marię, a przy okazji wtajemniczył w historię ich związku. Był to zupełny ewenement, gdyż Antoni był człowiekiem zamkniętym i nigdy nie rozmawiał o sprawach uczuciowych.

„Opowiadał mi [...] bolesną i cudowną historię miłości, miłości dwojga ludzi stojących na tym poziomie, że dla osiągnięcia szczęścia nie byliby w stanie przejść ponad czyjąś krzywdą. Mówił, jak ludzili się możliwością przyjaźni, tylko przyjaźni, potem jakie męki wycierpieli, czując, że należą do siebie na życie. Wiedzieli oboje, że dla niego, jej męża, człowieka skądinąd nadzwyczajnego, który ją, młodą dziewczynę oczarował swoim wybitnym umysłem i chwilowo opanował swoją bezgraniczną miłością, wyrzeczenie się jej równałoby [się] śmierci”[53].

Niuta porzuciła męża, jednak później do niego wróciła. Wspólnie z Antonim uznali, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zerwanie wszelkich kontaktów. Czas miał wyleczyć rany, dlatego Maria na wiele miesięcy wyjechała za granicę.

„Rok temu, wracając ze Wschodu, Tolek widział ją raz w Fiume. [...] Opowiadał mi, że statek dopływał do miasta bardzo wcześnie z rana, tak że port był absolutnie pusty i gdy z daleka przez lornetkę zobaczył maleńką sylwetkę stojącą na brzegu, wiedział już na pewno, że to ona. Od tego czasu nie widzieli się, teraz nie pisują już nawet do siebie”[54].

Antoni zwierzał się Annie, nie zdając sobie sprawy z tego, że jego rozmówczyni podzielała jego uczucia do Niuty. Nie powiedziała mu jednak o tym, wiedząc, że Marię jednocześnie kochało dwóch mężczyzn. Na dodatek Antoni był w tym czasie z Iwaszkiewiczową w tak zażyłych kontaktach, że Jarosław bywał o niego zazdrosny. I to zarówno jako mężczyzna, jak i artysta, gdyż Anna uważała Słonimskiego za swojego przewodnika w świecie poezji.

Rozmowa z Antonim wywołała falę wspomnień, Anna nagle poczuła ogromną tęsknotę

za Niutą.

„[...] cały świat zaczarowanych wspomnień, w oczach stanął mi jej obraz niezapomniany: morze iskrzące się w słońcu i ona na pół twarzą odwracająca się od blasku gorących promieni, siedząca z pochyloną głową i ręką opartą o skałę, pamiętam ją w tej chwili, mówiła właśnie pierwsze słowa wiersza *Do drzewa*, a ja patrzyłam na jej kasztanowate włosy wijące się nad złotym zupełnie, opalonym karkiem i na ręce o długich, toczonych, drapieżnych prawie palcach”[55].

Sytuacja skomplikowała się jesienią, gdy Morska wróciła do Warszawy. Jej obecność w mieście tak rozkojarzyła Słonimskiego, że skamandryta nie mógł normalnie funkcjonować. Anna była zazdrosna o jego uczucia, tak przynajmniej można wywnioskować z relacji jej przyjaciela, poety Jerzego Lieberta:

„U Jarosławów byłem... Hania jakaś skonsternowana, zdaje się, że rozczarowała się w stosunku do Tolka (tak i dawała do zrozumienia), tym bardziej że przyjechała do Warszawy Morska i to wyprowadziło zupełnie Tolka z równowagi. Nie widuje się z nim”[56].

Obecność Marii w stolicy wprawiła Annę w stan ekscytacji. Kobieta, o której tyle myślała i która potrafiła wzbudzić w niej nieznane dotychczas uczucia, była teraz tak blisko. Natomiast Iwaszkiewicz podejrzewał, że przyczyną niecodziennego zachowania żony było uczucie do Słonimskiego i z tego powodu urządzał sceny zazdrości. Najwyraźniej pan Jarosław w ogóle nie miał pojęcia o drogach, jakimi wędrowały myśli jego partnerki.

„O Mario, Mario, czym jesteś? – zanotowała Anna na początku października 1925 roku. – Czym jest Twoje wspomnienie, czym jest moja tęsknota za Tobą? Czyż to wszystko nie pryśnie, kiedy naprawdę cię zobaczę? Myśl o spojrzeniu znowu w twoje przedziwne niebieskie oczy zdaje mi się czymś niemożliwym, nierealnym, czymś, co graniczy z bajką. Czasami kiedy wspominam całą naszą kilkudniową zaledwie znajomość, to wydaje mi się, że we śnie tylko to wszystko przeżyłam i że z tego dziwnego snu pozostało, jak to często bywa, jakieś niezwykle intensywne, bolesne zarazem i słodkie wspomnienie. Całe lato myślałam o tej chwili, kiedy dowiem się, że ona już jest, że się zobaczymy i jednak nieoczekiwanie przyszła ta chwila, jak wszystko, czego dawno pragniemy lub obawiamy się, zawsze, pomimo wszystko, przychodzi jakoś nagle, spada na nas nie przygotowanych, choć oczekujących”[57].

Zapisy w *Dzienniku* wskazują, że pani Iwaszkiewiczowa odczuwała pociąg erotyczny do Niuty. Wspominała o sprawach, które nigdy nie pojawiały się w kontekście jej męża albo innych mężczyzn. Wprawdzie zastrzegła, że te uczucia nie miały związku z seksem, ale czytając jej zwierzenia, można odnieść zupełnie inne wrażenie.

„Pierwszy raz zmuszam się do roztrząsania tego wszystkiego, do napisania nawet, bo może mnie samej to się rozpadnie w rękach. Może wypiszę wszystko i z zawilego, bolesnego splotu nic istotnego nie zostanie. Przede wszystkim to wiem, że od początku, kiedy tu ją spotkałam i kiedy chodziłam z nią na spacer, już wtedy, za pierwszym razem doznawałam tego jak dla mnie (w ogóle bardzo śmiałej) uczucia zażenowania, straszliwego skrępowania, które właściwie obcowanie z nią robiło chwilami wprost przykre. A jednak od chwili rozstania do następnego umówionego spaceru nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o niej”[58].

Anna przyznawała, że gdy w Beaulieu nie były umówione, to szukała pretekstu do spotkania. Odczuwała z tego powodu dyskomfort, ale nie potrafiła się opanować, chwilami przypominało to toksyczny związek typu „kocham i nienawidzę”.

Pierwsze spotkanie w Warszawie miało konwencjonalny charakter, była to oficjalnie zapowiedziana wizyta. W mieszkaniu Knasterów przy ulicy Żurawiej Anna pojawiła się razem z Antonim. Cała trójka była mocno skrępowana, Anna zwróciła jednak uwagę na męża Marii,

który wywarł na niej bardzo pozytywne wrażenie.

„[...] wzruszył mnie po prostu jego sposób mówienia o niej – wspominała – jego niesłychany wprost stosunek do żony, gdzie bezgraniczna czułość, chwilami jakby ojcowska, łączyła się z pokornym uwielbieniem, z adoracją, jaką otacza się tylko bóstwo”[59].

Odtąd spotykali się regularnie, a Anna była na Żurawiej stałym gościem. Powoli uświadamiała sobie, że nie potrafi wyzwolić się spod uroku Niuty.

„Mam wrażenie, że widziałam ją jakby we mgle, tak jak widzi się publiczność, grając na scenie teatru amatorskiego; odczuwa się tylko tremę i jakąś dziwną nieprzytomność, w której słowa roli, jakby mechanicznie, same z nas wychodzą. Kiedy wyszłam, myślałam, że ten czar, który na mnie wywierała, skończył się. Nie czułam żadnego wzruszenia, ale miałam ją ciągle przed oczyma i znowu ciągle widziałam jej oczy, jej niesamowite, nieprawdopodobnie piękne, przerażające oczy...”[60].

Doszła do wniosku, że dla Marii związek z inną kobietą nie był nowością i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście podobne sprawy są na porządku dziennym. Tolerowała (lub starała się tolerować) męski homoseksualizm, ale stosunki damsko-damskie uważała za ewenement. I jak przystało na żarliwą katoliczkę, odpowiedzi na dręczące ją pytania szukała u spowiednika.

Trafiła na inteligentnego, znajdującego życie kapłana, księdza Marcelego Nowakowskiego. Przedstawiła mu swoje rozterki, a jego reakcja całkowicie ją zaskoczyła.

„[...] kiedy najbardziej szczerze mówiłam Nowakowskiemu o tym, że naprawdę moje uczucia dla niej są czyste i że chciałabym móc zrobić coś dla jej duszy, która niepokoi mnie i jest mi droga, on jako kapłan pominął to, tylko powiedział te tak przerażające dla mnie słowa: »Strzeż się, dziecko, bo na tej drodze ona może łatwo cię wciągnąć«. Więc nie znając jej, przypuszczał od razu, że jest tu coś takiego. Więc te rzeczy zdarzają się jednak tak często?! Mam uczucie, że głowa mi pęka”[61].

Słonimski był zbyt doświadczonego człowiekiem, aby nie zauważyć uczuć Anny. Nadało to ich przyjaźni specyficzny smak, a wspólne nieszczęście jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyło. W przyjaciółce zaczął dostrzegać urodziwą kobietę, która mogła zastąpić Niutę. Wydaje się, że Jarosław mógł wreszcie mieć powody do zazdrości, nie tylko jako artysta, ale również jako mężczyzna.

„[...] w chwili jakiegoś uniesienia zmysłów, które często go opanowywało, pamiętam, kiedy Tolek mnie, broniącą się, błagał: »Zostań, zostań tak chwilę, błagam cię« i zanurzając twarz w moich włosach, całował je bez pamięci i wreszcie cicho, nieśmiało jakby: »Ty masz jej zapach«”[62].

Kilkanaście miesięcy wcześniej Maria uciekła za granicę przed miłością Słonimskiego, a teraz Anna postanowiła wyjechać, aby przerwać znajomość z Niutą. Celem jej podróży ponownie było Beaulieu, chociaż wiedziała, że nie schroni się tam przed wspomnieniami. Chciała jednak rozwiązać problem w miejscu jego narodzin. Długo się wahała, czy powiedzieć przyjaciółce o swojej podróży.

„Umówiłam się jeszcze z nią w przeddzień wyjazdu, żeby wziąć książki na drogę, i wróciłam. Po drodze nie myślałam o niczym konkretnie, ale biegłam prędko, bo zdawało mi się, że uciekam od czegoś, co gniecie mnie i nieznośnie kłuje gdzieś pod sercem w zupełnie określonym i namacalnym miejscu”[63].

Anna uciekała przed Marią, Antonim i swoimi obsesjami. Wiedziała, że potrafi powstrzymać Słonimskiego, jednak nie była tego już tak pewna w przypadku Morskiej. Kilkutygodniowy pobyt nad Morzem Śródziemnym był męczarnią, ale w sumie okazał się zbawienny. Chociaż prawie bez przerwy myślała o Niucie, to z upływem czasu zaczęła odczuwać tęsknotę za dzieckiem i mężem. Zaakceptowała wskazania spowiednika i za żadne skarby nie

chciała dopuścić do kontaktów erotycznych z Marią. Wiedziała, że rezygnacja ze znajomości będzie dla niej bolesna, ale uznała to za jedyne wyjście z sytuacji.

„Zobaczę ją jeszcze po powrocie, potem pojedziemy na wieś jak najwcześniej. Ona przyjedzie na lato do Saint Jean. Tak, ale wróci na jesieni i wtedy jak od niej uciec? Nawet nie chodząc do niej, będę wiedziała, że ona jest tak niedaleko, zresztą będę musiała czasem ją widzieć. Gdybyż ona mogła znów wyjechać na parę lat za granicę, na zawsze, gdybym mogła wiedzieć, że nigdy, nigdzie nie mogę jej zobaczyć, co za spokój byłby wtedy”[64].

Anna miewała problemy z równowagą emocjonalną, ale zawsze była konsekwentna. Uznała, że uczucie do Niuty jest szkodliwe, i znalazła siłę, aby zerwać z tym, co absorbowало ją przez wiele miesięcy.

„Wiem na pewno, że nie usłyszę słodkiego, trochę dziecinnego jakby głosu, nie zobaczę oczu niezapomnianych i rąk, tych rąk najpiękniejszych chyba na świecie, o długich, nieprawdopodobnie delikatnych ostrych palcach, tych rąk, które tak bardzo zawsze pragnęłam całować, ach naprawdę, tylko ręce, tylko ręce... Wtedy wiosną zrozumiałam całą straszną słodycz, całą przepaść pokusy i odeszłam, na zawsze odeszłam”[65].

Kilka miesięcy później miało miejsce jeszcze jedno spotkanie, tym razem na stopie całkowicie towarzyskiej. Wieczór ten kosztował Annę wiele nerwów, chociaż brali w nim udział również Jarosław i Antoni. Opanowała jednak emocje, obsesyjnie myśląc o powrocie do domu i przytuleniu śpiącego dziecka. To stało się dla niej najważniejsze – życie pani Iwaszkiewiczowej weszło na nowe tory i zapewne nie przypadkiem wkrótce ponownie zaszła w ciążę.

Mimo to nadal pozostawała w bliskich kontaktach ze Słonimskim, co czasami doprowadzało Jarosława do szewskiej pasji. Tymczasem ona nie widziała w tym nic złego, obojgu było to potrzebne do normalnego funkcjonowania.

„Nie wyobrażałam sobie, że może istnieć coś w przybliżeniu nawet podobnego do naszej przyjaźni. Czyż można nazwać to przyjaźnią? Jesteśmy nierozdzielnie połączeni wspomnieniami, ona jest między nami. Jest to bolesne i rozkoszne, ale jest i coś, co dawniej kiełkowało, a teraz w tym zbliżeniu rozwinęło się pomimo nas. Nie chcę, żeby to coś zmieniło naszą przyjaźń, nic, nic, nie może się zmienić. Tak będzie zawsze, tylko tak. Nie jesteśmy kochankami, są między nami pieszczoty rozkoszne, ale czyste – pocałunki, nie w usta. Wczoraj, wracając w nocy, mówiliśmy wiersze”[66].

Słonimski miał mocniejszą konstrukcję psychiczną niż Anna – jego znajomość z Morską zamieniła się w przyjaźń, niebawem też poślubił urodziwą plastyczkę Janinę Konarską. Natomiast Niuta nadal nie należała do najwierniejszych żon, przez co stała się bohaterką wręcz nieprawdopodobnej historii. Po wybuchu wojny trafiła do Lwowa, gdzie znaleźli się również jej mąż oraz ostatni partner, lekarz Herman Rubinraut. Wszyscy troje byli pochodzenia żydowskiego, w związku z czym po wkroczeniu do miasta hitlerowców i utworzeniu getta szukali schronienia po aryjskiej stronie.

„Otóż była we Lwowie z doktorem Rubinrautem, swoim kochankiem – opisywała Krzywicka – i tam zjawił się jej mąż, Bronisław Knaster, profesor matematyki. Na skutek skomplikowanych warunków (cała trójka się ukrywała) musieli mieszkać we troje. Można sobie wyobrazić, co to było za piekło między mężem a kochankiem, w zamknięciu, w jednym pokoju. To się nie śniło nawet Sartre’owi”[67].

Krzywicka wykorzystała tę sytuację w opowiadaniu *Zamurowany świat*. Przy okazji zasugerowała, że Marię łączyły kontakty homoerotyczne z właścicielką mieszkania. Nie było to wykluczone, wiadomo jednak, że gdy po trzech latach do Lwowa wkroczyła Armia Czerwona, to żadna z osób tego dramatu nie chciała już mieć nic wspólnego z pozostałymi.

Pamiętliwy natomiast okazał się Iwaszkiewicz i długo dociekał, co właściwie łączyło

żonę ze Słonimskim. Prawdy dowiedział się wiele lat później, kiedy zapytał Annę, czy podczas ich małżeństwa całowała się z innym mężczyzną. Partnerka przytaknęła, wymieniając Antoniego, czym doprowadziła męża do furii. Były to już czasy Polski Ludowej, kiedy obaj panowie pozostawali w otwartym konflikcie, stojąc po dwóch stronach politycznej barykady.

Uczucie do Niuty sprawiło, że Anna stała się bardziej tolerancyjna. Wiedziała, że mąż ją zdradza i nigdy nie wystarczy mu wyłącznie związek heteroseksualny. Nigdy do końca tego nie zaaprobowała, ale nauczyła się traktować to jako rzecz normalną. Potrafiła nawet żartować na ten temat w korespondencji z mężem.

„Hania oczywiście wiedziała (i to nie z plotek, ale z moich ust), kogo poślubia – tłumaczył Jarosław wiele lat później – i nie przeżyłem żadnej «inhibicji» mimo idiotyzmu, jakim było tygodniowe wstrzymywanie się od konsumpcji małżeństwa, z powodu lęku przed natychmiastowym zajściem w ciążę i pomimo zabiegów higienicznych, które mogły zniechęcić całkowicie do małżeństwa. Mimo że Lechoń to miał na myśli, składając mi podczas ślubu życzenia »na sześć tygodni«, jednak małżeństwo [...] do choroby Hani było bardzo harmonijne pod względem stosunków erotycznych”[68].

Po latach trudno stwierdzić, czy Jarosław rzeczywiście napisał prawdę i czy Anna wiedziała przed ślubem o jego homoseksualnych skłonnościach. Można podejrzewać, że wtedy jeszcze nie wierzyła w kontakty erotyczne w obrębie tej samej płci, a Iwaszkiewicz skwapliwie to wykorzystał. Sugeruje to zresztą ich korespondencja z pierwszego okresu małżeństwa, w której Jarosław gorliwie i obficie tłumaczy się przed swoją żoną. Ale trzy lata później pani Iwaszkiewiczowa miała już za sobą miłość do Marii Morskiej i zapewne z tego też powodu zaczęła okazywać tolerancję dla słabości męża.

„[...] nieraz sam mówiłeś, że to, że lubisz chłopczyków, odbija się bardzo na innych cechach Twego charakteru – pisała do niego w lutym 1928 roku. – Ten Twój brak woli, czasami brak ambicji, co mnie zawsze najbardziej boli, może rzeczywiście jest z tym związany. Inna rzecz, że masz za to i dodatnie cechy, które często się z tym łączą, i sam wiesz dobrze, że właśnie dla nich, a raczej z powodu nich, Ciebie pokochałam i Kocham w dalszym ciągu. Wiesz dobrze, jak nie znoszę »samców«”[69].

Śmierć ojca

Iwaszkiewicz był uważany za jednego z najlepszych literatów epoki II Rzeczypospolitej, ale nawet on nie mógł marzyć o utrzymaniu rodziny wyłącznie z pisania. Z piątki skamandrytów cel ten osiągnęli tylko Tuwim i Słonimski, zawdzięczali to jednak współpracy ze scenami kabaretowymi. Poza tym Słonimski dużo publikował w prasie, z powodzeniem grano też jego utwory sceniczne. Kazimierz Wierzyński zarabiał na życie jako dziennikarz, a Lechoń przez całe lata żył jak prawdziwy poeta, czyli na koszt innych.

Małżeństwo z Lilpopówną niewiele zmieniło w sytuacji finansowej Iwaszkiewicza. Trzymał się z daleka od interesów teścia, nikt zresztą nie zapraszał go do współpracy. W tej sytuacji przyjął funkcję sekretarza marszałka Sejmu, Macieja Rataja. Nie było to specjalnie absorbujące zajęcie – Jarosław prowadził korespondencję polityka i towarzyszył mu podczas oficjalnych spotkań. W zamian otrzymywał stałe wynagrodzenie i miał dużo czasu dla rodziny i na pracę literacką.

W listopadzie 1930 roku rodziną Lilpopów wstrząsnęła ponura tragedia. Ojciec Anny popełnił samobójstwo, przy czym nigdy nie ustalono powodów tego desperackiego kroku. Co prawda w Polsce i na świecie szalał kryzys gospodarczy, a interesy Spółki Myśliwskiej i parcelacja Podkowy Leśnej szły bardzo źle, to jednak po śmierci Stanisława Wilhelma okazało

się, że pozostawił majątek wartości miliona dolarów (blisko 14 milionów dolarów dzisiejszych). Rodzinie nie groziło więc bankructwo, tym bardziej zastanawiający jest fakt, że niedługo później samobójstwo popełnił również Kazimierz Gayczak, wspólnik Lilpopa w spółce Miasto-Ogród Podkowa Leśna.

„Decyzja ostateczna składa się zawsze z różnych elementów – mówiła wnuczka Lilpopa, Maria Iwaszkiewicz. – [...] Bo przecież nie było wtedy jakiegoś krachu finansowego, raczej były dosyć zawikłane sprawy osobiste. Dziadek był człowiekiem niezwykle romansowym. Zdaje się, że był zaplątany w jakąś sprawę, co w jego wieku... Píše o tym mój ojciec w niedrukowanym rozdziale *Sławy i chwały*, z którego wynika, że dziadek był uwikłany w niedobry romans. [...] Były też stany depresyjne... ale mam wrażenie, że to było w rodzinie Lilpopów dosyć powszechne”[70].

Spadkobierczynią samobójcy była Anna, ale rodzina zdecydowała o niedopuszczeniu jej męża do zarządzania spadkiem. Zarząd majątkiem przekazano Janowi Lenczewskiemu, którego uważano za dobrego biznesmena. W rzeczywistości było jednak inaczej, bo Lenczewski stracił duże sumy z majątku Anny i ostatecznie również popełnił samobójstwo.

Jarosław pracował wówczas w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a po latach lubił opowiadać, jak to rodzina żony doprowadziła go do skrajnego ubóstwa. Trudno się z tym zgodzić, bo przecież w tamtym czasie pojechał z żoną na festiwal wagnerowski do Bayreuth, a rok później odbyli podróż do Szwajcarii i Francji.

„Gdy myślę wracam do tych dawnych czasów – wspominał Słonimski – widzę obraz nieco odmienny, widzę »brzydkie kaczątko« jako Króla Mody na balu w Hotelu Europejskim. Kaczątko, jadąc na placówkę dyplomatyczną do Kopenhagi, zabrało ze sobą własną służbę, szofera i kucharza”[71].

Zawiedziony postawą Lilpopów Iwaszkiewicz przyjął propozycję objęcia stanowiska sekretarza ambasady polskiej w Kopenhadze. Rodzina pozostała w Stawisku, ale Anna często odwiedzała męża. Rozłąka pozytywnie wpływała na uczucia małżonków.

„Te trzy tygodnie spędzone razem w Kopenhadze, pomimo moich przykrych dolegliwości, zostawiły mi niezmacone, słodkie wspomnienia – zanotowała Anna w październiku 1934 roku. – Byliśmy tak bardzo razem i nic, nikt nam nie przeszkadzał; długie wieczorne rozmowy, pewność miłości, tej jedynej, tak wielkiej, że o niej nigdy się nie mówi, nawet sobie samemu, prawie że się o niej nie myśli, ale właśnie w takich chwilach, czasami bez znaczenia, najwięcej się ją odczuwa”[72].

Jednak sielanka nie trwała zbyt długo. Już w 1931 roku u Anny zdiagnozowano początki choroby umysłowej, ale wówczas pomogła kuracja w jednej z niemieckich klinik. Trzy lata później, podczas jej pobytu u męża w Kopenhadze, choroba znów dała znać o sobie. Tym razem stan pani Iwaszkiewiczowej był znacznie poważniejszy – mąż przywiózł ją do kraju, gdzie trafiła do zakładu w Tworkach. Tam okazało się, że jest w ciąży, a lekarze zdecydowali się na aborcję. Chora zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało.

„Hania bardzo schudła – pisała do Jarosława ciotka Pilawitzowa – a żywienie jej mężką jest dla niej i jej pielęgniarki. W całej postaci i w rysach jest finezja niesłychana, wyraz nieziemski, słodki, wygląda, jakby wyszła z ram obrazu Madonny lub świętej jednego z wielkich mistrzów. [...] Przytuliła się do mnie, wcisnęła głowę w moje ramię, głaskała, pieściła się, jak kiedy była malutka. Całowałam ją bardzo czule, wtedy uśmiechała się słodko jak dziecko, ale nie mówiła nic, tylko potakująco albo przecząco mruzczała”[73].

Jarosław w dalszym ciągu przebywał w Danii, ale starał się jak najczęściej odwiedzać chorą żonę. Gdy jednak przeniesiono go do Brukseli, podał się do dymisji. Tymczasem zebrała się tzw. rada familijna, która ubezwłasnowolniła Annę, przy okazji odbierając Iwaszkiewiczowi

prawa rodzicielskie[74]. Jarosław był w bardzo złej sytuacji materialnej – od Krzywickiej pożyczał pieniądze na znaczki pocztowe, by móc prowadzić korespondencję. Mimo to nie zamierzał się poddawać. Najważniejsza była dla niego Anna – kochał ją, a poza tym wiedział, że jeśli ona nie wyzdrowieje, to on straci córki i podstawy bytu materialnego.

Rokowania lekarzy nie były optymistyczne, na schizofrenię do dzisiaj nie znaleziono skutecznego lekarstwa. Wprawdzie Annę odesłano do domu, ale nie dawano jej szans na powrót do zdrowia. Mimo to Iwaszkiewicz nie tracił nadziei.

„Spędzał z nią na Stawisku długie godziny, rozmawiając, dając jej różne drobne prace do wykonania jak porządkowanie książek czy notatek – wspominała Krzywicka. – Z początku całe dni spędzali tak zamknięci razem, potem stan chorej zaczął się poprawiać, już tylko w pewnych godzinach wymagała opieki”[75].

Poprawa stanu zdrowia żony zbiegła się z samobójstwem Lenczewskiego, a wkrótce Jarosław zdobył kontrolę nad schedą po Lilpopie. Nie oznaczało to jednak znacznej poprawy kondycji finansowej rodziny. Po działalności zarządcy pozostały monstrualne długi, sytuacja związana z parcelacją terenów Podkowy Leśnej też była daleka od normalizacji. Iwaszkiewicz poświęcał tym sprawom wiele czasu i energii, a niebawem okazało się, że on, zawodowy literat, jest w interesach człowiekiem bardzo skutecznym i konsekwentnym.

„Latem 1939 roku na skutek moich pracowitych starań nasza sytuacja majątkowa wyjaśniła się całkowicie. Po rozplątaniu bardzo zawiłych stosunków współwłaścicieli Podkowy Leśnej żona moja stała się właścicielką 40% całego nierozparcelowanego terenu tej miejscowości i już w ciągu całego przedwojennego lata mogliśmy przystąpić do rozprzedaży placów. Sprzedaż ta nie była wstrzymana przez całą wojnę i dzięki temu mieliśmy zawsze dostateczną ilość pieniędzy zarówno na utrzymanie domu, jak i na poratowanie ludzi, którzy tej pomocy potrzebowali”[76].

Bardzo przydatny okazał się również sukces finansowy *Lata w Nohant*, które właśnie wtedy weszło na sceny teatralne. Jarosław zarobił na nim pięć tysięcy dolarów, co w porównaniu z majątkiem ojca Anny nie wydaje się zbyt wielką sumą, ale były to pieniądze dostępne od razu. Poza tym powodzenie sztuki znacznie poprawiło nastrój pisarza, który ponownie uwierzył w siebie. I jak na rasowego literata przystało, niebawem przeniósł na papier historię choroby i uzdrowienia swojej żony. Kilka lat później ukończył opowiadanie *Matka Joanna od Aniołów*.

Tuż przed wybuchem wojny Iwaszkiewicz uważał się za człowieka spełnionego. Żona powróciła do zdrowia, dzieci chowały się bez problemów, zobowiązania finansowe zostały uregulowane, a on sam odnosił sukcesy literackie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ten świat mógłby się skończyć. Nareszcie prowadził takie życie, jakie najbardziej lubił i do jakiego zawsze dążył.

W tamtym czasie negatywnie reagował na nawoływania Słonimskiego, który obawiał się faszyzmu, dziwił się też Wierzyńskiemu piszącemu patriotyczne wiersze. Jego notatki z ostatnich dni przed wojną są zapiskami człowieka, dla którego analiza dziennika André Gide’a ma większe znaczenie niż powszechna mobilizacja.

„Noc, w której wazą się losy Europy – notował – a zarazem losy tyłu, tyłu ludzi spokojnych, pracowitych i bogobojnych, jest nad wszelki wyraz piękna. Pół księżycy na niebie, niebo upstrzone w nieduże jasne obłoki, jaki spokój, jak cudnie. Ciepło i dobrze, cicho, Plejady już widać, ma się ku jesieni. I to wszystko mąci myśl o rzeczach ponad nasz rozum, o prawie zbiorowości, które ponad nami pcha nas i rządzi nami, po co, dlaczego?”[77].

Stawisko

Wybuch wojny był końcem świata skamandrytów. Słonimski i Tuwim znaleźli się w Rumunii, ich śladem podążył Wierzyński ewakuowany wraz z zespołem „Gazety Polskiej”. We Francji spotkali się z Lechoniem, który od lat przebywał w Paryżu jako attaché kulturalny ambasady polskiej.

Jarosław pozostał w kraju. Nie musiał bać się hitlerowców z powodu swojego pochodzenia, a Stawisko było zbyt dużym majątkiem, aby ryzykować pozostawienie go na pastwę losu. Jak wielu innych Polaków wyobrażał sobie zapewne, że wojna potrwa nie dłużej niż kilka tygodni, nie mógł też przewidzieć, jak będzie wyglądała niemiecka okupacja.

Przez kolejne miesiące do państwa Iwaszkiewiczów powoli docierała koszmarna prawda o niemieckich rządach. Nie stracili jednak głowy – zarejestrowali prowadzenie pensjonatu, co umożliwiała oficjalne przebywanie w ich domu dużej liczby gości. Z reguły mieszkało tam kilkoro znajomych pozbawionych własnego dachu nad głową, ale zdarzały się też przypadki, że właściciele dawali schronienie ponad 40 osobom jednocześnie. W tej sytuacji potrzebne były pieniądze na zapewnienie aprowizacji tego licznego towarzystwa. Na szczęście cały czas trwała parcelacja gruntów w Podkowie Leśnej, co w okupacyjnych warunkach dawało Iwaszkiewiczom ponad 90 procent dochodów. Anna i Jarosław nie żalowali pieniędzy – w tamtych latach liczyło się tylko ratowanie przyjaciół.

„Stawisko w czasie wojny – wspominał Czesław Miłosz – było taką oazą, gdzie się zbierali literaci warszawscy; gdzie można było sięść do stołu i przez chwilę mieć wrażenie, że właściwie istnieje jakaś ciągłość, że przecież to nie jest tylko groza okupacyjna”[78].

Wśród przyjaciół, którzy znaleźli tam schronienie, byli też Polacy pochodzenia żydowskiego. Gospodarze załatwiali im aryjskie dokumenty, nie zwracając uwagi na to, że sami narażają się na niebezpieczeństwo. Irena Krzywicka nigdy nie zapomniała, jak była przyjmowana w ich majątku, i pamiętała, że dzięki nim przetrwała okupację. Wiele lat po wojnie władze Izraela doceniły postawę Iwaszkiewiczów, odznaczając ich pośmiertnie medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Wśród gości, którzy na stałe osiedli w Podkowie Leśnej, była też matka Anny, Jadwiga Śliwińska. Pojawiła się tam w 1940 roku, ale nie chciała zamieszkać w domu córki, w związku z czym wynajęto jej mieszkanie w pobliżu. Nigdy nie potrafiła znaleźć wspólnego języka z Anną i o wiele lepiej dogadywała się z zięciem.

Jarosław zaangażował się w działalność AK, brał udział w ratowaniu dóbr kultury narodowej. Pośredniczył też w przekazywaniu pomocy finansowej dla środowiska pisarskiego, sam zresztą też jej udzielał. Nie zapomniał o promowaniu młodych literatów, stał się jednym z propagatorów poezji młodzieżowego Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, który był częstym gościem w Stawisku.

Sekundowała mu w tym małżonka, która od początku okupacji, niemal z dnia na dzień przestała mieć problemy psychiczne. Pani Anna sprawdziła się w godzinie próby i nie bez racji mówiono, że wojna ostatecznie ją uzdrowiła.

W tamtych latach Iwaszkiewiczom nie brakowało kłopotów osobistych, ale dowiedzieć się o nich można było tylko z drobnych uwag w listach do znajomych. Oboje byli całkowicie pochłonięci organizowaniem pomocy dla innych i publicznie nie skarżyli się na własne problemy.

„Przeżyłem bardzo ciężką zimę – pisał Iwaszkiewicz do Stanisława Piętaka w czerwcu 1941 roku – z chorobą mojej córki, bardzo poważną: przez cztery miesiące leżała w lecznicy [...]

potem przyszła choroba żony, też ciężka z poważną operacją (trepanacja czaszki), i jednym słowem takie różne sprawy”[79].

Niezwykłe heroiczny czas przyszedł po upadku Powstania Warszawskiego, kiedy Stawisko przeżyło prawdziwe oblężenie, a jego gospodarze ponownie stanęli na wysokości zadania.

„[...] przy stole w Stawisku – opisywał Jarosław wigilię 1944 roku – siedzieli ludzie, którzy potracili wszystko, majątki, dzieci, rękopisy, pracę całego życia, a ja najwyższym wysiłkiem woli (bo szumiąło mi w głowie porządnie po rybce!) musiałem być gospodarzem, nie ryczeć, nie śmiać się szyderczo, łamać się opłatkiem i bawić zebranych rozmową... żeby nie rozmyślali”[80].

Chociaż w majątku nigdy nie brakowało służby, to pewne zdziwienie może budzić to, że przy tak dużym przepływie ludzi wszystko sprawnie funkcjonowało. Anna bowiem kompletnie nie nadawała się na panią domu. Była osobą niezwykle roztargnioną i nieumiejącą niczego wyegzekwować od podległych jej osób.

„Była strasznie roztrzepana – wspominała jej wnuczka Anna Włodek. – Przylatywała na śniadanie w ostatniej chwili. Starła się dbać o ten dom. Rano schodziła do kuchni i pytała, co na obiad, lub miała pomysł, co zrobić. Ale potem nie umiała tego dopilnować, godziła się na to, co proponowała kucharka. Strasznie się bała, że kucharka odejdzie, i na wszystko jej pozwalała”[81].

Rok szczęścia

Anna na wiele lat zarzuciła prowadzenie *Dziennika*. Ostatnie regularne wpisy pochodziły z jesieni 1934 roku, a potem zamilkła aż do grudnia 1945 roku. Od tej chwili znów zaczęły pojawiać się nowe notatki, ale miały one bardzo nieregularny charakter. Szkoda, gdyż *Dziennik* jest najważniejszą rzeczą, jaką po sobie pozostawiła. Bez wątplenia miała wielki talent, pisała jednak niewiele. Za jej życia zostały opublikowane tylko eseje na tematy literackie, ale robiła to pod pseudonimem Adam Podkowiński. Z dużym zamiłowaniem tłumaczyła literaturę francuską, a Jarosław powiedział kiedyś, że gdyby miała poświęcić się wyłącznie literaturze, to spędziłaby życie na pracy nad przekładami Marcela Prousta.

Nadal była niedoścignionym wzorem roztargnienia, czym często doprowadzała męża do skrajnej irytacji. Gdy skończyła się wojna, znów mogła żyć w świecie swoich fascynacji literackich i muzycznych, a męczyły ją codzienne, zwykłe sprawy. Jarosław cenił żonę za wiele zalet charakteru, lecz jej beztroska czasami go przerażała.

„Charakter waszej matki jest jednym z najczystszych i najpiękniejszych charakterów, jakie w ogóle można spotkać – pisał Iwazkiewicz do młodszej córki. I dodawał nieco dalej: – Mama wrzuciła klucz od szafy do miski klozetowej i zadowolona poszła na daleki spacer między kwitnące wrzosi”[82].

Bezpośrednio po wojnie Anna interesowała się jednak polityką. Z radością witała postępy w odbudowie kraju, miała nadzieję na pokojową koegzystencję komunizmu i Kościoła. Marzyło jej się coś na kształt katolickiego marksizmu i przez długi czas wierzyła, że nowi władcy Polski są uczciwymi ludźmi.

„Ze szczerym wzruszeniem śledziłam dni otwarcia Sejmu, przysięgę Prezydenta, do którego mam głębokie zaufanie – pisała po inauguracji prezydentury Bieruta – wszystkie jego posunięcia dowodzą wielkiego rozumu i niezwykłego taktu. Chciałabym bardzo poznać go osobiście. Historia ze ślubowaniem ucieszyła mnie bardzo, potwierdzając moje przekonania obecne i nadzieje na przyszłość. PPR głosuje za przysięgą religijną (»tak mi dopomóż Bóg«)

i przeprowadza ją wraz ze Stronnictwem Ludowym, Stronnictwem Pracy i niezależnymi katolikami. O PPS, które wstrzymało się od głosowania, zawsze twierdziłam, że to są jedyni prawdziwi wrogowie Kościoła”[83].

Przedwojenni socjaliści spod znaku PPS rzeczywiście byli wyjątkowo antyklerykalni, ale Anna nie wiedziała jeszcze, do czego zdolni są komuniści. Nigdy wcześniej nie obserwowała sceny politycznej i teraz całkiem poważnie przyjmowała najbardziej obłudne gesty i deklaracje. Czytając notatki pani Iwaszkiewiczowej, można odnieść wrażenie, że niejeden kapłan katolicki zawahałby się przed udzieleniem jej rozgrzeszenia, gdyż ówczesne poglądy Anny nie miały wiele wspólnego z nauką Kościoła.

„Ach, dlaczego tak mało ludzi rozumie, że na pewno Chrystus, gdyby jeszcze raz był na ziemi, to nie stanąłby po stronie wielkiego kapitału i przemysłu wojennego... Całym strasznym nieszczęściem jest, że Kościół swego czasu, trudno zrozumieć dlaczego, przeszedł do obozu silnych, a nie obrońców słabych i wyzyskiwanych, co było jego rolą. Odrobienie tego jest bardzo trudne, niemniej jednak jest to warunek znaczenia religii na świecie”[84].

Z entuzjazmem obserwowała, jak obchody święta 1 maja rozpoczynano od mszy, co wystarczyło, aby uznała PPR za partię narodową. Cieszyło ją to, że białe-czerwone flagi wisiały wszędzie, a czerwone sztandary tylko w lokalach partyjnych. Przyjęła za dobrą monetę wyjaśnienie powodów rezygnacji ze święta Konstytucji 3 maja.

„[...] dekoracje miasta mają zostać na 9 maja, choć ani 3, ani 9 nie mają być świętowane, co w bardzo zresztą rozsądnym artykule w »Życiu Warszawy« uzasadnione było sytuacją ekonomiczną i niemożnością świętowania tak wiele razy w maju wobec ogromu pracy, która jest na każdym polu u nas konieczna”[85].

Anna szczerze wierzyła w fuzję komunizmu i katolicyzmu, poważnie traktowała hasła walki o pokój, wierzyła, że Amerykanie odbudowują Niemcy wyłącznie w celu rozpętania III wojny światowej. Plan Marshalla miał być jednym z elementów tego projektu, a Rosja bolszewicka – krajem miłującym pokój. Czasami trudno uwierzyć, że pisała to bardzo inteligentna kobieta...

Cały rok 1947 uznała za niezwykle udany, a w sylwestra zanotowała w swoim *Dzienniku*:

„Kończy się dziś rok 1947. Rok dla nas tak szczęśliwy, dla mnie błogosławiony. [...] Dziś załatwiałam w ogóle sprawunki gospodarskie, bo jutro pewno będzie u nas sporo osób. Na chwilę zaszłam do podziemia św. Aleksandra, które bardzo lubię; rzadko w którym kościele jest takie skupienie. Przed wystawionym Najświętszym Sakramentem chwilę się modliłam w poczuciu wielkiego szczęścia i miłości, dziękowałam Bogu za wszystko, co dał mi w tym roku, i prosiłam o łaski na dalsze życie, takie, jakbym pragnęła, i o pokój na świecie”[86].

Pani Iwaszkiewiczowa zawsze na pierwszym miejscu stawiała wiarę, a w tamtym czasie jej katolicyzm stał się tak gorliwy, że ksiądz w Ustce, u którego chciała się wypowiedzieć, musiał ją poprosić, aby swoje przygotowanie do spowiedzi ograniczyła do 15 minut...

Ocalić własny dom

Gdy Anna marzyła o katolickim komunizmie, jej mąż usiłował dojść do porozumienia z nowymi władcami Polski. Pragnął nadal odgrywać czołową rolę w życiu literackim kraju i ocalić Stawisko dla rodziny. Wprawdzie posiadłość miała powierzchnię tylko 35 hektarów (parcelacji podlegały majątki powyżej 50 hektarów), ale wszystko zależało od dobrej woli władz PRL. A Iwaszkiewicz raził wielu swoimi wielkopańskimi manierami, upodobaniem do wygodnego życia i gorliwym katolicyzmem żony. Doskonale jednak wiedział, że Stawisko jest małą ojczyzną Anny i w żadnym innym miejscu na świecie nie będzie szczęśliwa.

Pisarz gotowy był do daleko idących kompromisów i szybko udowodnił swoją przydatność, odgrywając pierwszoplanową rolę na wrocławskim Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju. W tym samym roku napisał też służalczą laurkę urodzinową dla Bolesława Bieruta (*List do prezydenta Bieruta*). Nie musiał wstępować do partii, bo dobrze wiedział, że dla komunistów będzie bardziej przydatny jako bezpartyjny.

„Iwaszkiewicz Jarosław, 50 lat, prezes Związku Literatów – pisano w połowie lat 40. w jego charakterystyce sporządzonej dla władz PPR. – Literat o dużych wartościach. Ma duży mir wśród pisarzy. Redaguje »Życie Literackie«. Pochodzenie ziemiańskie z Ukrainy. Był sąsiadem i przyjacielem Karola Szymanowskiego. Pederasta. [...] Ustosunkowany pozytywnie do demokracji. Liberał zbliżony do grupy Słonimskiego i Tuwima. Nastawiony antylondyńsko, szczególnie po rozmowach ze Słonimskim. Przed wojną liberał. W czasie okupacji był w Warszawie, miał kontakty z konspiracją literacką i lawirował pomiędzy WRN i RPPS. Antyklerykał. Przyjaciel Żydów [...]”[87].

Po Październiku został zaakceptowany przez ekipę Gomułki – w 1959 roku ponownie mianowano go prezesem Związku Literatów Polskich, a funkcję tę sprawował aż do śmierci. Do końca życia był również posłem na Sejm PRL (jako bezpartyjny). Wszedł do establishmentu Polski Ludowej i najwyraźniej dobrze się czuł w tym towarzystwie.

Opinie na jego temat były bardzo podzielone. Jedni widzieli w nim typowego oportunistę, który w zamian za utrzymanie stanu majątkowego zaprzedał się komunistom, a inni – człowieka starającego się w trudnych warunkach ocalić jak najwięcej z polskiego życia literackiego. Tymczasem wydaje się, że jedno nie wykluczało drugiego, co zresztą znalazło odzwierciedlenie w opinii, jaką wydał o nim Adam Michnik:

„Przykładem konformisty doskonałego może być Jarosław Iwaszkiewicz. Przez dziesięciolecia wspierał swym autorytetem władzę komunistyczną; jako prezes ZLP legitymizował wszystkie akcje wymierzone w środowisko opozycyjnych pisarzy. A przecież jednocześnie ochraniał tych ludzi w poufnych interwencjach, zabiegał o zniesienie zakazów cenzuralnych i złagodzenie represji. Był redaktorem »Twórczości«, najlepszego miesięcznika literackiego między Łabą a Władystokiem”[88].

Pan prezes, jak przystało na prominenta, nie miał najmniejszych problemów z wydawaniem własnych utworów, które ukazywały się w ogromnych nakładach, wzbudzając złość kolegów po piórze. Nie mniejszą irytację powodowały obchody kolejnych rocznic prezesa i huczne akademie, podczas których wynoszono pod niebiosa jego rzekome zasługi dla budowy socjalizmu.

„Jubileusz (75 lat) starego błazna i wazeliniarza Iwaszkiewicza odbywa się z wielką, ale okropnie prześmieszną pompą – notował w swoim dzienniku Stefan Kisielewski. – Prześmieszną, bo takie to grubymi nićmi szyte i takie fałszywe: na przyjęciu w Belwederze kolekcja nowych »przyjaciół« prezesa: Putrament, Gisges, Centkiewicz, Jurandot, Przyboś oraz oczywiście

Kraško, Kliszko etc. Spychalski wysławia wkład starego do socjalizmu (koń by się uśmieł) i stwierdza, że... »masy ludowe, nasz nowy już naród z rozmachem twórczym kształtujący swój lepszy socjalistyczny los, widzą w Jarosławie Iwaszkiewiczu pisarza naszych czasów, czasów wielkiego przełomu w naszej tysiącletniej historii, pisarza, który całym swoim zacnym życiem...« etc. etc. Pisarz, wzruszonym oczywiście głosem, przyświadcza, że póki sił służyć będzie Polsce Ludowej itd. Zupelna komedia, [...] jednak gdzieś na dnie serca stary pedał żalować musi, że nie ma z nim Jurka, Pawełka czy Julka. A pisarz dobry (choć zgoła niesocjalistyczny), tyle że świnia z niego stara i tak już zostanie. Ha!”[89].

Wielu literatów uważało jednak, że chociaż Iwaszkiewicza można prywatnie nie znosić, to przecież trudno zaprzeczyć, że dużo „dobrego z jego postawy wynikało”. Polityka prezesa „dawała korzystne dla Związku rezultaty” i stanowiła odpowiedni bufor pomiędzy partią a światem literackim.

„Iwaszkiewicz jest wielką postacią – twierdził Czesław Miłosz – i nikt zajmujący się literaturą polską nie potrafi jej pominąć. Nawet jeżeli wyłączyć niektóre części jego olbrzymiego rozmiarami dzieła, pozostaje dosyć, również jako świadectwo trzech epok, żeby zapewnić mu miejsce wyższe niż kogokolwiek z jego rówieśników. Jego obecność – choćby poprzez zapiski, noty, dzienniki, wspomnienia o miejscach i ludziach – była i będzie zauważalna, bo przecie wieloryba trudno przeoczyć”[90].

Ucieczka w głąb siebie

Jarosław osiągał coraz większe sukcesy polityczne, natomiast Anna powoli zaczynała dostrzegać, że idea fuzji marksizmu z katolicyzmem była utopią. Co prawda nadal doceniała sukcesy nowego ustroju, takie jak odbudowa kraju czy likwidacja analfabetyzmu, ale zauważyła też likwidację pluralizmu politycznego, zniknięcie symboliki narodowej i nachalną propagandę. Tego nie mogło zrównoważyć zakładanie świetlic, budowanie teatrów czy upowszechnianie literatury. Niepokoiły ją analogie pomiędzy propagandą komunistyczną a językiem przedwojennych endeków, a prawdziwą rozpacz budził w niej socrealizm. Doskonale wiedziała, że oznacza to śmierć dla kultury, dlatego informacje o uchwałach słynnego zjazdu w Szczecinie przyjęła z niedowierzaniem. A rzeczywistość już wkrótce potwierdziła jej najgorsze obawy.

„Byli tu jakiś czas Słonimscy – zanotowała w marcu 1949 roku. – [...] Przywieźli z Londynu książeczkę dla dzieci, którą zamierzali wydać w »Czytelniku«. Nie widziałam tego, ale można sobie wyobrazić, jakie to musiało być prześliczne, znając oboje autorów: rysunki zwierząt Janiny Konarskiej i do tego wierszyki Antoniego Słonimskiego, jednym słowem, poziom nie byle jaki. Książeczka nie została jednak przyjęta. Wszechwładna pani Dembińska [wiceprezes Czytelnika – S.K.] ze słodkim uśmiechem tłumaczyła Jance, że książeczka jest niepedagogiczna, że obecnie »należy uczyć dzieci miłości do człowieka«, a że »miłość do zwierząt jest uczuciem faszystowskim!!!«”[91].

W notatkach Anny nie ma jednak tego, co chyba najbardziej musiało ją przerażać. Wszechwładna propaganda odwoływała się do tradycji chrześcijańskiej w nowej, komunistycznej wersji. Tego nie potrafiła już tolerować nawet Maria Dąbrowska, która przecież zawsze miała niechętny stosunek do Kościoła. Ale także dla niej nowa wersja państwowej propagandy była nie do przyjęcia:

„W »Twórczości« (w numerze grudniowym) drukowana jest epopeja o Stalinie jakiegoś gruzińskiego poety, wzorowana zupełnie na kantyczkach i kolędach o narodzeniu Chrystusa. Jest i »święta rodzina« (dla odmiany szewców) i ludzie śpiewający z darami etc. W ogóle ze wszystkich stron widzi się tendencję do wprowadzenia kultu Stalina na miejsce kultu Chrystusa.

I jeśli dalej ta koszmarna inscenizacja się uda – śmierć Lenina i narodzenie Stalina będą świętowane zamiast Bożego Narodzenia”[92].

Anna zaczęła uciekać we własny świat. W 1951 roku definitywnie przestała prowadzić *Dziennik*, a ostatnie jej wpisy były relacjami z koncertów muzycznych, bo nie miała już siły pisać o otaczającej ją rzeczywistości. Pierwsze przesłuchanie nieznanymi wcześniej utworów Bacha było dla niej ważniejsze niż wszystko to, co dochodziło z realnego świata. I stawało się powoli celem samym w sobie:

„Jak Anna wracała z teatru czy koncertu – wspominała Zofia Dzieciół, gospodyni ze Stawiska – wtedy była spóźniona kolacja. Siadali oboje i ona opowiadała o aktorach, jak który grał. I oni mogli tak gadać godzinami i mieli o czym. Nawet o pogodzie. [...] Przy herbacie, przy obiedzie, przy kolacji opowiadali o kulturze. I zawsze się zgadzali. Razem słuchali muzyki przez radio. Przeważnie w niedzielę była muzyka poważna. Jak wracała z kościoła, śniadanie było dopiero o dziesiątej. Zaraz potem słuchali radia. I wieczorem słuchali. Jak była Warszawska Jesień, jeździli do miasta”[93].

Anna, choć dobrze wiedziała, w jakim świecie żyje, z dumą podkreślała, że nie musi bywać w sowieckiej ambasadzie. Twierdziła, że nie interesują jej sprawy męża ani decyzje, jakie on podejmuje. Zawarli też układ, że nie będzie zapraszał do Stawiska ludzi, których ona uzna za niemiłych. Mimo to korzystała z pozycji Jarosława, uważając, że jej osobisty opór niczego w sytuacji kraju nie zmieni. I zapewne miała rację, chociaż wiele osób wyrażało zupełnie odmienne opinie. Jako znakomicie sytuowana żona prominenta miała okazję do odbywania podróży zagranicznych, co w tamtych czasach było wyjątkowym przywilejem. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że wojażował głównie Jarosław, a jego małżonka najczęściej pozostawała w Stawisku.

Szczególne znaczenie miała ich wspólna podróż do ZSRR. Odwiedzili wówczas Moskwę, której Anna nie widziała od czasu narzeczeństwa z Krzysztofem Radziwiłłem. Potem przebywali na Ukrainie, gdzie Jarosław pokazał jej swój rodzinny Kalnik, a właściwie to, co z niego zostało.

Iwaskiewicz osiągnął swój cel, gdyż utrzymał ukochane przez żonę Stawisko i to było chyba dla nich najważniejsze. Ich córki założyły własne rodziny, a oni doczekali się wnuków. Osobiste szczęście miało dla Iwaskiewiczów największe znaczenie i nie uważali oni, że zapłacili za nie zbyt wysoką cenę. Nawet jeżeli z tego powodu stracili szacunek wielu znajomych z czasów młodości.

„W ostatnim »Świecie« jest wywiad z Iwaskiewiczem – pisała z irytacją Maria Dąbrowska. – Stawisko nazwano nie domem, lecz instytucją. Dyskontuje okupacyjnych gości swojego 20-pokojowego pałacu – nazywają go »arcypolskim«, podkreślają jego mądrość, filozofię, wszechstronność twórczą – jest wszędzie w Polsce i za granicą – pisze o wszystkim i wszystkich – słowem ta zanosząca się na permanentną prezesura zrobiła mu, oficjalną przynajmniej, sławę, jakiej nie miał nigdy. Ten człowiek jest reżyserem swojej kariery, jak mało kto na świecie. Mógłby być drugim Pepsyem, gdyby miał jego talent, poczucie humoru i szerokość horyzontów. [...] Jest ulubieńcem reżimu i co niedziela bywa na mszy. Ma nawet w kościele swój własny fotel. To faryzeusz w wielkim stylu”[94].

Ostentacyjny serwilizm Iwaskiewicza sprawił jednak, że nigdy nie zrealizował on swojego największego marzenia. W 1970 roku otrzymał Międzynarodową Leninowską Nagrodę Pokoju i z tego powodu nigdy nie brano go pod uwagę, gdy przyznawano literacką Nagrodę Nobla. A to bardzo bolało starego pisarza.

Akceptacja

Jarosław nigdy nie zrezygnował ze swojego homoseksualizmu i nawet w okresie okupacji miał różnych partnerów. Próbował uwieść młodziutkiego Baczyńskiego, gdy ten przyjeżdżał do Stawiska, a gorący romans połączył go z pewnym funkcjonariuszem granatowej policji. Wspominał go ciepło jeszcze wiele lat później, gdy przypadkowo w prasie trafił na jego nekrolog.

„Ze zdziwieniem przeczytałem lata, 64! – zanotował. – Dzieci, wnuki itd. Dla mnie to zawsze 29-letni chłopiec niespecjalnie piękny, ale bardzo przystojny, o przepięknym ciele, który odegrał w moim życiu sporą rolę. Był bardzo męski i bardzo dobry, uczynny, nic mnie nie kosztował, lubił miłość i był już wtedy, gdyśmy naszli na nasze sposoby, nadwyzwyczajnym, namiętnym kochankiem. Już nie pamiętam, jakeśmy się poznali. Po prostu na ulicy, był granatowym policjantem. Był po męsku czuły i bardzo delikatny. Był »największym« moim kochankiem»[95].

Iwazkiewicz, podobnie jak Szymanowski, preferował antyczny model pederastii. Wiązał się ze znacznie młodszymi partnerami, których wprowadzał w życie. Uważał, że najważniejsze są uczucia i przyjaźń, a erotyzm (choć z niego nie rezygnował) stanowi tylko dodatek. Dlatego bardzo irytowało go trywializowanie całej sprawy i sprowadzenie problemu wyłącznie do seksu.

„Wszyscy myślą, że to polega na rżnięciu w dupę! A przecież już Sokrates wyłożył Alcybiadesowi, że nie na tym polega szczęście i radość, jakiej doznają dwaj mężczyźni z obcowania z sobą. I przez tyle wieków nikt tego właściwie nie zrozumiał – i zawsze to interpretują poprzez gówno. Dlaczego człowiek musi być zawsze brudny? [...] Bo przecież o dusze tu chodzi, nie o ciała, a raczej o całość człowieka, o integrację niesłychanych rozmiarów. Zapisalem wczoraj wieczorem w kalendarzyku: »Kto przeżył taki dzień jak ja dzisiaj, ten poznał zimny, kruchy i gorzki smak szczęścia«»[96].

Z upływem lat czuł się coraz bardziej wypalony i uważał, że w sensie uczuciowym nic go już w życiu nie spotka. Tymczasem miał jeszcze przeżyć największą miłość swojego życia, gdy w połowie lat 50. poznał młodszego o blisko 40 lat Jerzego Bleszyńskiego.

Ulubieniec Iwazkiewicza pochodził z Brwinowa, był żonaty i miał dwoje dzieci. Chorował na zaawansowaną gruźlicę, więc wiadomo było, że ich znajomość zbyt długo nie potrwa. Prawdopodobnie właśnie świadomość ograniczeń czasowych wpłynęła na uczucie pisarza, który chciał, aby kochanek możliwie intensywnie spędził ostatnie lata swojego krótkiego życia. Dużo razem podróżowali po Polsce i Europie.

„Choroba Jurka – napisał w czasie wspólnej podróży do Kopenhagi w 1957 roku – i to, że nie jest mu przeznaczone długie życie [...], czyni go dla mnie czymś jeszcze cenniejszym i droższym, układa na zupełnie innej płaszczyźnie mój stosunek do niego, uważam go za dziecko, którym się należy opiekować. W nocy w kabinie przykrywałem go kocami, które z niego spadły, otworzył oczy i widział to. Ale zaraz zasnął. W dzień powiedział do mnie: »Przykrywałeś mnie w nocy« i oczy jego zaświeciły takim niebywałym ciepłem. Dziwna rzecz, jaki on jest piękny we śnie»[97].

Znajomość nie przebiegała jednak bez kłopotów. Iwazkiewicz wielokrotnie zarzucał partnerowi niewdzięczność, podejrzewał, że Jerzy spędza z nim czas wyłącznie z powodów finansowych. W takich chwilach Jarosław potrafił trzeźwo ocenić ich związek.

„Spojrzenie obiektywne na rolę, jaką tam odgrywałem – napisał we wrześniu 1958 roku – napelnia mnie bolesnym wstydem i zdumieniem. Namiętność mnie zaślepiła, byłem igraszką w ręku chorego i zdemoralizowanego człowieka, który był w zмовie z wyrachowaną kobietą.

[...] Oczywiście takie spojrzenie nie zmienia w niczym mojego stosunku do Jurka, ale naprawdę chwilami zachowuje się śmiesznie i bez godności. Chorobliwa atmosfera, którą wytwarza ten stojący u grobu człowiek, jest czymś z gruntu obcym mojej zdrowej naturze. Był okropny ostatniego wieczoru przed moim tu przyjazdem”[98].

Ale chwile, gdy o tym zapominał, warte były wszelkich poświęceń. Jarosław rzeczywiście kochał Błeszyńskiego, nie ukrywał, że była to największa miłość w jego życiu. Annę również darzył uczuciem, ale żona była dla niego wyłącznie przyjacielem i matką jego dzieci. Natomiast młody kochanek z Brwinowa wzbudzał w nim zupełnie inne instynkty.

„Patrzyliśmy sobie w oczy bez słowa, bardzo długo – opisywał Iwaszkiewicz ostatnią kolację w jego towarzystwie. – Nigdy w życiu nie doznałem niczego podobnego. Tego magnetycznego prądu, czegoś, co nas łączyło przez to spojrzenie, jakiejś głębokiej jedni. Trwało to bardzo długo i było bardzo intensywne. A potem powiedział szeptem, tak że trudno było usłyszeć: »Tylko pamiętaj, pochowaj mnie na jakimś wiejskim cmentarzu...«”[99].

W maju 1959 roku Jerzego przyjęto do szpitala w Turczynku koło Stawiska, gdzie miał już pozostać do śmierci. Stan jego zdrowia szybko się pogarszał i pod koniec miesiąca Jerzy zmarł. Iwaszkiewicz nie znalazł w sobie sił, by pójść na jego pogrzeb.

Aby ochłonąć po tragedii, wyjechał do Sandomierza, nie chciał mieć z nikim kontaktu, odmawiał nawet korespondencji z żoną, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Anna w pełni to akceptowała, wiedziała, że mąż musi przetrwać trudne chwile.

„Mówiłam Ci, żebyś nie pisał do mnie z Sandomierza, jeśli cię to nudziło, męczyło, w ogóle sprawiało ci jakikolwiek wysiłek i sama mówiłam, że mogę wcale nie pisać, żeby ci się z niczym, a w szczególności ze sobą nie narzucać. Potrzebę samotności rozumiem jak nikt chyba, a co dopiero w takich okolicznościach. [...] Tobie świat się zawalił. Ale przecież musisz, musisz wierzyć, że on żyje”[100].

Błeszyński nie był ostatnim kochankiem Iwaszkiewicza, który do końca życia pozostał koneserem męskiej urody. A gdy z powodu wieku jego aktywność osłabła, przyjemność sprawiały mu sny erotyczne. Te zaś bywały tak bogate, że opisywał je nawet w swoim *Dzienniku*:

„Marzenia o Danielu, o Wiesiu – zapisał w styczniu 1974 roku. – Całą noc sny erotyczne i tak bardzo plastyczne, podniecone przez barwne czytanie *Tysiąca i jednej nocy*, w bardzo niedobrym zresztą polskim wydaniu. Miła przyjemność [...]”[101].

Do końca razem

Z upływem lat w psychice Anny zachodziły zmiany, a jej drobne przyzwyczajenia nabierały cech dominujących i stawały się uciążliwe dla domowników. Jedną z jej obsesji było przestrzeganie higieny, na wyjazdy zabierała własne naczynia i pościel, a nawet odkażała meble w pokojach, w których miała mieszkać. Zabraniała wnukom podawać rękę księdzu, bo uważała, że duchowny, stykając się z tak dużą liczbą wiernych, musi być roznosicielem zarazków. Z tych samych powodów pisała listy protestacyjne do „Tygodnika Powszechnego”, sprzeciwiając się nowo wprowadzonym przepisom, umożliwiającym wiernym osobiste branie hostii z tacy podczas komunii.

Chorobliwe upodobanie do higieny nie przeszkadzało jej lubić stare, mocno zużyte ubrania, które nosiła całymi latami. Z okazji przyjęcia, koncertu czy wizyty w teatrze zakładała elegancką odzież, natomiast na co dzień ubierała się jak żebraczka. Do tego dochodziła jeszcze ciągła obawa przed przeziębieniem, toteż zdarzało się, że w szatni w filharmonii zdejmowała ciepłą bieliznę zakładaną pod wytworne suknie.

Iwaskiewiczowie zawsze spali we wspólnym łóżku, jednak pod koniec życia sytuacja uległa zmianie. Przyczyną tego stanu rzeczy były ulubione psy Anny, które spały razem ze swoją panią. Jarosław protestował, wobec czego żona wyprowadziła się ze wspólnej sypialni. Jednak podczas pobytu w Paryżu w połowie lat 70. małżonkowie ponownie zaczęli sypiać razem.

„Babci pewnie ksiądz Francuz w Paryżu kazał sypiać z mężem – pisał Jarosław w liście do wnuczki – teraz sypia koło mnie na miejscu Tropka, ku wielkiemu mojemu utrapieniu, bo tłucze się do dwunastej w nocy i powoli przewleka ten cały chłam ze swojego pokoju do mojego. Ale czasami w nocy to przyjemniej, że się kogoś ma obok i nie czuje się tej wielkiej samotności”[102].

Anna zawsze funkcjonowała na innych zasadach niż reszta rodziny. Potrafiła nagle zniknąć na wiele godzin, nigdy nie korzystała z głównego wejścia do domu, a idąc na przystanek kolejki WKD, zawsze szła dróżką, której poza nią nikt nie używał.

„Ta tak umiejąca rozmawiać – podkreślają to wszyscy jej przyjaciele – i słuchać innych kobieta do perfekcji opanowała sztukę niesłyszania tego, czego nie chciała słyszeć – pisała jej prawnuczka Ludwika Włodek. – Dziadek zapytał ją kiedyś: »Haniu, czy ty nie słyszysz, czy nie słuchasz?«. »Jedno i drugie« – odparła”[103].

Z upływem czasu nasilała się jej dewocja. W kościele w Podkowie Leśnej bywała codziennie, a kiedy chorowała, przyjmowała komunię w domu. Przy okazji zawsze narzekała, że mąż nie podziela jej głębokiej wiary, a z proboszczem rozmawia jak „dziedzic z plebanem”.

„Hania w chorobie jest tak trudna – skarżył się Jarosław – i co jest zadziwiające, cała jej religijność nie przygotowuje jej do końca, a raczej przed tym końcem napęcza wątpliwościami i przerażeniem. Jasne, jeżeli ona ma myśli, że zaraz po śmierci stanie oko w oko ze Stwórcą i będzie z nim rozmawiała (»I co ja mu powiem«), to musi odczuwać przeraźliwą treść, strach po prostu. [...] Najgorsze jest, że czasami zaczynam mówić z nią, wspominać dawne czasy, jak mąż z żoną, jak z pełnowartościowym człowiekiem – i w pewnym momencie spostrzegam, że ona wszystko sprowadza do zagadnienia bywania w kościele czy odmawiania pacierza. Nawet nie myśli przez chwilę, że religia może być czymś innym, a nie wypełnianiem tych czy innych formułek. Robi się wtedy nieskończenie smutno”[104].

W 1972 roku małżonkowie obchodzili 50. rocznicę ślubu. Z tej okazji zorganizowano w Stawisku przyjęcie, na którym pojawiło się wielu luminarzy kultury i partyjnych notabli. Na ten dzień zapomniano o wzajemnych animozjach, wszyscy znakomicie się bawili, a podobnego

oblężenia posiadłość Iwaszkiewiczów nie przeżywała od czasów okupacji niemieckiej. Na gości czekały pieczone prosiaki, wyroby cukierni Bliklego, wykwintne alkohole, a do tańca przygrywała orkiestra dansingowa.

„[...] Tworzyły się doraźnie pary i parki – relacjonował Włodzimierz Sokorski – do jedzenia, do picia, do mówienia sobie przyjemnych głupstw. [...] Stoły wytrzymały natarcie [...], pojawiły się również beczki z piwem. Nikt nikogo nie częstował, nikt nikomu nie dolewał. Co wypieś, co zjadieś, to było twoje, chyba że zjadieś zbyt wiele. [...] Na schodach ukazała się wysoka sylwetka Jarosława. Ciągłe trzymał się prosto i krymka tylko trochę zsunęła mu się na tył głowy. Prowadził pod rękę żonę i pomyślałem z zazdrością o swojej przyszłej miłości w tym wieku. Niepewnie, z winem w głowie, starałem się wejść do komnat i gdy Jarosław wzniosł zdrowie gości, próbowałem odszukać kieliszek koniaku, który mi się gdzieś zapodział pomiędzy Zygmuntem Mycielskim i Marianem Brandysem, zwłaszcza że obaj nie pili. [...] I gdy wreszcie ciemną nocą wsiedliśmy do samochodu razem z Wasilewskim i Balickimi, kierowca mojego ćwierćwiecza, Józef Miech, zauważył rzeczowo: »A najlepsze były pieczone bażanty, których wcale pan nie jadł«”[105].

Pod koniec lat 70. zdrowie Anny zaczęło szwankować, wtedy też przeszła poważną operację, po której już nie powróciła do sił. Ponownie pojawiły się problemy psychiczne. Do chorej nie docierało już nawet to, że jej świeżo wydana książka (*Nasze zwierzęta*) odniosła wielki sukces. Tak samo jak 40 lat wcześniej zamknęła się w swoim świecie, ale tym razem mąż nie mógł jej już pomóc.

„Boże, to takie straszne – zapisał Iwaszkiewicz w tych dniach – tego nawet nikt pojąć, nikt wyobrazić sobie nie może. Znowu ta psychika, odbudowana z taką trudnością, zawałiła się. Akurat w momencie, kiedy wyszła jej książka i ma szalony sukces, a ona już tym się nie cieszy, już tego nie ogarnia, tylko znajduje się w prawdziwym pudle wyrzutów sumienia, cierpienia za jakieś urojone winy, męczy się tak strasznie i nas męczy okropnie. [...] To jest początek umierania, bo i miażdżycę się w to wdała (ma 82 lata) i nic nie można jej pomóc. Lekarze dają jej jakieś środki oszałamiające, ale nie śpi, zrywa się o piątej, szóstej rano, chodzi po domu i jęczy”[106].

Pisarz nie dopuszczał do siebie myśli, że żona odchodzi. Wprawdzie powróciła jej na pewien czas jasność umysłu, ale w zamian zupełnie straciła siły. Chora zdawała sobie sprawę ze swojego stanu, bez zdziwienia przyjęła fakt, że przestały jej towarzyszyć ulubione psy. Potraktowała to jako dowód, że zwierzęta uznały, iż ich właścicielka należy już do innego świata.

„Leżała i mało się podnosiła – wspominała Zofia Dzięcioł. – Jak umierała, to była niedziela, 23 grudnia. Jarosław był przy niej. Jeszcze o drugiej przyniosłam jej zupełną pomidorową z lanymi kluskami. Specjalnie dla niej kluski, bo tak sobie zażyczyła. Taki duży talerz zjadła. Pytam – Chce pani jeszcze? – Tak, chcę.

Potem zeszałam na dół. I punkt trzecia umarła”[107].

Annę pochowano na cmentarzu parafialnym w Brwinowie. Jarosław przesiadywał całe dni w jej pokoju, a potem, nie mogąc powrócić do równowagi psychicznej, wyjechał do Paryża. Niewiele to pomogło, nad Sekwaną również prześladowały go wspomnienia.

„Złoty mój – pisał do Romana Jasińskiego – zawsze Cię w sercu chowałem za to, że za twoim pośrednictwem poznałem ten skarb jedyny, który był moją miłością, moją męką, moim strachem – i w gruncie rzeczy wszystkim, naokoło czego splotło się moje życie, moja twórczość, moje istnienie. Pięćdziesiąt osiem lat pożycia – to jest kawał czasu. I właściwie wszystko przeszło w jej cieniu – teraz nie mogę się wprost odnaleźć, nie rozumiem, co się ze mną dzieje”[108].

Los zdecydował, że nie musiał długo czekać na połączenie się z żoną. Jeszcze w Paryżu

dostał krwotoku, w ciężkim stanie przetransportowano go do kraju. Zmarł w lecznicy rządowej 2 marca 1980 roku, trzy miesiące po śmierci żony. Pochowano go u jej boku na cmentarzu w Brwinowie. Spoczął na zawsze u boku kobiety, która była jego muzą i przyjacielem – kobiety, bez której nie chciał i nie potrafił żyć.



PRZYPISY DO ROZDZ. IV

- 1 L. Włodek, *Pra. O rodzinie Iwaszkiewiczów*, Warszawa 2012, s. 77.
- 2 A. Iwaszkiewiczowa, *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa 2012, s. 123.
- 3 *Ibidem*, s. 11.
- 4 Za: E. Krasieński, *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983, s. 179.
- 5 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 11–12.
- 6 *Z albumu Romana Jasińskiego. O Lilpopach, Hannie i Jarosławie Iwaszkiewiczach i trochę o samym właścicielu albumu*, „Literatura” 5/1985.
- 7 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, t. 3, Warszawa 2011, s. 573.
- 8 K. Radziwiłł, *Pamiętniki: od feudalizmu do socjalizmu bezpośrednio*, Białystok 2008, s. 97.
- 9 Z. Czermański, *Kolorowi ludzie*, Londyn–Łomianki 2008, s. 8.
- 10 J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994, s. 37.
- 11 *Ibidem*, s. 38.
- 12 Za: T. Zienkiewicz, *Polskie życie literackie w Kijowie w latach 1905–1918*, Olsztyn 1990, s. 12.
- 13 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 135.
- 14 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, t. 1, Warszawa 2007, s. 111.
- 15 *Ibidem*, s. 502.
- 16 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, t. 3, s. 339.
- 17 *Ibidem*, s. 440.
- 18 Za: K. Tomasiak, *Homobiografie. Pisarki polskie i pisarze XIX i XX wieku*, e-book, Warszawa 2009.
- 19 Za: *ibidem*.
- 20 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 147.
- 21 Za: *ibidem*, s. 146.
- 22 *Ibidem*, s. 156.
- 23 Za: A. Makowiecki, *Kawiarnia „Pod Picadorem” – legenda poetyckiej Warszawy*, histmag.org/Kawiarnia-Pod-Picadorem-legenda-poetyckiej-Warszawy-8610.
- 24 Za: A. Makowiecki, *Warszawskie kawiarnie literackie*, Warszawa 2013, s. 111.
- 25 A. Słonimski, *Wspomnienia warszawskie*, Warszawa 1987, s. 56–57.
- 26 J. Tuwim, *Nasz pierwszy wieczór*, w: *Dzieła. Pisma prozą*, t. 5, Warszawa 1964, s. 115.
- 27 Za: R. Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, e-book, t. 1, Warszawa 2012.
- 28 J. Czapski, *Świat w moich oczach*, Ząbki–Paryż 2001, s. 129.
- 29 *Z albumu Romana Jasińskiego...*
- 30 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 160.
- 31 *Ibidem*.
- 32 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, s. 574.
- 33 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 354.
- 34 *Ibidem*, s. 355.

- 35 *Ibidem*.
- 36 Za: P. Mitzner, *Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie*, Kraków 2000, s. 19–20.
- 37 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 356–357.
- 38 *Ibidem*, s. 357.
- 39 *Ibidem*, s. 336.
- 40 *Ibidem*, s. 339.
- 41 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 21–22.
- 42 A. i J. Iwaszkiewiczowie, *Listy 1922–1926*, t. 1, Warszawa 2012, s. 101.
- 43 *Ibidem*, s. 134.
- 44 *Ibidem*, s. 111.
- 45 Za: K. Tomasik, *Krzywicka. Ikona LGBT*,
krytykapolityczna.pl/Opinie/TomasikKrzywicka-ikonaLGBT/menuid-431.html.
- 46 I. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1994, s. 204.
- 47 *Ibidem*, s. 206.
- 48 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 99.
- 49 *Ibidem*, s. 64.
- 50 A. i J. Iwaszkiewiczowie, *op. cit.*, s. 361–362.
- 51 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 100.
- 52 *Ibidem*, s. 101.
- 53 *Ibidem*.
- 54 *Ibidem*.
- 55 *Ibidem*, s. 101–102.
- 56 J. Liebert, *Listy do Agnieszki*, Warszawa 2002, s. 186.
- 57 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 113.
- 58 *Ibidem*, s. 125–126.
- 59 *Ibidem*, s. 132.
- 60 *Ibidem*, 117–118.
- 61 *Ibidem*, s. 127.
- 62 *Ibidem*.
- 63 *Ibidem*, s. 122–123.
- 64 *Ibidem*, s. 135.
- 65 *Ibidem*.
- 66 *Ibidem*, s. 105.
- 67 I. Krzywicka, *op. cit.*, s. 405.
- 68 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, t. 2, Warszawa 2010, s. 209.
- 69 A i J. Iwaszkiewiczowie, *Listy 1927–1931*, t. 2, Warszawa 2012, s. 217–218.
- 70 Za: *Siedziba. Z Marią Iwaszkiewicz rozmawia Bogdan Wróblewski*,
podkowianskimagazyn.pl/archiwum/siedziba.htm.
- 71 Za: *Stary. Krzysztof Masłoń o Jarosławie Iwaszkiewicz*, „Rzeczpospolita”
01.02.2000.
- 72 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 276.
- 73 Za: P. Mitzner, *op. cit.*, s. 55–56.
- 74 I. Krzywicka, *op. cit.*, s. 280.
- 75 *Ibidem*, s. 281.
- 76 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 376.
- 77 J. Iwaszkiewicz, *Notatki 1939–1945*, Wrocław 1991, s. 13.

- 78 Za: *Miłosz kochał Iwaszkiewicza*,
polskieradio.pl/8/873/Artykul/468779,Milosz-kochal-Iwaszkiewicza.
- 79 Za: P. Mitzner, *op. cit.*, s. 72.
- 80 Za: *Stary...*
- 81 Za: L. Włodek, *op. cit.*, s. 199.
- 82 Za: *ibidem*, s. 195.
- 83 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 321.
- 84 *Ibidem*.
- 85 *Ibidem*, s. 330.
- 86 *Ibidem*, s. 370–371.
- 87 IPN BU 00231/79.
- 88 A. Michnik, *Wyznania nawróconego dysydenta*, Warszawa 2003, s. 210.
- 89 S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1998, s. 210.
- 90 Za: *Stary...*
- 91 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 420.
- 92 M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965, t. 7, 1950*, Warszawa 2009, s. 18–19.
- 93 Za: P. Mitzner, *op. cit.*, s. 112.
- 94 M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965, t. 13, 1962–1965*, Warszawa 2011, s. 120.
- 95 Za: K. Tomasiak, *Homobiografie...*
- 96 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, s. 193.
- 97 *Ibidem*, s. 154–155.
- 98 *Ibidem*, s. 243.
- 99 *Ibidem*, s. 277.
- 100 Za: P. Mitzner, *op. cit.*, s. 83.
- 101 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, s. 377.
- 102 Za: L. Włodek, *op. cit.*, s. 212.
- 103 *Ibidem*, s. 219.
- 104 Za: R. Romaniuk, *One. Kobiety, które kochały pisarzy*, Warszawa 2005, s. 136.
- 105 Za: *ibidem*, s. 139–140.
- 106 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, s. 450.
- 107 Za: P. Mitzner, *op. cit.*, s. 129.
- 108 Za: *ibidem*, s. 131.

Zakończenie



Pisząc tę książkę, nie miałem ambicji przedstawienia pełnych biografii moich bohaterów, a tym bardziej ich partnerów. Zamierzałem skupić się na ich życiu z gigantami naszej literatury i ukazać je na tle epoki, w której żyły. Dlatego ta książka to właściwie zbiór szkiców do portretów żon Gombrowicza, Mrożka, Miłosza oraz Iwaszkiewicza.

Po zakończeniu pracy nad wieloma moimi książkami często odczuwałem niedosyt i miałem wrażenie, że nie wyczerpałem tematu. Teraz wydaje mi się, że napisałem właśnie tak, jak chciałem. Przedstawione przeze mnie portrety są oczywiście subiektywne, ale proszę mi pokazać historyka, który pisze całkowicie obiektywnie. Nie ma takiej możliwości – wchodzimy bowiem w pewną zażyłość z naszymi bohaterami i jednych lubimy bardziej, a innych mniej.

Ważne natomiast, by nie ferować wyroków ani nie oceniać – przynajmniej ja zawsze uważałem, że należy zostawić to Czytelnikowi. I mam nadzieję, że tym razem również mi się to udało.

Ważniejsza bibliografia



- Andrzejewski J., *Gra z cieniem*, Warszawa 1987
- Azembki M., *Dwie godziny z Gombrowiczem*, „Miesięcznik Literacki”, 9/1975
- Badowska J., *Wilno i Miłosz*, „Poezja” 5/6/1981
- Błoński J., Mrożek S., *Listy 1963–1996*, Kraków 2004
- Bojanowska M., *Słowo o listach*, podkowianskimagazyn.pl/nr49/telakowska_listy.htm
- Byrski T., *Teatr-radio. Wspomnienia*, Warszawa 1978
- Czapski J., *Świat w moich oczach*, Ząbki–Paryż 2001
- Czarodziejska góra. Amerykański portret Czesława Miłosza*, TVP 2000
- Czermański Z., *Kolorowi ludzie*, Londyn–Łomianki 2008
- Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwójny*, Warszawa 2011
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965, t. 5, 1942–1947*, Warszawa 2009
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965, t. 7, 1950*, Warszawa 2009
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965. T. 13, 1962–1965*, Warszawa 2011
- Fiałkowski T., *Wdzięczność*, <http://www.tygodnik.com.pl/numer/277335/fialkowski.html>
- Fiut A., *W stronę Miłosza*, Kraków 2003
- Franaszek A., *Miłosz. Biografia*, Kraków 2012
- Garbal Ł., *Wybór cytatów z przemówienia Cyrankiewicza o Gombrowiczu*, wyborcza.pl/1,75248,4295537.html
- Gliński M., *Rita Gombrowicz: nic już więcej nie chowam*, culture.pl/pl/artukul/rita-gombrowicz-nic-wiecej-juz-nie-chowam-wywiad
- Gombrowicz R., *Gombrowicz w Argentynie. Świadectwa i dokumenty 1939–1963*, Kraków 2004
- Gombrowicz R., *Gombrowicz w Europie. Świadectwa i dokumenty 1963–1969*, Kraków 1993
- Gombrowicz W., *Tandeta*, „Kultura” 9/1963
- Gombrowicz W., *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1997
- Gombrowicz W., *Dziennik 1961–1966*, Kraków 1988
- Gombrowicz W., *Dziennik 1967–1969*, Kraków 1992
- Gombrowicz W., *Kronos*, Kraków 2013
- Gombrowicz W., *Podróże i przygody. Niesmak w permanencji*, „Kurier Poranny”, 16.07.1937
- Gombrowicz W., *Wędrowki po Argentynie*, w: W. Gombrowicz, *Dzieła*, t. 15, Kraków 1996
- Gombrowicz W., *Wspomnienia polskie*, w: *Dzieła*, t. 15, Kraków 1996
- Gombrowicz. Walka o sławę. Korespondencja*, Kraków t. 2, 1998
- Gorczyńska R., *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, Kraków 2002
- Górska-Damięcka I., *Wygrałam życie. Pamiętnik aktorki*, Warszawa 1997
- Grinberg M., *Wspominając Gombrowicza*, Warszawa 2005
- Hamilton, *Emigrant*, „Kultura” 22/1963
- Protesty studenckie w Wilnie. Śmierć S. Waclawskiego (1931)*, nick.salon24.pl/465820,protesty-studenckie-w-wilnie-smierc-s-waclawskiego-1931
- Miłosz kochał Iwaszkiewicza*,

polskieradio.pl/8/873/Artykul/468779,Milosz-kochal-Iwaszkiewicza
IPN BU 00231/79
IPN BU 4470/IV13724/IV
Iwaszkiewicz J., *Notatki 1939–1945*, Wrocław 1991
Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1911–1955*, Warszawa 2007
Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1956–1963*, Warszawa 2010
Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1964–1980*, Warszawa 2011
Iwaszkiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994
Iwaszkiewiczowa A., *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa 2012
Iwaszkiewiczowie A i J., *Listy 1927–1931*, Warszawa 2012
Iwaszkiewiczowie A. i J., *Listy 1922–1926*, Warszawa 2012
Jerzy Giedroyc, *Czesław Miłosz: Listy 1952–1963*, Warszawa 2008
Jerzy Giedroyc, *Czesław Miłosz: Listy 1964–1972*, Warszawa 2011
Jerzy Giedroyc, *Czesław Miłosz: Listy 1973–2000*, Warszawa 2012
Kaden-Bandrowski J., *Niemoc moralna Gombrowicza w „Pamiętniku”*, „Gazeta Polska”,
16.08.1933
Kępiński T., *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, Warszawa 1974
Kisielewski S., *Dzienniki*, Warszawa 1998
Kopka B., Majchrzak G., *Operacja „Poeta”: Służba Bezpieczeństwa na tropach
Czesława Miłosza*, Lublin 2007
Kosińska A., *Miłosz w Krakowie*, Kraków 2015
Kosińska A., *Rozmowy o Miłoszu*, Warszawa 2010
Koś B., *Kazimierz Głaz, malarz i przyjaciel Gombrowicza gościł w muzeum we Wsoli*,
echodnia.eu/apps/pbcs.dll/article?AID=/20110922/KULTURARAD05/871189492
Kott J., *Przyczynek do biografii. Zawał serca*, Kraków 1995
Kraśniński E., *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983
Krzywicka I., *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1994
Lemann J., *Eugeniusz Cękański*, Łódź 1996
Liebert J., *Listy do Agnieszki*, Warszawa 2002
Ligocka R., *Dziewczynka w czerwonym płaszczyku*, Kraków 2010
Lisińska-Kozioł M., *Sławomir kupił mi słońce*,
tygodnikprzeglad.pl/slawomir-kupil-mi-slonce
Makowiecki A., *Kawiarnia „Pod Pikadorem” – legenda poetyckiej Warszawy*,
histmag.org/Kawiarnia-Pod-Picadorem-legenda-poetyckiej-Warszawy-8610
Masłoń K., *Rzymski profil Słonimskiego*, „Historia Do Rzeczy” 7/2015
Michnik A., *Wyznania nawróconego dysydenta*, Warszawa 2003
Miłosz C., *Abecadło Miłosza*, Kraków 1997
Miłosz C., *Aby duchy umarłych zostawiły nas w spokoju*,
zwoje-scrolls.com/zwoje25/text08p.htm
Miłosz C., *Nika*, „Kwartalnik Literacki”, 2/2002
Miłosz C., *Rodzinna Europa*, Warszawa 1998
Miłosz C., *Rok myśliwego*, Kraków 2001
Miłosz C., *Rozmowy polskie 1979–1998*, t.1, Kraków 2006
Miłosz C., *Rozmowy polskie 1999–2004*, t.2, Kraków 2010
Miłosz C., *Rozmowy zagraniczne 1979–2003*, Kraków 2013
Miłosz C., *Zaczynając od moich ulic*, Kraków 2006
Miłosz C., *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*, Kraków 2007

- Miłosz C., *Zniewolony umysł*, Warszawa 1996
- Miłosz C., Andrzejewski J., *Listy 1944–1981*, Warszawa 2011
- Miłosz C., Jeleński K., *Korespondencja*, Warszawa 2011
- Miłosz C., Watowa O., *Listy o tym, co najważniejsze*, Warszawa 2009
- Mitzner P., *Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie*, Kraków 2000
- Morstin L., *List do Gombrowicza*, „Życie Warszawy” 13–14.10.1963
- Mrożek S., *Baltazar*, Warszawa 2006
- Mrożek S., *Dziennik 1962–1969*, Kraków 2010
- Mrożek S., *Dziennik 1970–1979*, Kraków 2012
- Mrożek S., *Dziennik 1980–1989*, Kraków 2013
- Mrożek S., *Dziennik powrotu*, Warszawa 2000
- Mrożek S., *Mój życiorys*, merlin.pl/HTML/mrozek_zyciorys.html
- Mrożek S., *Taniec rytualny*, „Gazeta Wyborcza”, 02.05.1997
- Mrożek w odślonach. 39 opowieści z różnych miejsc i czasów*, e-book, Kraków 2014
- Mrożek-Tarn. Listy 1963–1975*, Kraków 2009
- Nałkowska Z., *Dzienniki 1939–1944*, Warszawa 1996
- Niemczyńska M.I., *Milczenie Mrożka*, wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8415135,Milczenie_Mrozka.html
- Niemczyńska M.I., *Mrożek. Striptiz neurotyka*, Warszawa 2013
- O Czesławie Miłoszu mniej znanym*, M. Billewicz, J. Węgrzyn, Warszawa 2014
- Olejniczak J., *Miłosz. Autobiografia. Cztery eseje*, Warszawa 2013
- Pasierski E., *Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe*, Warszawa 2011
- Piasecki S., *Człowiek przemieniony w wilka*, Londyn 1964
- Radziwiłł K., *Od feudalizmu do socjalizmu bezpośrednio*, Białystok 2008
- Rodzinny świat Czesława Miłosza*, red. T. Bilczewski, L. Marinelli, M. Woźniak, Kraków 2014
- Romaniuk A., *Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu*, e-book, Warszawa 2013
- Romaniuk A., *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, e-book, t. 1, Warszawa 2012
- Romaniuk A., *One. Kobiety, które kochały pisarzy*, Warszawa 2005
- Siedlecka J., *Jaśnie panicz*, Gdańsk 1992
- Siedziba. Z Marią Iwaszkiewicz rozmawia Bogdan Wróblewski*, podkowianskimagazyn.pl/archiwum/siedziba.htm
- Sławomir Mrożek przedstawia*, TVP 1, 1997
- Słonimski A., *Wspomnienia warszawskie*, Warszawa 1987
- Sosnowska E., *W domu Susany*, restaurator.com.pl/?item=artykul&artykul=386
- St-53. Twórcy, postawy, ślady*, Katowice 2003
- Stary. Krzysztof Masłoń o Jarosławie Iwaszkiewiczu*, „Rzeczpospolita” 01.02.2000
- Subbotko D., *Tony, syn Miłosza*, wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,9868973,Tony__syn_Milosza.html
- Suchanow K., *Argentyńskie przygody Gombrowicza*, Kraków 2005
- Toeplitz K.T., *Szlachetność plotki*, „Kultura” 28/29/1963
- Tomasik K., *Homobiografie*, e-book, Warszawa 2009
- Tomasik K., *Krzywicka. Ikona LGBT*, krytykapolityczna.pl/Opinie/TomasikKrzywicka-ikonaLGBT/menuid-431.html
- Trójkąt namiętności. Z pisarką Marią Nurowską rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*, „W Sieci” 29/2013

Tuwim J., *Nasz pierwszy wieczór*, w: *Dzieła*, t. 5, *Pisma prozą*, Warszawa 1964
Wat A., *Korespondencja*, cz. 2, Warszawa 2005
Wiersze to wielkie świństwo,
wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,10514223,Wiersze_to_wielkie_swinstwo.html
Włodek L., *Pra. O rodzinie Iwaszkiewiczów*, Warszawa 2012
*Z albumu Romana Jasińskiego. O Lilpopach, Hannie i Jarosławie Iwaszkiewiczach
i trochę o samym właścicielu albumu*, „Literatura” 5/1985
Zawada A., *Miłosz*, Wrocław 2004
Zieliński S., *Gombrowicz w Jordanie*, „Kultura” 11/1963
Zienkiewicz T., *Polskie życie literackie w Kijowie w latach 1905–1918*, Olsztyn 1990

Sławomir KOPER

Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1991), autor wielu publikacji dotyczących dziejów obyczajowości. Uznanie przyniosły mu seria o elitach II Rzeczypospolitej oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. Niezwykłym sukcesem czytelniczym jest jego cykl o inteligencji w PRL.

W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej skrzętnie pomijano (np. *Miłość w Powstaniu Warszawskim*). Warszawiak z urodzenia, legionowianin z wyboru, miłośnik Krakowa, wielbiciel muzyki.

W 2012 roku za książkę *Kobiety władzy PRL* nominowany do nagrody Bestseller Empiku. W 2013 roku z rąk prezydenta RP otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi za popularyzację historii w społeczeństwie.

Gdy giganci naszej kultury zdobywali sławę wielkich artystów, wydawali nam się bliscy doskonałości. Ich żony pozostawały w cieniu. Były muzami, kochankami, sekretarkami, kucharkami, pielęgniarkami... O ich mężach powstało wiele biografii. O nich nie wiemy prawie nic. A to przecież one widziały na co dzień wszystkie ich słabości, lęki, niedoskonałości natury. Przymykały oczy na kaprysy, wybaczwały zdrady, homoseksualne skłonności, leczyły z depresji. Żony wybitnych polskich pisarzy: Gombrowicza, Mrożka, Miłosza i Iwaszkiewicza, pięknie sportretowane przez Sławomira Kopra.



wydawnictwo czerwone i czarne
www.czerwoneiczarne.pl